

ANDRZEJ
SAPKOWSKI



CZAS
POGARDY

WIEDŹMIŃ

super**NOWA**

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

ANDRZEJ
SAPKOWSKI

CZAS
POGARDY
WIEDŹMIŃ

super**NOWA**
WARSZAWA

Opracowanie graficzne Tomasz Piorunowski

ISBN 978-83-7578-084-0

Copyright © by Andrzej Sapkowski, Warszawa 2014

Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA sp. z o.o.

Biuro Handlowe
ul. Nowowiejska 10/12
00-653 Warszawa
e-mail: redakcja@supernowa.pl

Redaktor naczelny Mirosław Kowalski

Przygotowanie wersji elektronicznej LogoScript sp z o.o.

*Krew na twoich rękach, Falka,
krew na twej sukience
Płoń, płoń, Falka, za twe zbrodnie
Spłoń i skonaj w męce!*

Piosenka dzieci śpiewana podczas palenia kukły
Falki w wigilię Saovine

Spis treści

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

Vedymini a. wiedźmini wśród Nordlingów (ob.) tajemnicza i elitarna kasta kapłanów wojowników, prawdopodobnie odłam druidów (ob.). Wyposażeni w wyobrażeniu ludowym w moc magiczną oraz nadludzkie zdolności, stawać mieli v. do walki przeciwko złym duchom, potworom i wszelkim ciemnym siłom. W rzeczywistości, mistrzami będąc we władaniu bronią, byli v. używani przez władków Północy w walkach plemiennych, między owymi toczonych. W boju wpadali v. w trans, wywoływany, jak się mniema, autohipnozą lub środkami odurzającymi, walczyli ze ślepą energią, będąc całkowicie niewrażliwymi na ból i poważne nawet obrażenia, co umacniało przesady o ich nadprzyrodzonej mocy. Teoria, wedle której v. mieli być produktami mutacji lub inżynierii genetycznej, nie znalazła potwierdzenia. Są v. bohaterami licznych podań Nordlingów (por. F. Delannoy, „Mity i legendy ludów Północy”).

Effenberg i Talbot,
Encyclopaedia Maxima Mundi, tom XV

Rozdział pierwszy

Do tego, żeby móc zarabiać na życie jako goniec konny, mawiał zwykle Aplegatt wstępującym do służby młodzikom, potrzebne są dwie rzeczy – złota głowa i żelazna dupa.

Złota głowa jest nieodzowna, pouczał młodych gońców Aplegatt, albowiem pod ubraniem, w płaskiej, przypasanej do gołej piersi skórzanej sakwie goniec wozi tylko wiadomości mniejszej wagi, które bez lęku można powierzyć zdrażliwemu papierowi lub pergaminowi. Prawdziwie ważne, sekretne wieści, takie, od których wiele zależy, goniec musi zapamiętać i powtórzyć komu trzeba. Słowo w słowo, a niekiedy nieproste są to słowa. Wymówić trudno, a co dopiero zapamiętać. Aby zapamiętać, aby nie pomylić się powtarzając, trzeba mieć isticie złotą głowę.

A co daje żelazna rzyć, oho, tego każdy goniec rychło doświadczy sam. Gdy przyjdzie spędzić mu w siodle trzy dni i trzy noce, tłuc się sto

albo i dwieście mil po gościńcach, a czasami, gdy trzeba, po bezdrożach. Ha, pewnie, nie ciągiem siedzi się w siodle, czasem się zsiada, odpoczywa. Bo człowiek dużo wytrzyma, ale koń mniej. Ale gdy po odpoczynku trzeba znowu na kulbakę, zda się, że rzyć krzyczy: „Ratunku, mordują!”

A komu teraz potrzebni gońcy konni, panie Aplegatt, wydziwiali niekiedy młodzi. Z Vengerbergu do Wyzimy, przykładowo, nie doskacze nikt szybciej niż w cztery, albo i pięć dni, choćby na najśmiglejszym dzianecie skakał. A czarodziejowi z Vengerbergu ile trzeba, by magiczną wiadomość przekazać do czarodzieja z Wyzimy? Godziny pół, albo i tego nie. Gońcowi może koń okuleć. Mogą go zbóje albo Wiewiórki ubić, wilcy albo gryfy go mogą rozedrzeć. Był goniec, nie ma gońca. A czarnoksiężska wiadomość zawsze dotrze, drogi nie zgubi, nie opóźni się ani nie zatraci. Po co gońcy, jeśli wszędzie są czarodzieje, przy każdym królewskim dworze? Niepotrzebni już są gońcy, panie Aplegatt.

Przez jakiś czas Aplegatt też myślał, że już nie jest nikomu potrzebny. Miał trzydzieści sześć lat, był mały, ale silny i żyłasty, pracy się nie bał i miał, ma się rozumieć, złotą głowę. Mógł znaleźć sobie inną robotę, by wyżywić siebie i żonę, by odłożyć trochę grosza na posag dla dwóch niezamężnych jeszcze córek, by móc nadal pomagać tej zameężnej, której mężowi, beznadziejnej ofermie, ciągiem nie wiodło się w interesach. Ale Aplegatt nie chciał i nie wyobrażał sobie innej roboty. Był królewskim gońcem konnym.

I nagle, po długim okresie zapomnienia i upokarzającej bezczynności, Aplegatt stał się znowu potrzebny. Gościńce i leśne dukty znowu zadudniły od kopyt. Gońcy, jak za dawnych czasów, jęli znowu przemierzać kraj, niosąc wiadomości od grodu do grodu.

Aplegatt wiedział, dlaczego tak było. Widział wiele, a słyszał jeszcze więcej. Oczekiwano od niego, że treść przekazanej wiadomości natychmiast wymaże z pamięci, zapomni o niej, tak by nie móc sobie przypomnieć nawet na torturach. Ale Aplegatt pamiętał. I wiedział, dlaczego królowie nagle przestali się komunikować za pomocą magii i magików. Wiadomości, które przewozili gońcy, miały pozostać tajemnicą dla czarodziejów. Królowie nagle przestali ufać magikom, przestali powierzać im swe sekrety.

Co było powodem nagłego ochłodzenia się przyjaźni królów i czarodziejów, tego Aplegatt nie wiedział i nie obchodziło go to zbytnio.

Tak królowie, jak i magicy byli w jego opinii istotami niepojętymi, nieobliczalnymi w czynach – zwłaszcza gdy czasy robiły się trudne. A tego, że szły trudne czasy, nie sposób było nie zauważyć, przemierzając kraj od grodu do grodu, od zamku do zamku, od królestwa do królestwa.

Na drogach pełno było wojska. Co krok natykało się na kolumny piechoty lub jazdy, a każdy napotkany komendant był zdenerwowany, przejęty, opryskliwy i tak ważny, jakby los całego świata od niego jednego zawisł. Również grody i zamki pełne były zbrojnego ludu, dzień i noc trwała tam gorączkowa bieganina. Niewidoczni zwykle burgrabio wie i kasztelani teraz bez ustanku latali po murach i dziedzińcach źli niczym osy przed burzą, darli się, klęli, wydawali rozkazy, rozdawali kopniaki. Ku twierdzom i garnizonom dniem i nocą ciągnęły ociężałe kolumny wyładowanych wozów, mijając kolumny wracające, jadące szybko, leciutko i pusto. Pylły gościeńce pędzone wprost ze stadnin tabuny rozbrykanych trzylatków. Niezwyczajne ni wędzidła, ni zbrojnego jeźdźca koniki wesoło korzystały z ostatnich dni swobody, dostarczając koniuchom mnóstwo dodatkowego zajęcia, a innym użytkownikom dróg niemało kłopotów.

Krótko mówiąc, w upalnym, nieruchomym powietrzu wisiała wojna.

Aplegatt uniósł się w strzemionach, rozejrzał. W dole, u stóp wzgórza, błyskała rzeka, ostro meandrując wśród łąk i kęp drzew. Za rzeką, na południu, rozciągały się lasy. Goniec popędził konia. Czas naglił.

•

Był w drodze od dwóch dni. Rozkaz królewski i poczta dopadły go w Hagge, gdzie wypoczywał po powrocie z Tretogoru. Opuścił twierdzę nocą, galopując gościńcem wzdłuż lewego brzegu Pontaru, przekroczył granicę z Temerią przed świtem, a teraz, w południe następnego dnia, był już nad brzegiem Ismeny. Gdyby król Foltest był w Wyzimie, Aplegatt doręczyłby mu posłanie jeszcze tej nocy. Niestety, króla nie było w stolicy – przebywał na południu kraju, w Mariborze, oddalonym od Wyzimy o blisko dwieście mil. Aplegatt wiedział o tym, dlatego w okolicach Białego Mostu porzucił wiodący na zachód gościeńiec i pojechał lasami, w kierunku Ellander. Ryzykował nieco. W lasach ciągle grasowały Wiewiórki, biada temu, kto wpadł im w ręce lub nawinął się pod łuk. Ale goniec królewski musi ryzykować. Taka służba.

Sforsował rzekę bez trudu – od czerwca nie padało, woda w Ismenie opadła znacznie. Trzymając się skraju lasu, dotarł na szlak wiodący z Wyzimy na południowy wschód, w stronę krasnoludzkich hut, kuźni i osiedli w Masywie Mahakam. Szlakiem ciągnęły wozy, wyprzedzane często przez konne podjazdy. Aplegatt odetchnął z ulgą. Tam, gdzie było ludno, nie było Scoia'tael. Kampania przeciw walczącym z ludźmi elfom trwała w Temerii od roku, prześladowane po lasach wiewiórcze komanda podzieliły się na mniejsze grupki, a mniejsze grupki trzymały się z dala od uczęszczanych dróg i nie urządzały na nich zasadzek.

Przed wieczorem był już na zachodniej granicy księstwa Ellander, na rozstaju w okolicach wioski Zavada, skąd miał prostą i bezpieczną drogę do Mariboru – czterdzieści dwie mile bitym, uczęszczanym traktem. Na rozstaju była karczma. Postanowił dać odpocząć koniowi i sobie. Wiedział, że jeśli wyruszy o brzasku, to nawet bez specjalnego męczenia wierzchowca jeszcze przed zachodem słońca ujrzy srebrno-czarne proporce na czerwonych dachach wież mariborskiego zamku.

Rozkulbaczył klacz i sam ją oporządził, każąc pachołkowi iść precz. Był gońcem królewskim, a goniec królewski nikomu nie pozwalał dotykać swego konia. Zjadł solidną porcję jajecznicy z kielbasą i ćwiartkę pytlowego chleba, popił kwartą piwa. Posłuchał plotek. Różnorodnych. W karczmie popasali podróżni ze wszystkich stron świata.

W Dol Angra, dowiedział się Aplegatt, znowu doszło do incydentów, znowu oddział lyrijskiej kawalerii ściał się na granicy z nilfgaardzkim podjazdem, znowu Meve, królowa Lyrii, wielkim głosem oskarżyła Nilfgaard o prowokację i wezwała pomocy od króla Demawenda z Aedirn. W Tretogorze odbyła się publiczna egzekucja redańskiego barona, który potajemnie znosił się z emisariuszami nilfgaardzkiego cesarza Emhyra. W Kaedwen połączone w duży oddział komanda Scoia'tael dopuściły się rzezi w forcie Leyda. W rewanżu za tę masakrę ludność Ard Carraigh dokonała pogromu, mordując blisko cztery setki bytujących w stolicy niełudzi.

W Temerii, opowiedzieli kupcy jadący z południa, panują smutek i żaloba wśród cintryjskich emigrantów, zebranych pod sztandarami marszałka Vissegerda. Potwierdziła się bowiem straszna wieść o śmierci Lwiątko, księżniczki Cirilli, ostatniej z krwi królowej Calanthe, zwanej Lwicą z Cintry.

Opowiedziano trochę jeszcze straszniejszych, złowróżbnych plotek. Oto w kilku wsiach w okolicach Aldersbergu dojrano krowy zaczęły nagle strzykać z wymion krwią, a o świcie widziano we mgle Dziewicę Moru, zwiastunkę straszliwej zagłady. W Brugge, w okolicach Lasu Brokilon, zakazanego królestwa leśnych driad, pojawił się Dziki Gon, galopujący po niebiosach orszak widm, a Dziki Gon, jak powszechnie wiadomo, zawsze zapowiada wojnę. A z przylądka Bremervoord dostrzeżono widmowy statek, a na jego pokładzie upiorka – czarnego rycerza w hełmie ozdobionym skrzydłami drapieżnego ptaka...

Goniec nie przysłuchiwał się dłużej, był zbyt zmęczony. Poszedł do wspólnej izby noclegowej, zwałił się na barłóg i zasnął jak kłoda.

O brzasku wstał. Gdy wyszedł na podwórze, zdziwił się nieco – nie był pierwszym szykującym się do drogi, a to rzadko się zdarzało. Przy studni stał osiodłany kary ogier, a obok, przy korycie, myła ręce kobieta w męskim stroju. Słyszając kroki Aplegatta, kobieta odwróciła się, mokrymi dłońmi zebrała i odrzuciła do tyłu bujne czarne włosy. Goniec uklonił się. Kobieta lekko skinęła głową.

Wchodząc do stajni niemal zderzył się z drugim rannym ptaszkiem, którym była młoda dziewczyna w aksamitnym berecie, wywodząca właśnie na podwórze jabłkowitzką klacz. Dziewczyna tarła twarz i ziewała, opierając się o bok wierzchowca.

– Ojej – mruknęła, mijając gońca. – Usnę chyba na koniu... Usnę jak nic... Uaauaaua...

– Chłód cię orzeźwi, gdy rozkłusujesz kobyłkę – rzekł grzecznie Aplegatt, ściągając siodło z belki. – Szczęśliwej drogi, panienczko.

Dziewczyna odwróciła się i spojrzała na niego, jak gdyby dopiero teraz go zauważyła. Oczy miała wielkie i zielone jak szmaragdy. Aplegatt narzucił czaprak na konia.

– Szczęśliwej drogi życzyłem – powtórzył. Zwykle nie był wylewny ani rozmowny, ale teraz czuł potrzebę pogadania z bliźnim, nawet jeśli tym bliźnim była zwykła zaspana smarkula. Może sprawiły to długie dni samotności na szlaku, a może to, że smarkula trochę przypominała jego średnią córkę.

– Niech was bogowie ustrzegą – dodał – od wypadku i złej przygody. We dwie wy jeno i przy tym niewiasty... A czasy teraz niedobre. Wszędzie niebezpieczeństwo czyha na gościńcach...

Dziewczyna szerzej otworzyła zielone oczy. Goniec poczuł zimno na plecach, przeszył go dreszcz.

– Niebezpieczeństwo... – odezwała się nagle dziewczyna dziwnym, zmienionym głosem. – Niebezpieczeństwo jest ciche. Nie usłyszysz, gdy nadleci na szarych piórach. Miałam sen. Piasek... Piasek był gorący od słońca...

– Co? – Aplegatt zamarł z siodłem opartym o brzuch. – Co mówisz, panienczko? Jaki piasek?

Dziewczyna wzdrygnęła się silnie, przetarła twarz. Jabłkowita klacz potrząsnęła łbem.

– Ciri! – zawołała ostro czarnowłosa kobieta z podwórza, poprawiając popręg i juki karego ogiera. – Pospiesz się!

Dziewczyna ziewnęła, spojrzała na Aplegatta, zamrugnęła, sprawiając wrażenie zdziwionej jego obecnością w stajni. Goniec milczał.

– Ciri – powtórzyła kobieta. – Zasnął tam?

– Już idę, pani Yennefer!

Gdy Aplegatt okulbaczył wreszcie konia i wywiódł go na podwórze, po kobiecie i dziewczynie nie było już śladu. Kogut zapiał przeciągle i chrypliwie, rozszczękał się pies, wśród drzew odezwała się kukułka. Goniec wskoczył na siodło. Przypomniawszy sobie nagle zielone oczy zaspanej dziewczyny, jej dziwne słowa. Ciche niebezpieczeństwo? Szare pióra? Gorący piasek? Chyba niespełna rozumu była dziewczka, pomyślał. Sporo takich teraz się widuje, pomylnych dziewczek, ukrzywdzonych w wojenne dni przez maruderów albo innych hultajów... Tak, ani chybi pomyłona. A może jeno rozespana, wyrwana ze snu, nie dobudzona jeszcze? Dziw, jakie brednie nieraz ludzie plotą, gdy o świtanu wciąż jeszcze między snem a jawą się kołaczą...

Znowu przeszył go dreszcz, a między łopatkami odezwał się ból. Rozmasował plecy pięścią.

Gdy tylko znalazł się na mariborskim trakcie, wraził koniowi piętę w miękkie i poszedł w galop. Czas naglił.

•

W Mariborze goniec nie odpoczywał długo – nie minął dzień, a wiatr znowu świszczał mu w uszach. Nowy koń, szpakowaty żrebiec z mariborskiej stadniny, szedł ostro, wyciągając szyję i zamiatając

ogonem. Migwały przydrożne wierzby. Pierś Aplegatta ugniatała sakwa z pocztą dyplomatyczną. Rzyć bolała.

– Tfu, a żebyś kark skręcił, latawce zatracony! – wrzasnął mu w ślad woźnica, ściągając powody zaprzęgu, spłoszonego przemknięciem cwałującego szpaka. – Widzita go, jak to gna, jakby mu śmierć piętę lizała! A pędź, pędź, świszczypało, i tak przed kostuchą nie ucieczesz!

Aplegatt otarł oko, załzawione od pędu.

Wczorajszego dnia przekazał królowi Foltestowi listy, a potem wyrecytował tajne posłanie króla Demawenda.

– Demawend do Foltesta. W Dol Angra wszystko przygotowane. Przebierańcy czekają na rozkaz. Przewidywany termin: druga noc lipcowa po nowiu księżyca. Łodzie muszą wylądować na tamtym brzegu dwa dni później.

Nad gościńcem leciały stada wron, kracząc donośnie. Leciały na wschód, w kierunku Mahakamu i Dol Angra, w kierunku Vengerbergu. Jadąc, goniec powtarzał w pamięci słowa sekretnego poselstwa, które za jego pośrednictwem król Temerii słał królowi Aedirn.

Foltest do Demawenda. Pierwsze: Wstrzymajmy akcję. Mądrale zwołali zjazd, mają się spotkać i radzić na wyspie Thanedd. Ten zjazd może wiele zmienić. Drugie: poszukiwań Lwiątko można zaprzestać. Potwierdziło się. Lwiątko nie żyje.

Aplegatt dźgnął szpaka piętą. Czas naglił.

•

Wąska leśna droga była zatarasowana wozami. Aplegatt zwolnił, spokojnie podklusował do ostatniego z długiej kolumny wehikułów. Natychmiast zorientował się, że nie przepchnie się przez zator. O zawracaniu nie mogło być i mowy, byłaby to zbyt wielka strata czasu. Zapuszczanie się w bagnisty gąszcz celem objechania zatoru też niezbyt mu się uśmiechało, tym bardziej że zmierzchało już.

– Co tu się stało? – zapytał woźniców ostatniego pojazdu kolumny, dwóch staruszków, z których jeden zdawał się drzemać, a drugi nie żyć. – Napad? Wiewiórki? Gadajcie! Spieszę się...

Nim któryś ze staruszków zdążył odpowiedzieć, od niewidocznego wśród lasu czoła kolumny rozległy się krzyki. Woźnice w pośpiechu wskakiwali na wozy, smagali konie i woły przy wtórze wyszukanych przekleństw. Kolumna ociężale ruszyła z miejsca. Drzemiący staruszek

ocknął się, poruszył brodą, cmoknął na muły i strzelił je lejcami po zadach. Staruszek wyglądający na nieżywego ożył, odsunął słomiany kapelusz z oczu i popatrzył na Aplegatta.

– Patrzcie go – powiedział. – Spieszno mu. He, synku, poszczęściło ci się. W sam czas tu doskakałeś.

– Ano – poruszył brodą drugi staruszek i popędził muły. – W sam czas. Gdybyś tu w południe zajechał, stałbyś wraz z nami, czekał na wolny przejazd. Wszystkim nam pilno, ale czekać przyszło. Jak pojedziesz, gdy trakt zamknięty?

– Zamknięty był trakt? A to jaką modą?

– Srogi ludojad się tu objawił, synku. Na rycerza napadł, co samowtór z pacholkiem traktem jechał. Rycerzowi podobnież potwór głowę wraz z hełmem urwał, koniu kiszki wypuścił. Pacholek umknąć zdołał, bąjał, że zgroza jedna, że czerwony był pono gościniec od juchy...

– Co to było za monstrum? – spytał Aplegatt, wstrzymując konia, by móc kontynuować rozmowę z woźnicami wlokącego się wozu. – Smok?

– Nie, nie smok – powiedział drugi staruszek, ten w słomianym kapeluszu. – Powiadają, mandygora, czy jakoś tak. Pacholek gadał, że latająca bestyja, okrutnie wielga. A zawzięta! Myślelim, żeżre rycerza i odleci, ale gdzie tam! Siadła pono na drodze, kurwa jej mać, i siedzi, syczy, zębiskami łyska... No, to i zatkała szlak niczym korek flaszkę, bo kto podjechał i potworę zoczył, zostawiał wóz i chodu nazad. Ustawiło się tedy wozów na pół mili, a dookoła, jak sam baczysz, synku, gęstwa i mokradło, ani objechać, ani zawrócić. Stalim tedy...

– Tylu chłopa! – parsknął goniec. – A stali jak dudki! Było topory wziąć a dzidy i wyżenąć bestię z drogi albo ubić.

– Ano, paru próbowało – powiedział powożący staruszek, popędzając muły, bo kolumna ruszyła szybciej. – Trzech krasnoludów z kupieckiej straży, a z nimi czterej nowobrańcy, co do Carreras do twierdzy szli, do wojska. Krasnoludów bestyja okrutnie poharatała, a nowobrańcy...

– Czmychnęli – dokończył drugi staruszek, po czym soczyście i daleko splunął, niechybnie trafiając w wolną przestrzeń między zadami mułów.

– Czmychnęli, ledwo ową mandygorę zoczyli. Jeden pono w gacie się sfajdał. O, patrzaj, patrzaj, synku, to on! Tam!

– Co wy mi tu – zdenerwował się lekko Aplegatt – posrańca chcecie pokazywać? Nieciekawym...

– Nie to! Potwór! Ubity potwór! Wojacy na furę go kładą! Widzicie?

Aplegatt stanął w strzemionach. Pomimo zapadających ciemności i tłoczących się ciekawskich dostrzegł podnoszone przez żołnierzy ogromne płowe cielsko. Nietoperze skrzydła i skorpion ogon potwora wlokły się bezwładnie po ziemi. Krzyknawszy chóralnie, wojacy unieśli zewłok wyżej i zwalili na wóz. Zaprzężone do wozu konie, zaniepokojone widać smrodem krwi i ścierwa, zarżały, targnęły dyszlem.

– Nie stać! – wrzasnął na staruszków komenderujący żołnierzami dziesiątnik. – Dalej jechać! Nie tarasować przejazdu!

Dziadek popędził muły, wóz podskoczył na koleinach. Aplegatt szturchnął konia piętą, zrównał się.

– Wojacy, widno, bestię utłukli?

– Ale tam – zaprzeczył staruszek. – Wojacy, jak przyszli, jeno gęby na ludzi ozwierali, rugali. A to stój, a to nastąp się, a to to, a to sio. Do potwora im spieszno nie było. Posłali po wiedźmina.

– Po wiedźmina?

– Tak było – zapewnił drugi staruszek. – Któremuś się przypomniało, że we wsi wiedźmina widział, tedy posłali po niego. Przejeżdżał potem podle nas. Włos miał biały, gębę paskudną i srogi miecz na plecach. Nie minęła godzina, jak ktoś od przodka krzyknął, że zara będzie można jechać, bo wiedźmin bestyję ukatrupił. Tegdy ruszyliśmy nareszcie i akuratnieś ty się, synku, napatoczył.

– Ha – rzekł Aplegatt w zamyśleniu. – Tyle lat po drogach gonię, a jeszcze wiedźmina nie napotkałem. Widział kto, jak on tego potwora sprawiał?

– Ja widziałem! – zawołał chłopak ze zmierzwioną czupryną, podklusowując z drugiej strony wozu. Jechał na oklep, powodując chudą hreczkowatą szkapką za pomocą kantara. – Wszystko widziałem! Bo przy żołnierzach byłem, na samiuśkim przodku!

– Patrzcie go, smarka – powiedział powożący staruszek. – Mleko pod nosem, a jak się mądrzy. A batem chcesz?

– Niechajcie go, ojciec – wtrącił się Aplegatt. – Skoro rozstaje, tam na Carreras pojedę, a wcześniej chciałoby się wiedzieć, co było z tym wiedźminem. Gadaj, mały.

– A było tak – zaczął szybko chłopak, jadąc stępą obok zaprzęgu – że przybył ów wiedźmin do wojskowego komendanta. Rzekł, że zwie się Gerant. Komendant zasię na to, że jak się zwał, tak się zwał, lepiej niech

się do roboty weźmie. I pokazał, kędy potwór siedzi. Wiedźmin podeszedł bliżej, popatrzył krzynkę. Do potwora było ze staje albo i więcej nawet, ale on tylko z dala pojrzał i od razu mówi, że to jest mantikora wyjątkiem wielga i że ubije ją, jak mu dwieście koron zapłacą.

- Dwieście koron? - zachłysnął się drugi staruszek. - Co on, ze szczętem zdurniał?

- To samo pan komendant rzekli, ino że plugawiej nieco. A wiedźmin na to, że tyle to ma kosztować i że jemu zajędnio, niech potwór siedzi na drodze choćby do sądnego dnia. Komendant na to, że tyli grosza nie zapłaci, wolej mu poczekać, aż stwora sama odleci. Wiedźmin zasię na to, że stwora nie odleci, bo głodna jest i wściekła. A jeśli odleci, to wnet nazad powróci, bo to jej łowieckie tero... teret... teretor...

- A ty, smarku, nie bublij! - zezłościł się powożący staruszek, bez widocznego skutku próbując wysmarkać się w palce, w których jednocześnie trzymał lejce. - Jeno mów, jak było!

- Wždy mówię! Rzekł wiedźmin tak: nie odleci potwór, a będzie sobie całą noc rycerza ubitego jadł, powolutku, bo rycerz w zbroicy, wydłubać go trudno ze środka. Na to podeszli kupce i nuże wiedźmina ugadywać, tak i siak, że ściepkę zrobią i sto koron mu dadzą. A wiedźmin im na to, że bestia, pry, zowie się mantikora i bardzo jest nieprzezpieczna, tedy sto koron to se mogą wsadzić do rzyci, on karku nie nadstawi. Na to komendant rozsierzdził się i powiedział, że taka to już pieska i wiedźmińska dola karku nadstawiać i że wiedźmin rychtyk do tego jest, jako właśnie ona rzyć do srania. A kupce widać bojali się, że wiedźmin takōż rozsierzdzi się i precz ruszy, bo ugodzili się na sto pięćdziesiąt. I wiedźmin miecza dobył i gościńcem poszedł ku temu miejscu, gdzie potwora siedziała. A komendant znak od uroku w ślad za nim zrobił, na ziem popluł i rzekł, że takich odmieńców piekielnych nie wiedzieć czemu ziemia nosi. Jeden kupiec zasię na to, że jakby wojsko, miast po lasach za elfami ganiać, strasydła z dróg przepędzało, toby wiedźminów nie było trzeba i że...

- Nie pleć - przerwał staruszek - ino opowiadaj, coś widział.

- Jam - pochwalił się chłopak - wiedźmińskiego konia strzegł, kobyłki kasztanki ze strzałką białą.

- Z kobyłką pies tańcował! A jak wiedźmin potwora ubijał, widziałeś?

- Eee... - zająknął się chłopak. - Nie widziałem... Do tyłu mnie wypchli. Wszyscy w głos wrzeszczeli i konie się spłoszyły, tedy...

- Przecież mówił - rzekł pogardliwie dziadek - że gównu on widział, smark jeden.

- Alem widział wiedźmina, gdy wrócił! - zaperzył się chłopak. - A komendant, który na wszystko baczył, blady był całkiem na licu i rzekł po cichu do żołnierzy, że są to czary magiczne albo sztuczki elfie, że zwykły człowiek tak szybko mieczem robić nie zdoła... Wiedźmin zaś od kupców wziął pieniądze, kobyłki dosiadł i pojechał.

- Hmmm... - mruknął Aplegatt. - Którędy pojechał? Traktem ku Carreras? Jeśli tak, to go może dognam, choć mu się przyjrę...

- Nie - powiedział chłopak. - On z rozstaja w stronę Dorian ruszył. Spieszno mu było.

•

Wiedźminowi rzadko śniło się cokolwiek i nawet tych rzadkich snów nigdy nie pamiętał po przebudzeniu. Nawet wtedy, gdy były to koszmary - a zwykle były to koszmary.

Tym razem to też był koszmar, ale tym razem wiedźmin zapamiętał przynajmniej jego fragment. Ze skłębionego wiru jakichś niejasnych, ale niepokojących postaci, dziwnych, ale złowróżbnych scen i niezrozumiałych, ale budzących grozę słów i dźwięków wyłonił się nagle wyraźny i czysty obraz. Ciri. Inna od tej, którą pamiętał z Kaer Morhen. Jej popielate włosy, rozwiane w galopie, były dłuższe - takie, jakie nosiła wtedy, gdy spotkał ją po raz pierwszy, w Brokilonie. Gdy przejeżdżała obok niego, chciał krzyknąć, ale nie dobył głosu. Chciał pobiec za nią, ale miał wrażenie, że do połowy ud pogrążony jest w stygnącej smole. A Ciri zdawała się go nie widzieć, galopowała dalej, w noc, między pokraczne olchy i wierzby, jak żywe wymachujące konarami. A on zobaczył, że jest ścigana. Że w ślad za nią cwałuje kary koń, a na nim jeździec w czarnej zbroi, w hełmie udekorowanym skrzydłami drapieżnego ptaka.

Nie mógł się poruszyć, nie mógł krzyknąć. Mógł tylko patrzeć, jak skrzydlaty rycerz dogania Ciri, chwytając ją za włosy, ściąga z siodła i galopuje dalej, wlokąc ją za sobą. Mógł tylko patrzeć, jak twarz Ciri sinieje z bólu, a z jej ust rwie się bezgłośny krzyk. Obudzić się, rozkazał sobie, nie mogąc znieść kosmaru. Obudzić się! Obudzić się natychmiast!

Obudził się.

Długo leżał nieruchomo, rozpamiętując sen. Potem wstał. Wyciągnął spod poduszki sakiewkę, szybko przeliczył dziesięciokoronówki. Sto pięćdziesiąt za wczorajszą mantikorę. Pięćdziesiąt za mglaka, którego zabił na zlecenie wójta z wioski pod Carreras. I pięćdziesiąt za wilkołaka, którego wystawili mu osadnicy z Burdorffu.

Pięćdziesiąt za wilkołaka. Dużo, bo robota była łatwa. Wilkołak nie bronił się. Zagnany do jaskini, z której nie było wyjścia, uklęknął i czekał na cios miecza. Wiedźminowi było go żal.

Ale potrzebował pieniędzy.

Nie minęła godzina, a wędrował już ulicami miasta Dorian, szukając znajomego zaułka i znajomego szyldu.

•

Napis na szyldzie głosił: „Codringher i Fenn, konsultacje i usługi prawne”. Geralt jednak wiedział aż nadto dobrze, że to, co robili Codringher i Fenn, miało z reguły nad wyraz mało wspólnego z prawem, sami zaś partnerzy mieli mnóstwo powodów, by unikać jakiegokolwiek kontaktu zarówno z prawem, jak i z jego przedstawicielami. Wątpił też poważnie, by którykolwiek ze zjawiających się w kantorze klientów wiedział, co znaczy słowo „konsultacja”.

W dolnej kondygnacji budyneczku nie było wejścia – były tylko solidnie zaryglowane wrota, zapewne wiodące do wozowni lub stajni. Aby dostać się do drzwi wejściowych, trzeba było zapuścić się na tyły domu, wejść na błotniste, pełne kaczek i kur podwórko, stamtąd na schodki, potem zaś przejść wąską galeryjką i ciemnym korytarzykiem. Dopiero wówczas stawało się przed solidnymi, okutymi drzwiami z mahoniu, zaopatrzonymi w wielką mosiężną kołatkę w kształcie lwiej głowy.

Geralt zakolał, po czym cofnął się szybko. Wiedział, że zamontowany w drzwiach mechanizm może wystrzelić z ukrytych wśród okuć otworów długie na dwadzieścia cali żelazne szpikulce. Teoretycznie szpikulce strzelały z drzwi tylko wówczas, gdy ktoś próbował manipulować przy zamku, względnie gdy Codringher lub Fenn naciskali na urządzenie spustowe, ale Geralt wielokrotnie już przekonał się, że nie ma niezawodnych mechanizmów i że każdy z nich działa czasem nawet wtedy, gdy działać nie powinien. I odwrotnie.

W drzwiach było zapewne jakieś urządzenie identyfikujące gości, prawdopodobnie czarodziejskie. Po zakołataniu nigdy nikt z wewnątrz nie indagował ani nie żądał, by się opowiadać. Drzwi otwierały się i stawał w nich Codringher. Zawsze Codringher, nigdy Fenn.

– Witaj, Geralt – powiedział Codringher. – Wejdz. Nie musisz się tak płaszczyć do framugi, bo rozmontowałem zabezpieczenie. Parę dni temu coś się w nim zepsuło. Zadziałało ni z gruszki, ni z pietruszki i podziurawiło domokrażcę. Wchodź śmiało. Masz sprawę do mnie?

– Nie – wiedźmin wszedł do obszernego, mrocznego przedpokoju, w którym jak zwykle lekko śmierdziało kotem. – Nie do ciebie. Do Fenna.

Codringher zarechotał głośno, utwierdzając wiedźmina w podejrzeniu, że Fenn był postacią stuprocentowo mityczną, służącą do mydlenia oczu prewotom, bajlifom, poborcom podatków i innym nienawistnym Codringherowi osobom.

Weszli do kantoru, w którym było jaśniej, bo był to pokój szczytowy – solidnie zakratowane okna wychodziły na słońce przez większą część dnia. Geralt zajął krzesło przeznaczone dla klientów. Naprzeciw, za dębowym biurkiem, rozparł się w wyściełanym fotelu Codringher, każący tytułować się „adwokatem” człowiek, dla którego nie było rzeczy niemożliwych. Jeśli ktoś miał trudności, kłopoty, problemy – szedł do Codringhera. I wówczas ten ktoś szybko dostawał do ręki dowody nieuczciwości i małwersacji współnika w interesach. Otrzymywał kredyt bankowy bez zabezpieczeń i gwarancji. Jako jedyny z długiej listy wierzycieli egzekwował należności od firmy, która ogłaszała bankructwo. Otrzymywał spadek, choć bogaty wuj odgrażał się, że nie zapisze ni miedziaka. Wygrywał proces spadkowy, bo najzawziętsi nawet krewni niespodziewanie wycofywali roszczenia. Jego syn wychodził z lochu, oczyszczony z zarzutów na podstawie niezbitych dowodów albo zwolniony z braku takowych, bo jeśli dowody były, to znikwały tajemniczo, a świadkowie na wyprzódki odwoływali wcześniejsze zeznania. Nadskakujący córce łowca posagów nagle zwracał afekt ku innej. Kochanek żony lub uwodziciel córki w wyniku nieszczęśliwego wypadku doznawał skomplikowanego złamania trzech kończyn, w tym przynajmniej jednej górnej. A zapamiętały wróg lub inny nader niewygodny osobnik przestawał szkodzić – z reguły ginął po nim wszelki ślad i słuch. Tak, jeśli ktoś miał problemy, jechał do Dorian, biegł chyżo do firmy „Codringher i Fenn” i kołatał do mahoniowych

drzwi. W drzwiach stał „adwokat” Codrigher, niewysoki, szczupły i szpakowaty, o niezdrowej cerze człowieka rzadko przebywającego na świeżym powietrzu. Codrigher prowadził do kantoru, siadał w fotelu, brał na kolana dużego biało-czarnego kocura i głaskał go. Obaj – Codrigher i kocur – mierzyli klienta nieładnym, niepokojącym spojrzeniem żółtozielonkawych oczu.

– Otrzymałem twój list – Codrigher i kocur zmierzili wiedźmina żółtozielonymi spojrzeniami. – Odwiedził mnie także Jaskier. Przejeżdżał przez Dorian kilka tygodni temu. Opowiedział mi co nieco o twoich strapieniach. Ale powiedział bardzo mało. Za mało.

– Doprawdy? Zaskakujesz mnie. To byłby pierwszy znany mi przypadek, gdy Jaskier nie powiedział za dużo.

– Jaskier – Codrigher nie uśmiechnął się – niewiele powiedział, bo i wiedział niewiele. A powiedział mniej, niż wiedział, bo po prostu o niektórych sprawach zakazałeś mu gadać. Skąd u ciebie ten brak zaufania? I to względem kolegi w profesji?

Geralt zachnął się lekko. Codrigher byłby udał, że nie zauważył, ale nie mógł, bo kot zauważył. Rozwarłszy szeroko oczy, obnażył białe kielki i zasyczał niemal bezgłośnie.

– Nie drażnij mojego kota – powiedział adwokat, uspokajając zwierzątko głaskaniem. – Poruszyło cię nazwanie kolegą? Przecież to prawda. Ja też jestem wiedźminem. Ja też wybawiam ludzi od potworów i od potwornych kłopotów. I też robię to za pieniądze.

– Są pewne różnice – mruknął Geralt, wciąż pod nieprzyjaznym wzrokiem kocura.

– Są – zgodził się Codrigher. – Ty jesteś wiedźminem anachronicznym, a ja wiedźminem nowoczesnym, idącym z duchem czasu. Dlatego ty wkrótce będziesz bezrobotny, a ja będę prosperował. Strzyg, wiwern, endriag i wilkołaków wkrótce nie będzie już na świecie. A skurwysyny będą zawsze.

– Przecież ty wybawiasz od kłopotów właśnie głównie skurwysynów, Codrigher. Mających kłopoty biedaków nie stać na twoje usługi.

– Na twoje usługi biedaków nie stać również. Biedaków nigdy nie stać na nic, dlatego właśnie są biedakami.

– Niesłuchanie to logiczne. A odkrywcze, że aż dech zapiera.

– Prawda ma to do siebie, że zapiera. A właśnie prawdą jest, że bazą i ostoją naszych profesji jest skurwysynstwo. Z tym, że twoje jest już

prawie reliktem, a moje jest realne i rosnące w siłę.

– Dobra, dobra. Przejdźmy do rzeczy.

– Najwyższy czas – kiwnął głową Codringher, głaszcząc kota, który wyprężył się i zamruczał głośno, wbijając mu pazury w kolano. – I załatwiamy te rzeczy zgodnie z hierarchią ich ważności. Rzec pierwsza: moje honorarium, kolego wiedźminie, wynosi dwieście pięćdziesiąt novigradzkich koron. Dysponujesz taką kwotą? Czy też może zaliczasz się do mających kłopoty biedaków?

– Najpierw przekonajmy się, czy zapracowałeś na taką kwotę.

– Przekonywanie – powiedział zimno adwokat – ogranicz wyłącznie do własnej osoby i bardzo przyspiesz. Gdy zaś się już przekonasz, połóż pieniądze na stole. Wówczas przejdziemy do kolejnych, mniej ważnych rzeczy.

Geralt odwiązał od pasa mieszek i z brzękiem rzucił go na biurko. Kocur gwałtownym susem zeskoczył z kolan Codringhera i umknął. Adwokat schował trzos do szuflady, nie sprawdzając zawartości.

– Spłoszyłeś mojego kota – powiedział z nieudawanym wyrzutem.

– Przepraszam. Myślałem, że brzęk pieniędzy jest ostatnią rzeczą mogącą spłoszyć twojego kota. Mów, czego się dowiedziałeś.

– Ten Rience – zaczął Codringher – który tak cię interesuje, to dość tajemnicza postać. Udało mi się ustalić tylko to, że studiował dwa lata w szkole czarodziejów w Ban Ard. Wywalili go stamtąd, przyłapawszy na drobnych kradzieżach. Pod szkołą, jak zwykle, czekali werbownicy z kaedweńskiego wywiadu. Rience dał się zwerbować. Co robił dla wywiadu Kaedwen, nie udało mi się ustalić. Ale odrzuty ze szkoły czarodziejów zwykle szkoli się na morderców. Pasuje?

– Jak ułał. Mów dalej.

– Następna informacja pochodzi z Cintry. Pan Rience siedział tam w lochu. Za rządów królowej Calanthe.

– Za co siedział?

– Wyobraź to sobie, że za długi. Kiblował krótko, bo ktoś go wykupił, spłacając te długi wraz z procentami. Transakcja odbyła się za pośrednictwem banku, z zastrzeżeniem anonimowości dobroczyńcy. Próbowałem wysledzić, od kogo pochodziły pieniądze, ale dałem za wygraną po czterech kolejnych bankach. Ten, kto wykupił Rience'a, był profesjonalem. I bardzo zależało mu na anonimowości.

Codringher zamilkł, zakasłał ciężko, przykładając chustkę do ust.

– I nagle, tuż po zakończeniu wojny, pan Rience pojawił się w Sodden, w Angrenie i w Brugge – podjął po chwili, ocierając wargi i patrząc na chustkę. – Odmieniony nie do poznania, przynajmniej jeśli chodzi o zachowanie i ilość gotówki, jaką dysponował i jaką szastał. Bo jeżeli chodzi o miano, to bezczelny sukinsyn nie wysiłał się – nadal używał imienia Rience. I jako Rience zaczął prowadzić intensywne poszukiwania pewnej osoby, czy raczej osóbki. Odwiedził druidów z angreńskiego Kręgu, tych, którzy opiekowali się wojennymi sierotami. Ciało jednego z druidów odnaleziono po jakimś czasie w pobliskim lesie, zmasakrowane, noszące ślady tortur. Potem Rience pojawił się na Zarzeczu...

– Wiem – przerwał Geralt. – Wiem, co zrobił z chłopską rodziną z Zarzecza. Za dwieście pięćdziesiąt koron liczyłem na więcej. Jak do tej pory, nowością była dla mnie jedynie informacja o szkole czarodziejów i o kaedweńskim wywiadzie. Resztę znam. Wiem, że Rience to bezwzględny morderca. Wiem, że to arogancki łobuz, nie wysilający się nawet na przybieranie fałszywych imion. Wiem, że pracuje na czyjeś zlecenie. Na czyje, Codrigher?

– Na zlecenie jakiegoś czarodzieja. To czarodziej wykupił go wtedy z lochu. Sam mnie informowałeś, a Jaskier to potwierdził, że Rience używa magii. Prawdziwej magii, nie sztuczek, które mógłby znać żak wylany z akademii. Ktoś go zatem wspiera, wyposaża w amulety, prawdopodobnie potajemnie szkoli. Niektórzy z oficjalnie praktykujących magików mają takich sekretnych uczniów i totumfackich do załatwiania nielegalnych lub brudnych spraw. W żargonie czarodziejów coś takiego określa się jako działanie ze smyczy.

– Działając z czarodziejskiej smyczy, Rience korzystałby z magii kamuflującej. A on nie zmienia ani imienia, ani aparycji. Nie pozbył się nawet odbarwienia skóry po poparzeniu przez Yennefer.

– Właśnie to potwierdza, że działa ze smyczy – Codrigher zakasłał, otarł wargi chustką. – Bo czarodziejski kamuflaż to żaden kamuflaż, tylko dyletanci używają czegoś takiego. Gdyby Rience ukrywał się pod magiczną zasłoną lub iluzoryczną maską, natychmiast sygnalizowałby to każdy magiczny alarm, a takie alarmy są w tej chwili praktycznie w każdej bramie grodowej. A czarodzieje wyczuwają iluzoryczne maski bezbłędnie. W największym skupisku ludzi, w największej ciżbie Rience zwróciłby na siebie uwagę każdego czarodzieja, jak gdyby z uszu walił

mu płomień, a z rzyci kłęby dymu. Powtarzam: Rience działa na zlecenie czarodzieja i działa tak, by nie ściągać na siebie uwagi innych czarodziejów.

- Niektórzy mają go za nilfgaardzkiego szpiega.

- Wiem o tym. Uważa tak na przykład Dijkstra, szef wywiadu Redanii. Dijkstra myli się rzadko, można więc przyjąć, że i tym razem ma rację. Ale jedno nie wyklucza drugiego. Totumfacki czarodzieja może być jednocześnie nilfgaardzkim szpiegiem.

- Co oznaczałoby, że jakiś oficjalnie praktykujący czarodziej szpieguje dla Nilfgaardu za pośrednictwem tajnego totumfackiego.

- Bzdura - Codringher zakasłał, z uwagą obejrzał chustkę. - Czarodziej miałby szpiegować dla Nilfgaardu? Z jakich powodów? Dla pieniędzy? Śmieszne. Licząc na wielką władzę pod rządami zwycięskiego cesarza Emhyra? Jeszcze śmieszniejsze. Nie jest tajemnicą, że Emhyr var Emreis trzyma podległych mu czarodziejów krótko. Czarodzieje w Nilfgaardzie traktowani są równie funkcjonalnie jak, dajmy na to, stajenni. I mają nie więcej władzy niż stajenni. Czy którykolwiek z naszych rozwydrzonych magików zdecydowałby się walczyć o zwycięstwo cesarza, przy którym byłby stajennym? Filippa Eilhart, która dyktuje Vizimirowi Redańskiemu królewskie orędzia i edykty? Sabrina Glevissig, która przerywa przemowy Henselta z Kaedwen, waląc pięścią w stół i nakazując, by król się zamknął i słuchał? Vilgefortz z Roggeveen, który niedawno odpowiedział Demawendowi z Aedirn, że chwilowo nie ma dla niego czasu?

- Krócej, Codringher. Jak to więc jest z Rience'em?

- Zwyczajnie. Nilfgaardzki wywiad próbuje dotrzeć do czarodzieja, wciągając do współpracy totumfackiego. Z tego, co wiem, Rience nie pogardziłby nilfgaardzkim florenem i zdradził swego mistrza bez wahania.

- Teraz to ty opowiadasz bzdury. Nawet nasi rozwydrzeni magicy z miejsca zorientowaliby się, że są zdradzani, a rozszyfrowany Rience zadyndałby na szubienicy. Jeśli miałby szczęście.

- Dziecko z ciebie, Geralt. Rozszyfrowanych szpiegów nie wiesza się, lecz wykorzystuje. Faszkuje dezinformacją, próbuje przerobić na podwójnych agentów...

- Nie nudź dziecka, Codringher. Nie interesują mnie kulisy pracy wywiadu ani polityka. Rience depcze mi po piętach, chcę wiedzieć,

dlaczego i na czyje zlecenie. Wychodzi na to, że na zlecenie jakiegoś czarodzieja. Kto jest tym czarodziejem?

- Jeszcze nie wiem. Ale wkrótce będę to wiedział.

- Wkrótce - wycedził wiedźmin - to dla mnie za późno.

- Wcale tego nie wykluczam - powiedział poważnie Codrigher. - Wpakowałeś się w paskudną kabałę, Geralt. Dobrze, że zwróciłeś się do mnie, ja umiem wyciągać z kabał. W zasadzie już cię wyciągnąłem.

- Doprawdy?

- Doprawdy - adwokat przyłożył chustkę do ust i zakasłał. - Bo widzisz, kolego, oprócz czarodzieja, a może i Nilfgaardu, w rozgrywce jest też trzecia partia. Odwiedzili mnie, wystaw sobie, agenci tajnych służb króla Foltesta. Mieli kłopot. Król rozkazał im poszukiwać pewnej zaginionej księżniczki. Gdy okazało się, że to nie takie proste, agenci postanowili wciągnąć do współpracy specjalistę od nieprostych spraw. Naświetlając problem, zasugerowali specjaliście, że sporo o poszukiwanej księżniczce może wiedzieć pewien wiedźmin. Ba, może nawet wiedzieć, gdzie ona jest.

- A co uczynił specjalista?

- Początkowo dał wyraz zdziwieniu. Zdziwiło go mianowicie, że wzmiankowanego wiedźmina nie wsadzono do lochu, by tam tradycyjnym sposobem dowiedzieć się wszystkiego, co wie, a nawet sporo tego, czego nie wie, ale zmyśli, by zadowolić pytających. Agenci odrzekli, że ich szef zabronił im tego. Wiedźmini, wyjaśnili agenci, mają tak wrażliwy system nerwowy, że pod wpływem tortur natychmiast umierają, albowiem, jak się obrazowo wyrazili, żyłka im w mózgu pęka. W związku z tym polecono im wiedźmina tropić, ale to zadanie również okazało się niełatwe. Specjalista pochwalił agentów za rozsądek i nakazał im zgłosić się za dwa tygodnie.

- Zgłosili się?

- A jakże. A wówczas specjalista, który już uważał cię za klienta, przedstawił agentom niezbite dowody na to, że wiedźmin Geralt nie miał, nie ma i nie mógł mieć niczego wspólnego z poszukiwaną księżniczką. Specjalista znalazł bowiem naocznych świadków śmierci księżniczki Cirilli, wnuczki królowej Calanthe, córki królowny Pavetty. Cirilla zmarła trzy lata temu w obozie dla uchodźców w Angrenie. Na dyfteryt. Dziecko przed śmiercią cierpiało strasznie. Nie uwierzysz, ale

temerscy agenci mieli łzy w oczach, gdy słuchali relacji moich naocznych świadków.

- Ja też mam łzy w oczach. Temerscy agenci, jak tuszę, nie mogli lub nie chcieli zaoferować ci więcej niż dwieście pięćdziesiąt koron?

- Twój sarkazm rani moje serce, wiedźminie. Wyciągnąłem cię z kabały, a ty, miast dziękować, ranisz moje serce.

- Dziękuję i przepraszam. Dlaczego król Foltest rozkazał agentom poszukiwać Ciri, Codringher? Co im rozkazano uczynić, gdy ją odnajdą?

- Aleś ty niedomyślny. Zabić ją, rzecz jasna. Uznano ją za pretendentkę do tronu Cintry, a są wobec tego tronu inne plany.

- To się kupy nie trzyma, Codringher. Tron Cintry spłonął razem z królewskim pałacem, miastem i całym krajem. Teraz rządzi tam Nilfgaard. Foltest dobrze o tym wie, inni królowie też. W jaki sposób Ciri może pretendować do tronu, którego nie ma?

- Chodź - Codringher wstał. - Spróbujemy wspólnie znaleźć odpowiedź na to pytanie. Przy okazji dam ci dowód zaufania... Co cię tak interesuje w tym portrecie, można wiedzieć?

- To, że jest podziurawiony, jakby dzięcioł dziobał go kilka sezonów - powiedział Geralt, patrząc na wizerunek w złożonych ramach, wiszący na ścianie naprzeciw biurka adwokata. - I to, że przedstawia wyjątkowego idiotę.

- To mój nieboszczyk ojciec - Codringher skrzywił się lekko. - Wyjątkowy idiota. Powiesiłem tu portret, by zawsze mieć go przed oczami. W charakterze przestrogi. Chodź, wiedźminie.

Wyszli do przedpokoju. Kocur, który leżał na środku dywanu i zapamiętale lizał wyciągniętą pod dziwnym kątem tylną łapkę, na widok wiedźmina umknął natychmiast w ciemność korytarza.

- Dlaczego koty cię tak nie lubią, Geralt? Czy to ma coś wspólnego z...

- Tak - uciał. - Ma.

Mahoniowy panel boazerii usunął się bezszelestnie, odsłaniając sekretne przejście. Codringher poszedł pierwszy. Panel, niewątpliwie uruchamiany magicznie, zamknął się za nimi, ale nie pogrążył ich w ciemności. Z głębi tajnego korytarza docierało światło.

W pomieszczeniu na końcu korytarza było zimno i sucho, a w powietrzu unosił się ciężki, duszący zapach kurzu i świec.

- Poznasz mojego współpracownika, Geralt.

- Fenna? - uśmiechnął się wiedźmin. - Nie może być.

- Może. Przyznaj się, podejrzewałeś, że Fenn nie istnieje?
- Skądże.

Spomiędzy sięgających niskiego sklepienia regałów i półek z książkami rozległo się skrzypienie, a po chwili wyjechał stamtąd dziwny wehikuł. Był to wysoki fotel zaopatrzony w koła. Na fotelu siedział karzeł o ogromnej głowie, osadzonej - z pominięciem szyi - na nieproporcjonalnie wąskich ramionach. Karzeł nie miał obu nóg.

- Poznajcie się - powiedział Codrigher. - Jakub Fenn, uczony legista, mój wspólnik i nieoceniony współpracownik. A to nasz gość i klient...

- Wiedźmin Geralt z Rivii - dokończył z uśmiechem kaleka. - Domyśliłem się bez zbytniego trudu. Pracuję nad zagadnieniem od kilku miesięcy. Pozwólcie za mną, panowie.

Ruszyli za poskrzypującym fotelem w labirynt między regałami uginającymi się pod ciężarem tomów, których nie powstydziliby się uniwersytecka biblioteka w Oxenfurcie. Inkunabuły, jak ocenił Geralt, musiały być gromadzone przez kilka pokoleń Codrigherów i Fennów. Był rad z okazanego dowodu zaufania, cieszył się, mogąc wreszcie poznać Fenna. Nie wątpił jednak, że postać, choć stuprocentowo realna, po części była też mityczna. Mitycznego Fenna, niezawodnie alter ego Codrighera, często widywano w terenie, a przykuty do fotela uczony legista prawdopodobnie nigdy nie opuszczał budynku.

Środek pomieszczenia był szczególnie dobrze oświetlony, stał tu niski, dostępny z fotela na kółkach pulpit, na którym piętrzyły się książki, zwoje pergaminu i welinu, papierzyska, butle inkaustu i tuszu, pęki piór i tysiączne zagadkowe utensylia. Nie wszystkie były zagadkowe. Geralt rozpoznał formy do fałszowania pieczęci i diamentową tarkę do usuwania zapisów z urzędowych dokumentów. Na środku pulpitu leżał mały kulowy arbalet repetier, a obok wyzierały spod aksamitnej tkaniny wielkie szkła powiększające, sporządzone ze szlifowanego kryształu górskiego. Takie szkła były rzadkością i kosztowały majątek.

- Znalazłeś coś nowego, Fenn?
- Niewiele - kaleka uśmiechnął się. Uśmiech miał miły i bardzo ujmujący. - Zawęziłem listę potencjalnych mocodawców Rience'a do dwudziestu ośmiu czarodziejów...
- To na razie zostawmy - przerwał prędko Codrigher. - Na razie interesuje nas coś innego. Wyjaśnij Geraltowi powody, dla których

zaginiona księżniczka Cintry jest obiektem szeroko zakrojonych poszukiwań agentów Czterech Królestw.

- Dziewczyna ma w żyłach krew królowej Calanthe - powiedział Fenn, jakby zaskoczony koniecznością wyjaśniania tak oczywistych spraw. - Jest ostatnią z królewskiej linii. Cintra ma spore znaczenie strategiczne i polityczne. Zaginiona, pozostająca poza strefą wpływów pretendentka do korony jest niewygodna, a może być groźna, jeśli dostanie się pod niewłaściwe wpływy. Na przykład wpływy Nilfgaardu.

- O ile pamiętam - rzekł Geralt - w Cintrze prawo wyłącza kobiety z sukcesji.

- To prawda - potwierdził Fenn i znowu się uśmiechnął. - Ale kobieta zawsze może zostać czyjąś żoną i matką potomka płci męskiej. Służby wywiadowcze Czterech Królestw dowiedziały się o wszczętych przez Rience'a gorączkowych poszukiwaniach księżniczki i były przekonane, że o to właśnie chodziło. Postanowiono więc uniemożliwić księżniczce zostanie żoną i matką. Prostym, ale skutecznym sposobem.

- Ale księżniczka nie żyje - rzekł szybko Codrigher, obserwując zmiany, jakie na twarzy Geralta wywołały słowa uśmiechniętego króla. - Agenci dowiedzieli się o tym i zaprzestali poszukiwań.

- Na razie zaprzestali - wiedźmin z niemałym trudem zdobył się na spokój i chłodny ton. - Fałsz ma to do siebie, że wychodzi na jaw. Poza tym królewscy agenci to tylko jedna z partii biorących udział w tej grze. Agenci, sami to powiedzieliście, tropili Ciri, by pokrzyżować plany innym tropicielom. Ci inni mogą być mniej podatni na dezinformację. Wynająłem was, byście znaleźli sposób na zapewnienie dziecku bezpieczeństwa. Co proponujecie?

- Mamy pewną koncepcję - Fenn rzucił okiem na współnika, ale nie znalazł na jego twarzy rozkazu milczenia. - Chcemy dyskretnie, ale szeroko rozpowszechnić opinię, że nie tylko księżniczka Cirilla, ale nawet jej ewentualni męscy potomkowie nie mają żadnych praw do tronu Cintry.

- W Cintrze kądziel nie dziedziczy - wyjaśnił Codrigher, walcząc z kolejnym atakiem kaszlu. - Dziedziczy wyłącznie miecz.

- Dokładnie tak - potwierdził uczony legista. - Geralt przed chwilą sam to powiedział. To prastare prawo, nawet tej diablicy Calanthe nie udało się go unieważnić, a starała się.

- Próbowwała obalić to prawo intrygą - rzekł z przekonaniem Codrigher, wycierając wargi chustką. - Nielegalną intrygą. Wyjaśnij, Fenn.

- Calanthe była jedyną córką króla Dagorada i królowej Adalii. Po śmierci rodziców przeciwstawiła się arystokracji, widzącej w niej wyłącznie żonę dla nowego króla. Chciała panować niepodzielnie, co najwyżej dla formy i podtrzymania dynastii zgadzała się na instytucję księcia małżonka, zasiadającego przy niej, ale znaczącego tyle, co październikowa kukła. Stare rody oparły się temu. Calanthe miała do wyboru wojnę domową, abdykację na rzecz innej linii lub małżeństwo z Roegnerem, księciem Ebbing. Wybrała to trzecie rozwiązanie. Rządziła krajem, ale u boku Roegniera. Rzecz jasna, nie dała się ujarzmić ani wypchnąć do babinca. Była Lwicą z Cintry. Ale panował Roegner, choć nikt nie tytułował go Lwem.

- A Calanthe - dodał Codrigher - gwałtownie usiłowała zająć w ciąży i urodzić syna. Nic z tego nie wyszło. Urodziła córkę Pavettę, potem dwukrotnie poroniła i stało się jasne, że nie będzie miała więcej dzieci. Wszystkie plany wzięły w łeb. Ot, babska dola. Wielkie ambicje przekreśla zrujnowana macica.

Geralt skrzywił się.

- Jesteś obrzydliwie trywialny, Codrigher.

- Wiem. Prawda też była trywialna. Bo Roegner zaczął się rozglądać za młodą królewną o odpowiednio szerokich biodrach, najlepiej z rodu o potwierdzonej płodności aż do praprababki wstecz. A Calanthe zaczął grunt umykać spod nóg. Każdy posiłek, każdy kielich wina mógł zawierać śmierć, każde polowanie mogło się skończyć nieszczęśliwym wypadkiem. Wiele świadczy o tym, że Lwica z Cintry przejęła wówczas inicjatywę. Roegner zmarł. W kraju szalała wówczas ospa i zgon króla nikogo nie zdziwił.

- Zaczynam rozumieć - rzekł wiedźmin, pozornie beznamietnie - na czym opierać się będą wieści, które zamierzacie dyskretnie, acz szeroko rozpuścić. Ciri zostanie wnuczką trucicielki i mężobójczyni?

- Nie uprzedzaj faktów, Geralt. Mów dalej, Fenn.

- Calanthe - uśmiechnął się karzeł - uratowała życie, ale korona była coraz dalej. Gdy po śmierci Roegniera Lwica sięgnęła po władzę absolutną, arystokracja ponownie twardo oparła się łamaniu praw i tradycji. Na tronie Cintry miał zasiadać król, nie królowa. Postawiono

sprawę jasno: gdy tylko mała Pavetta zacznie choć trochę przypominać kobietę, należy ją wydać za mąż za kogoś, kto zostanie nowym królem. Powtórne małżeństwo bezpłodnej królowej nie wchodziło w grę. Lwica z Cintry zrozumiała, że może liczyć co najwyżej na rolę królowej matki. Na domiar złego mężem Pavetty mógł zostać ktoś, kto by totalnie odsunął teściową od rządów.

– Będę znowu trywialny – ostrzegł Codrigher. – Calanthe zwlekała z wydaniem Pavetty za mąż. Zniszczyła pierwszy projekt mariażu, gdy dziewczyna miała dziesięć lat, i drugi, gdy miała trzynaście. Arystokracja przejrzała plany i zażądała, by piętnaste urodziny Pavetty były jej ostatnimi panieńskimi urodzinami. Calanthe musiała wyrazić zgodę. Ale wcześniej osiągnęła to, na co liczyła. Pavetta za długo pozostawała panną. Zaczęło ją wreszcie świerzbic tak, że puściła się z pierwszym z brzegu przybłądą, do tego zaklętym w potwora. Były w tym jakieś okoliczności nadprzyrodzone, jakieś przepowiednie, czary, obietnice... Jakieś Prawa Niespodzianki? Prawda, Geralt? Co stało się potem, pamiętasz zapewne. Calanthe ściągnęła do Cintry wiedźmina, a wiedźmin narozrabiał. Nie wiedząc, że jest sterowany, zdjął kłutwę z potwornego Jeża, umożliwiając mu mariaż z Pavettą. Tym samym wiedźmin ułatwił Calanthe utrzymanie tronu. Związek Pavetty z odczarowanym potworem był dla wielmożów tak wielkim szokiem, że zaakceptowali nagle małżeństwo Lwicy z Eistem Tuirseach. Jarl z Wysp Skellige wydał im się jednak lepszy niż przybłąda Jeż. W ten sposób Calanthe nadal rządziła krajem. Eist, jak wszyscy wyspiarze, obdarzał Lwicę z Cintry zbyt wielkim szacunkiem, by się jej w czymkolwiek przeciwstawiać, a królowanie nudziło go po prostu. Całkowicie oddał rządy w jej ręce. A Calanthe, faszując się medykamentami i eliksirami, włókła małżonka do łóża w dzień i w nocy. Chciała rządzić aż do końca swych dni. A jeśli jako królowa matka, to matka własnego syna. Ale, jak już mówiłem, ambicje duże, ale...

– Już mówiłeś. Nie powtarzaj się.

– Natomiast królowna Pavetta, żona dziwnego Jeża, już w czasie ślubnej ceremonii miała na sobie podejrzenie luźną suknię. Zrezygnowana Calanthe zmieniła plany. Jeśli nie jej syn, pomyślała, to niech to będzie syn Pavetty. Ale Pavetta urodziła córkę. Przekleństwo czy jak? Królowna mogła jednak jeszcze rodzić. To znaczy mogłaby. Bo

zdarzył się zagadkowy wypadek. Ona i ów dziwaczny Jeż zginęli w nie wyjaśnionej katastrofie morskiej.

– Czy ty nie za dużo sugerujesz, Codrigher?

– Staram się wyjaśnić sytuację, nic więcej. Po śmierci Pavetty Calanthe załamała się, ale na krótko. Jej ostatnią nadzieją była wnuczka. Córka Pavetty, Cirilla. Ciri, szalejący po królewskim burgu wcielony diabełek. Dla niektórych oczko w głowie, zwłaszcza dla starszych, bo tak przypominała Calanthe, gdy ta była dzieckiem. Dla innych... odmieniec, córka potwornego Jeża, do której rościł sobie nadto prawa jakiś wiedźmin. I teraz dochodzimy do sedna sprawy: pupilka Calanthe, ewidentnie szykowana na następczynię, traktowana wręcz jak drugie wcielenie, Lwiątko z krwi Lwicy, już wówczas uważana była przez niektórych za wykluczoną z praw do tronu. Cirilla była źle urodzona. Pavetta popełniła mezalians. Zmieszała królewską krew z pośledniejszą krwią przybłądy o nieznanym pochodzeniu.

– Chytrze, Codrigher. Ale to nie tak. Ojciec Ciri wcale nie był pośledniejszy. Był królewiczem.

– Co ty powiesz? O tym nie wiedziałem. Z jakiego królestwa?

– Z któregoś na południu... Z Maecht... Tak, właśnie z Maecht.

– Interesujące – mruknął Codrigher. – Maecht od dawna jest nilfgaardzką marchią. Wchodzi w skład Prowincji Metinna.

– Ale jest królestwem – wtrącił Fenn. – Panuje tam król.

– Panuje tam Emhyr var Emreis – uciął Codrigher. – Ktokolwiek siedzi tam na tronie, siedzi z łaski i decyzji Emhyra. Ale jeśli już przy tym jesteśmy, to sprawdź, kogo Emhyr tam uczynił królem. Ja nie pamiętam.

– Już szukam – kaleka popchnął koła swego fotela, skrzypiąc odjechał w kierunku regału, ściągnął z niego gruby rulon zwojów i zaczął je przeglądać, rzucając przejrzone na podłogę. – Hmmm... Już mam. Królestwo Maecht. W herbie srebrne ryby i korony naprzemiennie w polu błękitno-czerwonym czterodzielnym...

– Pluń na heraldykę, Fenn. Król, kto jest tam królem?

– Hoët zwany Sprawiedliwym. Wybrany w drodze elekcji...

– ...przez Emhyra z Nilfgaardu – domyślił się zimno Codrigher.

– ...dziewięć lat temu.

– Nie ten – policzył prędko adwokat. – Ten nas nie interesuje. Kto był przed nim?

– Chwileczkę. Mam. Akerspaark. Zmarł...

- Zmarł na ostre zapalenie płuc, przebitych sztyletem przez siepaczy Emhyra albo tego Sprawiedliwego - Codringher znowu popisał się domyslnością. - Geralt, czy rzeczony Akerspaark budzi u ciebie jakieś skojarzenia? Czy to mógłby być tatunio tego Jeża?

- Tak - potwierdził wiedźmin po chwili namysłu. - Akerspaark. Pamiętam, Duny tak nazwał swego ojca.

- Duny?

- Takie nosił imię. Był królewiczem, synem tego Akerspaarka...

- Nie - przerwał Fenn, zapatrzonego w zwoje. - Tu są wszyscy wymienieni. Legalni synowie: Orm, Gorm, Torm, Horm i Gonzalez. Legalne córki: Alia, Valia, Nina, Paulina, Malvina i Argentina...

- Odwołuję oszczerstwa rzucone na Nilfgaard i na Sprawiedliwego Hoëta - oświadczył poważnie Codringher. - Ten Akerspaark nie został zamordowany. On zwyczajnie zachędził się na śmierć. Bo pewnie miał i bękartów, co, Fenn?

- Miał. Sporo. Ale żadnego o imieniu Duny tutaj nie widzę.

- I nie liczyłem, że zobaczysz. Geralt, twój Jeż nie był żadnym królewiczem. Nawet jeśli rzeczywiście spłodził go gdzieś na boku ten jebur Akerspaark, od praw do takiego tytułu dzieliła go, oprócz Nilfgaardu, cholernie długa kolejka legalnych Ormów, Gormów i innych Gonzalezów, z własną, zapewne liczną progeniturą. Z formalnego punktu widzenia Pavetta popełniła mezalians.

- A Ciri, dziecko mezaliansu, nie ma praw do tronu?

- Brawo.

Fenn przyskrzypiał do pulpitu, popychając koła fotela.

- To jest argument - powiedział, zadzierając wielką głowę. - Wyłącznie argument. Nie zapominaj, Geralt, my nie walczymy ani o koronę dla księżniczki Cirilli, ani o pozbawienie jej korony. Z rozpuszczonej plotki ma wynikać, że nie można dziewczyny wykorzystać do sięgnięcia po Cintrę. Że jeśli ktoś taką próbę podejmie, łatwo będzie można ją podważyć, zakwestionować. Dziewczyna w grze politycznej przestanie być figurą, będzie mało ważnym pionkiem. A wówczas...

- Pozwolą jej żyć - dokończył beznamietnie Codringher.

- Od strony formalnej - spytał Geralt - jak mocny jest ten wasz argument?

Fenn spojrzał na Codringhera, potem na wiedźminia.

- Niezbyt mocny - przyznał. - Cirilla to ciągle krew Calanthe, choć nieco rozcieńczona. W normalnych warunkach może i odsunięto by ją od tronu, ale warunki nie są normalne. Krew Lwicy ma znaczenie polityczne...

- Krew... - Geralt potarł czoło. - Co to znaczy Dziecko Starszej Krwi, Codringher?

- Nie rozumiem. Czy ktoś, mówiąc o Cirilli, używał takiego miana?

- Tak.

- Kto?

- Nieważne kto. Co to znaczy?

- Luned aep Hen Ichaer - powiedział nagle Fenn, odjeżdżając od pulpitu. - Dosłownie to nie byłoby Dziecko, ale Córką Starszej Krwi. Hmmm... Starsza Krew... Spotkałem się z tym określeniem. Nie pamiętam dokładnie... Chyba chodzi o jakieś elfie przepowiednie. W niektórych wersjach tekstu wróżby Itliny, tych starszych, są, jak mi się zdaje, wzmianki o Starszej Krwi Elfów, czyli Aen Hen Ichaer. Ale my tu nie mamy pełnego tekstu tej wróżby. Trzeba by zwrócić się do elfów...

- Zostawmy to - przerwał zimno Codringher. - Nie za wiele zagadnień naraz, Fenn, nie za wiele srok za ogon, nie za wiele przepowiedni i tajemnic. Dziękujemy ci na razie. Bywaj, owocnej pracy. Geralt, pozwól. Wróćmy do kantoru.

- Za mało, prawda? - upewnił się wiedźmin, gdy tylko wrócili i zasiedli w fotelach, adwokat za biurkiem, on naprzeciw. - Za niskie honorarium, tak?

Codringher podniósł z blatu biurka metalowy przedmiot w kształcie gwiazdy i kilkakrotnie obrócił go w palcach.

- Za niskie, Geralt. Kopanie w elfich przepowiedniach to dla mnie diabelne obciążenie, strata czasu i środków. Konieczność szukania dojść do elfów, bo oprócz nich nikt nie jest w stanie pojąć ich zapisów. Elfie manuskrypty to w większości przypadków jakaś pokrętna symbolika, akrostychy, czasami wręcz szyfry. Starsza Mowa jest zawsze co najmniej dwuznaczna, a zapisana może mieć i dziesięć znaczeń. Elfy nigdy nie były skłonne pomagać komuś, kto chciał rozgryzać ich przepowiednie. A w dzisiejszych czasach, gdy po lasach trwa krwawa wojna z Wiewiórkami, gdy dochodzi do pogromów, niebezpiecznie jest zbliżać się do nich. Podwójnie niebezpiecznie. Elfy mogą wziąć za prowokatora, ludzie mogą oskarżyć o zdradę...

- Ile, Codringher?

Adwokat milczał przez chwilę, bezustannie bawiąc się metalową gwiazdą.

- Dziesięć procent – powiedział wreszcie.

- Dziesięć procent od czego?

- Nie drwij ze mnie, wiedźminie. Sprawa robi się poważna. Zaczyna być coraz mniej jasne, o co tu chodzi, a gdy nie wiadomo, o co chodzi, to z pewnością chodzi o pieniądze. Milszy mi tedy procent niż zwykłe honorarium. Dasz mi dziesięć procent od tego, co sam będziesz z tego miał, pomniejszone o już zapłaconą sumę. Spisujemy umowę?

- Nie. Nie chcę cię narażać na straty. Dziesięć procent od zera daje zero, Codringher. Ja, mój drogi kolego, nie będę nic z tego miał.

- Powtarzam, nie drwij ze mnie. Nie wierzę, żebyś nie działał dla zysku. Nie wierzę, żeby nie kryły się za tym...

- Mało mnie obchodzi, w co wierzysz. Nie będzie żadnej umowy. I żadnych procentów. Określ wysokość honorarium za zebranie informacji.

- Każdego innego – zakasłał Codringher – wyrzuciłbym za drzwi, pewnym będąc, że próbuje mnie wykiwać. Ale do ciebie, anachroniczny wiedźminie, dziwnie jakoś pasuje szlachetna i naiwna bezinteresowność. To w twoim stylu, to wspaniale i patetycznie staromodne... dać się zabić za darmo...

- Nie traćmy czasu. Ile, Codringher?

- Drugie tyle. Razem pięćset.

- Żałuję – Geralt pokręcił głową – ale nie stać mnie na taką sumę. Przynajmniej nie w tej chwili.

- Ponawiam propozycję, którą już ci kiedyś złożyłem, na początku naszej znajomości – powiedział wolno adwokat, wciąż bawiąc się gwiazdą. – Przyjmij pracę u mnie, a będzie cię stać. Na informacje i na inne luksusy.

- Nie, Codringher.

- Dlaczego?

- Nie zrozumiesz.

- Tym razem ranisz nie moje serce, lecz dumę zawodową. Bo pochlebiam sobie, mniemając, że z reguły wszystko rozumiem. U podstaw naszych zawodów leży skurwysyństwo, ale ty jednak ciągle wolisz anachroniczne od nowoczesnego.

Wiedźmin uśmiechnął się.

– Brawo.

Codringher znowu zaniósł się kaszlem, otarł wargi, spojrzał na chustkę, potem podniósł żółtozielone oczy.

– Zapuściłeś żurawia w listę magiczek i magików, która leżała na pulpicie? W spis potencjalnych mocodawców Rience’a?

– Zapuściłem.

– Nie dam ci tej listy, dopóki nie sprawdzę dokładnie. Nie sugeruj się tym, co podpatrzyłeś. Jaskier powiedział mi, że Filippa Eilhart prawdopodobnie wie, kto stoi za Rience’em, ale tobie poskapiła tej wiedzy. Filippa nie ochraniałaby byle pętaka. Za tym draniem stoi więc jakaś ważna figura.

Wiedźmin milczał.

– Strzeż się, Geralt. Jesteś w poważnym niebezpieczeństwie. Ktoś prowadzi z tobą grę. Ktoś dokładnie przewiduje twoje ruchy, ktoś nimi wręcz kieruje. Nie daj się ponieść arogancji i zadufaniu. Ten, kto z tobą igrza, to nie strzyga i nie wilkołak. To nie bracia Micheletowie. To nawet nie Rience. Dziecko Starszej Krwi, cholera. Jakby mało było tronu Cintry, czarodziejów, królów i Nilfgaardu, jeszcze na dodatek elfy. Przerwij tę grę, wiedźminie, wyłącz się z niej. Pokrzyżuj plany, robiąc to, czego nikt się nie spodziewa. Zerwij ten szalony związek, nie pozwól, by kojarzono cię z Cirillą. Zostaw ją Yennefer, a sam wracaj do Kaer Morhen i nie wystawiaj stamtąd nosa. Zaszyj się w górach, a ja poszperam w elfich manuskryptach, spokojnie, bez pośpiechu, dokładnie. A gdy już będę miał informacje o Dziecku Starszej Krwi, gdy będę znał imię zaangażowanego w to czarodzieja, ty zdążysz zebrać pieniądze i dokonamy wymiany.

– Ja nie mogę czekać. Dziewczyna jest w niebezpieczeństwie.

– To prawda. Ale jest mi wiadome, że ciebie uważa się za przeszkodę na drodze do niej. Za przeszkodę, którą należy bezwzględnie usunąć. W związku z tym to ty jesteś w niebezpieczeństwie. Wezmą się za dziewczynę dopiero wtedy, gdy wykończą ciebie.

– Lub wtedy, gdy przerwę grę, usunę się i zaszyję w Kaer Morhen. Za dużo ci zapłaciłem, Codringher, byś udzielał mi takich rad.

Adwokat obrócił w palcach stalową gwiazdę.

– Za kwotę, którą dziś mi zapłaciłeś, działam aktywnie już od jakiegoś czasu, wiedźminie – powiedział, powstrzymując kaszel. – Rada, której ci

udzielam, jest przemyślana. Zaszyj się w Kaer Morhen, zniknij. A wówczas ci, którzy szukają Cirilli, dostaną ją.

Geralt zmrużył oczy i uśmiechnął się. Codringher nie zbladł.

- Ja wiem, co mówię - podjął, wytrzymując spojrzenie i uśmiech. - Prześladowcy twojej Ciri znajdą ją i zrobią z nią, co zechcą. A tymczasem i ona, i ty będziecie bezpieczni.

- Wyjaśnij, proszę. W miarę szybko.

- Znalazłem pewną dziewczynę. Szlachciankę z Cintry, sierotę wojenną. Przeszła przez obozy dla uchodźców, aktualnie mierzy łokciem i kroi tkaniny, przygarnięta przez sukiennika z Brugge. Nie wyróżnia się niczym szczególnym. Prócz jednego. Jest dość podobna do wizerunku z pewnej miniatury przedstawiającej Lwiątko z Cintry... Chcesz zobaczyć jej portrecik?

- Nie, Codringher. Nie chcę. I nie zgadzam się na takie rozwiązanie.

- Geralt - adwokat przymknął powieki - co tobą kieruje? Jeśli chcesz ocalić tę twoją Ciri... Wydaje mi się, że nie stać cię teraz na luksus pogardy. Nie, źle się wyraziłem. Nie stać cię na luksus pogardzania pogardą. Nadchodzi czas pogardy, kolego wiedźminie, czas wielkiej, bezbrzeżnej pogardy. Musisz się dopasować. To, co ci proponuję, to prosta alternatywa. Ktoś umrze, żeby żyć mógł ktoś. Ktoś, kogo kochasz, ocaleje. Umrze inna dziewczynka, której nie znasz, której nigdy nie widziałeś...

- Którą mogę pogardzać? - przerwał wiedźmin. - Mam za to, co kocham, zapłacić pogardą dla samego siebie? Nie, Codringher. Zostaw tamto dziecko w spokoju, niech nadal mierzy sukno łokciem. Jej portrecik zniszcz. Spal. A za moje dwieście pięćdziesiąt ciężko zarobionych koron, które wrzuciłeś do szuflady, daj mi coś innego. Informację. Yennefer i Ciri opuściły Ellander. Jestem pewien, że o tym wiesz. Jestem pewien, że wiesz, dokąd zmierzają. Jestem pewien, że wiesz, czy ktoś podąża ich tropem.

Codringher pobębnił palcami po stole, zakasłał.

- Wilk, niepomny na przestrogi, chce polować nadal - stwierdził. - Nie widzi, że to na niego polują, że lezie prosto między fladry zastawione przez prawdziwego łowcę.

- Nie bądź banalny. Bądź konkretny.

- Skoro sobie życzysz. Nietrudno się domyślić, że Yennefer jedzie na zjazd czarodziejów, zwołany na początek lipca do Garstangu na wyspie

Thanedd. Sprytnie kluczy i nie posługuje się magią, trudno więc ją namierzyć. Tydzień temu była w jeszcze w Ellander, obliczyłem, że za trzy, cztery dni dotrze do miasta Gors Velen, z którego na Thanedd jeden krok. Jadąc do Gors Velen, musi przejechać przez osadę Anchor. Wyruszając natychmiast, masz szansę przechwycić tych, którzy jadą za nią. Bo jadą za nią.

– Mam nadzieję – Geralt uśmiechnął się paskudnie – że to nie jacyś królewscy agenci?

– Nie – powiedział adwokat, patrząc na metalową gwiazdę, którą się bawił. – To nie agenci. Ale też nie jest to Rience, który jest mądrzejszy od ciebie, bo po drace z Micheletami utaił się w jakiejś dziurze i nie wysuwa stamtąd nosa. Za Yennefer jedzie trzech najemnych zbirów.

– Domniemywam, że ich znasz?

– Ja wszystkich znam. I dlatego coś ci zaproponuję: zostaw ich w spokoju. Nie jedź do Anchor. A ja wykorzystam posiadane znajomości i koneksje. Spróbuję podkupić zbirów i odwrócić kontrakt. Innymi słowy, napuszczę ich na Rience’a. Jeśli się uda...

Urwał nagle, zamachnął się silnie. Stalowa gwiazda zawyla w locie i z hukiem wyrznęła w portret, prosto w czoło Codringhera seniora, dziurawiąc płótno i wbijając się w ścianę prawie do połowy.

– Dobrze, co? – uśmiechnął się szeroko adwokat. – To się nazywa orion. Zamorski wynalazek. Ćwiczę od miesiąca, trafiam już bez pudła. Może się przydać. Na trzydzieści stóp ta gwiazdeczka jest niezawodna i zabójcza, a ukryć ją można w rękawicy lub za wstążką kapelusza. Od roku oriony są na wyposażeniu nilfgaardzkich służb specjalnych. Ha, ha, jeśli Rience szpieguje dla Nilfgaardu, to będzie zabawne, gdy znajdą go z orionem w skroni... Co ty na to?

– Nic. To twoja sprawa. Dwieście pięćdziesiąt koron leży w twojej szufladzie.

– Jasne – kiwnął głową Codringher. – Traktuję twoje słowa jako daną mi wolną rękę. Pomilczmy chwilę, Geralt. Uczcijmy rychłą śmierć pana Rience’a minutą milczenia. Dlaczego się krzywisz, u diabła? Nie masz szacunku dla majestatu śmierci?

– Mam. Zbyt duży, by spokojnie słuchać drwiących z niej idiotów. Czy ty myślałeś kiedyś o własnej śmierci, Codringher?

Adwokat zakasłał ciężko, długo patrzył na chustkę, którą zasłaniał usta. Potem podniósł oczy.

– Owszem – powiedział cicho. – Myślałem. I to intensywnie. Ale nic ci do moich myśli, wiedźminie. Pojedziesz do Anchor?

– Pojadę.

– Ralf Blunden, zwany Profesorem. Heimo Kantor. Krótki Yaxa. Mówią ci coś te imiona?

– Nie.

– Wszyscy trzej są nieźli na miecze. Lepszy od Micheletów. Sugerowałbym więc pewniejszą, dalekosiężną broń. Na przykład te nilfgaardzkie gwiazdki. Chcesz, sprzedam ci kilka sztuk. Mam tego dużo.

– Nie kupię. To niepraktyczne. Hałasuje w locie.

– Gwizd działa psychologicznie. Potrafi sparaliżować ofiarę strachem.

– Możliwe. Ale może i ostrzec. Ja zdążyłbym się przed tym uchylić.

– Gdybyś widział, jak w ciebie rzucają, owszem. Wiem, że potrafisz uchylić się przed strzałą albo bełtem... Ale z tyłu...

– Z tyłu też.

– Gówno prawda.

– Założmy się – powiedział zimno Geralt. – Ja odwrócę się twarzą do podobizny twego taty idioty, a ty rzuć we mnie tym orionem. Trafisz mnie, wygrasz. Nie trafisz, przegrasz. Jeśli przegrasz, rozszyfrujesz elfie manuskrypty. Zdobędziesz informacje o Dziecku Starszej Krwi. Pilnie. I na kredyt.

– A jeśli wygram?

– Również zdobędziesz te informacje i udostępnisz je Yennefer. Ona zapłaci. Nie będziesz pokrzywdzony.

Codringher otworzył szufladę i wyciągnął drugi orion.

– Liczysz na to, że nie przyjmę zakładu – stwierdził, nie zapytał.

– Nie – uśmiechnął się wiedźmin. – Jestem pewien, że go przyjmiesz.

– Ryzykant z ciebie. Zapomniałeś? Ja nie mieszkam skrupułów.

– Nie zapomniałem. Nadchodzi jednak czas pogardy, a ty idziesz z postępem i duchem czasu. Ale ja wziąłem sobie do serca zarzuty anachronicznej naiwności i tym razem zaryzykuję nie bez nadziei na zysk. Jakże więc? Zakład stoi?

– Stoi – Codringher ujął stalową gwiazdę za jedno z ramion i wstał. – Ciekawość zawsze brała u mnie górę nad rozsądkiem, nie wspominając o bezzasadnym miłosierdziu. Odwróć się.

Wiedźmin odwrócił się. Spojrzał na gęsto podziurawione oblicze na portrecie i na utkwiony w nim orion. A potem zamknął oczy.

Gwiazda zawyla i huknęła w ścianę cztery cale od ramy portretu.

- Jasna cholera! - wrzasnął Codringher. - Nawet nie drgnąłeś, ty sukinsynu!

Geralt odwrócił się i uśmiechnął. Niezwykle paskudnie.

- A po co miałem drgać? Słyszałem, że rzucasz tak, by nie trafić.

•

W zajeździe było pusto. W kącie, na ławie, siedziała młoda kobieta z podkrążonymi oczami. Odwrócona wstydliwie bokiem, karmiła piersią dziecko. Barczysty chłop, może mąż, drzemał obok, oparty plecami o ścianę. W cieniu za piecem siedział jeszcze ktoś, kogo Aplegatt nie widział wyraźnie w mroku izby.

Gospodarz podniósł głowę, zobaczył Aplegatta, dostrzegł jego ubiór i blachę z herbem Aedirn na piersi, momentalnie spochmurniał. Aplegatt był przyzwyczajony do takich powitań. Był gońcem królewskim, przysługiwało mu bezwzględne prawo podwody. Królewskie dekrety były wyraźne - goniec miał prawo w każdym mieście, w każdej wsi, w każdym zajeździe i w każdym obejściu zażądać świeżego konia - i biada takiemu, który by odmówił. Rzecz jasna, goniec zostawiał własnego wierzchowca, a nowego brał za pokwitowaniem - właściciel mógł zwrócić się do starosty i otrzymać rekompensatę. Ale różnie z tym bywało. Dlatego na gońca patrzono zawsze z niechęcią i obawą - zażąda czy nie zażąda? Zabierze na zatracenie naszego Złotka? Naszą wykarmioną od żrebaka Kraskę? Naszego wypieszczanego Wronka? Aplegatt widywał już rozsłochane dzieciaki, uczone siodłanego, wyprowadzanego ze stajni ulubieńca i towarzysza zabaw, niejedną raz patrzył w twarze dorosłych, poblądłe w poczuciu niesprawiedliwości i bezsily.

- Świeżego konia mi nie trza - powiedział szorstko. Zdawało mu się, że gospodarz odetchnął z ulgą.

- Zjem jeno, bom zgłodniał na szlaku - dodał goniec. - Jest co w garnku?

- Polewki nieco zostało, wraz podam, siednijcie. Zanoćujecie? Zmierzcha już.

Aplegatt zastanowił się. Przed dwoma dniami spotkał się z Hansomem, znajomym gońcem, i zgodnie z rozkazem wymienił poselstwa. Hansom przejął listy i posłanie dla króla Demawenda,

pocwalał przez Temerię i Mahakam do Vengerbergu. Aplegatt zaś, przejąwszy pocztę dla króla Vizimira z Redanii, pojechał w kierunku Oxenfurtu i Tretogoru. Miał do przebycia ponad trzysta mil.

- Zjem i pojadę – zdecydował. – Miesiąc w pełni, a gościniec równy.
- Wasza wola.

Zupa, którą mu podano, była cienka i bez smaku, ale goniec nie zważał na takie drobiazgi. Smakował w domu, żoniną kuchnię, na szlaku jadł, co się trafiło. Siorbał wolno, niezgrabnie dzierżąc łyżkę w palcach zgrabiały od trzymania wodzy.

Kot, drzemiący na przypiecku, uniósł nagle głowę, zasyczał.

- Goniec królewski?

Aplegatt drgnął. Pytanie zadał ten siedzący w cieniu, z którego teraz wyszedł, stając obok gońca. Miał włosy białe jak mleko, ściągnięte na czole skórzaną opaską, czarną kurtkę nabijaną srebrnymi ćwiekami i wysokie buty. Nad prawym ramieniem połyskiwała mu kulista głowica przerzuconego przez plecy miecza.

- Dokąd droga prowadzi?

- Dokąd królewska wola pogna – odrzekł zimno Aplegatt. Nigdy nie odpowiadał inaczej na podobne pytania.

Białowłosy milczał czas jakiś, patrząc na gońca badawczo. Miał nienaturalnie bladą twarz i dziwne ciemne oczy.

- Królewska wola – powiedział wreszcie nieprzyjemnym, lekko chrapliwym głosem – zapewne każe ci się spieszyć? Zapewne pilno ci w drogę?

- A wam co do tego? Kim to jesteście, by mnie popędzać?

- Jestem nikim – białowłosy uśmiechnął się paskudnie. – I nie popędzam cię. Ale na twoim miejscu odjechałbym stąd jak najszybciej. Nie chciałbym, by stało ci się coś złego.

Na takie stwierdzenia Aplegatt również miał wypraktykowaną odpowiedź. Krótką i węzłowatą. Niezaczepną i spokojną – ale dobitnie przypominającą, komu służy goniec królewski i co grozi temu, kto odważyłby się tknąć gońca. Ale w głosie białowłosego było coś, co powstrzymało Aplegatta przed udzieleniem zwykłej odpowiedzi.

- Muszę dać wytchnąć koniowi, panie. Godzinę, może dwie.

- Rozumiem – kiwnął głową białowłosy, po czym uniósł głowę, zdając się nadśluchiwać dobiegających z zewnątrz odgłosów. Aplegatt również nadstawił ucha, ale słyszał tylko świerszcze.

– Odpoczywaj więc – powiedział białowłosy, poprawiając pas miecza, skośnie przecinający pierś. – Ale nie wychodź na podwórze. Cokolwiek by się działo, nie wychodź.

Aplegatt powstrzymał się od pytań. Instynktownie czuł, że tak będzie lepiej. Pochylił się nad miską i wznowił łowienie nielicznych pływających w zupie skwarek. Gdy podniósł głowę, białowłosego nie było już w izbie.

Po chwili na podwórzu zarżał koń, zastukały kopyta.

Do zajazdu weszło trzech mężczyzn. Na ich widok karczmarz zaczął szybciej wycierać kufel. Kobieta z niemowlęciem bliżej przysunęła się do drzemiącego męża, zbudziła go szturchańcem. Aplegatt nieznacznie przyciągnął ku sobie zydeł, na którym leżały jego pas i kord.

Mężczyźni podeszli do szynkwasu, bystrymi spojrzeniami obrzucając i taksując gości. Szli wolno, pobrzękując ostrogami i bronią.

– Powitać waszmościów – karczmarz odchrząknął i odkaslnął. – Czymże służyć mogę?

– Gorzałką – powiedział jeden, niski i krępy, z długimi jak u małej rękami, uzbrojony w dwie zerrikańskie szable, wiszące na krzyż na plecach. – Łykniesz, Profesor?

– Pozytywnie chętnie – zgodził się drugi mężczyzna, poprawiając osadzone na haczykowatym nosie okulary ze szlifowanych, niebieskawo zabarwionych kryształów, oprawnych w złoto. – Byleby trunek nie był fałszowany żadnymi ingrediencjami.

Karczmarz nalał. Aplegatt zauważył, że ręce trzęsły mu się lekko. Mężczyźni oparli się plecami o szynkwasa, bez pośpiechu pociągali z glinianych czareczek.

– Mości gospodarzu – odezwał się nagle ten w okularach. – Suponuję, że przejeżdżały tędy niedawno dwie damy, zmierzające intensywnie w kierunku Gors Velen?

– Tędy różni jeżdżą – bąknął gospodarz.

– Inkryminowanych dam – rzekł wolno okularnik – nie mógłbyś nie zauważyć. Jedna z nich jest czarnowłosa i ekstraordynaryjnie urodziwa. Dosiada wronego żrebca. Druga, młodsza, jasnowłosa i zielonooka, wojażuje na jabłkowitej klaczce. Były tu?

– Nie – uprzedził karczmarza Aplegatt, czując nagle zimno na plecach. – Nie było.

Szaropióre niebezpieczeństwo. Gorący piasek...

– Goniec?

Aplegatt kiwnął głową.

– Skąd i dokąd?

– Skąd i dokąd królewska dola pogna.

– Niewiast, o które indagowałem, na trakcie akcydentalnie nie napotkałeś?

– Nie.

– Coś szybko zaprzeczasz – warknął trzeci mężczyzna, wysoki i chudy niby tyka. Włosy miał czarne i błyszczące, jakby wysmarowane tłuszczem. – A nie zda mi się, byś pamięć wyteżał nadto.

– Zostaw, Heimo – machnął ręką okularnik. – To goniec. Nie czyni subiekcji. Jakiego miano nosi ta stacja, gospodarzu?

– Anchor.

– Do Gors Velen jaki dystans?

– Hę?

– Ile mil?

– Jam mil nie mierzył. Ale będzie ze trzy dni jazdy...

– Konno?

– Koleśno.

– Hej – zawołał nagle półgłosem ten krępy, prostując się i wyglądając na podwórze przez szeroko otwarte drzwi. – Rzuć no okiem, Profesor. Co to za jeden? Czy to aby nie...

Okularnik też wyjrzał na podwórze, a twarz skurczyła mu się nagle.

– Tak – syknął. – To pozytywnie on. Poszcęściło się nam jednakowoż.

– Poczekamy, aż wejdzie?

– On nie wejdzie. Widział nasze konie.

– Wie, że my...

– Zamilknij, Yaxa. On coś mówi.

– Macie wybór – rozległ się z podwórza lekko chrapliwy, ale donośny głos, który Aplegatt rozpoznał natychmiast. – Jeden z was wyjdzie i powie mi, kto was najał. Wtedy odjedziecie stąd bez kłopotów. Albo wyjdziecie wszyscy trzej. Czekam.

– Sukinsyn... – warknął czarnowłosy. – Wie. Co robimy?

Okularnik wolnym ruchem odstawił czarkę na szynkwias.

– To, za co nam zapłacono.

Popluł na dłoń, poruszył palcami i dobył miecza. Na ten widok dwaj pozostali również obnażyli klingi. Gospodarz rozwarł usta do krzyku, ale

zamknął je prędko pod zimnym spojrzeniem sponad niebieskich okularów.

– Siedzieć tu wszyscy – syknął okularnik. – I ani mru-mru. Heimo, gdy się zacznie, postaraj się zająć go od tyłu. No, chłopcy, z fartem. Wychodzimy.

Zaczął się natychmiast, gdy wyszli. Stęknienia, tupot nóg, szczęk brzeszczotów. A potem krzyk. Taki, od którego włosy stają dęba.

Gospodarz zbieleł na twarzy, kobieta z podkrążonymi oczami krzyknęła głucho, oburącz przyciskając ośeska do piersi. Kot na zapiecku skoczył na równe nogi, wygiął grzbiet, ogon zjeżył mu się jak szczotka. Aplegatt szybko wsunął się z krzesłem w ką. Kord miał na kolanach, ale nie dobywał go z pochwy.

Z podwórza znowu łomot nóg o deski, świst i szczęk kling.

– Ach, ty... – krzyknął ktoś dziko, a w krzyku tym, choć zakończonym plugawym wyzwiskiem, było więcej rozpaczy niż wściekłości. – Ty...

Świst klingi. I natychmiast po tym wysoki, przeszywający wrzask, zdający się drzeć powietrze na strzepy. Łomot, jakby na deski runął ciężki worek ziarna. Od koniowiązu stuk kopyt, rzenie przerażonych koni.

Na deskach znowu łomot, ciężkie, szybkie kroki biegnącego. Kobieta z ośeskiem przytuliła się do męża, gospodarz wparł plecy w ścianę. Aplegatt dobył korda, nadal kryjąc broń pod blatem stołu. Biegnący człowiek zmierzał wprost do zajazdu, było jasne, że za moment stanie w drzwiach. Ale nim stanął w drzwiach, syknęła klinga.

Człowiek wrzasnął, a zaraz po tym wtoczył się do środka. Wydawało się, że padnie na próg, ale nie padł. Postąpił kilka chwiejnych, spowolnionych kroków i dopiero wówczas ciężko runął na środek izby, wzbijając kurz nagromadzony w szparach podłogi. Upadł na twarz, bezwładnie, przygniatając ręce i kurcząc nogi w kolanach. Kryształowe okulary ze stukiem upadły na deski, stłukły się w niebieską kaszę. Spod nieruchomego już ciała jęła wyrastać ciemna, połyskliwa kałuża.

Nikt się nie poruszył. Ani nie krzyknął.

Do izby wszedł białowłosy.

Miecz, który trzymał w ręku, zręcznie wsunął do pochwy na plecach. Zbliżył się do kontuaru, nawet spojrzeniem nie zaszczycając leżącego na podłodze trupa. Gospodarz skurczył się.

– Niedobrzy ludzie... – powiedział chrapliwie białowłosy. – Niedobrzy ludzie umarli. Gdy przyjedzie bajlif, może się okazać, że była nagroda za ich głowy. Niech z nią zrobi, co uważa za stosowne.

Gospodarz skwapliwie pokiwał głową.

– Może się też zdarzyć – podjął po chwili białowłosy – że o los tych niedobrych ludzi zapytają ich kamraci albo druhowie. Tym rzeknij, że pokąsał ich Wilk. Biały Wilk. I dodaj, żeby często oglądali się za siebie. Pewnego dnia obejrzą się i zobaczą Wilka.

•

Gdy po trzech dniach Aplegatt dotarł do bram Tretogoru, było już dobrze po północy. Wściekł się, bo zmitrężył nad fosą i zdarł sobie gardło – strażnicy spali bezbożnie i ociągali się z otwarciem wrót. Ulżył sobie i skłął ich sumiennie, do suchej nitki i do trzeciego pokolenia wstecz. Później z przyjemnością przysłuchiwał się, jak zbudzony dowódca warty o całkiem nowe szczegóły uzupełnia zarzuty, które on postawił matkom, babkom i prababkom knechtów. Oczywiście o dostaniu się nocą do króla Vizimira nie mógł nawet marzyć. Było mu to zresztą po myśli – liczył, że wyśpi się do jutrzni, do porannego dzwonu. Był w błędzie. Miast wskazać mu miejsce do odpoczynku, bez zwłoki zaprowadzono go do kordegardy. W izbie nie czekał na niego grododzierżca, ale ten drugi, wielgachny i gruby. Aplegatt znał go – był to Dijkstra, zaufany króla Redanii. Dijkstra – goniec wiedział o tym – był uprawniony do wysłuchania wiadomości przeznaczonej wyłącznie dla uszu króla. Aplegatt wręczył mu listy.

– Ustne posłanie masz?

– Mam, panie.

– Gadaj.

– Demawend do Vizimira – wyrecytował Aplegatt, przymykając oczy.

– Pierwsze: przebierańcy gotowi na drugą noc po lipcowym nowiu. Dopilnuj, żeby Foltest nie skrewił. Drugie: zjazdu Mądrali na Thanedd własną obecnością nie zaszczycę i tobie to samo radzę. Trzecie: Lwiątko nie żyje.

Dijkstra skrzywił się lekko, pobębnił palcami po stole.

– Tutaj masz listy dla króla Demawenda. A posłanie ustne... Nadstaw dobrze uszu i wyteż pamięć. Powtórzysz twemu królowi słowo w słowo. Tylko jemu, nikomu innemu. Nikomu, pojmujesz?

– Pojmuję, panie.

– Wiadomość jest taka: Vizimir do Demawenda. Przebierańców koniecznie wstrzymać. Ktoś zdradził. Płomień zgromadził armię w Dol Angra i tylko czeka na pretekst. Powtórz.

Aplegatt powtórzył.

– Dobrze – kiwnął głową Dijkstra. – Wyruszysz, gdy tylko słońce wszędzie.

– Od pięciu dni jestem na trakcie, wielmożny panie – goniec potarł zadek. – Przespać by się choć do przedpołudnia... Zezwolicie?

– Czy twój król, Demawend, sypia teraz w nocy? Czy ja sypiam? Za samo takie pytanie powinienś wziąć w pysk, chłopie. Jeść ci dadzą, potem rozprostuj nieco kości na sianie. A przed słońkiem wyruszysz. Kazałem, by ci dali rasowego ogierka, zobaczysz, niesie niby wicher. I nie krzyw gęby. Naści jeszcze sakieweczkę z ekstra premią, żebyś nie gadał, że z Vizimira skapirałło.

– Dzięki, panie.

– Gdy będziesz w lasach nad Pontarem, uważaj. Widziano tam Wiewiórki. A i zwykłych zbójów nie brakuje w tamtych okolicach.

– O, wiem to, panie. O, com ja widział trzy dni temu nazad...

– Coś widział?

Aplegatt szybko zrelacjonował wydarzenia w Anchor. Dijkstra słuchał, krzyżując potężne przedramiona na piersi.

– Profesor... – powiedział w zamyśleniu. – Heimo Kantor i Krótki Yaxa. Zakatrupieni przez wiedźmina. W Anchor, na trakcie wiodącym do Gors Velen, czyli na Thanedd, do Garstangu... A Lwiątko nie żyje?

– Co mówicie, panie?

– Nieważne – Dijkstra uniósł głowę. – Przynajmniej dla ciebie. Wypoczywaj. A o brzasku w drogę.

Aplegatt zjadł, co mu przyniesiono, poleżał trochę, ze zmęczenia nie zmrużywszy oka, przed świtem był już za bramą. Ogierek był rzeczywiście chyży, ale narowisty. Aplegatt nie lubił takich koni.

Na plecach, między lewą łopatką a kręgosłupem coś swędziało nieznośnie, ani chybi pchła ucięła go, gdy drzemał w stajni. A nijak było się podrapać.

Ogierek zatańczył, zarżał. Goniec dał mu ostrogą i poszedł w galop. Czas naglił.

•

- *Gar'ean* - syknął Cairbre, wychylając się zza gałęzi drzewa, z którego obserwował gościniec. - *En Dh'oine aen evall a stráede!*

Toruviel zerwała się z ziemi, chwytając i przypasując miecz, czubkiem buta szturchnęła w udo Yaevinna, który drzemał obok, oparty o ścianę wykrotu. Elf zerwał się, syknął, sparzony przez gorący piasek, o który oparł dłoń.

- *Que suecc's?*

- Konny na drodze.

- Jeden? - Yaevinn podniósł łuk i kołczan. - Cairbre? Tylko jeden?

- Jeden. Zbliża się.

- To załatwmy go. Będzie jeden Dh'oine mniej.

- Daj pokój - Toruviel chwyciła go za rękaw. - Po co nam to? Mieliśmy przeprowadzić rekonesans, a potem dołączyć do komanda. Mamy mordować cywilów po drogach? Czy tak wygląda walka o wolność?

- Właśnie tak. Odsuń się.

- Jeśli na drodze zostanie trup, każdy przejeżdżający patrol podniesie alarm. Wojsko zacznie na nas polować. Obstawia brody, możemy mieć kłopoty z przejściem rzeki!

- Po tej drodze mało kto jeździ. Zanim odkryją trupa, będziemy już daleko.

- Ten jeździec też już jest daleko - powiedział z drzewa Cairbre. - Zamiast gadać, trzeba było strzelać. Teraz go już nie sięgniesz. To dobre dwieście kroków.

- Z mojej sześćdziesięciofuntówki? - Yaevinn pogładził łuk. - Trzydziestocalowym fletem? Poza tym to nie jest dwieście kroków. To jest sto pięćdziesiąt, góra. *Mire, que spar aen'le.*

- Yeavinn, zostaw...

- *Thaess aep*, Toruviel.

Elf odwrócił czapkę tak, by nie zawadzał mu przypięty do niej wiewiórczy ogon, szybko napiął łuk, mocno, aż do ucha, wymierzył dokładnie i spuścił cięciwę.

Aplegatt nie usłyszał strzały. Była to strzała „cicha”, specjalnie ołotkowana długimi, wąskimi szarymi piórami, z brzechwą żłobkowaną dla zwiększenia sztywności i zmniejszenia ciężaru. Trójbrzeszczotowy, ostry jak brzytwa grot z impetem trafił gońca w środek pleców, między lewą łopatką a kręgosłupem. Brzeszczoty były ustawione pod kątem -

wbijając się w ciało, grot obrócił się i wkręcił jak śruba, masakrując tkanki, tnąc naczynia krwionośne i druzgocąc kości. Aplegatt zwałił się piersią na szyję konia i ześliznął na ziemię, bezwładny jak worek wełny.

Piasek drogi był gorący, nagrany słońcem tak, że aż parzył. Ale goniec już tego nie poczuł. Umarł natychmiast.

Mówić, że ją znałem, byłoby przesadą. Myślę, że oprócz wiedźmina i czarodziejki nikt jej naprawdę nie znał. Gdy po raz pierwszy ją zobaczyłem, wcale nie zrobiła na mnie wielkiego wrażenia, nawet pomimo dość niesamowitych okoliczności, jakie temu towarzyszyły. Znałem takich, którzy twierdzili, że od razu, od pierwszego spotkania czuli powiew śmierci, kroczącej za tą dziewczyną. Mnie jednak wydała się zupełnie zwyczajna, a wiedziałem jednak, że zwyczajną nie była – dlatego usilnie starałem się wypatrzyć, odkryć, poczuć w niej niezwykłość. Ale niczego nie dostrzegłem i niczego nie wyczułem. Niczego, co mogłoby być sygnałem, przeczuciem czy zapowiedzią późniejszych, tragicznych wydarzeń. Tych, których była przyczyną. I tych, które sama spowodowała.

Jaskier, *Pół wieku poezji*

Rozdział drugi

Tuż przy rozstaju, w miejscu, gdzie kończył się las, wbito w ziemię dziewięć słupów. Do szczytu każdego słupa płasko przytwierdzono koło od wozu. Nad kołami kłębiły się wrony i kruki, dziobiąc i szarpiąc trupy, przywiązane do obręczy i piast. Wysokość słupów i mnogość ptactwa pozwalała, co prawda, wyłącznie przypuszczać, czym były nierozpoznawalne resztki, spoczywające na kołach. Ale były trupami. Nie mogły być niczym innym.

Ciri odwróciła głowę i ze wstrętem zmarszczyła nos. Wiatr wiał od strony słupów, mdlący odór rozkładających się zwłok snuł się nad rozdrożem.

– Wspaniała dekoracja – Yennefer pochyliła się w siodle i splunęła na ziemię, zapominając, że całkiem niedawno za podobne plucie ostro skarciła Ciri. – Malownicza i pachnąca. Ale dlaczego tutaj, na skraju puszczy? Zwykle coś takiego ustawia się tuż za miejskimi murami. Mam rację, dobrzy ludzie?

– To Wiewiórki, szlachetna pani – pospieszył z wyjaśnieniem jeden z dogonionych na rozstaju wędrownych handlarzy, wstrzymując

zaprzężonego do wyładowanej dwukółki srokacza. – Elfy. Tam, na tych słupach. Dlatego i słupy w lesie stoją. Innym Wiewiórkom na przestrożę.

– Czy to znaczy – czarodziejka spojrzała na niego – że wziętych żywcem Scoia'tael przywozi się tutaj...

– Elfy, pani, rzadko dają się żywcem brać – przerwał handlarz. – A jeśli nawet którego wojacy schwycą, to do miasta go wiozą, bo tam osiadłe Nieludzie bytują. Gdy owi kaźni na rynku się przyglądają, to wnet odchodzi ich ochota, by do Wiewiórków przystać. Ale gdy w boju jakich elfów ubiją, to trupy na rozstaje się wozi i na słupach wiesza. Nieraz z daleka ich wożą, całkiem zaśmiardłych dowożą...

– Pomyśleć – warknęła Yennefer – że nam zakazano praktyk nekromantycznych z uwagi na szacunek dla majestatu śmierci i doczesnych zwłok, którym należy się cześć, spokój, rytualny i ceremonialny pochówek.

– Co mówicie, pani?

– Nic. Ruszajmy stąd co rychlej, Ciri, byle dalej od tego miejsca. Tfu, mam wrażenie, że już cała przesiąknęłam tym smrodem.

– Ja też, eueueee – powiedziała Ciri, klusem objeżdżając dookoła zaprzęg domokrażcy. – Pojedźmy galopem, dobrze?

– Dobrze... Ciri! Galopem, ale nie wariackim!

•

Wkrótce ujrzały miasto, wielkie, otoczone murami, najeżone wieżami o szpiczastych błyszczących dachach. A za miastem widać było morze, zielonosine, skrzące się w promieniach porannego słońca, upstrzone tu i ówdzie białymi plamkami żagli. Ciri zatrzymała konia na skraju piaszczystego urwiska, uniosła się w strzemionach, chciwie wciągnęła nosem wiatr i zapach.

– Gors Velen – powiedziała Yennefer, podjeżdżając i stając bok w bok.

– Dojechaliśmy wreszcie. Wróćmy na gościniec.

Na gościńcu poszły znowu lekkim galopem, pozostawiając w tyle kilka wolicz zaprzęgów i objuczonych wiązkami drewna pieszych. Gdy wyprzedziły wszystkich i zostały same, czarodziejka zwolniła i gestem wstrzymała Ciri.

– Podjedź bliżej – powiedziała. – Jeszcze bliżej. Weź wodze i prowadź mojego konia. Potrzebuję obu rąk.

– Do czego?

– Weź wodze, prosiłam.

Yennefer wyjęła z juków srebrne zwierciadełko, przetarła je, po czym cicho wymówiła zaklęcie. Zwierciadełko wysunęło się z jej dłoni, uniosło i zawisło nad końskim karkiem, dokładnie naprzeciw twarzy czarodziejki.

Ciri westchnęła z podziwu, oblizwała wargi.

Czarodziejka wydobyła z juków grzebień, zdjęła beret i przez następne kilka chwil energicznie czesała włosy. Ciri zachowała milczenie. Wiedziała, że podczas czesania włosów nie wolno było Yennefer przeszkadzać ani jej rozpraszać. Malowniczy i pozornie niedbały nieład jej krętych i bujnych loków powstawał w wyniku długotrwałych starań i wymagał niemało wysiłku.

Czarodziejka ponownie sięgnęła do juków. Przypięła do uszu brylantowe kolczyki, a na obu nadgarstkach zaapięła bransolety. Zdjęła szal i rozpięła bluzkę, odsłaniając szyję i czarną aksamitkę ozdobioną gwiazdą z obsydianu.

– Ha! – nie wytrzymała wreszcie Ciri. – Wiem, czemu to robisz! Chcesz ładnie wyglądać, bo jedziemy do miasta! Zgadłam?

– Zgadłaś.

– A ja?

– Co ty?

– Też chcę ładnie wyglądać! Uczeszę się...

– Włóż beret – powiedziała ostro Yennefer, wciąż wpatrzona w wiszące nad uszami konia zwierciadło. – Na to samo miejsce, gdzie był. I schowaj pod nim włosy.

Ciri fuknęła gniewnie, ale usłuchała natychmiast. Już dawno nauczyła się rozróżniać barwy i odcienie głosu czarodziejki. Wiedziała, kiedy można spróbować dyskusji, a kiedy nie.

Yennefer, ułożywszy wreszcie loki na czole, wydobyła z juków mały słoiczek z zielonego szkła.

– Ciri – powiedziała łagodniej. – Podróżujemy skrycie. A podróż jeszcze się nie skończyła. Dlatego masz kryć włosy pod beretem. W każdej bramie miejskiej są tacy, którym płaci się za dokładną i pilną obserwację podróżnych. Rozumiesz?

– Nie – odparła beczelnie Ciri, ściągając wodze karego ogiera czarodziejki. – Wypiękniałaś się tak, że tym wypatrywaczom z bramy oczy wyjdą! Ładna mi skrytość!

- Miasto, do którego bram zmierzamy - uśmiechnęła się Yennefer - to Gors Velen. Ja nie muszę się kamuflować w Gors Velen, a wręcz, powiedziałabym, przeciwnie. Z tobą jest inna sprawa. Ciebie nikt nie powinien zapamiętać.

- Ci, którzy będą gapić się na ciebie, dostrzegą i mnie!

Czarodziejka odkorkowała słoiczek, z którego zapachniało bzem i agrestem. Zanurzwszy w słoiczku palec wskazujący, wtarła sobie pod oczy nieco zawartości.

- Wątpię - powiedziała, wciąż zagadkowo uśmiechnięta - by ktokolwiek zwrócił na ciebie uwagę.

•

Przed mostem stał długi rząd jeźdźców i wozów, a na przedbramiu tłoczyli się podróżni, oczekujący na kolejkę do kontroli. Ciri zachnęła się i zaburczała, rozzłoszczona perspektywą długiego czekania. Yennefer jednak wyprostowała się w siodle i ruszyła klusem, patrząc wysoko ponad głowy podróżnych - ci zaś rozstąpili się prędko, zrobili miejsce, kłaniając z szacunkiem. Strażnicy w długich kolczugach też od razu dostrzegli czarodziejkę i zrobili jej wolną drogę, nie żałując trzonków dzid, którymi karcili opornych lub zbyt powolnych.

- Tędy, tędy, wielmożna pani - zawołał jeden ze strażników, gapiąc się na Yennefer i mieniając na twarzy. - Wjedźcie tędy, proszę łaskawie! Nastąpić się! Nastąpić się, chamy!

Wezwany pospiesznie dowódca warty wyłonił się z kordegardy naburmuszony i zły, ale na widok Yennefer pokraśniał, szeroko otworzył oczy i usta, zgiał się w niskim ukłonie.

- Uniżenie witam w Gors Velen, jaśnie pani - wybełkotał, prostując się i gapiąc. - Na twe rozkazy... Czy w mocy mojej usłużyć czym wielmożnej? Eskortę dać? Przewodnika? Wezwać może kogo?

- Nie trzeba - Yennefer wyprostowała się na kulbace, spojrzała na niego z góry. - Zabawię w mieście krótko. Jadę na Thanedd.

- Ma się rozumieć... - żołdak przestąpił z nogi na nogę, nie odrywając oczu od twarzy czarodziejki. Pozostali strażnicy gapili się również. Ciri dumnie wyprężyła się i zadarła głowę, ale skonstatowała, że na nią nie patrzy nikt. Jak gdyby w ogóle nie istniała.

- Ma się rozumieć - powtórzył dowódca straży. - Na Thanedd, tak... Na zjazd. Pojmuję, ma się rozumieć. Życzę tedy...

- Dziękuję - czarodziejka popędziła konia, w oczywisty sposób nieciekawa, czego chciałby życzyć jej komendant. Ciri podażyła w ślad. Strażnicy kłaniali się przejeżdżającej Yennefer, jej nadal nie zaszczycając choćby spojrzeniem.

- Nawet o imię cię nie zapytali - mruknęła, doganiając Yennefer i ostrożnie kierując koniem wśród wyjeżdżonych w błocie ulicy kolein. - Ani o to, skąd jedziemy! Zaczarowałaś ich?

- Nie ich. Siebie.

Czarodziejka odwróciła się, a Ciri westchnęła głośno. Oczy Yennefer płonęły fioletowym blaskiem, a twarz promieniała urodą. Olśniewającą. Wyzywającą. Groźną. I nienaturalną.

- Zielony słoiczek! - domyśliła się od razu Ciri. - Co to było?

- Glamarye. Elik sir, a raczej maść na specjalne okazje. Ciri, czy ty musisz wjeżdżać w każdą kałużę na drodze?

- Chcę umyć koniowi pęciny!

- Nie padało od miesiąca. To są pomyje i końskie szczyny, nie woda.

- Aha... Powiedz mi, dlaczego użyłaś tego eliksiru? Aż tak bardzo ci zależało...

- To jest Gors Velen - przerwała Yennefer. - Miasto, które swój dobrobyt w znacznej mierze zawdzięcza czarodziejom. Dokładniej, czarodziejkom. Sama widziałas, jak traktuje się tu czarodziejki. A ja nie miałam ochoty przedstawiać się ani udowadniać, kim jestem. Wolałam, by było to oczywiste na pierwszy rzut oka. Za tym czerwonym domem skręcamy w lewo. Stępa, Ciri, wstrzymuj konia, bo potrącisz jakieś dziecko.

- A po co myśmy tutaj przyjechały?

- Już ci to mówiłam.

Ciri parsknęła, zacisnęła usta, silnie szturchnęła wierzchowca piętą. Klacz zatańczyła, omal nie wpadając na mijający ich zaprzęg. Woźnica wstał z kozła i zamierzał uraczyć ją furmańską wiązanką, ale na widok Yennefer usiadł szybko i zajął się wnikliwą analizą stanu własnych chodaków.

- Jeszcze jedno takie bryknięcie - wycedziła Yennefer - a pogniewamy się. Zachowujesz się jak niedoroslą koza. Przynosisz mi wstyd.

- Chcesz mnie oddać do jakiejś szkoły, tak? Ja nie chcę!

- Ciszej. Ludzie się gapią.

– Na ciebie się gapią, nie na mnie! Ja nie chcę iść do żadnej szkoły! Obiecywałaś mi, że zawsze będziesz ze mną, a teraz chcesz mnie zostawić! Sama! Ja nie chcę być sama!

– Nie będziesz sama. W szkole jest wiele dziewcząt w twoim wieku. Będziesz miała mnóstwo koleżanek.

– Nie chcę koleżanek. Chcę być z tobą i z... Myślałam, że...

Yennefer odwróciła się gwałtownie.

– Co myślałaś?

– Myślałam, że jedziemy do Geralta – Ciri wyzywająco podrzuciła głową. – Dobrze wiem, o czym rozmyślałaś całą drogę. I dlaczego wzdychałaś w nocy...

– Dość – syknęła czarodziejka, a widok jej płonących oczu sprawił, że Ciri wtuliła twarz w końską grzywę. – Nadto się rozzuchwalałaś. Przypominam ci, że czas, gdy mogłaś mi się opierać, minął bezpowrotnie. Stało się tak z twojej własnej woli. Teraz masz być posłuszna. Zrobisz to, co rozkażę. Zrozumiałaś?

Ciri pokiwała głową.

– To, co rozkażę, będzie dla ciebie najlepsze. Zawsze. I dlatego będziesz mnie słuchać i wykonywać moje polecenia. Jasne? Zatrzymaj konia. Jesteśmy na miejscu.

– To jest ta szkoła? – zaburczała Ciri, podnosząc oczy na okazałą fasadę budynku. – To już...

– Ani słowa więcej. Zsiadaj. I zachowuj się, jak należy. To nie jest szkoła, szkoła jest w Aretuzie, nie w Gors Velen. To jest bank.

– A do czego nam bank?

– Pomyśl. Zsiadaj, mówiłam. Nie w kałużę! Zostaw konia, od tego jest służba. Zdejmij rękawice. Nie wchodzi się do banku w rękawicach do jazdy. Spójrz na mnie. Popraw beret. Wyrównaj kołnierzyk. Wyprostuj się. Nie wiesz, co zrobić z rękami? To nic z nimi nie rób!

Ciri westchnęła.

Służący, którzy wylegli z wrót budynku i gnąc się w ukłonach usłużyli, byli krasnoludami. Ciri przyjrzała się im ciekawie. Choć tak samo niscy, krępi i brodaci, w niczym nie przypominali jej druha, Yarpa Zigrina, ani jego „chłopaków”. Służący byli szarzy, jednolicie umundurowani, nijacy. I uniżeni, czego o Yarpie i jego chłopakach żadną miarą powiedzieć nie było można.

Weszły do środka. Magiczny eliksir nadal działał, toteż pojawienie się Yennefer spowodowało natychmiast wielkie poruszenie, bieganinę, ukłony, dalsze uniżone pozdrowienia i deklaracje gotowości do usług, którym kres położyło dopiero pojawienie się niewiarygodnie grubego, dostatnio odzianego i białobrodego krasnoluda.

– Szanowna Yennefer! – zahuczał krasnolud, podzwaniając złotym łańcuchem, zwisającym z potężnego karku znacznie poniżej białej brody. – Cóż za niespodzianka! I cóż za zaszczyt! Proszę, proszę do kantoru! A wy, nie stać, nie gapić się! Do roboty, do liczydeł! Wilfli, do kantoru natychmiast flaszkę Castel de Neuf, rocznik... Już ty wiesz który rocznik. Żywo, na jednej nodze! Pozwól, pozwól, Yennefer. Prawdziwa radość cię widzieć. Wyglądasz... Ech, psiakrew, aż dech zapiera!

– Ty też – uśmiechnęła się czarodziejka – nieźle się trzymasz, Giancardi.

– No pewnie. Proszę, proszę do mnie, do kantoru. Ależ nie, nie, panie przodem. Znasz przecież drogę, Yennefer.

W kantorze było ciemnowo i przyjemnie chłodno, w powietrzu unosił się zapach, który Ciri pamiętała z wieży pisarczyka Jarre'ego – zapach inkaustu, pergaminu i kurzu pokrywającego dębowe meble, gobeliny i stare księgi.

– Siadajcie, proszę – bankier odsunął od stołu ciężki fotel dla Yennefer, obrzucił Ciri ciekawym spojrzeniem. – Hmmm...

– Daj jej jakąś księgę, Molnar – powiedziała niedbale czarodziejka, zauważając spojrzenie. – Ona uwielbia księgi. Siądzie sobie w końcu stołu i nie będzie przeszkadzać. Prawda, Ciri?

Ciri nie uznała za celowe potwierdzać.

– Księgę, hem, hem – zatroskał się krasnolud, podchodząc do komody. – Co my tu mamy? O, księga przychodów i rozchodów... Nie, to nie. Cła i opłaty portowe... Też nie. Kredyt i remburs? Nie. O, a to skąd tu się wzięło? Jedna cholera wie... Ale chyba to będzie w sam raz. Proszę, dziewczeczko.

Księga nosiła tytuł *Physiologus* i była bardzo stara i bardzo podarta. Ciri ostrożnie przewróciła okładkę i kilka stron. Dzieło zaciekało ją natychmiast, bo traktowało o zagadkowych potworach i bestiach i było pełne rycin. Przez następnych kilka chwil starała się dzielić zainteresowanie pomiędzy księgę a rozmowę czarodziejki z krasnoludem.

– Masz dla mnie jakieś listy, Molnar?

– Nie – bankier nalał wina Yennefer i sobie. – Żadne nowe nie nadeszły. Ostatnie, sprzed miesiąca, przekazałem ustalonym sposobem.

– Otrzymałam je, dziękuję. A czy przypadkiem... ktoś się tymi listami nie interesował?

– Tutaj nie – uśmiechnął się Molnar Giancardi. – Ale celujesz do właściwej tarczy, moja droga. Bank Vivaldich poinformował mnie poufnie, że listy próbowano tropić. Ich filia w Vengerbergu wykryła też próbę śledzenia operacji na twoim prywatnym koncie. Jeden z pracowników okazał się nielojalny.

Krasnolud urwał, spojrzał na czarodziejkę spod krzaczastych brwi. Ciri nadstawiła uszu. Yennefer milczała, bawiąc się swą obsydianową gwiazdą.

– Vivaldi – podjął bankier, zniżając głos – nie mógł albo nie chciał prowadzić śledztwa w tej sprawie. Nielojalny i podatny na przekupstwo klerk wpadł po pijanemu do fosy i utopił się. Nieszczęśliwy wypadek. Szkoda. Za szybko, za pochopnie...

– Szkoda mała, a żal krótki – wydeła wargi czarodziejka. – Ja wiem, kogo interesowały moje listy i konto, śledztwo u Vivaldich nie przyniosłoby rewelacji.

– Skoro tak uważasz... – Giancardi poczochnął brodę. – Jedziesz na Thanedd, Yennefer? Na ten powszechny zjazd czarodziejów?

– Owszem.

– By zdecydować o losach świata?

– Nie przesadzajmy.

– Różne plotki krążą – rzekł sucho krasnolud. – I różne rzeczy się dzieją.

– Jakie, jeśli to nie tajemnica?

– Od ubiegłego roku – powiedział Giancardi, gładząc brodę – obserwuje się dziwne ruchy w polityce podatkowej... Ja wiem, ciebie to nie interesuje...

– Mów.

– Podwojono wymiar pogłównego i hiberny, podatków ściąganych bezpośrednio przez władze wojskowe. Wszyscy kupcy i przedsiębiorcy muszą dodatkowo płacić do skarbu królewskiego „dziesiąty grosz”, całkiem nowy podatek, jeden grosz od każdego nobla obrotu. Krasnoludy, gnomy, elfy i niziołki płacą ponadto zwiększone pogłówne i

podymne. Jeżeli prowadzą działalność handlową lub produkcyjną, są nadto obciążeni obowiązkową „niehumanitarną” donatywą, wynoszącą dziesięć od sta. W ten sposób ja odprowadzam do skarbu ponad sześćdziesiąt procent dochodu. Mój bank, wliczając wszystkie filie, daje Czterem Królestwom sześćset grzywien rocznie. Dla twojej wiadomości: to jest prawie trzykrotnie więcej, niż można kupić czy hrabia płaci kwarty z potężnej królewskiej kasy.

– Ludzie nie są obciążeni donatywą na wojsko?

– Nie. Płacą tylko hibernę i pogłówną.

– A zatem – pokiwała głową czarodziejka – to krasnoludy i inni niehumanie finansują kampanię przeciwko Scoia'tael, która toczy się w lasach. Spodziewałam się czegoś takiego. Ale co mają podatki wspólnego ze zjazdem na Thanedd?

– Po waszych zjazdach – mruknął bankier – zawsze coś się dzieje. Tym razem mam zresztą nadzieję, że będzie odwrotnie. Liczę na to, że wasz zjazd sprawi, że przestanie się dziać. Bardzo byłbym rad, dla przykładu, gdyby ustały te dziwne skoki cen.

– Mów jaśniej.

Krasnolud rozparł się w fotelu i splótł palce na przykrytym brodą brzuchu.

– Pracuję w moim fachu ładnie parę lat – powiedział. – Dostatecznie długo, by móc umieć powiązać niektóre ruchy cen z niektórymi faktami. A ostatnio bardzo wzrosły ceny drogich kamieni. Bo jest na nie popyt.

– Zamienia się gotówkę na klejnoty, by unikać strat z tytułu wahań kursów i parytetów monety?

– Też. Kamienie mają nadto jeszcze jedną wielką zaletę. Mieszczą się w kieszeni kilkuuncjowa sakieweczka brylantów odpowiada wartością jakimś pięćdziesięciu grzywnom, taka zaś suma w monecie waży dwadzieścia pięć funtów i zajmuje spory worek. Z sakieweczką w kieszeni ucieka się znacznie szybciej niż z workiem na ramieniu. I ma się obie ręce wolne, co nie jest bez znaczenia. Jedną ręką można trzymać żonę, drugą, gdyby zaszła konieczność, można komuś przypieprzyć.

Ciri parsknęła z cicha, ale Yennefer natychmiast uciszyła ją groźnym spojrzeniem.

– A zatem – uniosła głowę – są tacy, którzy już zawczasu przygotowują się do ucieczki. A dokąd, ciekawość?

- Najwyżej notowana jest daleka Północ. Hengfors, Kovir, Poviss. Raz, że to faktycznie daleko, dwa, kraje te są neutralne i mają z Nilfgaardem dobre stosunki.

- Rozumiem - złośliwy uśmiech nie zniknął z warg czarodziejki. - A więc brylanty do kieszeni, żonę za rękę i na Północ... Nie za wcześnie? Ach, mniejsza z tym. Co jeszcze drożeje, Molnar?

- Łodzie.

- Co?

- Łodzie - powtórzył krasnolud i wyszczerzył zęby. - Wszyscy szkutnicy z wybrzeża produkują łodzie, zamówione przez kwatermistrzów armii króla Foltesta. Kwatermistrzowie płacą dobrze i ciągle składają nowe zamówienia. Jeśli masz wolny kapitał, Yennefer, zainwestuj w łodzie. Złoty interes. Produkujeś czółno z trzciny i kory, wystawiasz fakturę na barkas z pierwszorzędnej sośniny, górką dzielisz się z kwatermistrzem po połowie...

- Nie kpij, Giancardi. Mów, o co chodzi.

- Te łodzie - rzekł od niechcienia bankier, patrząc na powałę - transportuje się na południe. Do Sodden i Brugge, nad Jarugę. Ale z tego, co wiem, nie używa się ich do połowu ryb na rzece. Ukrywa się je w lasach nad prawym brzegiem. Wojsko podobno godzinami ćwiczy wsiadanie i wysiadanie. Na razie na sucho.

- Aha - Yennefer przygryzła wargę. - Ale dlaczego niektórym tak spieszą na północ? Jaruga jest na południu.

- Istnieje uzasadniona obawa - mruknął krasnolud, łypiąc na Ciri - że cesarz Emhyr var Emreis nie będzie zachwycony wieścią, że wzmiankowane łodzie spuszczone na wodę. Niektórzy uważają, że takie wodowanie gotowe Emhyra rozzłościć, a wówczas lepiej być jak najdalej od nilfgaardzkiej granicy... Cholera, byle do żniw. Gdy będzie po żniwach, odetchnę z ulgą. Jeżeli coś ma się wydarzyć, wydarzy się przed żniwami.

- Plony będą w spichrzach - powiedziała wolno Yennefer.

- Zgadza się. Konie trudno paść na rżyskach, a twierdze z pełnymi spichrzami długo się oblega... Pogoda sprzyja rolnikom i zbiory zapowiadają się nieźle... Tak, pogoda jest nad wyraz piękna. Słonko grzeje, kanie na próżno wyglądają dżdżu... A Jaruga w Dol Angra jest bardzo płytka... Łatwo ją przebrodzić. W obie strony.

- Dlaczego Dol Angra?

- Mam nadzieję - bankier pogładził brodę, świdrując czarodziejkę bystrym spojrzeniem - że mogę ci zaufać?

- Zawsze mogłeś, Giancardi. I nic się nie zmieniło.

- Dol Angra - powiedział wolno krasnolud - to Lyria i Aedirn, które są w militarnym sojuszu z Temerią. Nie sądzisz chyba, że Foltest, który kupuje łodzie, zamierza z nich skorzystać na własną rękę?

- Nie - powiedziała wolno czarodziejka. - Nie sądzę. Dziękuję za informacje, Molnar. Kto wie, może i masz rację? Może na zjeździe uda nam się jednak wpłynąć na losy świata i zamieszkujących ten świat ludzi?

- Nie zapominajcie o krasnoludach - parsknął Giancardi. - I o ich bankach.

- Postaramy się. Jeśli już przy tym jesteśmy...

- Słucham cię z uwagą.

- Mam wydatki, Molnar. A jeśli podejmę coś z konta u Vivaldich, znowu ktoś gotów utonąć, więc...

- Yennefer - przerwał krasnolud - ty masz u mnie nieograniczony kredyt. Pogrom w Vengerbergu miał miejsce bardzo dawno. Może ty zapomniałaś, ale ja nie zapomnę nigdy. Nikt z rodziny Giancardich nie zapomni. Ile ci potrzeba?

- Tysiąc pięćset temerskich orenów, przekazem na filię Cianfanellich w Ellander, na rzecz świątyni Melitele.

- Załatwione. Miły przekaz, datki dla świątyń nie są opodatkowane. Co jeszcze?

- Ile teraz płaci się rocznie chesnego w szkole w Aretuzie?

Ciri nadstawiła uszu.

- Tysiąc dwieście novigradzkich koron - powiedział Giancardi. - Dla nowej adeptki dochodzi immatrykulacja, coś koło dwustu.

- Podrożało, cholera.

- Wszystko podrożało. Adeptkom niczego się nie żałuje, żyją w Aretuzie jak królowny. A z nich żyje połowa miasta, krawcy, szewcy, cukiernicy, dostawcy...

- Wiem. Wpłać dwa tysiące na konto szkoły. Anonimowo. Z zaznaczeniem, że chodzi o wpisowe i zadatek na chesne... Dla jednej adeptki.

Krasnolud odłożył pióro, spojrzał na Ciri, uśmiechnął się ze zrozumieniem. Ciri, udając, że wertuje księgę, słuchała pilnie.

- To wszystko, Yennefer?
 - Jeszcze trzysta novigradzkich koron dla mnie, gotówką. Na zjazd na Thanedd będę potrzebowała przynajmniej trzech sukni.
 - Po co ci gotówka? Dam ci czek bankierski. Na pięćset. Ceny importowanych tkanin też cholernie wzrosły, a ty wszakże nie ubierasz się w wełnę ani len. A jeżeli czegoś potrzebujesz, dla siebie lub dla przyszłej adeptki szkoły w Aretuzie, moje sklepy i składy stoją otworem.
 - Dziękuję. Na jaki procent się umówimy?
 - Procent – krasnolud uniósł głowę – zapłaciłaś rodzinie Giancardich awansem, Yennefer. W czasie pogromu w Vengerbergu. Nie mówmy już o tym.
 - Nie lubię takich długów, Molnar.
 - Ja też nie. Ale ja jestem kupcem, krasnoludem interesu. Ja wiem, co to jest zobowiązanie. Znam jego wartość. Powtarzam, nie mówmy już o tym. Sprawy, o które prosiłaś, możesz uważać za załatwione. Sprawę, o którą nie prosiłaś, również.
- Yennefer uniosła brwi.
- Pewien bliski ci wiedźmin – zachichotał Giancardi – odwiedził ostatnio miasto Dorian. Doniesiono mi, że zadłużył się tam u lichwiarza na sto koron. Lichwiarz pracuje dla mnie. Umorzę ten dług, Yennefer.
- Czarodziejka rzuciła okiem na Ciri, silnie skrzywiła usta.
- Molnar – powiedziała zimno – nie pchaj palców między drzwi, w których popsuły się zawiasy. Wątpię, żeby on wciąż uważał mnie za bliską, a jeśli dowie się o umarzaniu długów, znienawidzi mnie z kretesem. Znasz go przecież, jest obsesyjnie honorowy. Dawno temu był w Dorian?
 - Jakies dziesięć dni. Potem widziano go w Małym Łęgu. Stamtąd, jak mi doniesiono, pojechał do Hirundum, bo miał zlecenie od tamtejszych farmerów. Jak zwykle, jakiś potwór do zabicia...
 - A za zabicie, jak zwykle, zapłacą mu grosze – głos Yennefer zmienił się lekko – które, jak zwykle, ledwo wystarczą na koszty leczenia, jeżeli potwór go pokiereszuje. Jak zwykle. Jeżeli rzeczywiście chcesz coś dla mnie zrobić, Molnar, to włącz się w to. Skontaktuj się z farmerami z Hirundum i podnieś nagrodę. Tak, by miał za co żyć.
 - Jak zwykle – parsknął Giancardi. – A jeśli on wreszcie dowie się o tym?

Yennefer utkwiała oczy w Ciri, która przyglądała się i przysłuchiwała, nawet nie próbując udawać zainteresowania *Physiologusem*.

– A od kogo – wycedziła – miałby się dowiedzieć?

Ciri spuściła wzrok. Krasnolud uśmiechnął się znacząco, pogładził brodę.

– Przed udaniem się na Thanedd wybierzesz się w stronę Hirundum? Przypadkowo, oczywiście?

– Nie – czarodziejka odwróciła wzrok. – Nie wybiorę się. Zmienmy temat, Molnar.

Giancardi znowu pogładził brodę, spojrzał na Ciri. Ciri spuściła głowę, zachrzękała i zawierciła się na krześle.

– Słusznie – potwierdził. – Czas zmienić temat. Ale twoją podopieczną najwyraźniej nudzi księga... i nasza rozmowa. A to, o czym teraz chciałbym z tobą porozmawiać, znudzi ją jeszcze bardziej, jak podejrzewam... Losy świata, losy krasnoludów tego świata, losy ich banków, jakież to nudny temat dla młodych dziewcząt, przyszłych absolwentek Aretuzy... Wypuść ją na trochę spod skrzydeł, Yennefer. Niech się przejdzie po mieście...

– Oj, tak! – krzyknęła Ciri.

Czarodziejka zachnęła się i już otwierała usta, by zaprotestować, ale nagle zmieniła zamiar. Ciri nie była pewna, ale wydawało się jej, że wpływ na tę decyzję miało nieznaczne mrugnięcie, towarzyszące propozycji bankiera.

– Niech sobie dziewczyna popatrzy na wspaniałości prastarego grodu Gors Velen – dodał Giancardi, uśmiechając się szeroko. – Należy się jej trochę swobody przed... Aretuzą. A my tu sobie jeszcze pogawędzimy o pewnych sprawach... hmm, osobistych. Nie, nie proponuję, by dziewczę chodziło samotnie, choć to bezpieczne miasto. Przydam jej towarzysza i opiekuna. Jednego z moich młodszych klerków...

– Wybacz, Molnar – Yennefer nie odpowiedziała na uśmiech – ale nie wydaje mi się, by w dzisiejszych czasach, nawet w bezpiecznym mieście, towarzystwo krasnoluda...

– Nawet mi przez myśl nie przeszło – zachnął się Giancardi – by to był krasnolud. Klerk, o którym mówię, jest synem szanowanego kupca, człowieka całą, że się tak wyrażę, gębą. Myślałaś, że zatrudniam tu tylko krasnoludów? Hej, Wifli! Wołaj mi tu Fabia, na jednej nodze!

- Ciri - czarodziejka podeszła do niej, pochyliła się lekko. - Tylko bez żadnych głupstw, żebym się nie musiała wstydzić. A przed klerkiem język za zębami, rozumiesz? Przysięgnij mi, że będziesz uważać na czyny i słowa. Nie kiwaj głową. Przysięczenia składa się pełnym głosem.

- Przysięgam, pani Yennefer.

- Spoglądaj też czasem na słońce. W południe wrócisz. Punktualnie. A gdyby... Nie, nie sądzę, by ktoś cię rozpoznał. Ale gdybyś zobaczyła, że ktoś znowo ci się przygląda...

Czarodziejka sięgnęła do kieszonki, wydobyła niewielki, poznaczony runami chryzopraz, wyszlifowany w kształt klepsydry.

- Schowaj do sakiewki. Nie zgub. W razie potrzeby... Zakłęcie pamiętasz? Tylko dyskretnie, aktywizacja daje silne echo, a działający amulet wysyła fale. Jeśli w pobliżu byłby ktoś wyczulony na magię, ujawnisz się, zamiast zamaskować. Aha, masz tu jeszcze... Gdybyś chciała coś sobie kupić.

- Dziękuję, pani Yennefer - Ciri włożyła amulet i monety do sakiewki, ciekawie spojrzała na chłopca wbiegającego do kantoru. Chłopiec był piegowaty, falujące kasztanowate włosy spadały mu na wysoki kołnierz szarego uniformu klerka.

- Fabio Sachs - przedstawił Giancardi. Chłopiec uklonił się grzecznie.

- Fabio, to jest pani Yennefer, nasz czcigodny gość i szanowana klientka. A ta panna, jej wychowanica, ma życzenie zwiedzić miasto. Będziesz jej towarzyszył, służył za przewodnika i opiekuna.

Chłopiec uklonił się jeszcze raz, tym razem wyraźnie w stronę Ciri.

- Ciri - powiedziała chłodno Yennefer. - Wstań, proszę.

Wstała, zdziwiona lekko, bo знаła obyczaj na tyle, by wiedzieć, że tego nie wymagał. I natychmiast zrozumiała. Klerk, co prawda, wyglądał na jej rówieśnika, ale był od niej o głowę niższy.

- Molnar - powiedziała czarodziejka. - Kto ma się tu opiekować kim? Nie mógłbyś oddelegować do tego zadania kogoś o nieco znaczniejszych gabarytach?

Chłopiec poczerwieniał i pytająco spojrzał na pryncypała. Giancardi przyzwalająco kiwnął głową. Klerk uklonił się po raz kolejny.

- Wielmożna pani - wypalił płynnie i bez skrzepowania. - Może i nie jestem duży, ale można na mnie polegać. Znam dobrze gród, podgrodzie i całą okolicę. Będę opiekował się tą panną, jak umiem najlepiej. A gdy

ja, Fabio Sachs Młodszy, syn Fabia Sachsa, robię coś tak, jak umiem najlepiej, to... To niejeden większy mi nie dorówna.

Yennefer patrzyła na niego przez chwilę, potem odwróciła się w stronę bankiera.

- Gratuluję, Molnar - powiedziała. - Umiesz dobierać pracowników. Będiesz miał w przyszłości pociechę z twojego młodszego klerka. Zaiste, kruszec dobrej próby dźwięczy, gdy weń uderzyć. Ciri, z pełnym zaufaniem powierzam cię pieczy Fabia, syna Fabia, albowiem jest to męczyzna poważny i godny zaufania.

Chłopiec zaczerwienił się aż po cebulki kasztanowatych włosów. Ciri czuła, że też się rumieni.

- Fabio - krasnolud otworzył szkatułkę, pogrzebał w brzęczącej zawartości. - Masz tu pół nobla i trzy... I dwa piątaki. Na wypadek, gdyby panna miała jakieś życzenia. Gdyby nie miała, odniesiesz z powrotem. No, możecie iść.

- W południe, Ciri - przypomniała Yennefer. - Ani chwili później.

- Pamiętam, pamiętam.

- Nazywam się Fabio - powiedział chłopiec, gdy tylko zbiegli po schodach i wyszli na ruchliwą ulicę. - A ciebie zwa Ciri, tak?

- Tak.

- Co chcesz zwiedzić w Gors Velen, Ciri? Ulicę Główną? Zaulek Złotników? Port morski? A może rynek i jarmark?

- Wszystko.

- Hmm... - zatroskał się chłopiec. - Mamy czas tylko do południa... Najlepiej będzie, jeśli pójdziemy na rynek. Dziś jest dzień targowy, można tam będzie zobaczyć mnóstwo ciekawych rzeczy! A wcześniej wejdziemy na mur, z którego jest widok na całą Zatokę i na słynną wyspę Thanedd. Co ty na to?

- Chodźmy.

Ulicą z hurkotem toczyły się wozy, człapały konie i woły, bednarze turlali beczki, wszędzie panował hałas i pośpiech. Ciri była z lekka oszołomiona ruchem i rozgardiaszem - niezręcznie zstąpiła z drewnianego chodnika i po kostki wpadła w błoto i gnój. Fabio chciał ująć ją pod ramię, ale wyrwała się.

- Umie sama chodzić!

- Hmm... No, tak. Chodźmy zatem. Tu, gdzie jesteśmy, to jest główna ulica miasta. Nazywa się Kardo i łączy obie bramy, Główną i Morską.

Tędy, o, idzie się do ratusza. Widzisz tę wieżę ze złotym kurkiem? To właśnie ratusz. A tam, gdzie wisi ten kolorowy szyld, to jest oberża „Pod Rozpiętym Gorsetem”. Ale tam, hmm... tam nie pójdziemy. Pójdziemy o, tędy, skrócimy sobie drogę przez targ rybny, który jest na ulicy Okrężnej.

Skręcili w zaułek i wyszli wprost na placyk wciśnięty między ściany domów. Placyk wypełniony był straganami, beczkami i kadziami, z których biła silna woń ryb. Trwał ożywiony i hałaśliwy handel, przekupnie i kupujący starali się przekrzyczeć krążące w górze mewy. Pod murem siedziały koty, udając, że ryby nie interesują ich w najmniejszym stopniu.

– Twoja pani – powiedział nagle Fabio, lawirując wśród straganów – jest bardzo surowa.

– Wiem.

– Nie jest twoją bliską krewną, prawda? Od razu to poznać!

– Tak? A po czym?

– Jest bardzo piękna – powiedział Fabio z okrutną, rozbrajająco swobodną szczerością młodego człowieka.

Ciri odwróciła się jak sprężyna, ale nim zdołała uraczyć Fabia jakąś kąśliwą uwagą, dotyczącą jego piegów i wzrostu, chłopiec już ciągnął ją między wózki, beczki i stragany, objaśniając jednocześnie, że górująca nad placikiem baszta nosi nazwę Złodziejskiej, że kamienie użyte do jej budowy pochodzą z dna morskiego i że rosnące pod nią drzewa zowią się platanami.

– Jesteś strasznie małomówna, Ciri – stwierdził nagle.

– Ja? – udała zdziwienie. – Nic podobnego! Po prostu słucham pilnie tego, co mówisz. Opowiadasz bardzo ciekawie, wiesz? Właśnie chciałam cię zapytać...

– Słucham, pytaj.

– Czy daleko stąd do... do miasta Aretuza?

– Ależ całkiem niedaleko! Bo Aretuza to wcale nie miasto. Wejdźmy na mur, pokażę ci. O, tam są schody.

Mur był wysoki, a schody strome. Fabio spociał się i zdyszał, i nic dziwnego, bo cały czas gadał. Ciri dowiedziała się, że mur okalający gród Gors Velen to konstrukcja niedawna, o wiele młodsza od samego miasta, zbudowanego jeszcze przez elfy, że ma trzydzieści pięć stóp wysokości i że jest to tak zwany mur kazamatowy, zrobiony z ciosanego

kamienia i nie wypalanej cegły, bo taki materiał jest odporniejszy na uderzenia taranów.

Na szczycie przywitał ich i owiał orzeźwiający morski wiatr. Ciri z radością odetchnęła nim po gęstym i nieruchomym zaduchu miasta. Oparła łokcie o krawędź muru, patrząc z wysoka na port, kolorowy od żagli.

– Co to jest, Fabio? Ta góra?

– Wyspa Thanedd.

Wyspa wydawała się bardzo bliska. I nie przypominała wyspy. Wyglądała jak wbity w morskie dno gigantyczny kamienny słup, wielki ziggurat obwiedziony wijącą się spiralnie drogą, zygzakami schodów i tarasami. Tarasy zieleniły się od gajów i ogrodów, a z zieleni, przylepione do skał jak jaskółcze gniazda, sterczały białe strzeliste wieże i ozdobne kopuły, zwieńczające kompleksy otoczonych krużgankami budynków. Budynki te wcale nie sprawiały wrażenia wybudowanych. Wydawało się, że wykuto je w stokach tej morskiej góry.

– To wszystko zbudowały elfy – wyjaśnił Fabio. – Mówi się, że za pomocą elfiej magii. Od niepamiętnych czasów Thanedd należy jednak do czarodziejów. Blisko czubka, tam, gdzie te lśniące kopuły, znajduje się pałac Garstang. Tam za parę dni rozpocznie się wielki zjazd magików. A tam, spójrz, na samiućkim wierzchołku, ta wysoka samotna wieża z blankami, to jest Tor Lara, Wieża Mewy...

– Czy tam można dostać się łodem? To przecież bliźiutko.

– Można. Jest most łączący brzeg zatoki z wyspą. Nie widzimy go, bo zasłaniają drzewa. Widzisz te czerwone dachy u podnóża góry? To pałac Loxia. Tam prowadzi most. Tylko przez Loxię można dojść do drogi prowadzącej na górne tarasy...

– A tam, gdzie te śliczne krużganki i mostki? I ogrody? Jak to się trzyma skały, że nie spadnie... Co to za pałac?

– To właśnie Aretuza, o którą pytałaś. Tam znajduje się słynna szkoła dla młodych czarodziejek.

– Ach – Ciri oblizała wargi – więc to tam... Fabio?

– Słucham.

– Widujesz czasami młode czarodziejki, które uczą się w tej szkole? W tej Aretuzie?

Chłopiec spojrzał na nią, wyraźnie zdumiony.

- Ależ nigdy! Nikt ich nie widuje! Im nie wolno opuszczać wyspy i wychodzić do miasta. A na teren szkoły nikt nie ma wstępu. Nawet burgrabia i bajlif, jeśli mają sprawę do czarodziejek, mogą iść tylko do Loxii. Na najniższy poziom.

- Tak myślałam - Ciri pokiwała głową, zapatrzona w połyskujące dachy Aretuzy. - To nie szkoła, lecz więzienie. Na wyspie, na skale, nad przepaścią. Więzienie i koniec.

- Trochę tak - przyznał Fabio po chwili namysłu. - Stamtąd raczej trudno wyjść... Ale nie, to nie jest tak, jak w więzieniu. Adeptki to przecież młode dziewczyny. Trzeba ich strzec...

- Przed czym?

- No... - zająknął się chłopiec. - Przecież wiesz...

- Nie wiem.

- Hmmm... Ja myślę... Och, Ciri, przecież nikt ich nie zamyka w szkole przemocą. One same chcą...

- No pewnie - Ciri uśmiechnęła się szelmowsko. - Chcą, to siedzą w tym więzieniu. Gdyby nie chciały, toby się nie dały tam zamknąć. To żadna sztuka, wystarczy w porę dać nogę. Zanim jeszcze się tam znajdzie, bo później to już może być trudno...

- Jak to? Uciekać? A dokąd one miałyby...

- One - przerwała - pewnie nie miały dokąd, biedaczki. Fabio? Gdzie jest miasto... Hirundum?

Chłopiec spojrzał na nią, zaskoczony.

- Hirundum to nie miasto - powiedział. - To wielka farma. Są tam sady i ogrody dostarczające warzyw i owoców dla wszystkich miast w okolicy. Są tam też stawy, w których hoduje się karpie i inne ryby...

- Jak daleko stąd do tego Hirundum? Którędy? Pokaż mi.

- A dlaczego chcesz to wiedzieć?

- Pokaż mi, proszę.

- Widzisz tę drogę, prowadzącą na zachód? Tam, gdzie te wozy? Tamtędy właśnie jedzie się do Hirundum. To jakieś piętnaście mil, cały czas lasami.

- Piętnaście mil - powtórzyła Ciri. - Niedaleko, gdy się ma dobrego konia... Dziękuję ci, Fabio.

- Za co mi dziękujesz?

- Nieważne. Teraz zaprowadź mnie na rynek. Obiecałeś.

- Chodźmy.

Takiego ścisku i zgiełku, jaki panował na rynku Gors Velen, Ciri nigdy jeszcze nie widziała. Hałaśliwy targ rybny, przez który niedawno przechodzili, w porównaniu z rynkiem sprawiał wrażenie cichej świątyni. Plac był iście gigantyczny, a mimo to wydawało się jej, że będą mogli co najwyżej poprzyglądać się z daleka, bo o dostaniu się na teren jarmarku nie ma nawet co marzyć. Fabio jednak śmiało wdarł się w skłębiony tłum, ciągnąc ją za rękę. Ciri z miejsca zakręciło się w głowie.

Przekupnie darli się, kupujący darli się jeszcze głośniej, zagubione w tłoku dzieci wyły i lamentowały. Bydło ryczało, owce beczały, ptactwo kwakało i gdakało. Krasnoludscy rzemieślnicy zawzięcie walili młotkami w jakieś blachy, a gdy przerywali walenie, by się napić, zaczynali plugawie kłać. Z kilku punktów placu rozbrzmiewały piszczałki, gęśle i cymbały, koncertowali widać waganci i muzycy. Na domiar złego ktoś niewidoczny wśród ciżby bez ustanku dał w mosiężną surmę. Z pewnością nie był to muzyk.

Ciri uskoczyła przed biegnącą truchtem, przenikliwie kwiczącą świnią i wpadła na klatki z kurami. Potrącana, nadepnęła na coś, co było miękkie i zamiauczało. Odskoczyła, o mały włos nie wpadając pod kopyta wielkiego, śmierdzącego, obrzydliwego i budzącego grozę bydlaka, roztrącającego ludzi kosmatymi bokami.

– Co to było? – jęknęła, łapiąc równowagę. – Fabio?

– Wielbłąd. Nie bój się.

– Nie boję się! Też coś!

Rozglądała się ciekawie. Przyjrzała się pracy niziołków, produkujących na oczach publiki ozdobne buklaki z koziej skóry, pozachwycała się pięknymi lalkami, oferowanymi na straganie przez parę półelfów. Pooglądała wyroby z malachitu i jaspisu, które wystawiał na sprzedaż ponury i burkliwy gnom. Z zainteresowaniem i znawstwem obejrzała miecze w warsztacie płatnerza. Poobserwowała dziewczęta wyplatające koszyki z wikliny i doszła do wniosku, że nie ma nic gorszego niż praca.

Dmący w surmę przestał dąć. Prawdopodobnie go zabito.

– Co tu tak smakowicie pachnie?

– Pączki – Fabio pomacał sakiewkę. – Masz życzenie zjeść jednego?

– Mam życzenie zjeść dwa.

Sprzedawca podał trzy pączki, przyjął piąta i wydał cztery miedziaki, z których jeden przełamał na pół. Ciri, powoli odzyskując

kontenans, przyglądała się operacji łamania, łapczywie pochłaniając pierwszego pączka.

- Czy to stąd - spytała, zabierając się za drugiego - pochodzi powiedzenie: „Niewart złamanego grosza”?

- Stąd - Fabio przełknął swojego pączka. - Przecież nie ma mniejszych monet niż grosz. Czy tam, skąd pochodzisz, nie używa się półgroszków?

- Nie - Ciri oblizwała palce. - Tam, skąd pochodzę, używało się złotych dukatów. Poza tym to całe łamanie było bez sensu i niepotrzebne.

- Dlaczego?

- Bo mam życzenie zjeść trzeciego pączka.

Nadzewane śliwkowymi powidłami pączki zadziałały jak najcudowniejszy eliksir. Ciri nabrała humoru, a kotłujący się plac przestał przerażać, zaczął się nawet podobać. Nie pozwoliła już, by Fabio włókł ją za sobą, sama pociągnęła go w największy tłok, ku miejscu, z którego ktoś przemawiał, wlaższy na zaimprovizowaną z beczek mównicę. Przemawiającym był podstarzały grubas. Po ogolonej głowie i burej szacie Ciri rozpoznała w nim wędrownego kapłana. Widywała już takich, czasami odwiedzali świątynię Melitele w Ellander. Matka Nenneke nigdy nie mówiła o nich inaczej jak „ci fanatyczni durnie”.

- Jedno jest na świecie prawo! - ryczał gruby kapłan. - Prawo boskie! Cała natura temu prawu podlega, cała ziemia i wszystko, co na tej ziemi żyje! A czary i magia są temu prawu przeciwne! Przekłęci więc są czarownicy i bliski jest dzień gniewu, w którym ogień z niebios zniszczy ich plugawą wyspę! Runą wówczas mury Loxii, Aretuzy i Garstangu, za którymi właśnie zbierają się ci poganie, by swe knowania obmyślać! Runą te mury...

- I trza będzie, psia mać, od nowa stawiać - mruknął stojący obok Ciri czeladnik mularski w kitlu upapranym wapnem.

- Upominam was, ludzie dobrzy i pobożni - wrzeszczał kapłan - nie wierzcie czarownikom, nie obracajcie się ku nim ni za radą, ni z prośbą! Nie dajcie się zwieść ni ich postacią piękną, ni mową gładką, bo zaprawdę powiadam wam, że są owi czarodzieje niby groby pobielane, z wierzchu piękne, we wnętrzu zaś zgnilizny pełne i spróchniałych kości!

- Widzieliście go - rzekła młoda niewiasta z koszykiem pełnym marchwi - jaki to w gębie mocny. Na magików czeka, bo zawidzi im, i tyle.

- Pewno - przytaknął mularz. - Samemu, patrzajta, łeb niby jaje wyłysiał, a kałdun podle kolan wisi. A czarodzieje urodziwe są, ani grubną, ani łysieją... A czarodziejki, ha, sama krasa...

- Bo diabłu duszę za tę krasę przedały! - krzyknął niski osobnik z szewskim młotkiem za pasem.

- Głupis, butorobie. Gdyby nie dobre panie z Aretuzy, dawno z torbami byś poszedł! Dzięki nim masz co żreć!

Fabio pociągnął Ciri za rękaw, ponownie pogrążyli się w tłumie, który poniosł ich w stronę centrum placu. Usłyszeli łomot bębna i gromkie okrzyki wzywające do uciszenia się. Tłum ani myślał się uciszyć, ale obwoływaczowi z drewnianego podwyższenia wcale to nie przeszkadzało. Miał donośny, ćwiczony głos i umiał się nim posługiwać.

- Wiadomym się czyni - zaryczał, rozwiniawszy rulon pergaminu - jako Hugo Ansbach, z rodu niziołek, spod prawa jest wyjęty, bo złoczyńcom elfom, co się Wiewiórkami mianują, w domu swoim dał nocleg i gościnę. Toż samo Justin Ingvar, kowal, z rodu krasnolud, który niecnotom owym groty do strzał kuł. Tegdy na obu burgrabia ślad ogłasza i ścigać ich nakazuje. Kto ich pochwyci, temu nagroda: pięćdziesiąt koron gotówką. A jeśli kto im da strawę lubo schronienie, za współnika winy ich poczytany będzie i jednaka kara jemu jako i im wymierzona będzie. A jeśli w opolu albo we wsi pochwyceni będą, całe opole albo wieś da płatę...

- A któż by - krzyknął ktoś z tłumu - niziolkowi schronienie dał! Po ichnich farmach niech szukają, a najdą, to wszystkich ich, nieludziów, do jamy!

- Na szubienicę, nie do jamy!

Obwoływacz jął odczytywać dalsze obwieszczenia burgrabiego i rady miejskiej, a Ciri straciła zainteresowanie. Właśnie miała zamiar wyzwolić się z tłoku, gdy nagle poczuła na pośladku rękę. Absolutnie nieprzypadkową, bezczelną i nad wyraz umiejętną.

Ścisk, wydawałoby się, uniemożliwiał odwrócenie się, ale Ciri nauczyła się w Kaer Morhen, jak poruszać się w miejscach, w których trudno się poruszać. Obróciła się, czyniąc nieco zamieszania. Stojący tuż za nią młody kapłan z ogoloną głową uśmiechnął się aroganckim,

wypraktykowanym uśmiechem. No i co, mówił ten uśmiech, co teraz zrobisz? Zarumienisz się ślicznie i na tym rumieńcu się skończy, nieprawdaż?

Kapłan widać nigdy nie miał do czynienia z uczennicą Yennefer.

– Łapy przy sobie, ty łysa pało! – rozdarła się Ciri, blednąc ze wściekłości. – Za własny tyłek się chwyć, ty... Ty grobie pobielany!!!

Korzystając z faktu, że uwięziony w tłoku kapłan nie mógł się poruszyć, zamierzała go kopnąć, ale udaremnił to Fabio, pospiesznie odciągając ją daleko od kapłana i miejsca zajścia. Widząc, że aż się trzęsie ze złości, uspokoił ją, fundując kilka posypanych mielonym cukrem racuszków, na widok których Ciri momentalnie zapomniała o incydencie. Stanęli przy straganie, w miejscu, z którego mieli widok na szafot z pręgierzem. W pręgierzu nie było jednak żadnego złoczyńcy, a sam szafot był udekorowany girlandami kwiatów i służył grupie wystrojonych jak papugi wędrownych muzykantów, od ucha rżących na gęślach i popiskujących na dudach i piszczałkach. Młoda czarnowłosa dziewczyna w wyszywanym cekinami serdaczku śpiewała i tańczyła, potrząsając tamburynkiem i wesoło potupując maleńkimi bucikami.

*Szła magiczka przez porębę, pogryzły ją żmije
Wszystkie gady wyzdychały, a magiczka żyje!*

Zgromadzony wokół szafotu tłum zaśmiewał się do rozpuku i klaskał do rytmu. Sprzedawca racuszków wrzucił do wrzącego oleju kolejną porcję. Fabio oblizwał palce i pociągnął Ciri za rękaw.

Straganów było bez liku i wszędzie oferowano coś smacznego. Zjedli jeszcze po ciasteczku z kremem, później – do spółki – wędzonego węgorzyka, po czym poprawili czymś bardzo dziwnym, smażonym i nabitym na patyk. Później zatrzymali się przy beczkach z kiszoną kapustą i udali, że próbują, by kupić większą ilość. Gdy objedli się i nie kupili, przekupka nazwała ich zasrańcami.

Poszli dalej. Za resztę pieniędzy Fabio nabył koszyczek gruszek bergamotek. Ciri spojrzała na niebo, ale uznała, że to jeszcze nie południe.

- Fabio? A co to za namioty i budki, tam, pod murem?
- Różne rozrywki. Chcesz zobaczyć?
- Chcę.

Przed pierwszym namiotem stali wyłącznie mężczyźni, w podnieceniu przebierający nogami. Z wnętrza dobiegały dźwięki fletu.

– „Czarnoskóra Leila... – Ciri z trudem odczytała koślawy napis na płachcie – zdradza w tańcu wszystkie sekrety swego ciała”... Głupota jakaś! Jakie sekrety...

– Chodźmy dalej, chodźmy dalej – ponaglił Fabio, czerwieniejąc lekko.
– O, spójrz, to jest ciekawe. Tu przyjmuje wróżka przepowiadająca przyszłość. Mam jeszcze akurat dwa grosze, to wystarczy...

– Szkoda pieniędzy – fuknęła Ciri. – Też mi przepowiednia, za dwa grosze! Żeby przepowiadać, trzeba być wieszczką. Wieszczanie to wielki talent. Nawet wśród czarodziejek najwyżej jedna na sto ma takie zdolności...

– Mojej najstarszej siostrze – wtrącił chłopiec – wróżka wywróżyła, że wyjdzie za mąż i sprawdziło się. Nie grymaś, Ciri. Chodź, powrózimy sobie...

– Nie chcę wychodzić za mąż. Nie chcę wróżb. Jest gorąco, a z tego namiotu śmierdzi kadzidłami, nie wejdę tam. Chcesz, to idź sam, ja zaczekam. Nie wiem tylko, po co ci przepowiednie? Co chciałbyś wiedzieć?

– No... – zająknął się Fabio. – Najbardziej, to... Czy będę podróżował. Chciałbym podróżować. Zwiedzić cały świat...

Będzie, pomyślała nagle Ciri, czując zawrót głowy. Będzie pływał na wielkich białych żaglowcach... Dotrze do krain, których nikt przed nim nie widział... Fabio Sachs, odkrywca... Jego imieniem nazwie się przylądek, kraniec kontynentu, który dziś jeszcze nie ma nazwy. Mając pięćdziesiąt cztery lata, żonę, syna i trzy córki, umrze, daleko od domu i bliskich... Na chorobę, która dziś jeszcze nie ma nazwy...

– Ciri! Co ci jest?

Przetarła twarz dłonią. Miała wrażenie, że wynurza się z wody, że płynie ku powierzchni z dna głębokiego, lodowato zimnego jeziora.

– To nic... – wymamrotała, rozglądając się i przytomniejąc. – W głowie mi się zakręciło... To przez ten upał. I przez te kadzidła z namiotu...

– Raczej przez tę kapustę – powiedział poważnie Fabio. – Niepotrzebnie tyle zjedliśmy. Mnie też w brzuchu burczy.

– Nic mi nie jest! – Ciri dziarsko zadarła głowę, faktycznie czując się lepiej. Myśli, które przeleciały jej przez głowę jak wicher, rozwiały się, zgubiły w niepamięci. – Chodź, Fabio. Idziemy dalej.

- Chcesz gruszkę?
- No pewnie, że chcę.

Pod murem grupa wyrostków grała na pieniądze w bączka. Bączek, precyzyjnie omotany sznurkiem, należało zręcznym, przypominającym strzelenie z bata szarpnięciem wprowadzić w ruch wirowy, tak by zataczał koła po wymalowanych kredą polach. Ciri ogrywała w bączka większość chłopców ze Skellige, ograła też wszystkie adeptki w świątyni Melitele. Rozważała już koncepcję włączenia się do gry i ogrania urwisów nie tylko z miedziaków, ale i z poławianych portek, gdy jej uwagę przykuły nagle gromkie okrzyki.

Na samym końcu szeregu namiotów i budek, wciśnięta pod mur i kamienne schody, stała dziwaczna półokrągła zagroda, sformowana z płacht rozpiętych na sążniowych tykach. Pomiędzy dwoma tykami było wejście, które tarasował wysoki, ospowaty mężczyzna, ubrany w przeszywanicę i pasiaste spodnie wpuszczone w żeglarskie buty. Przed nim tłoczyła się grupka ludzi. Po wrzuceniu do garści dziobatego kilku monet ludzie po kolei znikali za płachtą. Dziobaty chował pieniądze do pokaźnego pytła, podzwaniał nim i powrzaskiwał chrapliwie.

- Do mnie, dobrzy ludzie! Do mnie! Na własne oczy ujrzycie najstraszliwszego stwora, jakiego bogowie stworzyli! Horror i zgroza! Żywy bazyliszek, jadowity postrach zerrikańskich pustyń, diabeł wcielony, ludożerca nienasycony! Jeszcze żeście takiego potwora nie widzieli, ludziska! Dopiero co schwytany, zza mórz na korabiu przywieziony! Obejrzyjcie, obejrzyjcie żywego, srogiego bazyliszka na własne oczy, bo takiego nigdy i nigdzie już nie zobaczycie! Ostatnia okazja! Tu, u mnie, za jedyne trzy piątaki! Baby z dziećmi po dwa piątaki!

- Ha - powiedziała Ciri, odpędzając osy od gruszek. - Bazyliszek? I to żywy? Muszę go koniecznie zobaczyć. Do tej pory oglądałam tylko ryciny. Chodź, Fabio.

- Nie mam już pieniędzy...

- Ja mam. Zapłacę za ciebie. Chodź, śmiało.

- Sześć się należy - dziobaty spojrzał na wrzucone mu do garści miedziaki. - Trzy piątaki od osoby. Taniej tylko baby z dziećmi.

- On - Ciri wskazała na Fabia gruszką - jest dzieckiem. A ja jestem babą.

- Taniej tylko baby z dzieckiem na rękę - zawarczał dziobaty. - Nuże, dorzuć jeszcze dwa piątaki, zmyślna panienko, albo zmykaj i przepuść

innych. Pospieszcie się, ludzie! Jeszcze tylko trzy miejsca wolne!

Za ogrodzeniem z płachty tłoczyli się mieszczenie, otaczając zwartym pierścieniem zbity z desek podest, na którym stała drewniana, okryta kobiercem klatka. Wpuściwszy brakujących do kompletu widzów, dziobaty wskoczył na podest, wziął długą tyczkę i strącił nią kobierzec. Powiało padliną i nieprzyjemnym gadzim smrodem. Widzowie zaszemrali i cofnęli się lekko.

– Roztropnie czynicie, dobrzy ludzie – oznajmił dziobaty. – Nie za blisko, bo to nieprzeznacznie!

W klatce, wybitnie dla niego za ciasnej, leżał zwinięty w kłębek jaszczur, pokryty ciemną łuską o dziwnym rysunku. Gdy dziobaty stuknął w klatkę tyczką, gad zaszamotał się, zazgrzytał łuskami o pręty, wyciągnął długą szyję i zasyczał przeszywająco, demonstrując ostre, białe, stożkowate zęby, silnie kontrastujące z niemal czarną łuską dookoła paszczy. Widzowie ochnęli głośno. Zaniósł się przenikliwym ujadaniem kudłaty piesek, trzymany na rękach przez kobietę o wyglądzie przekupki.

– Patrzcie uważnie, dobrzy ludzie – zawołał dziobaty. – I radujcie się temu, że w naszych stronach podobne maskary nie żyją! Oto potworny bazyliszek z dalekiej Zerrikanii! Nie zbliżajcie się, nie zbliżajcie, bo choć w klatce zamknięty, samym swym dechem może on was zatruć!

Ciri i Fabio przepchnęli się wreszcie przez wianuszek widzów.

– Bazyliszek – kontynuował dziobaty z podwyższenia, wspierając się na tyczce jak strażnik na halabardzie – to najjadowitsza bestia świata! Albowiem bazyliszek królem jest wszystkich żmijów! Gdyby bazyliszków więcej było, przepadłby ten świat ze szczętem! Szczęściem wielce rzadki to potwór, bo rodzi się z jaja przez koguta zniesionego. A sami wszak wiecie, ludziska, jako nie każdy kogut jaja znosi, a jeno taki plugawiec, którego sposobem kwoki drugiemu kogutu kupra nadstawia.

Spektatorzy chóralnym śmiechem zareagowali na przedni – czy może raczej tylny – żart. Nie śmiała się jedynie Ciri, cały czas bacznie obserwująca stwora, który podrażniony hałasem zwijał się, tłukł o pręty klatki i kąsał je, nadaremnie usiłując rozwinąć w ciasnocie pokaleczone błony skrzydeł.

– Jaje, przez takiego koguta ułożone – ciągnął dziobaty – musi sto i jeden jadowitych węzów wysiedzieć! A gdy się z jaja wykluje bazyliszek...

- To nie jest bazyliszek - stwierdziła Ciri, gryząc bergamotkę. Dziobaty spojrział na nią koso.

- ...gdy się bazyliszek wykluje, powiadam - kontynuował - wtedy wszystkie węże z gniazda wyżre, ich truciznę chłonąc, ale szkody nijakiej od tego nie zaznaje. Sam zaś jadę się tak nadmie, że nie tylko zębem zabić zdoła, nie dotykiem nawet, ale dechem samym! A gdy konny rycerz weźmie i dzidą bazyliszka przebodzie, to trucizna po drzewcu w wierch uderzy, zarazem jeźdźca i konia na miejscu ubije!

- To jest nieprawdziwa nieprawda - powiedziała głośno Ciri, wypluwając pestkę.

- Prawda najprawdziwsza! - zaprotestował dziobaty. - Ubije, konia i jeźdźca ubije!

- Akurat!

- Cichaj, panienczko! - krzyknęła przekupka z pieskiem. - Nie przeszkadzaj! Chcemy się podziwować i posłuchać!

- Ciri, przestań - szepnął Fabio, trącąc ją w bok. Ciri fuknęła na niego, sięgając do koszyczka po kolejną gruszkę.

- Przed bazyliszkiem - dziobaty podniósł głos we wzmagającym się wśród spektatorów szumie - każdy zwierz w te pędy zmyka, gdy tylko jego syk posłyszysz. Każdy zwierz, nawet smok, co ja mówię, kokodryl nawet, a kokodryl niemożliwie jest straszny, kto go widział, ten wie. Jedno tylko jedyne zwierzę nie lęka się bazyliszka, a jest to kuna. Kuna, gdy potwora na pustyni zoczy, to do lasa czem prędzej bieży, tam jej tylko znane ziele wyszukuje i zjada. Wtedy jad bazyliszka już kunie niestraszny i zagryźć go może wnet na śmierć...

Ciri parsknęła śmiechem i zaimitowała wargami przeciągły, nader nieprzystojny odgłos.

- Hej, mądralo! - nie wytrzymał dziobaty. - Jeśli ci co nie w smak, to wynocha! Nie ma musu słuchać ni na bazyliszka patrzeć!

- To nie jest żaden bazyliszek.

- Tak? A co to jest, pani przemądrzalska?

- Wiwerna - stwierdziła Ciri, odrzucając ogonek gruszki i oblizując palce. - Zwyczajna wiwerna. Młoda, nieduża, zagłodzona i brudna. Ale wiwerna, i tyle. W Starszej Mowie: wyvern.

- O, patrzajta! - wrzasnął dziobaty. - Jaka to umna i uczona nam się trafiła! Zawrzyj gębusię, bo jak cię...

- Hola - odezwał się jasnowłosy młodzik w aksamitnym berecie i pozbawionym herbu wamsie giermka, trzymający pod ramię delikatną i bladziutką dziewczynę w sukience koloru moreli. - Wolnego, mości zwierzołapie! Nie groźcie szlachciance, bym was snadnie mym mieczem nie skarcił. A nadto coś mi tu oszustwem pachnie!

- Jakie oszustwo, młody panie rycerzu? - zachłysnął się dziobaty. - Łże ta smar... Chciałem rzec, myli się ta szlachetnie urodzona panna! To jest bazyliszek!

- To jest wiwerna - powtórzyła Ciri.

- Jaka tam werna! Bazyliszek! Spójrzcie jeno, jaki srogi, jak syczy, jak klatkę kąsa! Jakie ma zębiska! Zębiska, powiadam, ma jak...

- Jak wiwerna - wykrzywiła się Ciri.

- Jeśliś wszystkie rozumy pojadła - dziobaty utkwił w niej spojrzenie, którego nie powstydzilby się autentyczny bazyliszek - to zbliż się! Podejdź, by na ciebie dechnął! Wraz wszyscy zobaczą, jak się wykopyrtniesz, od jadu posiniawszy! No, podejdź!

- Proszę bardzo - Ciri wyszarpnęła rękę z uścisku Fabia i postąpiła krok do przodu.

- Nie zezwolę na to! - krzyknął jasnowłosy giermek, porzucając swą morelową towarzyszkę i zagrządzając Ciri drogę. - Nie może to być! Nazbyt się narażasz, miła damo.

Ciri, której jeszcze nikt tak nie tytułował, pokraśniała lekko, spojrzała na młodzika i zatrzepotała rzęsami w sposób po wielokroć wypróbowany na pisarczyku Jarre'ym.

- Nie ma żadnego ryzyka, szlachetny rycerzu - uśmiechnęła się uwodzicielsko, wbrew przestrogom Yennefer, która nader często przypominała jej przypowieść o głupim i serze. - Nic mi się nie stanie. Ten niby jadowity oddech to błaga.

- Chciałbym jednak - młodzik położył dłoń na rękojeści miecza - być obok ciebie. Ku ochronie i obronie... Czy pozwolisz?

- Pozwolę - Ciri nie wiedziała, dlaczego wyraz wściekłości na twarzy morelowej panny sprawia jej tak wielką przyjemność.

- To ja ją chronię i bronię! - Fabio zadarł głowę i spojrzał na giermka wyzywająco. - I też z nią idę!

- Panowie - Ciri napuszyła się i uniosła nos. - Więcej godności. Nie pchajcie się. Dla wszystkich wystarczy.

Pierścień widzów zafalował i zamruczał, gdy śmiało zbliżyła się do klatki, czując niemal oddechy obu chłopców na karku. Wiwerna zasyczała wściekle i zaszamotała się, w nozdrza uderzył gadzi odór. Fabio sapnął głośno, ale Ciri nie cofnęła się. Podeszła jeszcze bliżej i wyciągnęła rękę, prawie dotykając klatki. Potwór runął na pręty, orząc je zębami. Tłum znowu zafalował, ktoś wrzasnął.

– No i co? – Ciri obróciła się, biorąc dumnie pod boki. – Umarłam? Otruł mnie ten niby jadowity potwór? Taki z niego bazyliszek, jak ze mnie...

Urwała, widząc nagłą bladość pokrywającą twarze giermka i Fabia. Odwróciła się błyskawicznie i zobaczyła, jak dwa pręty klatki rozłazały się pod naporem rozwścieczonego jaszczura, wyrywając z ramy zardzewiałe gwoździe.

– Uciekajcie! – wrzasnęła na całe gardło. – Klatka pęka!

Widzowie z krzykiem runęli ku wyjściu. Kilku usiłowało przedrzeć się przez płachtę, ale zaplątali w nią tylko siebie i innych, przewracali, tworząc wrzeszczące kłębowisko. Giermek chwycił Ciri za ramię dokładnie w tym momencie, gdy usiłowała odskoczyć, w rezultacie oboje zatoczyli się, potknęli i upadli, przewracając również Fabia. Kudłaty piesek przekupki zaczął ujadać, dziobaty szkaradnie bluźnić, a zupełnie dezorientowana morelowa panna – przeraźliwie piszczeć.

Pręty klatki wyłamały się z trzaskiem, wiwerna wydarła się na zewnątrz. Dziobaty zeskoczył z podestu i usiłował powstrzymać ją tyczką, ale potwór wytrącił mu ją jednym ciosem łapy, zwinął się i smagnął go kolczastym ogonem, zamieniając ospowaty policzek w krwawą miazgę. Sycząc i rozwijając pokaleczone skrzydła, wiwerna sfrunęła z podestu, rzucając się na Ciri, Fabia i giermka, usiłujących pozbierać się z ziemi. Morelowa panna zemdląła i padła jak długa, na wznak. Ciri sprężyła się do skoku, ale zrozumiała, że nie zdąży.

Uratował ich kosmaty piesek, który wyrwał się z rąk przekupki, przewróconej i zamotanej we własne sześć spódnic. Ujadając cienko, psina rzuciła się na potwora. Wiwerna zasyczała, uniosła się, przydeptała kundelka szponami, zwinęła się wężowym, niesamowicie szybkim ruchem i wpiła mu zęby w kark. Piesek zaskowyczał dziko.

Giermek zerwał się na kolana i sięgnął do boku, ale nie znalazł już rękojeści, bo Ciri była szybsza. Błyskawicznym ruchem wyciągnęła

miecz z pochwy, przyskoczyła w pólbrocie. Wiwerna uniosła się, oderwany łeb pieska zwisał z jej zębatej paszczęki.

Wszystkie wyuczone w Kaer Morhen ruchy, jak się zdawało Ciri, wykonały się same, prawie bez jej woli i udziału. Cięła zaskoczona wiwerne w brzuch i natychmiast zawirowała w uniku, a rzucający się na nią jaszczur upadł na piasek, buchając krwią. Ciri przeskoczyła nad nim, zręcznie unikając świszczącego ogona, pewnie, celnie i mocno rąbnęła potwora w kark, odskoczyła, odruchowo wykonała niepotrzebny już unik i natychmiast poprawiła jeszcze raz, tym razem przerąbując kręgi. Wiwerna skrzyła się i znieruchomiała, tylko węzowaty ogon wił się jeszcze i thukł, siejąc dokoła piaskiem.

Ciri szybko wcisnęła giermkowi do ręki zakrwawiony miecz.

- Już po strachu! - krzyknęła do zbiegającego się tłumu i wciąż wypłatujących się z plachty widzów. - Potwór zabity! Ten mężny rycerz zakatrupił go na śmierć...

Nagle poczuła ucisk w gardle i wirowanie w żołądku, w oczach jej pociemniało. Coś ze straszną mocą walnęło ją w tyłek, tak że aż zadzwoniły zęby. Rozejrzała się błędnie. Tym, co ją walnęło, była ziemia.

- Ciri... - szepnął klęczący przy niej Fabio. - Co ci jest? Bogowie, błada jesteś jak trup...

- Szkoda - wymamrotała - że siebie nie widzisz.

Ludzie tłoczyli się dookoła. Kilku szturchało cielsko wiwerny kijami i ożogami, kilku opatrywało dziobatego, reszta wiwatowała na cześć bohaterskiego giermka, nieustraszonego smokobójcy, jedyne, który zachował zimną krew i zapobiegł masakrze. Giermek cucił morelową pannę, wciąż z lekkim osłupieniem gapiąc się na klingę swego miecza, pokrytą rozmazanymi smugami schnącej krwi.

- Mój bohaterze... - morelowa panna ocknęła się i zarzuciła giermkowi ramiona na szyję. - Mój wybawco! Mój ukochany!

- Fabio - powiedziała słabym głosem Ciri, widząc przepychających się przez ciżbę strażników miejskich. - Pomóż mi wstać i zabierz mnie stąd. Szybko.

- Biedne dzieci... - gruba mieszcza w czepcu spojrzała na nich, gdy chyłkiem wymykali się ze zbiegowiska. - Oj, upiekło się wam. Oj, gdyby nie dzielny rycerzyk, oczy wypłakałyby wasze matki!

- Wywiedźcie się, komu ów młodzian giermkuje! - krzyknął rzemieślnik w skórzanym fartuchu. - Wart za ów czyn pasa i ostróg!

- A zwierzołapa pod pręgierz! Baty mu, baty! Taką potworę do grodu, między ludzi...

- Wody, prędzej! Panna znowu zemdlą!

- Moja biedna Muszka! - zawyla nagle przekupka, schylona nad tym, co zostało z kudłatego kundla. - Moja psinka nieszczęsna! Ludzieeee! Łapcie tę dziewczkę, tę szelmę, co smoka ozeźliła! Gdzie ona? Chwytajcie ją! To nie zwierzołap, to ona wszystkiemu winna!

Strażnicy miejscy, wspomagani przez licznych ochotników, jęli przepychać się wśród tłumu i rozglądać. Ciri opanowała zawroty głowy.

- Fabio - szepnęła. - Rozdzielamy się. Spotkamy się za chwilę w tej uliczce, którą przyszliśmy. Idź. A gdyby ktoś cię zatrzymał i pytał o mnie, to nie znasz mnie i nie wiesz, kim jestem.

- Ale... Ciri...

- Idź!

Ścisnęła w pięści amulet Yennefer i wymruczała aktywizujące zaklęcie. Czar podział w okamgnieniu, a czas był najwyższy. Strażnicy, którzy już przepychali się w jej kierunku, zatrzymali się zdezorientowani.

- Kie lichy? - zdumiał się jeden z nich, patrząc, wydawałoby się, wprost na Ciri. - Gdzie ona? Dopierom co ją widział..

- Tam, tam! - krzyknął drugi, wskazując w przeciwnym kierunku.

Ciri odwróciła się i odeszła, wciąż lekko oszołomiona i osłabiona uderzeniem adrenaliny i aktywizacją amuletu. Amulet działał tak, jak powinien działać - absolutnie nikt jej nie dostrzegał i nikt nie zwracał na nią uwagi. Absolutnie nikt. W rezultacie zanim wydostała się z tłoku, została niezliczoną ilość razy potrącona, podeptana i kopnięta. Cudem uniknęła zmiżdżenia zrzucaną z wozu skrzynią. O mało nie wybito jej oka widłami. Zaklęcia, jak się okazywało, miały swoje dobre i złe strony - i tyleż zalet, co wad.

Działanie amuletu nie trwało długo. Ciri nie miała dość mocy, by nad nim zapanować i przedłużyć czas trwania zaklęcia. Szczęściem czar przestał działać we właściwym momencie - gdy wydostała się z tłumu i zobaczyła Fabia czekającego na nią w uliczce.

- Ojej - powiedział chłopiec. - Ojej, Ciri. Jesteś. Niepokoilem się...

- Niepotrzebnie. Chodźmy, szybciej. Południe już minęło, muszę wracać.

– Nieźle poradziłaś sobie z tym potworem – chłopiec spojrzał na nią z podziwem. – Ależ szybko się zwijałaś! Gdzie ty się tego nauczyłaś?

– Czego? Wiwerne zabił giermek.

– Nieprawda. Widziałem...

– Nic nie widziałeś! Proszę cię, Fabio, ani słowa nikomu. Nikomu. A zwłaszcza pani Yennefer. Ojej, dałaby mi ona, gdyby się dowiedziała...

Zamilkła.

– Ci tam – wskazała za siebie, w stronę rynku – mieli rację. To ja rozdrażniłam wiwerne... To przeze mnie...

– To nie przez ciebie – zaprzeczył z przekonaniem Fabio. – Klatka była zbutwiała i zbita byle jak. Mogła pęknąć w każdej chwili, za godzinę, jutro, pojutrze... Lepiej, że to teraz było, bo uratowałaś...

– Giermek uratował! – wrzasnęła Ciri. – Giermek! Wbij to sobie do głowy nareszcie! Mówię ci, jeżeli mnie zdradzisz, zmienię cię w... W coś okropnego! Ja znam czary! Zaczaruję cię...

– Ejże – rozległo się zza ich pleców. – Dość tego dobrego!

Jedna z idących za nimi kobiet miała ciemne, gładko uczesane włosy, błyszczące oczy i wąskie wargi. Nosila narzucony na ramiona krótki płaszcz z fioletowej kamchy, oprymowany futrem z popielic.

– Dlaczego nie jesteś w szkole, adeptko? – spytała zimnym, dźwięcznym głosem, mierzając Ciri przenikliwym spojrzeniem.

– Zaczekaj, Tissaia – powiedziała druga kobieta, młodsza, jasnowłosa i wysoka, w zielonej, mocno wydekolutowanej sukni. – Ja jej nie znam. Ona chyba nie jest...

– Jest – przerwała ciemnowłosa. – Jestem pewna, że to jedna z twoich dziewcząt, Rita. Nie znasz przecież wszystkich. To jedna z tych, które wymknęły się z Loxii podczas bałaganu przy zmianie kwater. I zaraz nam to sama przyzna. No, adeptko, czekam.

– Co? – zmarszczyła się Ciri.

Kobieta zacisnęła wąskie wargi, poprawiła mankiety rękawiczek.

– Komu ukradłaś amulet kamuflujący? A może ktoś ci go dał?

– Co?

– Nie wystawiaj na próbę mojej cierpliwości, adeptko. Twoje imię, klasa, imię preceptorki. Prędko!

– Co?

– Udajesz głupią, adeptko? Imię! Jak się nazywasz?

Ciri zacisnęła zęby, a jej oczy zapaliły się zielonym żarem.

– Anna Ingeborga Klopstock – wycedziła bezczelnie.

Kobieta uniosła rękę i Ciri natychmiast zrozumiała cały ogrom pomyłki. Yennefer tylko raz i znużona długim marudzeniem zademonstrowała jej, jak działa czar paraliżujący. Wrażenie było wyjątkowo paskudne. Teraz też takie było.

Fabio krzyknął głucho i rzucił się w jej stronę, ale druga kobieta, ta jasnowłosa, chwyciła go za kołnierz i osadziła w miejscu. Chłopiec targnął się, ale ramię kobiety było jak z żelaza. Ciri nie mogła nawet drgnąć. Miała wrażenie, że powoli wrasta w ziemię. Ciemnowłosa pochyliła się i utkwiała w niej błyszczące oczy.

– Nie jestem zwolenniczką kar cielesnych – powiedziała lodowato, ponownie poprawiając mankiety rękawiczek – ale postaram się, by cię wychłostano, adeptko. Nie za nieposłuszeństwo, nie za kradzież amuletu i nie za wagary. Nie za to, że nosisz niedozwolony ubiór, że chodzisz z chłopakiem i rozmawiasz z nim o sprawach, o których zakazano ci mówić. Będiesz wychłostana za to, że nie potrafiłaś rozpoznać arcymistrzyni.

– Nie! – krzyknął Fabio. – Nie rób jej krzywdy, wielmożna pani! Ja jestem klerkiem w banku pana Molnara Giancardiego, a ta panienska jest...

– Zamknij się! – wrzasnęła Ciri. – Zam...

Zakłęcie kneblujące było rzucone szybko i brutalnie. Poczuli w ustach krew.

– No? – ponagliła Fabia ta jasnowłosa, puszczać i pieszczotliwym ruchem wygładzając zmięty kołnierz chłopca. – Mów. Kim jest ta harda panienska?

•

Margarita Laux-Antille z pluskiem wynurzyła się z basenu, rozbryzgując wodę. Ciri nie mogła się powstrzymać, by się nie przyglądać. Widziała nagą Yennefer nie raz i nie sądziła, by ktokolwiek mógł mieć piękniejszą figurę. Była w błędzie. Na widok nagiej Margarity Laux-Antille pokraśniałyby z zawiści nawet marmurowe posągi bogiń i nimf.

Czarodziejka chwyciła ceber z zimną wodą i wylała go sobie na biust, klnąc przy tym nieprzyzwoicie i otrząsając się.

- Hej, dziewczyno - skinęła na Ciri. - Bądź tak dobra i podaj mi ręcznik. No, przestań się wreszcie na mnie boczyć.

Ciri fuknęła z cicha, nadal obrażona. Gdy Fabio zdradził, kim jest, czarodziejki wlokły ją przemocą przez pół miasta, wystawiając na pośmiewisko. W banku Giancardiego sprawa, rzecz jasna, wyjaśniła się natychmiast. Czarodziejki przeprosiły Yennefer, tłumacząc swoje zachowanie. Chodziło o to, że adeptki z Aretuzy zostały czasowo przeniesione do Loxii, bo pomieszczenia szkoły zamieniano na kwatery dla uczestników i gości zjazdu czarodziejów. Korzystając z zamieszania przy przeprowadzce, kilka adeptek wymknęło się z Thanedd i zwagarowało do miasta. Margarita Laux-Antille i Tissaia de Vries, zaalarmowane aktywizacją amuletu Ciri, wzięły ją za jedną z wagarowiczek.

Czarodziejki przeprosiły Yennefer, ale żadna nie pomyślała o tym, by przeprosić Ciri. Yennefer, wysłuchując przeprosin, patrzyła na nią, a Ciri czuła, jak płoną jej uszy. A najbiedniejszy był Fabio – Molnar Giancardi zrugął go tak, że chłopiec miał łzy w oczach. Ciri było go żal, ale była też z niego dumna – Fabio dotrzymał słowa i nawet słówkiem nie pisnął o wiwernie.

Yennefer, jak się okazało, doskonale знаła Tissaie i Margaritę. Czarodziejki zaprosiły ją do „Srebrnej Czapli”, najlepszego i najdroższego zajazdu w Gors Velen, gdzie Tissaia de Vries zatrzymała się po przyjeździe, z sobą tylko znanych powodów zwlekając z udaniem się na wyspę. Margarita Laux-Antille, która, jak się okazało, była rektorką Aretuzy, przyjęła zaproszenie starszej czarodziejki i chwilowo dzieliła z nią mieszkanie. Zajazd był prawdziwie luksusowy – miał w podziemiach własną łaźnię, którą Margarita i Tissaia wynajęły do swego wyłącznego użytku, płacąc za to niewyobrażalne pieniądze. Yennefer i Ciri, rzecz jasna, zostały zachęczone do korzystania z łaźni – w rezultacie wszystkie na przemian pływały się w basenie i pociły w parze już od kilku godzin, plotkując przy tym nieustannie.

Ciri podała czarodziejce ręcznik. Margarita delikatnie uszczypnęła ją w policzek. Ciri znowu fuknęła i z pluskiem wskoczyła do basenu, do pachnącej rozmarynem wody.

- Pływa jak mała foczka – zaśmiała się Margarita, wyciągając się obok Yennefer na drewnianej leżance. - A zgrabna jak najada. Dasz mi ją, Yenna?

- W tym celu ją tu przywiozłam.
- Na który rok mam ją przyjąć? Zna podstawy?
- Zna. Ale niech zacznie jak wszystkie, od freblówki. Nie zaszkodzi jej to.

- Mądrze - powiedziała Tissaia de Vries, zajęta poprawianiem ustawienia pucharków na marmurowym, pokrytym warstewką skroplonej pary blacie stołu. - Mądrze, Yennefer. Dziewczynie będzie łatwiej, jeśli rozpocznie wraz z innymi nowicjuszkami.

Ciri wyskoczyła z basenu, siadła na brzegu cembrowiny, wyżymając włosy i pluszcząc nogami w wodzie. Yennefer i Margarita plotkowały leniwie, co jakiś czas wycierając twarze zmoczonymi w zimnej wodzie ściereczkami. Tissaia, skromnie owinięta w prześcieradło, nie włączała się do rozmowy, sprawiając wrażenie całkowicie pochłoniętej robieniem porządku na stoliku.

- Uniżenie przepraszam wielmożne damy! - zawołał nagle z góry niewidoczny właściciel zajazdu. - Racście wybaczyć, że śmiem przeszkadzać, ale... Jakiś oficer pragnie pilnie widzieć panią de Vries! Mówi, że to nie cierpi zwłoki!

Margarita Laux-Antille zachichotała i mrugnęła do Yennefer, po czym obie jak na komendę odrzuciły z bioder ręczniki i przybrały dość wyszukane i bardzo wyzywające pozy.

- Niech oficer wejdzie! - krzyknęła Margarita, powstrzymując śmiech.
- Zapraszamy! Jesteśmy gotowe!

- Jak dzieci - westchnęła Tissaia de Vries, kręcąc głową. - Okryj się, Ciri.

Oficer wszedł, ale figiel czarodziejek całkowicie spalił na panewce. Oficer nie zmieszał się na ich widok, nie zaczerwienił, nie otworzył ust, nie wybałuszył oczu. Bo oficer był kobietą. Wysoką, smukłą kobietą z grubym czarnym warkoczem i mieczem u boku.

- Pani - powiedziała sucho kobieta, z chrzęstem kolczugi kłaniając się lekko w stronę Tissai de Vries. - Melduję wykonanie twych poleceń. Proszę o pozwolenie na powrót do garnizonu.

- Zezwalam - odrzekła krótko Tissaia. - Dziękuję za eskortę i za pomoc. Szczęśliwej drogi.

Yennefer usiadła na leżance, patrząc na czarno-złoto-czerwona kokardę na ramieniu wojowniczkii.

- Czy ja ciebie nie znam?

Wojowniczką ukloniła się sztywno, otarła spoconą twarz. W łaźni było gorąco, a ona miała na sobie kolczugę i skórzany kaftan.

– Często bywałam w Vengerbergu – powiedziała. – Pani Yennefer. Zwę się Rayla.

– Sądząc po kokardzie, służysz w oddziałach specjalnych króla Demawenda?

– Tak, pani.

– W randze?

– Kapitana.

– Bardzo dobrze – roześmiała się Margarita Laux-Antille. – W wojsku Demawenda, jak konstatuję z zadowoleniem, zaczęto nareszcie dawać oficerskie patenty żołnierzom mającym jaja.

– Czy mogę odejść? – wojowniczką wyprostowała się, opierając dłoń na głowicy miecza.

– Możesz.

– Wyczułam wrogość w twoim głosie, Yenna – powiedziała po chwili Margarita. – Co masz do pani kapitan?

Yennefer wstała, zdjęła dwa pucharki ze stolika.

– Widziałas słupy stojące na rozstajach? – spytała. – Musiałas widzieć, musiałas wachać smród gnijących trupów. Te słupy to ich pomysł i ich dzieło. Jej i jej podkomendnych z oddziałów specjalnych. Banda sadystów!

– To wojna, Yennefer. Ta Rayla nie raz musiała widzieć towarzyszy broni, którzy wpadli żywi w łapy Wiewiórek. Powieszonych za ręce na drzewach jako cel dla strzał. Oślepionych, wykastrowanych, z nogami spalonymi w ogniskach. Okrucieństw, które popełniają Scoia'tael, nie powstydzilaby się sama Falka.

– Metody oddziałów specjalnych też jako żywo przypominają metody Falki. Ale nie o to chodzi, Rita. Ja nie rozczulam się nad losem elfów, wiem, czym jest wojna. Wiem też, jak wygrywa się wojny. Wygrywa się je żołnierzami, którzy z przekonaniem i poświęceniem bronią kraju, bronią swego domu. Nie z takimi jak ta Rayla, z najemnikami bijącymi się dla pieniędzy, którzy nie umieją i nie zechcą się poświęcać. Oni nawet nie wiedzą, czym jest poświęcenie. A jeśli wiedzą, pogardzają nim.

– Pal sześć ją, jej poświęcenie i jej pogardę. Co to nas obchodzi? Ciri, narzuć coś na siebie i skocz na górę po nową karafkę. Mam ochotę się

dzisiaj urząć.

Tissaia de Vries westchnęła, kręcąc głową. Uwadze Margarity to nie uszło.

– Na szczęście – zachichotała – nie jesteśmy już w szkole, kochana mistrzyni. Wolno już nam robić, co się nam podoba.

– Nawet w obecności przyszłej adeptki? – spytała zjadliwie Tissaia. – Ja, gdy byłam rektorką Aretuzy...

– Pamiętamy, pamiętamy – przerwała z uśmiechem Yennefer. – Choćbyśmy chciały, nie zapomnimy. Idź po karafkę, Ciri.

Na górze, czekając na karafkę, Ciri była świadkiem odjazdu wojowniczk i jej oddziału składającego się z czterech żołnierzy. Z ciekawością i podziwem przyglądała się ich postawom, minom, odzieniu i broni. Rayla, kapitan z czarnym warkoczem, właśnie kłóciła się z właścicielem zajazdu.

– Nie będę czekała do świtu! I łajno mnie obchodzi, że bramy zamknięte! Chcę natychmiast za mury! Wiem, że zajazd ma w stajniach własną poternę! Rozkazuję ją otworzyć!

– Przepisy...

– Łajno mnie obchodzą przepisy! Wykonuję rozkazy arcymistrzyni de Vries!

– Dobrze już, kapitanie, nie krzyczcie. Otworzę wam...

Owa poterna, jak się okazało, była wąskim, solidnie zaryglowanym przejściem, prowadzącym wprost za mury miasta. Zanim Ciri odebrała z rąk pachółka karafkę, zobaczyła, jak ową poternę otworzono, a Rayla i jej oddział wyjechali na zewnątrz, w noc.

Zamyśliła się.

•

– No, nareszcie – ucieszyła się Margarita, nie wiadomo, czy na widok Ciri, czy niesionej przez nią karafki. Ciri postawiła karafkę na stoliku – najwidoczniej źle, bo Tissaia de Vries natychmiast ją poprawiła. Nalewając, Yennefer popsuła całe ustawienie i Tissaia znowu musiała poprawiać. Ciri ze zgrozą wyobraziła sobie Tissaie w roli nauczycielki.

Yennefer i Margarita wróciły do przerwanej rozmowy, nie żałując karafki. Dla Ciri stało się jasnym, że wkrótce będzie znowu musiała biec po nową. Zamyśliła się, przysłuchując rozmowie czarodziejek.

- Nie, Yenna - potrząsnęła głową Margarita. - Nie jesteś, jak widzę, na bieżąco. Zerwałam z Larsem. To już skończone. *Elaine deireádh*, jak mawiają elfy.

- I dlatego masz ochotę się urząnąć?

- Między innymi - potwierdziła Margarita Laux-Antille. - Smutno mi, nie ukrywam. W końcu byłam z nim przez cztery lata. Ale musiałam z nim zerwać. Z takiej mąki nie bywa chleba...

- Zwłaszcza - parsknęła Tissaia de Vries, wpatrzona w złote wino w kołysanym pucharze - że Lars był żonaty.

- To akurat - wzruszyła ramionami czarodziejka - uważam za pozbawione znaczenia. Wszyscy atrakcyjni mężczyźni w interesującym mnie wieku są żonaci, nic na to nie poradzę. Lars kochał mnie, a i mnie wydawało się przez czas jakiś... Ach, co tu dużo mówić. Za dużo chciał. Zagroził mojej swobodzie, a mnie mdli na samą myśl o monogamii. Zresztą wzięłam przykład z ciebie, Yenna. Pamiętasz tamtą rozmowę, w Vengerbergu? Gdy postanowiłaś zerwać z tym twoim wiedźminem? Radziłam ci wówczas, byś się zastanowiła, mówiłam, że miłości nie znajduje się na ulicy. Ale jednak to ty miałaś rację. Miłość miłością, a życie życiem. Miłość mija...

- Nie słuchaj jej, Yennefer - powiedziała zimno Tissaia. - Jest rozgoryczona i pełna żalu. Wiesz, dlaczego nie idzie na bankiet do Aretuzy? Bo wstydzi pokazać się tam sama, bez mężczyzny, z którym kojarzono ją od czterech lat. Którego jej zazdroszczono. Którego straciła, bo nie umiała docenić jego miłości.

- Może by tak porozmawiać o czymś innym? - zaproponowała Yennefer pozornie niefrasobliwym, ale odrobinę zmienionym głosem. - Ciri, nalej nam. Cholera, mała ta karafka. Bądź milutka, przynieś jeszcze jedną.

- Przynieś dwie - zaśmiała się Margarita. - W nagrodę też dostaniesz łyčzek i usiądziesz przy nas, nie będziesz już musiała strzyc z daleka uszami. Twoja edukacja rozpocznie się tutaj, zaraz, zanim jeszcze trafisz do mnie, do Aretuzy.

- Edukacja! - Tissaia wzniosła oczy ku powale. - Bogowie!

- Cicho, ukochana mistrzyni - Margarita pacnęła się dłonią w mokre udo, pozorując gniew. - Teraz ja jestem rektorką szkoły! Nie udało ci się ściąć mnie na końcowych egzaminach!

- Żałuję.

- Ja też, wyobraź sobie. Miałabym teraz prywatną praktykę, jak Yenna, nie musiałabym męczyć się z adeptkami, nie musiałabym wycierać nosów tym płaskim ani użerać się z tymi hardymi. Ciri, posłuchaj mnie i ucz się. Czarodziejka zawsze działa. Źle czy dobrze, okaże się później. Ale trzeba działać, śmiało chwycić życie za grzywę. Wierz mi, malutka, żałuje się wyłącznie bezczynności, niezdecydowania, wahania. Czynów i decyzji, choć niekiedy przynoszą smutek i żal, nie żałuje się. Spójrz na tę poważną panią, która siedzi tam, robi miny i pedantycznie poprawia, co może. To Tissaia de Vries, arcymistrzyni, która wychowała dziesiątki czarodziejek. Ucząc je, że należy działać. Że niezdecydowanie...

- Przestań, Rita.

- Tissaia ma rację - powiedziała Yennefer, wciąż wpatrzona w kąt łaźni. - Przestań. Wiem, że smutno ci z powodu Larsa, ale nie zamieniaj tego w nauki życiowe. Dziewczyna ma jeszcze czas na tego typu nauki. I nie w szkole je odbierze. Ciri, idź po karafkę.

Ciri wstała. Była już kompletnie ubrana.

I w pełni zdecydowana.

•

- Co? - wrzasnęła Yennefer. - Co takiego? Jak to, odjechała?

- Kazała... - wymamrotał gospodarz, blednąc i przyciskając się plecami do ściany. - Kazała osiodłać sobie konia...

- I ty posłuchałeś jej? Miał zwrócić się do nas?

- Pani! Skąd mogłem wiedzieć? Pewien byłem, że rusza z waszego rozkazu... Ani mi w głowie nie powstała myśl...

- Ty przekłety durniu!

- Spokojnie, Yennefer - Tissaia przyłożyła rękę do czoła. - Nie ulegaj emocjom. Jest noc. Nie wypuszczaj jej za bramy.

- Kazała - szepnął gospodarz - stworzyć sobie poternę...

- I otworzono jej?

- Przez ten zjazd, pani - gospodarz spuścił oczy - w mieście pełno czarodziejów... Boją się ludzie, nikt nie śmie im w drogę wejść... Jak mogłem jej odmówić? Mówiła tak samo jak wy, pani, kubek w kubek takim samym głosem... I patrzyła tak samo... Nikt nie śmiał nawet w oczy jej spojrzeć, co dopiero pytań stawiać... Była taka jak wy... Kubek w kubek... Kazała podać sobie pióro i inkaust... i napisała list.

– Dawaj!

Tissaia de Vries była szybsza.

Pani Yennefer!

– przeczytała na głos.

Wybacz mi. Jadę do Hirundum, bo chcę zobaczyć Geralta. Zanim pójde do szkoły, chcę go zobaczyć. Wybacz mi nieposłuszeństwo, ale ja muszę. Wiem, że mnie ukarzesz, ale nie chcę żałować niezdecydowania i wahania. Jeśli mam żałować, to niech to będzie za czyn i za działanie. Jestem czarodziejką. Chwytam życie za grzywę. Wrócę, gdy tylko będę mogła.

Ciri

– To wszystko?

– Jest jeszcze postscriptum:

Powiedz pani Ricie, że w szkole nie będzie musiała wycierać mi nosa.

Margarita Laux-Antille pokręciła głową z niedowierzaniem. A Yennefer zakłęła. Karczmarz pokraśniał i otworzył usta. Słyszał już wiele przekleństw, ale takiego jeszcze nie.

•

Wiatr wiał od lądu w kierunku morza. Fale chmur najechały na księżyc wiszący nad lasem. Droga ku Hirundum utonęła w ciemności. Galop stał się zbyt niebezpieczny. Ciri zwolniła, poszła klusem. O tym, by jechać stępą, nawet nie pomyślała. Spieszyła się.

Z oddali słychać było pomruki nadciągającej burzy, horyzont co pewien czas jaśniał poświatą błyskawic, wyłaniających z mroku zębatą pilę wierzchołków drzew.

Wstrzymała konia. Była na rozstaju – droga rozchodziła się widłowo, oba rozwidlenia wyglądały identycznie.

Dlaczego Fabio nie mówił nic o rozstajach? A, co tam, przecież ja nigdy nie błędzę, przecież ja zawsze wiem, któredy trzeba iść lub jechać...

Dlaczego więc teraz nie wiem, w którą drogę skręcić?

Olbrzymi kształt bez szmeru przesunął się nad jej głową. Ciri poczuła, jak serce podjeżdża jej do przętyku. Koń zarżał, wierzgnął i pomknął galopem, wybierając prawe rozwidlenie. Wstrzymała go po chwili.

– To tylko zwykła sowa – wydyszała, próbując uspokoić siebie i wierzchowca. – Zwyczajny ptak... Nie ma się czego bać...

Wiatr wzmagał się, ciemne chmury zakryły księżyc całkowicie. Ale przed nią, w perspektywie drogi, w zieleń wśród lasu szczerbie, była jasność. Pojechała szybciej, piasek prysnął spod kopyt.

Wkrótce musiała się zatrzymać. Przed nią było urwisko i morze, z którego wyrastał znajomy czarny stożek wyspy. Z miejsca, w którym się znajdowała, nie widać było światła Garstangu, Loxii ani Aretuzy. Widziała tylko samotną, strzelistą, zwieńczającą Thanedd wieżę.

Tor Lara.

Zagrzmiało, a w chwilę później oślepiająca wstęga błyskawicy połączyła chmurne niebo ze szczytem wieży. Tor Lara łypnęła na nią czerwonymi ślepiami okien, zdawało się, że we wnętrzu wieży na sekundę zapłonął ogień.

Tor Lara... Wieża Mewy... Dlaczego ta nazwa budzi we mnie taką grozę?

Wicher targnął drzewami, gałęzie zaszumiały, Ciri zmrużyła oczy, kurz i listki uderzyły ją w policzek. Zawróciła parskającego i boczącego się konia. Odzyskała orientację. Wyspa Thanedd wskazywała północ, ona musiała jechać w kierunku zachodnim. Piaszczysta droga kładła się wśród mroku wyraźną białą wstęgą. Poszła w galop.

Zagrzmiało znowu, w świetle błyskawicy Ciri nagle zobaczyła jeźdźców. Ciemne, niewyraźne, ruchliwe sylwetki po obu stronach drogi. Usłyszała okrzyk.

– *Gar’ean!*

Bez namysłu spięła konia, ściągnęła wodze, zawróciła i poszła w galop. Za nią krzyk, gwizd, rżenie, łomot kopyt.

– *Gar’ean! Dh’oine!*

Galop, łomot kopyt, pęd powietrza. Ciemność, w której migają białe pnie przydrożnych brzoź. Grzmot. Błyskawica, w jej świetle dwóch konnych próbuje zająć jej drogę. Jeden wyciąga rękę, chce chwycić wodze. Do czapki ma przypięty wiewiórczy ogon. Ciri uderza konia piętami, przywiera do końskiej szyi, pęd przenosi ją obok. Za nią krzyk, gwizd, łoskot gromu. Błyskawica.

– *Spar’le, Yaevinn!*

Cwał, cwał! Szybciej, koniu! Grom. Błyskawica. Rozwidlenie dróg. W lewo! Ja nigdy nie błądzę! Znowu rozwidlenie. W prawo! W cwał, koniu! Szybciej, szybciej!

Droga biegnie w górę, pod kopytami piach, koń, choć ponaglany, zwalnia...

Na szczycie wzniesienia obejrzała się. Kolejna błyskawica oświeciła drogę. Zupełnie pustą. Nadstawiła uszu, ale słyszała wyłącznie wiatr, szumiący liśćmi. Zagrzmiało.

Tu nie ma nikogo. Wiewiórki... To tylko wspomnienie z Kaedwen. Róża z Shaerrawedd... To wszystko mi się tylko zdawało. Tu nie ma żywego ducha, nikt mnie nie ściga...

Uderzył w nią wiatr. Wiatr wieje od lądu, pomyślała, a czuję go na prawym policzku...

Zabłądziłam.

Błyskawica. W jej świetle rozbłyskuje powierzchnia morza, na jej tle czarny stożek wyspy Thanedd. I Tor Lara. Wieża Mewy. Wieża, która ciągnie jak magnes... Ale ja nie chcę do tej wieży. Ja jadę do Hirundum. Bo muszę zobaczyć Geralta.

Znowu błysnęło.

Miedzy nią a urwiskiem stał czarny koń. A na nim siedział rycerz w hełmie ozdobionym skrzydłami drapieżnego ptaka. Skrzydła załopotwały nagle, ptak zrywa się do lotu...

Cintra!

Paraliżujący strach. Ręce do bólu zaciśnięte na rzemieniu wodzy. Błyskawica. Czarny rycerz spina konia. W miejscu twarzy ma upiorną maskę. Skrzydła łopoczą...

Koń poszedł w galop bez zachęty. Ciemność, rozświetlana błyskawicami. Las się kończy. Pod kopytami plusk, mlaskot bagna. Za nią szum skrzydeł drapieżnego ptaka. Coraz bliżej... Bliżej...

Wściekły galop, oczy łzawią od pędu. Błyskawice tną niebo, w ich świetle Ciri widzi olchy i wierzby po obu stronach drogi. Ale to nie są drzewa. To są słudzy Króla Olch. Słudzy czarnego rycerza, który galopuje za nią, a skrzydła drapieżnego ptaka szumią na jego hełmie. Pokraczne potwory po obu stronach drogi wyciągają ku niej gruzłowate ramiona, śmieją się dziko, rozdziawiając czarne paszczęki dziupli. Ciri kładzie się na końskiej szyi. Gałęzie świszczą, smagają, czepiają się ubrania. Pokraczne pnie trzeszczą, dziuple kłapią, zanoszą się szyderczym śmiechem...

Lwiątko z Cintry! Dziecko Starszej Krwi!

Czarny rycerz jest tuż za nią, Ciri czuje jego rękę próbującą chwycić ją za włosy na karku. Popędzony krzykiem koń rwie do przodu, ostrym skokiem bierze niewidoczną przeszkodę, z trzaskiem łamie trzciny, potyka się...

Ściągnęła wodze, odchylając się w kulbace, obróciła chrapiącego konia. Krzyknęła dziko, wściekle. Wyszarpnęła miecz z pochwy, zawinęła nim nad głowę. To już nie Cintra! Ja już nie jestem dzieckiem! Już nie jestem bezbronna! Nie pozwolę...

– Nie pozwolę! Nie dotkniesz mnie już! Nie dotkniesz mnie już nigdy!

Koń z pluskiem i chlupotem wylądował w wodzie, siegającej mu po brzuch. Ciri pochyliła się, krzyknęła, uderzyła wierzchowca piętami, wyrwała się z powrotem na groblę. Stawy, pomyślała. Fabio mówił o stawach rybnych. To jest Hirundum. Trafiłam. Ja nigdy nie błądzę...

Błyskawica. Za nią grobla, dalej czarna ściana lasu, werżnięta w niebo jak piła. I nikogo. Cisza przerywana tylko skowytem wichru. Gdzieś na bagnach kwacze wystraszona kaczka.

Nikogo. Na grobli nie ma nikogo. Nikt mnie nie ściga. To był majak, koszmar. Wspomnienie z Cintry. To mi się tylko zdawało.

W oddali światelko. Latarnia. Albo ogień. To farma. Hirundum. Już blisko. Jeszcze tylko jeden wysiłek...

Błyskawica. Jedna, druga, trzecia. Bez gromu. Wiatr zamiera nagle. Koń rży, miota łbem i staje dęba.

Na czarnym niebie pojawia się mleczna, szybko jaśniejąca wstęga, zwijająca się jak wąż. Wiatr znowu uderza w wierzby, wzbija z grobli kurzawę liści i zeschniętych traw.

Dalekie światelko znika. Tonie i rozmywa się w powodzi miliarda błękitnych ogników, którymi nagle rozbłyskuje i płonie całe bagno. Koń parska, rży, szaleje po grobli, Ciri z trudem utrzymuje się w siodle.

W sunącej po niebie wstędze zjawiają się niewyraźne, koszmarnie sylwetki jeźdźców. Są coraz bliżej, widać ich coraz wyraźniej. Chwieją się bawole rogi i wystrzępione pióropusze na hełmach, spod hełmów bieleją trupy maski. Jeźdźcy siedzą na szkieletach koni, okrytych strzępami kropierzy. Wściekły wichur wyje wśród wierzb, klingi błyskawic bez ustanku tną czarne niebo. Wiatr zawodzi coraz głośniej. Nie, to nie wiatr. To upiorny śpiew.

Koszmarna kawalkada zakręca, mknie wprost na nią. Kopyta widmowych koni kotłują poświatę błędnych ogników wiszących nad

bagnami. Na czele kawalkady galopuje Król Gonu. Przerdzewiały szyszak kołysze się nad trupią maską, ziejącą dziurami oczodołów, w których płonie sinawy ogień. Powiewa wystrzępiony płaszcz. O pokryty rdzą napierśnik grzechocze naszyjnik, pusty jak stara grochowina. Niegdyś były w nim drogie kamienie. Ale wypadły podczas dzikiej gonitwy po niebie. I stały się gwiazdami...

To nieprawda! Tego nie ma! To koszmar, to majak, to złuda! To mi się tylko zdaje!

Król Gonu spina rumaka-kościotrupa, wybucha dzikim, przerażającym śmiechem.

Dziecko Starszej Krwi! Należysz do nas! Jesteś nasza! Dołącz do orszaku, dołącz do naszego Gonu! Będziemy gnać, gnać aż do końca, aż do wieczności, aż po kraniec istnienia! Jesteś nasza, gwiazdooka córo Chaosu! Dołącz, poznaj radość Gonu! Jesteś nasza, jesteś jedną z nas! Wśród nas jest twoje miejsce!

– Nie! – wrzasnęła. – Idźcie precz! Jesteście trupami!

Król Gonu śmieje się, kłapią przegniłe zęby nad zardzewiałym kołnierzem zbroi. Sino goreją oczodoły trupiej maski.

Tak, my jesteście trupami. Ale to ty jesteś śmiercią.

Ciri przywarła do końskiej szyi. Nie musiała popędzać konia. Czując za sobą ścigające widma, wierzchowiec rwał po grobli w karkołomnym cwale.

•

Bernie Hofmeier, niziołek, farmer z Hirundum, uniósł kędzierzawą głowę, wsłuchując się w daleki odgłos gromu.

– Niebezpieczna rzecz – powiedział – taka burza bez deszczu. Rypnie gdzieś piorun i pożar gotowy...

– Trochę deszczu by się zdało – westchnął Jaskier, dokręcając kołki lutni – bo powietrze takie, że nożem można krajać... Koszula się klei do grzbietu, komary tną... Ale chyba to się rozejdzie po kościach. Krążyła burza, krążyła, ale od jakiegoś czasu błyska się gdzieś na północy. Chyba nad morzem.

– Wali w Thanedd – potwierdził niziołek. – To najwyższy punkt w okolicy. Ta wieża na wyspie, Tor Lara, cholernie ściąga pioruny. W czasie porządnej nawałnicy wygląda tak, jakby stała w ogniu. Aż dziw bierze, że się nie rozleci...

- To magia - stwierdził z przekonaniem trubadur. - Wszystko na Thanedd jest magiczne, nawet sama skała. A czarodzieje nie lękają się piorunów. Co ja mówię! Czy wiesz, Bernie, że oni potrafią łapać pioruny?

- A jużci! Łiesz, Jaskier.

- Niech mnie grom... - poeta urwał, niespokojnie spojrzał na niebo. - Niech mnie gęś kopnie, jeśli kłamię. Powiadam ci, Hofmeier, magicy łapią pioruny. Na własne oczy widziałem. Stary Gorazd, ten, którego później zabili na Wzgórzu Sodden, złapał kiedyś piorun na moich oczach. Wziął długi kawał drutu, jeden koniec uczepił na czubku swej wieży, drugi zaś...

- Drugi koniec drutu trza by w butlę włożyć - zapiszczał nagle kręcący się po ganku syn Hofmeiera, malutki niziołek z czupryną gęstą i kręconą jak baranie runo. - W szklany gąsior, taki, w jakim tatko wino pędzą. Pierun po drucie do gąsiora smyknie...

- Do domu, Franklin! - wrzasnął farmer. - Do łóżka, spać, ale już! Wnet północ, a jutro pracować trza! A niech no ja cię schwyce, gdy w czas burzy koło gąsiorów albo drutów majdrujesz, będzie rzemień w robocie! Dwie niedziele na dupie nie usiedzisz! Petunia, weźże go stąd! A nam jeszcze piwa przynieś!

- Wystarczy wam - powiedziała gniewnie Petunia Hofmeier, zabierając syna z ganku. - Dość już wyżyłopaliście.

- Nie gderaj. Tylko patrzeć, jak wiedźmin wróci. Godzi się gościa poczęstować.

- Gdy wiedźmin wróci, przyniosę. Dla niego.

- Ot, skapa baba - burknął Hofmeier, ale tak, by żona nie dosłyszała. - Cała jej swojacina, Biberveldtowie z Łaki, co do jednego kutwa w kutwę i na kutwie jeździ... A wiedźmina coś długo nie widać. Jak poszedł nad stawy, tak przepadł. Dziwny z niego człek. Widziałeś, jak z wieczora na dziewczynki patrzył, na Cinię i Tangerinkę, gdy się na podwórzu bawiły? Dziwny miał wzrok. A teraz... Oprzeć się nie mogę wrażeniu, że poszedł, by sam być. A u mnie gościnę przyjął, bo moja farma na uboczu, z dala od innych. Ty go lepiej znasz, Jaskier, powiedz...

- Znam go? - poeta zabił komara na karku, zabrzdąkał na lutni, wpatrzony w czarne sylwetki wierzb nad stawem. - Nie, Bernie. Nie znam. Myślę, że nikt go nie zna. Ale coś się z nim dzieje, widzę to. Po co on tu przyjechał, do Hirundum? Żeby być bliżej wyspy Thanedd? A gdy

wczoraj zaproponowałem mu wspólną jazdę do Gors Velen, skąd Thanedd widać, odmówił bez namysłu. Co go tu trzyma? Daliście mu jakieś intratne zlecenia?

– Gdzie tam – mruknął niziołek. – Szczerze powiem, wcale nie wierzę, żeby tu naprawdę jakiś potwór był. Tego dzieciaka, co w stawie utonął, mógł kurcz chwycić. Ale zaraz wszyscy w krzyk, że to utopiec albo kikimora i że trzeba wiedźmina wezwać... A pieniądze to mu takie nikczemne obiecali, że aż wstyd. A on co? Trzy noce po groblach łązi, w dzień śpi albo siedzi bez słowa, jak chochoł, na dzieciaki patrzy, na dom... Dziwne. Rzekłbym, osobliwe.

– Dobrze rzekłbyś.

Lysnęła błyskawica, oświetlając obejście i zabudowania farmy. Na moment załśniły bielą ruiny elfiego pałacyku na końcu grobli. Po chwili nad sadami przetoczył się gruchot gromu. Zerwał się gwałtowny wiatr, drzewa i trzciny nad stawem zaszumiały i przygięły się, lustro wody zmarszczyło się i zmatowiało, najeżyło postawionymi sztorcem liśćmi nenufarów.

– Idzie jednak burza ku nam – farmer popatrzył w niebo. – Może ją magicy czarami odegnali od wyspy? Na Thanedd zjechało ich pono ze dwie setki... Jak myślisz, Jaskier, nad czym oni tam będą radzić, na tym ich zjeździe? Będzie z tego co dobrego?

– Dla nas? Wątpię – trubadur pociągnął kciukiem po strunach lutni. – Te zjazdy to zwykle rewia mody, plotki, okazja do obmów i wewnętrznych przepychanek. Kłótnie o to, czy upowszechniać magię, czy ją elitaryzować. Awantury pomiędzy tymi, którzy służą królom, i tymi, którzy wolą z daleka wywierać na królów presję...

– Ha – powiedział Bernie Hofmeier. – Coś mi się tedy widzi, że w czasie tego zjazdu będzie na Thanedd łyskać a grzmieć nie gorzej niż w czas burzy.

– Możliwe. Ale co to nas obchodzi?

– Ciebie nic – rzekł ponuro niziołek. – Bo ty jeno na lutni brzdąkasz i piejesz. Patrzysz na świat dokoła i tylko rymy widzisz i nuty. A nam tu jeno za ostatnią niedzielę konni dwa razy kapustę i rzepe kopytami stratowali. Wojsko goni za Wiewiórkami, Wiewiórki kluczą i zmykają, a jednym i drugim przez naszą kapustę droga wypada...

– Nie czas żałować kapusty, gdy płonie las – wyrecytował poeta.

- Ty, Jaskier - Bernie Hofmeier spojrzał na niego krzywo - jak coś powiesz, to nie wiadomo, płakać, śmiać się czy w rzyć cię kopnąć. Ja poważnie gadam! I to ci powiem, że paskudny nadszedł czas. Przy gościńcach pale, szubienice, na polanach i po duktach trupy, psiamać, ten kraj musiał tak chyba wyglądać za czasów Falki. I jak tu żyć? W dzień przyjadą królewscy ludzie i grożą, że za pomaganie Wiewiórkom wezmą nas w dyby. A nocą zjawiają się elfy i spróbuj im pomocy odmówić! Zaraz poetycznie obiecują, że zobaczymy, jak noc przybiera czerwone oblicze. Tacy poetyczni są, że wyrzygać się można. I tak nas wzięli w dwa ognie...

- Liczysz na to, że zjazd czarodziejów coś zmieni?

- A liczę. Sam powiedziałeś, że się wśród magików dwa stronnictwa przepierają. Bywało już drzewiej, że czarodzieje królów mitygowali, kładli kres wojnom i ruchawkom. Przecie to właśnie magicy pokój uczynili z Nilfgaardem trzy lata temu. To może i teraz...

Bernie Hofmeier umilkł, nadstawił ucha. Jaskier stłumił dłonią dźwięczące struny.

Z mroku na grobli wyłonił się wiedźmin. Szedł wolno w stronę domu. Znowu łysnęła błyskawica. Gdy zagrzmiało, wiedźmin był już przy nich, na ganku.

- No i jak, Geralt? - spytał Jaskier, by przerwać niezręczne milczenie.

- Wytropiłeś szkaradę?

- Nie. To nie jest noc do tropienia. To niespokojna noc. Niespokojna... Zmęczony jestem, Jaskier.

- Usiądź więc, odetchnij.

- Nie zrozumiałeś mnie.

- W samej rzeczy - mruknął niziołek, patrząc w niebo i nasłuchując. - Niespokojna noc, niedobrego coś w powietrzu wisi... Zwierzaki tłuką się w oborze... A w tym wichrze krzyki słyszać...

- Dziki Gon - powiedział cicho wiedźmin. - Pozamykajcie dobrze okiennice, panie Hofmeier.

- Dziki Gon? - przeraził się Bernie. - Widma?

- Bez obaw. Przejdzie wysoko. Latem zawsze przechodzi wysoko. Ale dzieci mogą się zbudzić, Gon przynosi senne koszmary. Lepiej zamknąć okiennice.

- Dziki Gon - powiedział Jaskier, niespokojnie zerkając w górę - zwiastuje wojnę.

– Bzdura. Przesąd.
– Ale! Na krótko przed nilfgaardzkim atakiem na CINTRĘ...
– Cicho! – wiedźmin przerwał mu gestem, wyprostował się nagle, zapatrzonego w ciemność.
– Co się...
– Konni.
– Psiakrew – syknął Hofmeier, zrywając się z ławy. – Nocą to mogą być tylko Scoia'tael...
– Jeden koń – przerwał mu wiedźmin, podnosząc z ławy miecz. – Jeden rzeczywisty koń. Reszta to widma z Gonu... Cholera, niemożliwe... Latem?

Jaskier też się zerwał, ale wstyd mu było uciekać, bo ani Geralt, ani Bernie nie sposobili się do ucieczki. Wiedźmin wydobył miecz i pobiegł w kierunku grobli, niziołek bez namysłu pospieszył za nim, uzbrojony w widły. Znowu błysnęło, na grobli zamajaczył galopujący koń. A za koniem podążało coś nieokreślonego, coś, co było nieregularnym, utkanym z mroku i poświaty kłębem, wirem, majakiem. Coś, co budziło paniczny strach, obrzydliwą, skręcającą trzewia grozę.

Wiedźmin krzyknął, wznosząc miecz. Jeździec zauważył go, przyspieszył galop, obejrzał się. Wiedźmin krzyknął raz jeszcze. Gruchnął grom.

Błysnęło, ale tym razem nie była to błyskawica. Jaskier ukucnął przy ławie i byłby pod nią wlaź, ale okazała się za niska. Bernie upuścił widły. Petunia Hofmeier, która wybiegła z domu, wrzasnęła.

Oślepiający błysk zmaterializował się w przejrzystą sferę, wewnątrz której zamajaczyła postać, w błyskawicznym tempie nabierając konturów i kształtów. Jaskier rozpoznał ją natychmiast. Znał te czarne rozburzone loki i obsydianową gwiazdę na aksamitce. Tym, czego nie znał i nigdy dotąd nie widział, była twarz. Twarz Furii i Wściekłości, twarz bogini Zemsty, Zagłady i Śmierci.

Yennefer uniosła rękę i wykrzyczała zaklęcie, z jej dłoni strzeliły z sykiem sypiące iskrami spirale, tnące nocne niebo i tysiącem refleksów odbijając się na powierzchni stawów. Spirale wbiły się jak dziury w ścigający samotnego jeźdźcę kłęb. Kłęb zakotłował się, Jaskrowi wydało się, że słyszy upiorne krzyki, że widzi majaczące, koszmarnie sylwetki widmowych koni. Widział to przez ułamek sekundy, bo kłęb nagle skurczył się, zwarł w kulę i pomknął w górę, w niebo, w pędzie

wydłużając się i wlokąc za sobą podobny komecie ogon. Zapadła ciemność, rozświetlana tylko rozedrganym blaskiem latarni, trzymanej przez Petunię Hofmeier.

Jeździec wrył konia na dziedzińcu przed domem, sfrunął z siodła, zachwiał się. Jaskier natychmiast zorientował się, kto to jest. Nigdy dotąd nie widział tej szczupłej, szarowłosej dziewczyny. Ale natychmiast ją rozpoznał.

– Geralt... – powiedziała cicho dziewczyna. – Pani Yennefer... Przepraszam... Musiałam. Przecież wiesz...

– Ciri – powiedział wiedźmin. Yennefer zrobiła krok w stronę dziewczyny, zatrzymała się jednak. Milczała.

Do kogo podejdzie, pomyślał Jaskier. Żadne z nich, ani wiedźmin, ani czarodziejka, nie zrobią kroku ani gestu. Do kogo ona najpierw podejdzie? Do niego? Czy do niej?

Ciri nie podeszła do żadnego z nich. Nie umiała wybrać. Zemdlała więc.

•

Dom był pusty, niziołek i cała jego rodzina wyruszyli do pracy o brzasku. Ciri udawała, że śpi, ale słyszała, jak Geralt i Yennefer wychodzą. Wyśliznęła się z pościeli, ubrała szybko, wymknęła cichaczem z izby, poszła za nimi do sadu.

Geralt i Yennefer skręcili na groblę między stawami bielącymi się nenufarem i żółcącymi grązelem. Ciri skryła się za zrujnowanym murem i obserwowała oboje przez szparę. Sądziła, że ów Jaskier, sławny poeta, którego wiersze wielokrotnie czytywała, jeszcze śpi. Ale myliła się. Poeta Jaskier nie spał. I nakrył ją na gorącym uczynku.

– Ej – powiedział, podchodząc znienacka i chichocząc. – Ładnie to tak, podpatrywać i podsłuchiwać? Więcej dyskrecji, mała. Pozwól im побыć trochę ze sobą.

Ciri poczerwieniała, ale natychmiast zacięła usta.

– Po pierwsze, nie jestem mała – syknęła hardo. – A po drugie, to chyba im nie przeszkadza, co?

Jaskier spowaźniał nieco.

– Chyba nie – powiedział. – Wydaje mi się nawet, że im pomagasz.

– Jak? W czym?

- Nie udawaj. Wczoraj, to było bardzo sprytne. Ale mnie nie udało ci się oszukać. Udałaś omdlenie, prawda?

- Prawda - mruknęła, odwracając twarz. - Pani Yennefer poznała się na tym, ale Geralt nie...

- Oboje zanieśli cię do domu. Ich ręce stykały się. Siedzieli przy twoim łóżku prawie do rana, ale nie powiedzieli do siebie ani słowa. Dopiero teraz zdecydowali się porozmawiać. Tam, na grobli, nad stawem. A ty zdecydowałaś się podsłuchiwać, o czym mówią... I podpatrywać ich przez dziurę w murze. Tak gwałtownie musisz wiedzieć, co oni tam robią?

- Oni tam nic nie robią - Ciri poczerwieniała lekko. - Trochę rozmawiają, i tyle.

- A ty - Jaskier usiadł na trawie pod jabłonią i oparł się plecami o pień, sprawdzwszy uprzednio, czy nie ma na nim mrówek lub liszek. - Ty chciałabyś wiedzieć, o czym rozmawiają, tak?

- Tak... Nie! A zresztą... Zresztą i tak nic nie słyszę. Są za daleko.

- Jeśli chcesz - zaśmiał się bard - to ci powiem.

- A ty niby skąd to możesz wiedzieć?

- Ha, ha. Ja, miła Ciri, jestem poetą. Poeci o takich sprawach wiedzą wszystko. Powiem ci jeszcze coś: poeci o takich sprawach wiedzą więcej niż same zaangażowane osoby.

- Akurat!

- Daję ci słowo. Słowo poety.

- Tak? No to... No to powiedz, o czym oni rozmawiają? Wyjaśnij mi, co to wszystko znaczy!

- Wyjrzyj jeszcze raz przez dziurę i zobacz, co robią.

- Hmm... - Ciri przygryzła dolną wargę, potem pochyliła się i zbliżyła oko do wyłomu. - Pani Yennefer stoi przy wierzbie... Obrywa listki i bawi się swoją gwiazdą... Nic nie mówi i nie patrzy w ogóle na Geralta... A Geralt stoi obok. Spuścił głowę. I coś mówi. Nie, milczy. Oj, minę ma... Ależ dziwną ma minę...

- Dziecinnie proste - Jaskier znalazł w trawie jabłko, wytarł je o spodnie i obejrzał krytycznie. - On właśnie prosi ją, by mu wybaczyła jego rozmaite głupie słowa i uczynki. Przeprasza ją za niecierpliwość, za brak wiary i nadziei, za upór, za zawziętość, za dąsy i pozy niegodne mężczyzny. Przeprasza ją za to, czego kiedyś nie rozumiał, za to, czego nie chciał rozumieć...

- To jest niemożliwa nieprawda! - Ciri wyprostowała się i gwałtownym ruchem odrzuciła grzywkę z czoła. - Wszystko zmyślasz!

- Przeprasza za to, co zrozumiał dopiero teraz - Jaskier zapatrzył się w niebo, a jego głos zaczął nabierać rytmu właściwego balladom. - Za to, co chciałby zrozumieć, ale lęka się, że nie zdąży... I za to, czego nigdy nie zrozumie. Przeprasza i prosi o wybaczenie... Hmm, hmm... Znaczenie... Sumienie... Przeznaczenie? Wszystko banalne, cholera...

- Nieprawda! - tupnęła Ciri. - Geralt wcale tak nie mówi! On... w ogóle nie mówi. Przecież widziałam. Stoi tam z nią i milczy...

- Na tym polega rola poezji, Ciri. Mówić o tym, o czym inni milczą.

- Głupia jest ta twoja rola. A ty wszystko zmyślasz!

- Na tym także polega rola poezji. Hej, słyszę znad stawu jakieś podniesione głosy. Wyjrzyj prędko, zobacz, co się tam dzieje.

- Geralt - Ciri ponownie przyłożyła oko do dziury w murze - stoi z opuszczoną głową. A Yennefer strasznie wrzeszczy na niego. Wrzeszczy i wymachuje rękoma. Ojej... Co to może znaczyć?

- Dziecinnie proste - Jaskier znowu wpatrzył się w ciągnące po niebie obłoki. - Teraz ona przeprasza jego.

Oto biorę sobie ciebie, aby cię mieć i zachować, na dolę piękną i szpetną, najlepszą i najgorszą, we dnie i w nocy, w chorobie i zdrowiu, albowiem sercem całym cię miłuję i przysięgam miłować wiecznie, póki śmierć nas nie rozłączy.

Starodawna formuła zaślubin

O miłości wiemy niewiele. Z miłością jest jak z gruszką. Gruszka jest słodka i ma kształt. Spróbujcie zdefiniować kształt gruszki.

Jaskier, *Pół wieku poezji*

Rozdział trzeci

Geralt miał powody podejrzewać – i podejrzewał – że bankiety czarodziejów różnią się od biesiad i uczt zwykłych śmiertelników. Nie spodziewał się jednak, że różnice są aż tak wielkie i tak zasadnicze.

Propozycja towarzyszenia Yennefer na poprzedzającym czarodziejski zjazd bankiecie była dla niego zaskoczeniem, ale w osłupienie nie wprawiała. Nie była to bowiem pierwsza tego typu propozycja. Już poprzednio, gdy mieszkali razem i układało się między nimi dobrze, Yennefer chciała bywać na zjazdach i konwentyklach w jego towarzystwie. Wtedy jednak odmawiał stanowczo. Był przekonany, że wśród czarodziejów traktowany będzie w najlepszym wypadku jako dziwoląg i sensacja, w najgorszym jako intruz i parias. Yennefer wydrwiwała jego obawy, ale nie nalegała. Ponieważ w innych sytuacjach potrafiła nalegać tak, że aż się dom trząsał i sypało szkło, Geralt utwierdzał się w mniemaniu, że jego decyzje były słuszne.

Tym razem zgodził się. Bez namysłu. Propozycja padła po długiej, szczerzej i pełnej emocji rozmowie. Po rozmowie, która zbliżyła ich znowu, usunęła w cień i w niepamięć dawne konflikty, stopiła lody żalu, dumy i zawziętości. Po rozmowie na grobli w Hirundum Geralt zgodziłby się na każdą, absolutnie każdą propozycję ze strony Yennefer. Nie odmówiłby, nawet jeśli zaproponowałaby mu wspólną wizytę w

piekle celem wypicia filiżanki wrzącej smoły w towarzystwie ognistych demonów.

I była jeszcze Ciri, bez której nie byłoby tej rozmowy, nie byłoby spotkania. Ciri, którą według Codringhera interesował się jakiś czarodziej. Geralt liczył na to, że jego obecność na zjeździe sprowokuje czarodzieja i zmusi do działania. Ale Yennefer nie powiedział o tym ani słowa.

Z Hirundum pojechali prosto na Thanedd, on, ona, Ciri i Jaskier. Początkowo zatrzymali się w ogromnym kompleksie pałacu Loxia, zajmującym południowo-wschodnie podnóże góry. Pałac roił się już od gości zjazdu i towarzyszących im osób, ale dla Yennefer natychmiast znalazły się kwatery. Spędzili w Loxii cały dzień. Geralt stracił ten dzień na rozmowach z Ciri, Jaskier na bieganiu, zbieraniu i rozpuszczaniu plotek, czarodziejka na przymierzaniu i wybieraniu strojów. A gdy nadszedł wieczór, wiedźmin i Yennefer dołączyli do kolorowego orszaku zmierzającego do Aretuzy – pałacu, w którym miał odbyć się bankiet. I teraz, w Aretuzie, Geralt dziwił się i przeżywał zaskoczenia, choć obiecywał sobie, że niczemu dziwił się nie będzie i nie da się niczym zaskoczyć.

Olbrzymia centralna sala pałacu zbudowana była w kształcie litery „T”. Dłuższy bok miał okna, wąskie i nieprawdopodobnie wysokie, sięgające niemal pod wsparte kolumnami sklepienie. Sklepienie też było wysoko. Tak wysoko, że trudno było rozeznaczyć detale zdobiących je fresków, w tym zwłaszcza płęć golasów stanowiących najliczniej powtarzający się motyw malowideł. W oknach były witraże, które musiały kosztować prawdziwą fortunę, ale mimo tego w halli wyraźnie czuło się przeciąg. Geralt dziwił się, że świece nie gasną, ale po dokładniejszej obserwacji przestał się dziwić. Kandelabry były magiczne, a może nawet iluzoryczne. Światła w każdym razie dawały sporo, nieporównanie więcej niż świece.

Gdy weszli, wewnątrz bawiła już dobra setka ludzi. Sala, jak ocenił wiedźmin, mogła pomieścić co najmniej trzykrotnie więcej, nawet wtedy, jeśli pośrodku, jak kazał zwyczaj, ustawiono by stoły w podkowę. Ale tradycyjnej podkowy w ogóle nie było. Wyglądało na to, że ucztować będzie się na stojąco, wytrwale wędrując wzdłuż ścian ozdobionych arrasami, girlandami i falującymi w przeciągu proporcami. Pod arrasami i girlandami ustawiono rzędy długich stolików. Na

stolikach zaś piętrzyło się wymyślne jadlo na jeszcze wymyślniejszej zastawie, wśród wymyślnych kwiatowych kompozycji i wymyślnych rzeźb z lodu. Przyjrzawszy się dokładniej, Geralt skonstatował, że wymyślności jest znacznie, znacznie więcej niż jadła.

- Nie ma stołu - ponurym głosem stwierdził fakt, wygladzając na sobie krótki, czarny, szamerowany srebrem i wcięty w pasie kaftan, w który ustroiła go Yennefer. Kaftan taki, będący ostatnim krzykiem mody, nazywano dubletem. Wiedźmin nie miał pojęcia, skąd wzięła się ta nazwa. I nie pragnął się dowiedzieć.

Yennefer nie zareagowała. Geralt nie oczekiwał reakcji, dobrze wiedział, że czarodziejka nie zwykła reagować na tego typu stwierdzenia. Ale nie zrezygnował. Marudził dalej. Po prostu miał ochotę pomarudzić.

- Nie ma muzyki. Wieje jak cholera. Nie ma gdzie usiąść. Będziemy jeść i pić na stojąco?

Czarodziejka obdarzyła go powłóczystym fiołkowym spojrzeniem.

- Owszem - powiedziała nieoczekiwanie spokojnie. - Będziemy jeść na stojąco. Wiedz również, że dłuższe zatrzymywanie się przy stole z jedzeniem jest uważane za nietakt.

- Postaram się być taktowny - mruknął. - Tym bardziej że niespecjalnie jest się przy czym zatrzymywać, jak widzę.

- Picie w sposób niepowściągliwy jest uważane za duży nietakt - Yennefer kontynuowała pouczanie, zupełnie nie zwracając uwagi na jego pomruki. - Unikanie rozmowy jest uważane za niewybaczalny nietakt...

- A to - przerwał - że tamten chudzielec w kretyńskich spodniach właśnie pokazuje mnie palcem dwóm swoim towarzyszkom, jest uważane za nietakt?

- Tak. Ale drobny.

- Co będziemy robić, Yen?

- Krążyć po sali, witać się, prawić komplementy, konwersować... Przestań wygladzać dublet i poprawiać włosy.

- Nie pozwoliłaś mi założyć opaski...

- Twoja opaska jest pretensjonalna. No, weź mnie pod ramię i chodźmy. Stanie w pobliżu wejścia jest uważane za nietakt.

Pokrążyli po sali stopniowo zapelniającej się gośćmi. Geralt był wściekle głodny, ale rychło zorientował się, że Yennefer nie żartowała.

Stawało się oczywiste, że obowiązująca wśród czarodziejów forma faktycznie nakazuje jeść i pić mało i pozornie od niechcienia. Na domiar złego każdy przystanek przy stole z jedzeniem pociągał za sobą obowiązki towarzyskie. Ktoś zauważał, objawiał radość z zauważenia, podchodził i witał się, równie wylewnie, co fałszywie. Po obowiązkowym udawaniu całowania policzków lub niemile delikatnym uścisku dłoni, po nieszczerych uśmiechach i jeszcze mniej szczerych, aczkolwiek nieźle kłamanych komplementach następowała krótka i nużąco banalna rozmowa o niczym.

Wiedźmin pilnie rozglądał się, szukając znajomych twarzy, głównie w nadziei, że nie jest tu jedyną nie należącą do czarodziejskiej konfraterni osobą. Yennefer zapewniała go, że nie będzie, ale mimo to albo nie widział nikogo spoza Bractwa, albo nie umiał nikogo rozpoznać.

Paziowie roznosili na tacach wino, lawirując wśród gości. Yennefer w ogóle nie piła. Wiedźmin miał ochotę, ale nie mógł. Dublet pił. Pod pachami.

Zręcznie sterując ramieniem, czarodziejka odciągnęła go od stołu i wywiodła na sam środek halli, w samo centrum powszechnego zainteresowania. Opór nie zdał się na nic. Orientował się, o co chodzi. To była najzwyczajsza w świecie demonstracja.

Geralt wiedział, czego może oczekiwać, ze stoickim spokojem znosił więc pełne niezdrowej ciekawości spojrzenia czarodziejek i zagadkowe uśmiešky czarodziejów. Choć Yennefer zapewniała go, że konwenans i takt zabraniają używania magii na takich imprezach, nie wierzył, by magicy potrafili się powstrzymać, zwłaszcza że Yennefer prowokacyjnie wystawiała go na widok publiczny. I miał rację, nie wierząc. Kilkakrotnie poczuł drgnięcia medalionu i ukłucia czarodziejskich impulsów. Niektórzy, a zwłaszcza niektóre, bezczelnie próbowali czytać w jego myślach. Był na to przygotowany, wiedział, o co chodzi, wiedział, jak ripostować. Patrzył na idącą u jego boku Yennefer, na białą-czarnobrylantową Yennefer o kruczonych włosach i fiołkowych oczach, a sondujący go czarodzieje peszyli się, gubili, wyraźnie tracili rezon i kontenans ku jego rozkosznej satysfakcji. Tak, odpowiadał im w myśli, tak, nie mylicie się. Jest tylko ona, ona, u mojego boku, tu i teraz, i tylko to się liczy. Tu i teraz. A to, kim była dawniej, gdzie była dawniej i z kim była dawniej, to nie ma żadnego, najmniejszego znaczenia. Teraz jest ze mną, tu, wśród was. Ze mną, z nikiem innym. Tak właśnie myślę, myśląc

wciąż o niej, nieustannie myśląc o niej, czując zapach jej perfum i ciepło jej ciała. A wy udławcie się zawiścią.

Czarodziejka mocno ścisnęła mu przedramię, przytuliła się lekko do jego boku.

– Dziękuję – mruknęła, sterując z powrotem w stronę stołów. – Ale bez nadmiernej ostentacji, proszę.

– Czy wy, czarodzieje, zawsze bierzecie szczerość za ostentację? Czy dlatego, że nie wierzycie w szczerość, nawet wtedy, gdy odczytujecie ją w cudzych myślach?

– Tak. Dlatego.

– A jednak dziękujesz mi?

– Bo tobie wierzę – ścisnęła jego ramię jeszcze silniej, sięgnęła po talerzyk. – Nałóż mi trochę łososia, wiedźminie. I krabów.

– To są kraby z Poviss. Złowiono je zapewne miesiąc temu, a panują upały. Nie boisz się...

– Te kraby – przerwała – jeszcze dziś rano łąziły po morskim dnie. Teleportacja to wspaniały wynalazek.

– Owszem – zgodził się. – Warto by go upowszechnić, nie sądzisz?

– Pracujemy nad tym. Nakładaj, nakładaj, głodna jestem.

– Kocham cię, Yen.

– Prosiłam, bez ostentacji... – urwała, podrzuciła głowę, odgarnęła z policzka czarne loki, szeroko otworzyła fiołkowe oczy. – Geralt! Wyznałeś mi to po raz pierwszy!

– Niemożliwe. Dworujesz sobie ze mnie.

– Nie, nie dworuję. Dawniej tylko myślałeś, dziś powiedziałeś.

– To aż taka różnica?

– Ogromna.

– Yen...

– Nie mów z pełnymi ustami. Ja też cię kocham. A nie mówiłam? Bogowie, udusisz się! Podnieś ręce, uderzę cię w plecy. Oddychaj głęboko.

– Yen...

– Oddychaj, oddychaj, zaraz ci przejdzie.

– Yen!

– Tak. Szczerość za szczerość.

– Dobrze się czujesz?

- Czekałam - wycisnęła cytrynę na łososa. - Nie wypadało mi przecież reagować na wyznania czynione w myślach. Doczekałam się słów, mogłam odpowiedzieć, odpowiedziałam. Czuję się świetnie.

- Co się stało?

- Opowiem ci później. Jedz. Ten łosoś jest wyborny, klnę się na Moc, doprawdy wyborny.

- Czy mogę cię pocałować? Teraz, tu, przy wszystkich?

- Nie.

- Yennefer! - przechodząca obok ciemnowłosa czarodziejka wyzwołała ramię spod łokcia towarzyszącego jej mężczyzny, zbliżyła się. - Więc jednak przyjechałaś? Och, to cudownie! Nie widziałam cię od wieków!

- Sabrina! - Yennefer uradowała się tak szczerze, że każdy, wyjąwszy Geralta, mógłby dać się zwieść. - Kochana! Tak się cieszę!

Czarodziejki objęły się ostrożnie i pocałowały sobie wzajem powietrze obok uszu i brylantowo-onyksowych kolczyków. Kolczyki obu czarodziejek, przypominające miniaturowe kiście winogron, były identyczne - w powietrzu natychmiast zapachniało wścieklą wrogością.

- Geralt, pozwól, to moja szkolna przyjaciółka, Sabrina Glevissig z Ard Carraigh.

Wiedźmin skłonił się, ucałował podaną wysoko dłoń. Zdążył już zorientować się, że wszystkie czarodziejki oczekiwały przy powitaniach całowania w rękę, gestu, który równał je co najmniej z księżnymi. Sabrina Glevissig uniosła głowę, jej kolczyki zadrżały i zadzwoniły. Cichutko, lecz demonstracyjnie i bezczelnie.

- Bardzo pragnęłam cię poznać, Geralt - powiedziała z uśmiechem. Jak wszystkie czarodziejki, nie uznawała „panów”, „waszmościów” ani innych obowiązujących wśród szlachty form. - Cieszę się, ogromnie się cieszę. Nareszcie przestałaś ukrywać go przed nami, Yenna. Szczerze mówiąc, dziwię się, że tak długo zwlekałaś. Absolutnie nie ma się czego wstydzić.

- Też tak myślę - odrzekła swobodnie Yennefer, lekko mrużąc oczy i demonstracyjnie odrzucając włosy z własnego kolczyka. - Piękna bluzka, Sabrina. Wręcz zachwycająca. Prawda, Geralt?

Wiedźmin kiwnął głową, przełknął ślinę. Bluzka Sabriny Glevissig, uszyta z czarnego szyfonu, odsłaniała absolutnie wszystko, co było do odsłonięcia, a trochę było. Karminowa spódnica, ściągnięta srebrnym

pasem z wielką klamrą w kształcie róży, była bokiem rozcięta zgodnie z najnowszą modą. Moda nakazywała jednak nosić spódnice rozcięte do połowy uda, a Sabrina nosiła rozciętą do połowy biodra. Bardzo ładnego biodra.

– Co nowego w Kaedwen? – spytała Yennefer, udając, że nie widzi, na co patrzy Geralt. – Twój król Henselt nadal traci siły i środki na ściganie Wiewiórek po lasach? Nadal myśli o karnej ekspedycji przeciw elfom z Dol Blathanna?

– Dajmy pokój polityce – uśmiechnęła się Sabrina. Odrobinę za długi nos i drapieżne oczy upodobały ją do klasycznego wizerunku wiedźmy. – Jutro, na naradzie, napolitykujemy się po dziurki w nosie. I nasłuchamy się różnych... morałów. O potrzebie pokojowej koegzystencji... O przyjaźni... O konieczności zajęcia solidarnej pozycji wobec planów i zamiarów naszych królów... Czego jeszcze się nasłuchamy, Yennefer? Co jeszcze szykują dla nas na jutro Kapituła i Vilgefortz?

– Dajmy pokój polityce.

Sabrina Gleivissig zaśmiała się srebrnie przy wtórze cichego brzęku kolczyków.

– Słusznie. Zaczekajmy do jutra. Jutro... Jutro wszystko się wyjaśni. Ach, ta polityka, te nie kończące się narady... Jakże one fatalnie odbijają się na cerze. Na szczęście mam doskonały krem, wierz mi, kochana, zmarszczki znikają jak sen jaki złoty... Dać ci recepturę?

– Dziękuję, kochana, ale nie potrzebuję. Naprawdę.

– Ach, wiem. W szkole zawsze zazdrościłam ci cery. Bogowie, ileż to lat?

Yennefer udała, że odkłania się komuś z przechodzących. Sabrina zaś uśmiechnęła się do wiedźmina i rozkosznie wypięła to, czego nie krył czarny szyfon. Geralt ponownie przełknął ślinę, starając się nie patrzeć zbyt nachalnie na jej różowe sutki, aż nadto widoczne pod przejrzystą tkaniną. Spojrzał płochliwie na Yennefer. Czarodziejka uśmiechała się, ale znał ją zbyt dobrze. Była wściekła.

– Och, wybacz – powiedziała nagle. – Widzę tam Filipkę, muszę z nią koniecznie porozmawiać. Pozwól, Geralt. Pa, Sabrina.

– Pa, Yenna – Sabrina Gleivissig spojrzała wiedźminowi w oczy. – Jeszcze raz gratuluję ci... gustu.

- Dziękuję - głos Yennefer był podejrzanie zimny. - Dziękuję, moja droga.

Filippa Eilhart była w towarzystwie Dijkstry. Geralt, który miał niegdyś przelotny kontakt z redańskim szpiegiem, w zasadzie powinien był się ucieszyć - wreszcie trafił na kogoś znajomego, kto jak i on nie należał do konfraterni. Ale nie cieszył się.

- Cieszę się, że cię widzę, Yenna - Filippa ucałowała powietrze obok koleczka Yennefer. - Witaj, Geralt. Oboje znacie hrabiego Dijkstrę, prawda?

- Któż go nie zna - Yennefer skłoniła głowę i podała Dijkstrze rękę, którą szpieg ucałował z rewerencją. - Rada jestem znowu was widzieć, hrabio.

- To dla mnie radość - zapewnił szef tajnych służb króla Vizimira - znowu cię widzieć, Yennefer. Zwłaszcza w tak miłym towarzystwie. Panie Geralt, moje najgłębsze uszanowanie...

Geralt, powstrzymując się od zapewniania, że jego uszanowanie jest jeszcze głębsze, uściśnął podaną dłoń - a raczej spróbował to uczynić, bo jej rozmiary przekraczały normy i czyniły uściśnięcie praktycznie niemożliwym. Olbrzymi szpieg ustrojony był w jasnobezowy dublet, dość nieformalnie rozpięty. Widać było, że czuje się w nim swobodnie.

- Zauważyłam - powiedziała Filippa - że rozmawialiście z Sabriną?

- Rozmawialiśmy - fuknęła Yennefer. - Widziałas, co ona ma na sobie? Trzeba nie mieć ani gustu, ani wstydu, żeby... Ona, cholera jasna, jest starsza ode mnie o... Mniejsza z tym. Żeby jeszcze miała co pokazywać! Wstrętna małpa!

- Próbowала was wypytywać? Wszyscy wiedzą, że ona szpieguje dla Henselta z Kaedwen.

- Doprawdy? - Yennefer udała zdumienie, co słusznie zostało uznane za przedni żart.

- A pan, panie hrabio, dobrze się bawi na naszej uroczystości? - spytała Yennefer, gdy już Filippa i Dijkstra przestali się śmiać.

- Niezwykle dobrze - szpieg króla Vizimira uklonił się dwornie.

- Jeśli zważymy - uśmiechnęła się Filippa - że hrabia jest tu służbowo, takie zapewnienie jest dla nas niesłychanie komplementujące. I jak każdy podobny komplement, mało szczere. Jeszcze przed chwilą wyznawał mi, że wolałby miły, swojski półmrok, smrodek pochodni i przypalanego na rożnach mięsiwa. Brak mu też

tradycyjnego, zalanego sosem i piwem stołu, w który mógłby walić kuflem w rytm plugawych, pijackich piosenek, a pod który nad ranem mógłby osunąć się z wdziękiem, by zasnąć wśród chartów ogryzających kości. A na moje argumenty, wykazujące wyższość naszego sposobu ucztowania, pozostał, wyobraźcie to sobie, głuchy.

– Doprawdy? – wiedźmin spojrzał na szpiega łaskawiej. – A jakie to były argumenty, jeśli można wiedzieć?

Tym razem jego pytanie zostało najwyraźniej potraktowane jako przedni żart, bo obie czarodziejki zaśmiały się jednocześnie.

– Ach, mężczyźni – powiedziała Filippa. – Niczego nie rozumiecie. Czy w półmroku i dymie, siedząc za stołem, można imponować suknią i figurą?

Geralt, nie znajdując słów, skłonił się tylko. Yennefer delikatnie ścisnęła mu ramię.

– Ach – powiedziała. – Widzę tam Triss Merigold. Muszę z nią koniecznie zamienić kilka słów... Wybaczcie, że was teraz opuścimy. Na razie, Filippa. Z pewnością znajdziemy jeszcze dziś sposobność do pogawędki. Czyż nie tak, hrabio?

– Niewątpliwie – Dijkstra uśmiechnął się i uklonił głęboko. – Jestem do usług, Yennefer. Na każde skinienie.

Podeszli do Triss, mieniającej się kilkoma odcieniami błękitu i seledynu. Triss na ich widok przerwała rozmowę z dwoma czarodziejami, zaśmiała się radośnie, objęła Yennefer, rytuał całowania powietrza przy uszach powtórzył się. Geralt ujął podaną mu dłoń, ale zdecydował się postąpić wbrew ceremoniałowi – objął kasztanowowłosą czarodziejkę i pocałował w miękki, mechaty jak brzoskwinia policzek. Triss zarumieniała się lekko.

Czarodzieje przedstawili się. Jednym był Drithelm z Pont Vanis, drugim jego brat Detmold. Obaj byli w służbie króla Esterada z Koviru. Obaj okazali się małomówni, obaj odeszli przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– Rozmawialiście z Filippą i Dijkstrą z Tretogoru – zauważyła Triss, bawiąc się zawieszonym na szyi, oprawnym w srebro i brylanty serduszkiem z lapis-lazuli. – Wiecie, oczywiście, kim jest Dijkstra?

– Wiemy – powiedziała Yennefer. – Rozmawiał z tobą? Próbował wypytywać?

– Próbował – czarodziejka uśmiechnęła się znacząco i zachichotała. – Dość ostrożnie. Ale Filippa przeszkadzała mu, jak mogła. A myślałam, że są w lepszej komitywie.

– Są w świetnej komitywie – ostrzegła poważnie Yennefer. – Uważaj, Triss. Nie piśnij mu słowa o... Wiesz, o kim.

– Wiem. Będę uważała. A przy okazji... – Triss zniżyła głos. – Co u niej słychać? Czy będę mogła ją zobaczyć?

– Jeśli zdecydujesz się wreszcie prowadzić ćwiczenia w Aretuzie – uśmiechnęła się Yennefer – możesz widywać ją bardzo często.

– Ach – Triss szerzej otworzyła oczy. – Rozumiem. Czy Ciri...

– Ciszej, Triss. Porozmawiamy o tym później. Jutro. Po naradzie.

– Jutro? – uśmiechnęła się dziwnie Triss. Yennefer zmarszczyła brwi, ale nim zdążyła zadać pytanie, na sali zapanowało nagle lekkie poruszenie.

– Już są – odchrząknęła Triss. – Przyszli nareszcie.

– Tak – potwierdziła Yennefer, odrywając wzrok od oczu przyjaciółki.

– Już są. Geralt, nareszcie jest okazja, byś poznał członków Kapituły i Najwyższej Rady. Jeśli trafi się sposobność, przedstawię cię, ale nie zaszkodzi, byś wcześniej wiedział, kto jest kim.

Zgromadzeni czarodzieje rozstapili się, kłaniając z szacunkiem wkraczającym na salę osobistościom. Jako pierwszy podążał niemłody, ale krzepki mężczyzna w niezwykle skromnym wełnianym stroju. U jego boku kroczyła wysoka kobieta o ostrych rysach i ciemnych, gładko uczesanych włosach.

– To Gerhart z Aelle, znany jako Hen Gedymdeith, najstarszy z żyjących czarodziejów – poinformowała półgłosem Yennefer. – Kobieta idąca obok niego to Tissaia de Vries. Jest tylko niewiele młodsza od Hena, ale nie krępuje się używać eliksirów.

Za parą szła atrakcyjna kobieta o bardzo długich, ciemnozłotych włosach, szeleszcząc zdobioną koronką suknią w kolorze rezedy.

– Francesca Findabair, nazywana Enid an Gleanna, Stokrotką z Dolin. Nie wytrzeszczaj oczu, wiedźminie. Powszechnie uważa się ją za najpiękniejszą kobietę świata.

– Jest członkiem Kapituły? – zdziwił się szeptem. – Wygląda na bardzo młodą. Też eliksiry magiczne?

– Nie w jej przypadku. Francesca jest elfką czystej krwi. Zwróć uwagę na mężczyznę, który jej towarzyszy. To Vilgefortz z Roggeveen. Ten

rzeczywiście jest młody. Ale nieprawdopodobnie utalentowany.

Określenie „młody”, jak wiedział Geralt, obejmowało wśród czarodziejów wiek do stu lat włącznie. Vilgefortz wyglądał na trzydzieści pięć. Był wysoki i dobrze zbudowany, nosił krótki wams na rycerską modłę, ale oczywiście bez herbu. Był też diablo przystojny. Rzucało się to w oczy nawet wobec faktu, że u jego boku płynęła zwiewnie Francesca Findabair o ogromnych sarnich oczach i urodzie wręcz zapierającej dech.

– Ten niski mężczyzna, który idzie obok Vilgefortza, to Artaud Terranova – wyjaśniła Triss Merigold. – Cała piątka stanowi Kapitułę...

– A ta dziewczyna o dziwnej twarzy, która idzie za Vilgefortzem?

– To jego asystentka, Lydia van Bredevoort – powiedziała chłodno Yennefer. – Osoba bez znaczenia, ale wpatrywanie się w jej twarz jest wielkim nietaktem. Zwróć raczej uwagę na tych trzech, którzy idą z tyłu, to są członkowie Rady. Fercart z Cidaris, Radcliffe z Oxenfurtu i Carduin z Lan Exeter.

– To cała Rada? Pełny skład? Myślałem, że jest ich więcej.

– Kapituła liczy pięć osób, w Radzie jest dalszych pięć. Filippa Eilhart też jest w Radzie.

– Nadal nie zgadza mi się rachunek – pokręcił głową, a Triss zachichotała.

– Nie powiedziałaś mu? Naprawdę nic nie wiesz, Geralt?

– O czym niby?

– Przecież Yennefer też zasiada w Radzie. Od czasu bitwy pod Sodden. Nie pochwaliłaś mu się jeszcze, moja droga?

– Nie, moja droga – czarodziejka spojrzała przyjaciółce prosto w oczy.

– Po pierwsze, nie lubię się chwalić. Po drugie, nie było na to czasu. Nie widziałam Geralta od bardzo dawna, mamy sporo zaległości. Uzbierała się tego długa lista. Załatwiamy sprawy według tej listy.

– To oczywiste – rzekła niepewnie Triss. – Hmm... Po tak długim czasie... Rozumiem. Jest o czym rozmawiać...

– Rozmowy – uśmiechnęła się dwuznacznie Yennefer, darząc wiedźmina kolejnym powłóczystym spojrzeniem – są na końcu listy. Na samym końcu, Triss.

Kasztanowłosa czarodziejka zmieszała się wyraźnie, zaczerwieniła lekko.

– Rozumiem – powtórzyła, w zakłopotaniu bawiąc się serduszkami z lapis-lazuli.

– Bardzo mnie cieszy, że rozumiesz. Geralt, przynieś nam wino. Nie, nie od tego paza. Od tamtego, dalszego.

Uśluchał, bezbłędnie wyczuwając rozkaz w jej głosie. Biorąc puchary z niesionej przez paza tacy, obserwował dyskretnie obie czarodziejki. Yennefer mówiła szybko i cicho, Triss Merigold słuchała z opuszczoną głową. Gdy wrócił, Triss już nie było. Yennefer nie wykazała żadnego zainteresowania przyniesionym winem, odstawił więc oba niepotrzebne puchary na stół.

– Nie przesadziłaś aby? – spytał chłodno.

Oczy Yennefer zapłonęły fioletem.

– Nie próbuj robić ze mnie idiotki. Sądziłeś, że nie wiem o niej i o tobie?

– Jeżeli o to chodzi...

– Właśnie o to – ucięła. – Nie rób głupich min i powstrzymaj się od komentarzy. A nade wszystko nie próbuj kłamać. Znam Triss dłużej niż ciebie, lubimy się, rozumiemy świetnie i zawsze będziemy rozumieć, niezależnie od różnych drobnych... incydentów. A teraz wydało mi się, że ma trochę wątpliwości. Rozwiąłam je więc i to wszystko. Nie wracajmy do tego.

Nie zamierzał. Yennefer odgarnęła loki z policzka.

– Zostawiam cię teraz na chwilę, muszę porozmawiać z Tissaia i Franceską. Zjedz jeszcze coś, bo w brzuchu ci kruczy. I bądź czujny. Kilka osób z pewnością cię zaczepi. Nie daj się zjeść w kaszy i nie zepsuj mi reputacji.

– Bądź spokojna.

– Geralt?

– Słucham.

– Niedawno wyraziłeś pragnienie pocałowania mnie, tu, przy wszystkich. To nadal aktualne?

– Nadal.

– Postaraj się nie rozmazać mi pomadki.

Zerknął na zgromadzonych kątem oka. Obserwowali pocałunek, ale nienatrzętnie. Filippa Eilhart, stojąca nieopodal z grupą młodych czarodziejów, mrugnęła do niego i uśmiechnęła się, że bije brawo.

Yennefer oderwała usta od jego ust, westchnęła głęboko.

- Mała rzecz, a cieszy - mruknęła. - No, idę. Wkrótce wrócę. A później, po bankiecie... Hmmm...

- Słucham?

- Nie jedz niczego z czosnkiem, proszę.

Gdy odeszła, wiedźmin porzucił konwenanse, rozpiął dublet, wypił oba puchary i na serio spróbował zająć się jedzeniem. Nic z tego nie wyszło.

- Geralt.

- Panie hrabio.

- Nie tytułuj mnie - skrzywił się Dijkstra. - Nie jestem żadnym hrabią. Vizimir nakazał mi się tak przedstawiać, by nie drażnić dworaków i magików moim chamskim rodowodem. No, jak ci idzie imponowanie suknią i figurą? I udawanie, że dobrze się bawisz?

- Nie muszę udawać. Nie jestem tu służbowo.

- To ciekawe - uśmiechnął się szpieg. - Ale to potwierdza ogólną opinię, zgodnie z którą jesteś niepowtarzalny i jedyny w swoim rodzaju. Bo wszyscy inni są tu służbowo.

- Tego się właśnie obawiałem - Geralt też uznał za celowe się uśmiechnąć. - Czułem, że będę tu jedyny w moim rodzaju. To znaczy nie na miejsu.

Szpieg zlustrował okoliczne półmiski, z jednego podniósł i schrupał duży zielony strąk nieznanej Geraltowi rośliny.

- Przy okazji - powiedział - dziękuję ci za braci Micheletów. Sporo ludzi w Redanii odetchnęło z ulgą, gdy zarabaleś wszystkich czterech w oxenfurckim porcie. Tęgo się uśmiełem, gdy wezwany do śledztwa medyk z uniwersytetu, obejrzawszy rany, twierdził, że ktoś używał kosi osadzonej na sztorc.

Geralt nie skomentował. Dijkstra włożył do ust drugi strąk.

- Szkoda - ciągnął, żując - że po ich ukatrupieniu nie zgłosiłeś się do burmistrza. Była nagroda za żywych lub martwych. Niemała.

- Za dużo kłopotów z zeznaniem podatkowym - wiedźmin również zdecydował się na zielony strąk, który jednak smakował jak namydlony seler. - Poza tym musiałem wtedy pilnie wyjechać, bo... Ale ja cię chyba nudzę, Dijkstra, przecież ty i tak wszystko wiesz.

- Gdzieżby tam - uśmiechnął się szpieg. - Wszystkiego nie wiem. Bo i skądby?

- Z relacji Filipy Eilhart, żeby daleko nie szukać.

- Relacje, opowieści, plotki. Ja muszę ich wysłuchiwać, taki mam zawód. Ale mój zawód zmusza mnie jednocześnie do przesiewania ich przez bardzo gęste sito. Ostatnio, wystaw sobie, doszły mnie słuchy, że ktoś zarabiał osławionego Profesora i jego dwóch kamratów. Zdarzyło się to pod zajazdem w Anchor. Ten, kto tego dokonał, też zbyt się spieszył, by odebrać nagrodę.

Geralt wzruszył ramionami.

- Plotki. Przesiej je przez gęste sito, zobaczysz, co zostanie.

- Nie muszę. Wiem, co zostanie. Najczęściej tym czymś jest próba celowej dezinformacji. Aha, jeśli już jesteśmy przy dezinformacji, jak się miewa mała Cirilla, biedna, chorowita dziewczynka, tak podatna na dyfteryt? Zdrowa aby?

- Poniechaj, Dijkstra - odrzekł zimno wiedźmin, patrząc prosto w oczy szpiega. - Wiem, że jesteś tu służbowo, ale nie popadaj w nadgorliwość.

Szpieg zarechotał. Dwie przechodzące obok czarodziejki spojrzały na nich ze zdziwieniem. I zaciekawieniem.

- Król Vizimir - powiedział Dijkstra, skończywszy rechotać - płaci mi ekstra premię od każdej rozszyfrowanej tajemnicy. Nadgorliwość zapewnia mi godziwy byt. Uśmiejesz się, ale ja mam żonę i dzieci.

- Nie widzę w tym nic śmiesznego. Pracuj więc na byt żony i dzieci, ale nie moim kosztem, jeśli mogę prosić. Na tej sali, jak mi się zdaje, nie brakuje tajemnic i zagadek.

- Wręcz przeciwnie. Cała Aretuza to jedna wielka zagadka. Zauważyłeś to zapewne? Coś tu wisi w powietrzu, Geralt. Dla wyjaśnienia dodam, że nie chodzi o kandelabry.

- Nie rozumiem.

- W to wierzę. Bo i ja nie rozumiem. A bardzo chciałbym zrozumieć. A ty nie chciałbyś? Ach, przepraszam. Przecież ty i tak zapewne wszystko wiesz. Z relacji uroczej Yennefer z Vengerbergu, żeby daleko nie szukać. Pomyśleć tylko, że były czasy, kiedy i mnie zdarzało się dowiedzieć tego czy owego od uroczej Yennefer. Ach, gdzież są niegdysiejsze śniegi?

- Doprawdy nie wiem, o co ci chodzi, Dijkstra. Mógłbyś precyzyjniej wyrażać myśli? Spróbuj. Pod warunkiem, że to nie będzie służbowo. Wybacz, ale nie zamierzam pracować na twoje ekstra premie.

- Sądzisz, że próbuję cię niecnie podejść? - skrzywił się szpieg. - Wyciągnąć podstępem informacje? Krzywdzisz mnie, Geralt. Mnie po

prostu ciekawi, czy obserwujesz na tej sali te same prawidłowości, które mnie rzucają się w oczy.

- A cóż takiego ci się rzuca?

- Nie dziwi cię pełna absencja koronowanych głów, jaką bez trudu można zaobserwować na tym zjeździe?

- Ani trochę nie dziwi - Geraltowi wreszcie udało się nadziać marynowaną oliwkę na wykałaczkę. - Królowie wolą zapewne tradycyjne uczty, przy stole, pod który nad ranem można się wdzięcznie osunąć. Ponadto...

- Co ponadto? - Dijkstra włożył do ust cztery oliwki, które bez żenady wyciągnął z patery palcami.

- Ponadto - wiedźmin spojrzał na wędrujący po sali tłumek - królom nie chciało się fatygować. Przysłali w zastępstwie armię szpiegów. Tych z konfraterni i tych spoza niej. Pewnie po to, by wyszpiegowali, co tu wisi w powietrzu.

Dijkstra wypluł na stół pestki oliwek, zdjął ze srebrnej podstaweczki długi widelec i zaczął nim grzebać w głębokiej kryształowej salaterce.

- A Vilgefortz - powiedział, nie przerywając grzebania - zadbał o to, by żadnego szpiega tu nie zabrakło. Ma wszystkich królewskich szpiegów w jednym garnku. Po co Vilgefortzowi wszyscy królewscy szpiedzy w jednym garnku, wiedźminie?

- Nie mam pojęcia. I mało mnie to obchodzi. Mówiłem, jestem tu prywatnie. Jestem, jakby to rzec, poza garnkiem.

Szpieg króla Vizimira wyłowił z salaterki małą ośmiornicę i przyjrzał się jej ze wstrętem.

- Oni to jedzą - pokiwał głową z udanym współczuciem, po czym odwrócił się do Geralta.

- Posłuchaj mnie uważnie, wiedźminie - powiedział cicho. - Twoje przekonanie o prywatności, ta twoja pewność, że nic cię nie obchodzi i nic nie może obchodzić... Bulwersuje mnie to i skłania do hazardu. Masz trochę żyłki do hazardu?

- Jaśniej, proszę.

- Proponuję ci zakład - Dijkstra uniósł widelec z nabitym nań głowonogiem. - Twierdzę, że w ciągu najbliższej godziny Vilgefortz poprosi cię o dłuższą rozmowę. Twierdzę, że podczas tej rozmowy udowodni ci, że nie jesteś osobą prywatną i że jesteś w jego garnku.

Jeżeli się mylę, zjem to gównem na twoich oczach, z mackami i ze wszystkim. Trzymasz zakład?

– Co będę musiał zjeść, jeśli przegram?

– Nic – Dijkstra rozejrzył się szybko. – Jeżeli przegrasz, zrelacjonujesz mi treść twojej rozmowy z Vilgeförtzem.

Wiedźmin milczał przez chwilę, patrząc na szpiega spokojnie.

– Żegnam, hrabio – powiedział wreszcie. – Dziękuję za pogawędkę. Była pouczająca.

Dijkstra zachnął się lekko.

– Aż tak...

– Aż tak – przerwał Geralt. – Żegnam.

Szpieg wzruszył ramionami, wrzucił ośmiornicę do salaterki razem z widelcem, odwrócił się i odszedł. Geralt nie patrzył za nim. Przesunął się wolno do drugiego stołu, wiedziony chęcią dobrania się do ogromnych białoróżowych krewetek, piętrzących się na srebrnej paterze wśród listków sałaty i ćwiartek limony. Miał na niego apetyt, ale wciąż czując na sobie ciekawe spojrzenia, chciał pożyć skorupiaki w sposób dystyngowany, z zachowaniem formy. Zbliżał się ostentacyjnie powoli, powściągliwie i z godnością skubiąc zakąski z innych półmisek.

Przy sąsiednim stole stała Sabrina Glevissig, pogrążona w rozmowie z nie znaną mu płomiennorudą czarodziejką. Ruda miała na sobie białą spódnicę i bluzeczkę z białej żorżety. Bluzeczka, podobnie jak ta Sabriny, była również absolutnie przejrzysta, ale miała kilka strategicznie rozmieszczonych aplikacji i haftów. Aplikacje, jak zauważył Geralt, miały interesującą właściwość: zakrywały i odsłaniały naprzemiennie.

Czarodziejki rozmawiały, opychając się plasterkami langusty w majonezie. Mówiły cicho i w Starszej Mowie. Choć nie patrzyły w jego stronę, rozmawiały ewidentnie o nim. Niedyskretnie wyteżył swój wyczulony wiedźmiński słuch, udając, że interesują go wyłącznie krewetki.

– ...z Yennefer? – upewniła się rudowłosa, bawiąc się naszyjnikiem z pereł, okręconym wokół szyi tak, że wyglądał jak obroża. – Mówisz serio, Sabrina?

– Absolutnie – odrzekła Sabrina Glevissig. – Nie uwierzysz, to już trwa kilka lat. Że też on wytrzymuje z tą wredną gadziną, dziwię się zaiste.

- Czemu tu się dziwić? Rzuciła na niego urok, trzyma go pod szarmem. Mało razy sama tak robiłam?

- To przecież wiedźmin. Oni się nie dają zauroczyć. Nie na tak długo, w każdym razie.

- A zatem to miłość - westchnęła rudowłosa. - A miłość jest ślepa.

- On jest ślepy - wykrzywiła się Sabrina. - Czy uwierzysz, Marti, że ona ośmieliła się przedstawić mu mnie jako szkolną przyjaciółkę? *Bloede pest*, jest ode mnie starsza o... Mniejsza z tym. Mówię ci, jest o tego wiedźmina zazdrosna jak cholera. Mała Merigold tylko uśmiechnęła się do niego, a ta jędrza obręgała ją nie przebierając w słowach i przepędziła. A w tej chwili... Spójrz tylko. Stoi tam, rozmawia z Franceską, a z wiedźmina nie spuszcza oka.

- Boi się - zachichotała ruda - że go jej sprzątniemy, choćby tylko na dzisiejszą noc. Co ty na to, Sabrina? Spróbujemy? Chłop jest atrakcyjny, nie to, co te nasze zarozumiałe wymoczki z ich kompleksami i pretensjami...

- Mów ciszej, Marti - syknęła Sabrina. - Nie patrz na niego i nie szczerz zębów. Yennefer nas obserwuje. I trzymaj styl. Chcesz go uwieść? To w złym guście.

- Hmm, masz rację - przyznała po namyśle Marti. - A gdyby tak nagle podszedł i sam zaproponował?

- Wtedy - Sabrina Gleivissig rzuciła na wiedźmina drapieżnym czarnym okiem - dałabym mu bez namysłu, choćby i na kamieniu.

- A ja - zachichotała Marti - nawet na jeżu.

Wiedźmin, wpatrzony w obrus, zasłonił głupią minę krewetką i liściem sałaty, niesłuchanie rad z faktu, że mutacja naczyń krwionośnych uniemożliwia mu rumienienie się.

- Wiedźmin Geralt?

Przełknął krewetkę, odwrócił się. Czarodziej o znajomych rysach uśmiechnął się nieznacznie, dotykając haftowanych wyłogów fioletowego dubletu.

- Dorregaray z Vole. Znamy się przecież. Spotkaliśmy się...

- Pamiętam. Przepraszam, nie poznałem w pierwszej chwili. Rad jestem...

Czarodziej uśmiechnął się nieco znaczniej, zdejmując dwa kielichy z niesionej przez pazika tacy.

- Obserwuję cię od jakiegoś czasu - powiedział, wręczając jeden z kielichów Geraltowi. - Wszystkim, którym Yennefer cię przedstawiała, oznajmiałeś, żeś rad. Obluda czy brak krytycyzmu?

- Grzeczność.

- Wobec nich? - Dorregaray szerokim gestem wskazał biesiadników.

- Wierz mi, nie warto się wysilać. To pyszna, zawistna i zakłamana banda, twojej grzeczności nie docenia, wręcz wezmą za sarkazm. Z nimi, wiedźminie, trzeba na ich własną modłę, obcesowo, arogancko, nieuprzejmie, wówczas przynajmniej im zaimponujesz. Napijesz się ze mną wina?

- Cienkusa, który tu serwują? - uśmiechnął się mile Geralt. - Z najwyższym obrzydzeniem. No, ale jeśli tobie smakuje... Zmuszę się.

Sabrina i Marti, strzygące uszami zza swego stołu, parsknęły głośno. Dorregaray zmierzył obie wzrokiem pełnym pogardy, odwrócił się, stuknął pucharem o kielich wiedźmina, uśmiechając się, ale tym razem szczerze.

- Punkt dla ciebie - przyznał swobodnie. - Szybko się uczysz. Do kata, gdzieś to nabrał takiego konceptu, wiedźminie? Na gościach, po których wciąż włączysz się tropem wymierających stworzeń? Twoje zdrowie. Uśmiejesz się, ale jesteś jednym z nielicznych na tej sali, komu mam chęć zaproponować taki toast.

- Doprawdy? - Geralt łyknął wina, mlasnął delikatnie, rozkoszując się smakiem. - Pomimo faktu, że trudnię się szlachtowniem wymierających stworzeń?

- Nie łap mnie za słowa - czarodziej przyjaźnie klepnął go w ramię. - Bankiet ledwie się zaczął. Pewnie zaczepi cię jeszcze kilka osób, oszczędniej gospodaruj więc zjadliwymi ripostami. Co się zaś tyczy twego fachu... Ty, Geralt, przynajmniej masz na tyle godności, by nie obwieszać się trofeami. A rozejrzyj się dookoła. No, śmiało, konwenanse na bok, oni lubią, jak się na nich gapić.

Wiedźmin posłusznie wlepił wzrok w biust Sabriny Glevissig.

- Spójrz - Dorregaray złapał go za rękaw, wskazał palcem przechodzącą obok, powiewającą tiulami czarodziejkę. - Trzewiczki ze skóry agamy rogatej. Zauważyłeś?

Kiwnął głową, nieszczercze, albowiem widział wyłącznie to, czego nie kryła przejrzysta tiulowa bluzeczka.

- O, proszę, skalna kobra - czarodziej bezbłędnie rozpoznawał kolejne paradujące po sali trzewiczki. Moda, która skróciła suknie do piędzi powyżej kostki, ułatwiała mu zadanie. - A tam... Białe legwan. Salamandra. Wiwerna. Kajman okularowy. Bazyliszek... Wszystkie co do jednego gady zagrożone wymarciem. Do karta, czy nie można nosić obuwia z cielecej lub świńskiej skóry?

- Ty jak zwykle o skórkach, Dorregaray? - zagadnęła Filippa Eilhart, przystając obok. - O garbarstwie i szewstwie? Cóż za trywialny i niesmaczny temat.

- Jednego niesmaczy to, drugiego tamto - wykrzywił się pogardliwie czarodziej. - Masz piękne aplikacje przy sukni, Filippa. Jeśli się nie mylę, to gronostaj diamentowy? Bardzo gustowny. Orientujesz się zapewne, że gatunek ten, z racji jego pięknej okrywy włosowej, wytępiono całkowicie dwadzieścia lat temu?

- Trzydzieści - poprawiła Filippa, pakując kolejno do ust ostatnie krewetki, te, których Geralt nie zdążył zjeść. - Wiem, wiem, gatunek niechybnie zmartwychwstałby, gdybym kazała modystce obszyć suknię wiechciami pakuł. Rozważałam to. Ale pakuły nie pasowały kolorem.

- Przejdźmy do stołu po tamtej stronie - zaproponował swobodnie wiedźmin. - Widziałem tam sporą miskę czarnego kawioru. A ponieważ jesiotry łopatonose też już niemal doszczętnie wyginęły, trzeba się spieszyć.

- Kawior w twoim towarzystwie? Marzyłam o tym - Filippa zatrzepotała rękami, wsunęła mu rękę pod ramię, podniecająco zapachniała cytrymonem i nardem. - Chodźmy, nie zwlekając. Dotrzymasz nam kompanii, Dorregaray? Nie? No, to bywaj, baw się dobrze.

Czarodziej prychnął i odwrócił się. Sabrina Glevissig i jej ruda koleżanka odprowadziły odchodzących spojrzeniami jadowitszymi niż zagrożone wymarciem skalne kobry.

- Dorregaray - mruknęła Filippa, bez skrępowania przyciskając się do boku Geralta - szpieguje dla króla Ethaina z Cidaris. Miej się na baczności. Te jego gady i skóry to wstęp, którym poprzedza wypytywanie. A Sabrina Glevissig pilnie nadstawiała uszu...

- ...bo szpieguje dla Henselta z Kaedwen - dokończył. - Wiem, wspominałaś. A ta ruda, jej przyjaciółka...

- Nie ruda, lecz farbowana. Czy ty nie masz oczu? To Marti Sodergren.

- Dla kogo ona szpieguje?

- Marti? - Filippa zaśmiała się, błysnęła zębami spod ostro ukarminowanych warg. - Dla nikogo. Marti nie interesuje się polityką.

- Bulwersujące. Myślałem, że tu wszyscy szpiegują.

- Wielu - czarodziejka zmrużyła oczy. - Ale nie wszyscy. Nie Marti Sodergren. Marti jest uzdrowicielką. I nimfomanką. Ach, do pioruna, spójrz! Wyżarli wszystek kawior! Do ostatniego ziarenka! Wylizali paterę! I co my teraz zrobimy?

- Teraz - Geralt uśmiechnął się niewinnie - oznajmisz mi, że coś tu wisi w powietrzu. Powiesz, że muszę odrzucić neutralność i dokonać wyboru. Zaproponujesz mi zakład. O tym, co w tym zakładzie może być moją nagrodą, nie śmiem nawet marzyć. Ale wiem, co będę musiał zrobić, gdy przegram.

Filippa Eilhart milczała długo, nie spuszczać wzroku.

- Mogłam się domyślić - powiedziała cicho. - Dijkstra nie zdierzył. Złożył ci propozycję. A uprzedzałam go, że gardzisz szpiegami.

- Nie gardzę szpiegami. Gardzę szpiegowaniem. I gardzę pogardą. Nie proponuj mi żadnych zakładów, Filippa. Owszem, ja też czuję, że coś tu wisi w powietrzu. I niech sobie wisi na zdrowie. Mnie to nie dotyczy i nie obchodzi.

- Już mi to kiedyś powiedziałeś. W Oxenfurcie.

- Cieszę się, że nie zapomniałaś. Okoliczności, jak tuszę, pamiętasz również?

- Precyzyjnie. Nie zdradziłam ci wówczas, komu służy ten cały Rience, czy jak mu tam było. Pozwoliłam mu uciec. Ech, byłeś wtedy na mnie zły...

- Delikatnie mówiąc.

- Przyszedł czas, bym się zrehabilitowała. Jutro dam ci tego Rience'a. Nie przerywaj, nie rób min. To nie jest żaden zakład w stylu Dijkstry. To obietnica, a ja dotrzymuję obietnic. Nie, żadnych pytań, proszę. Zaczekaj do jutra. Teraz zaś skupmy się na kawiorze i banalnych ploteczkach.

- Nie ma kawioru.

- Jedną chwilę.

Rozejrzała się szybko, poruszyła dłonią i wymruczała zaklęcie. Srebrne naczynie w kształcie wygiętej w skoku ryby natychmiast wypełniło się ikrą zagrożonego wymarciem jesiotra łopatonosego. Wiedźmin uśmiechnął się.

- Można najeść się iluzją?

- Nie. Ale snobistyczny smak można nią mile polechtać. Skosztuj.

- Hmm... Rzeczywiście... Zdaje mi się smaczniejszy niż prawdziwy...

- I nie tuczy – rzekła dumnie czarodziejka, skrapiając sokiem z cytryny kolejną kopiastą łyżeczkę kawioru. – Czy mogę cię prosić o kieliszek białego wina?

- Służę. Filippa?

- Słucham cię.

- Podobno konwenans zabrania rzucania tutaj zaklęć. Czy zatem nie byłoby bezpieczniej zamiast iluzji kawioru wyczarować iluzję samego smaku? Samo wrażenie? Przecież potrafiłabyś...

- Oczywiście, że potrafiłabym – Filippa Eilhart spojrzała na niego przez kryształ kielicha. – Konstrukcja takiego zaklęcia jest prostsza od konstrukcji cepa. Ale mając tylko wrażenie smaku, stracilibyśmy przyjemność, której dostarcza czynność. Proces, towarzyszące mu rytualne ruchy, gesty... Towarzysząca temu procesowi rozmowa, kontakt oczu... Ucieszę cię dowcipnym porównaniem, chcesz?

- Słucham, ciesząc się z wyprzedzeniem.

- Wrażenie orgazmu też umiałabym wyczarować.

Nim wiedźmin odzyskał mowę, podeszła do nich niewysoka, szczupła czarodziejka o długich, prostych włosach koloru słomy. Poznał ją od razu – była to ta w pantofelkach ze skóry rogatej agamy i bluzeczce z zielonego tiulu, nie kryjącej nawet tak drobnego detalu jak mały pieprzyk nad lewą piersią.

- Przepraszam – powiedziała – ale muszę przerwać wam ten flircik. Filippa, Radcliffe i Detmold proszą cię o chwilę rozmowy. Pilnie.

- Cóż, jeśli tak, idę. Pa, Geralt. Poflirtujemy później!

- Aha! – blondynka otaksowała go wzrokiem. – Geralt. Wiedźmin, na punkcie którego oszalała Yennefer? Obserwowałam cię i zachodziłam w głowę, kim też możesz być. Strasznie mnie to męczyło!

- Znam ten rodzaj męki – odrzekł, uśmiechając się grzecznie. – Właśnie w tej chwili jej doznaję.

- Przepraszam za gafę. Jestem Keira Metz. O, kawior!

- Uważaj, to iluzja.

- Do diabła, masz rację! – czarodziejka puściła łyżkę, jakby był to ogon czarnego skorpiona. – Kto był tak beczelny... Ty? Umiesz tworzyć iluzje czwartego stopnia? Ty?

- Ja - zelgał, nie przestając się uśmiechać. - Jestem mistrzem magii, udaję wiedźmina, by zachować incognito. Czy sądzisz, że Yennefer interesowałaby się zwykłym wiedźminem?

Keira Metz spojrzała mu prosto w oczy, skrzywiła usta. Na szyi nosiła medalion w kształcie krzyża ankh, srebrny, wysadzany cyrkoniami.

- Może wina? - zaproponował, by przerwać niezręczne milczenie. Obawiał się, że jego żart nie został dobrze odebrany.

- Nie, dziękuję... kolego mistrzu - powiedziała lodowato Keira. - Nie piję. Nie mogę. Dziś w nocy zamierzam zająć w ciążę.

- Z kim? - spytała podchodząc farbowana na rudo przyjaciółka Sabriny Glevisig, odziana w przezroczystą bluzeczkę z białej żorżety, ozdobioną przemyślnie rozłokowanymi aplikacjami.

- Z kim? - powtórzyła, niewinnie strzepnąwszy długimi rękami.

Keira odwróciła się i zmierzyła ją wzrokiem od trzewiczków z białego legwana po diademik z pereł.

- A co cię to obchodzi?

- Nic. Ciekawość profesjonalna. Nie przedstawisz mnie twemu towarzyszowi, słynnemu Geraltowi z Rivii?

- Z niechęcią. Ale wiem, że nie dasz się spławić. Geralt, to jest Marti Sodergren, uzdrowicielka. Jej specjalność to afrodyzjaki.

- Czy musimy rozmawiać o interesach? O, zostawiliście dla mnie trochę kawioru? Jak miło z waszej strony.

- Uwaga - powiedzieli chórem Keira i wiedźmin. - To iluzja.

- Faktycznie! - Marti Sodergren pochyliła się, zmarszczyła nosek, po czym wzięła do ręki kielich, spojrzała na ślad karminowej pomadki. - No jasne, Filippa Eilhart. Któż inny poważiłby się na podobną bezczelność. Wstrętna żmija. Czy wiecie, że ona szpieguje dla Vizimira z Redanii?

- I jest nimfomanką? - zaryzykował wiedźmin.

Marti i Keira parsknęły jednocześnie.

- Czyżbyś na to liczył, emablując ją i próbując flirtu? - spytała uzdrowicielka. - Jeżeli tak, to wiedz, że ktoś cię złośliwie nabrał. Filippa od jakiegoś czasu przestała gustować w mężczyznach.

- A może ty jesteś kobietą? - Keira Metz wydeła lśniące wargi. - Może tylko udajesz mężczyznę, kolego mistrzu magii? By zachować incognito? Wiesz, Marti, wyznał mi przed chwilą, że lubi udawać.

- Lubi i umie - uśmiechnęła się złośliwie Marti. - Prawda, Geralt? Nie tak dawno widziałam, jak udajesz, że masz kiepski słuch i że nie znasz

Starszej Mowy.

– On ma mnóstwo wad – powiedziała zimno Yennefer, podchodząc i władczo ujmując wiedźmina pod ramię. – On ma praktycznie wyłącznie wady. Traciecie czas, dziewczyny.

– Na to wygląda – zgodziła się Marti Sodergren, wciąż złośliwie uśmiechnięta. – Życzymy tedy milej zabawy. Chodź, Keira, napijemy się czegoś... bezalkoholowego. Może i ja zdecyduję się na coś dziś w nocy?

– Uff – sapnął, gdy odeszły. – W samą porę, Yen. Dziękuję ci.

– Dziękujesz? Chyba nieszczercze. Na tej sali jest dokładnie jedenaście kobiet chwalać się cyckami spod przejrzystych bluzek. Zostawiam cię na pół godziny, po czym przyłapuję na rozmowie z dwiema z nich...

Yennefer urwała, spojrzała na naczynie w kształcie ryby.

– ...i na jedzeniu iluzji – dodała. – Och, Geralt, Geralt. Chodź. Jest okazja przedstawić cię kilku osobom wartym poznania.

– Czy jedną z tych osób jest Vilgefortz?

– Ciekawe – czarodziejka zmrużyła oczy – że właśnie o niego pytasz. Tak, to Vilgefortz pragnie cię poznać i porozmawiać z tobą. Uprzedzam, rozmowa może wyglądać na banalną i niefrasobliwą, ale niech cię to nie zmyli. Vilgefortz to wytrawny, niebywale inteligentny gracz. Nie wiem, czego chce od ciebie, ale bądź czujny.

– Będę czujny – westchnął. – Ale nie sędzę, żeby twój wytrawny gracz był w stanie mnie zaskoczyć. Nie po tym, co ja tu przeszedłem. Rzucili się na mnie szpiedzy, opadły wymierające gady i gronostaje. Nakarmiono mnie nieistniejącym kawiozem. Niegustujące w męczyznach nimfomanki podawały w wątpliwość moją męskość, groziły gwałtem na jeżu, straszyły ciążą, ba, nawet orgazmem, i to takim, któremu nie towarzyszą rytualne ruchy. Brrr...

– Piłeś?

– Odrobinę białego wina z Cidaris. Ale prawdopodobnie był w nim afrodyzjak... Yen? Czy po rozmowie z tym Vilgefortzem wrócimy do Loxii?

– Nie wrócimy do Loxii.

– Słucham?

– Chcę spędzić tę noc w Aretuzie. Z tobą. Afrodyzjak, powiadasz? W winie? Interesujące...

•

– O jejku, jej – westchnęła Yennefer, przeciągając się i zarzucając udo na udo wiedźmina. – Jejku, jejku, jej. Od tak dawna się nie kochałam... Od strasznie dawna.

Geralt wyplątał palce z jej loków, nie skomentował. Po pierwsze, stwierdzenie mogło być prowokacją, bał się ukrytego w przynęcie haka. Po drugie, nie chciał słowami zacierać smaku jej rozkoszy, który wciąż miał na wargach.

– Od bardzo dawna nie kochałam się z mężczyzną, który wyznał mi miłość i któremu ja wyznałam miłość – zamruczała po chwili, gdy już było jasne, że wiedźmin nie weźmie przynęty. – Zapomniałam, jak wtedy może być. Jejku, jej.

Przeciągnęła się jeszcze silniej, wyprężając ramiona i chwytając oburącz rogi poduszki, a jej zalane księżycowym blaskiem piersi nabrały wówczas kształtu, który odezwał się wiedźminowi dreszczem w dole pleców. Objął ją, oboje leżeli nieruchomo, wygasali, stygli.

Za oknem komnatki jazgotały cykady, słysząc też było odległe, ciche głosy i śmiech, świadczące o tym, że bankiet trwał nadal mimo dość późnej pory.

– Geralt?

– Tak, Yen?

– Opowiedz.

– O rozmowie z Vilgefortzem? Teraz? Opowiem ci rano.

– Teraz, proszę.

Patrzył na sekretarzyk w rogu komnatki. Leżały na nim książki, albumy i inne przedmioty, których wykwaterowana czasowo do Loxii adeptka nie zabrała ze sobą. Pieczołowicie oparta o książki, siedziała tam też okrągłutka szmaciana laleczka w falbaniastej sukience, wymiętej od częstego przytulania. Nie zabrała lalki, pomyślał, by w Loxii, we wspólnym dormitorium, nie narazić się na kpiny koleżanek. Nie zabrała swojej laleczki. I teraz pewnie nie może bez niej zasnąć.

Lalka wpatrywała się w niego oczami z guzików. Odwrócił wzrok.

Gdy Yennefer przedstawiała go Kapitulie, obserwował bacznie elitę czarodziejów. Hen Gedymdeith poświęcił mu tylko krótkie, zmęczone spojrzenie – widać było, że bankiet zdążył już znużyć i wyczerpać starca. Artaud Terranova uklonił się z dwuznacznym grymasem, biegając oczami od niego do Yennefer, ale spoważniał natychmiast pod spojrzeniami innych. Błękitne elfie oczy Franceski Findabair były

nieprzeniknione i twarde jak szkło. Gdy go jej przedstawiano, Stokrotka z Dolin uśmiechnęła się. Uśmiech, choć niesamowicie piękny, przejął wiedźmina grozą. Tissaia de Vries, choć na pozór pochłonięta bezustannym poprawianiem mankietów i biżuterii, przy prezentacji uśmiechnęła się do niego znacznie mniej pięknie, ale znacznie szczerzej. I to Tissaia natychmiast nawiązała z nim rozmowę, przypominając jeden z jego szlachetnych wiedźmińskich czynów, którego, nawiasem mówiąc, nie pamiętał i podejrzewał, że był wyssany z palca.

I wtedy do rozmowy włączył się Vilgefortz. Vilgefortz z Roggeveen, czarodziej o imponującej postawie, o szlachetnych i pięknych rysach, o szczerym i uczciwym głosie. Geralt wiedział, że po tak wyglądających ludziach można się spodziewać wszystkiego.

Rozmawiali krótko, czując na sobie pełen niepokoju wzrok. Na wiedźmina patrzyła Yennefer. Na Vilgefortza patrzyła młoda czarodziejka o miłych oczach, bezustannie próbująca kryć dół twarzy za wachlarzem. Wymienili kilka konwencjonalnych uwag, po czym Vilgefortz zaproponował kontynuowanie rozmowy w mniejszym gronie. Geraltowi wydało się, że Tissaia de Vries była jedyną osobą, którą ta propozycja zdziwiła.

– Zasnąłeś, Geralt? – mruknięcie Yennefer wyrwało go z zamyślenia. – Miałeś mi opowiedzieć o waszej rozmowie.

Laleczka z sekretarzyka patrzyła na niego guzikowym wzrokiem. Odwrócił oczy.

– Gdy tylko weszliśmy na krużganek – zaczął po chwili – ta dziewczyna o dziwnej twarzy...

– Lydia van Bredevoort. Asystentka Vilgefortza.

– Tak, prawda, wspominałaś. Osoba bez znaczenia. Tak więc, gdy weszliśmy na krużganek, owa osoba bez znaczenia zatrzymała się, spojrzała na niego i zapytała o coś. Telepatycznie.

– To nie był nietakt. Lydia nie może używać głosu.

– Domyśliłem się. Bo Vilgefortz nie odpowiedział jej telepatią. Odpowiedział...

•

– Tak, Lydia, to dobry pomysł – odpowiedział Vilgefortz. – Przespacerujemy się Galerią Chwały. Będziesz miał okazję rzucić okiem

na historię magii, GERALCIE z Rivii. Nie wątpię, że znasz historię magii, ale będziesz miał okazję zapoznać się z jej historią wizualną. Jeśli jesteś koneserem malarstwa, nie przeraż się. Większość obrazów to dzieła entuzjastycznych studentek z Aretuzy. Lydia, bądź tak dobra i rozjaśnij nieco panujące tu mroki.

Lydia van Bredevort powiodła dłonią w powietrzu i w korytarzu natychmiast zrobiło się jaśniej.

Pierwszy obraz przedstawiał starożytny żaglowiec, miotany wirami wśród sterczących z kipieli raf. Na dziobie statku stał mężczyzna w białej szacie, z głową otoczoną świetlistą aureolą.

– Pierwsze lądowanie – domyślił się wiedźmin.

– Oczywiście – potwierdził Vilgefortz. – Statek Wygnańców. Jan Bekker podporządkowuje swej woli Moc. Uspokaja fale, udowadniając, że magia wcale nie musi być zła i destrukcyjna, lecz może ratować życie.

– To wydarzenie rzeczywiście miało miejsce?

– Wątpię – uśmiechnął się czarodziej. – Bardziej prawdopodobne jest, że w czasie pierwszej podróży i lądowania Bekker wraz z innymi rzygał żółcią, przewieszony przez burtę. Moc udało mu się opanować już po lądowaniu, które dziwnym trafem było szczęśliwe. Przejdźmy dalej. Oto znowu widzisz Jana Bekkera, jak zmusza wodę do tryśnięcia ze skały w miejscu założenia pierwszej osady. A tu, proszę, otoczony przez klęczących osadników Bekker rozpędza chmury i powstrzymuje nawałnicę, by uchronić zbiory.

– A to? Jakie wydarzenie przedstawia ten obraz?

– Poznawanie Wybrańców. Bekker i Giambattista poddają magicznemu testowi dzieci kolejnych przybywających osadników, by wykryć Źródła. Wyselekcjonowane dzieci będą odebrane rodzicom i zabrane do Mirthe, pierwszej siedziby magów. Oglądasz właśnie historyczny moment. Jak widzisz, wszystkie dzieci są przerażone, tylko ta rezolutna bruneteczka z pełnym ufności uśmiechem wyciąga rękę do Giambattisty. To sławna później Agnes z Glanville, pierwsza kobieta, która została czarodziejką. Ta niewiasta za nią to jej matka. Smutna jakaś.

– A ta scena zbiorowa?

– Unia Novigradzka. Bekker, Giambattista i Monck zawierają ugodę z władzami, kapłanami i druidami. Coś w rodzaju paktu o nieagresji i

rozdziale magii od państwa. Straszny kicz. Przejdźmy dalej. Tu oto widzimy Geoffreya Moncka wyruszającego w górę Pontaru, wtedy jeszcze zwanego Aevon y Pont ar Gwennelen, Rzeką Alabastrowych Mostów. Monck płynął do Loc Muinne, aby skłonić tamtejsze elfy do przyjęcia grupy dzieci, Źródeł, które miały być szkolone przez elfich magów. Może cię zainteresuje, że wśród dzieci był chłopczyk, zwany później Gerhartem z Aelle. Poznałeś go przed chwilą. Teraz ten chłopczyk nazywa się Hen Gedymdeith.

- Tutaj - wiedźmin spojrzał na czarodzieja - aż prosi się o batalistykę. Wszakże kilka lat po uwieńczonej powodzeniem wyprawie Moncka wojska marszałka Raupennecka z Tretogoru dokonały rzezi Loc Muinne i Est Haemlet, zabijając wszystkie elfy, bez względu na wiek czy płeć. I rozpoczęła się wojna, zakończona masakrą pod Shaerrawedd.

- Twoja imponująca znajomość historii - uśmiechnął się znowu Vilgefortz - pozwala ci wszakże wiedzieć, że w wojnach tych nie brał udziału żaden z liczących się czarodziejów. Dlatego temat nie natchnął żadnej adeptki do namalowania stosownego malowidła. Chodźmy dalej.

- Chodźmy. Tu, na tym płótnie, co to za wydarzenie? Ach, wiem. To Raffard Biały godzi zwaśnionych królów i kładzie kres Wojnie Sześćioletniej. A tu oto mamy Raffarda odmawiającego przyjęcia korony. Piękny, szlachetny gest.

- Tak sądzisz? - przekrzywił głowę Vilgefortz. - Cóż, w każdym razie był to gest o mocy precedensu. Raffard przyjął jednak stanowisko pierwszego doradcy i faktycznie rządził, bo król był debilem.

- Galeria Chwały... - mruknął wiedźmin, podchodząc do następnego obrazu. - A co tutaj mamy?

- Historyczny moment powołania pierwszej Kapituły i uchwalenie Prawa. Od lewej siedzą: Herbert Stammelford, Aurora Henson, Ivo Richert, Agnes z Glanville, Geoffrey Monck i Radmir z Tor Carnedd. Tutaj, jeśli mam być szczery, też aż się prosi o uzupełniający obraz batalistyczny. Wkrótce bowiem w brutalnej wojnie wykończono tych, którzy nie chcieli uznać Kapituły i podporządkować się Prawu. Między innymi Raffarda Białego. Ale o tym historyczne traktaty milczą, by nie szkodzić jego pięknej legendzie.

- A tu... Hmmm... Tak, to chyba malowała adeptka. I to bardzo młoda...

- Niewątpliwie. To zresztą alegoria. Nazwałbym ją alegorią triumfującej kobiecości. Powietrze, Woda, Ziemia i Ogień. I cztery

słynne czarodziejki, mistrzynie we władaniu siłami tych żywiołów. Agnes z Glanville, Aurora Henson, Nina Fioravanti i Klara Larissa de Winter. Spójrz na następne, bardziej udane płótno. Tutaj też widzisz Klarę Larissę dokonującą otwarcia akademii dla dziewcząt. W budynku, w którym właśnie się znajdujemy. A te portrety to wsławione absolwentki Aretuzy. Oto długa historia triumfującej kobiecości i postępującej feminizacji zawodu: Yanna z Murivel, Nora Wagner, jej siostra Augusta, Jade Glevissig, Leticia Charbonneau, Ilona Laux-Antille, Carla Demetia Crest, Violenta Suarez, April Wenhaver... I jedyna żyjąca: Tissaia de Vries...

Poszli dalej. Jedwab sukni Lydii van Bredevoort szeptał jedwabiszcie, a w szepcie tym była groźna tajemnica.

- A to? - Geralt zatrzymał się. - Cóż to za okropna scena?

- Męczeństwo maga Radmira, obdartego żywcem ze skóry podczas rebelii Falki. W tle płonie gród Mirthe, który Falka kazała puścić z dymem.

- Za co wkrótce po tym puszczono z dymem samą Falkę. Na stosie.

- To fakt powszechnie znany, temerskie i redańskie dzieci do dziś bawią się w palenie Falki w wigilię Saovine. Wróćmy, byś mógł obejrzyć drugą stronę galerii... Widzę, że chcesz o coś zapytać. Słucham.

- Zastanawia mnie chronologia. Wiem, rzecz jasna, jak działają eliksiry młodości, ale wspólne występowanie na płótnach osób żyjących i dawno zmarłych...

- Innymi słowy, dziwi cię, że na bankiecie spotkałeś Hena Gedymdeitha i Tissaie de Vries, a nie było wśród nas Bekkera, Agnes z Glanville, Stammelforda czy Niny Fioravanti?

- Nie. Wiem, że nie jesteście nieśmiertelni...

- Czym jest śmierć? - przerwał Vilgefortz. - Według ciebie?

- Końcem.

- Końcem czego?

- Istnienia. Jak mi się zdaje, zaczęliśmy filozofować.

- Natura nie zna pojęcia filozofii, Geralcie z Rivii. Filozofią zwykło się nazywać żalosne i śmieszne próby zrozumienia Natury, podejmowane przez ludzi. Za filozofię uchodzą też rezultaty takich prób. To tak, jak gdyby burak dochodził przyczyn i skutków swego istnienia, nazywając wynik przemyśleń odwiecznym i tajemnym Konfliktem Bulwy i Naci, a deszcz uznał za Nieodgadnioną Moc Sprawczą. My, czarodzieje, nie

tracimy czasu na odgadywanie, czym jest Natura. My wiemy, czym ona jest, bo sami jesteśmy Naturą. Rozumiesz mnie?

– Staram się, ale mów wolniej, proszę. Nie zapominaj, rozmawiasz z burakiem.

– Czy zastanawiałeś się kiedyś, co stało się wówczas, gdy Bekker zmusił wodę, by wytrysnęła ze skały? Mówi się bardzo prosto: Bekker opanował Moc. Zmusił żywioł do posłuszeństwa. Podporządkował sobie Naturę, zapanował nad nią... Jaki jest twój stosunek do kobiet, Geralt?

– Słucham?

Lydia van Bredevoort odwróciła się z szeptem jedwabiu, zamarła w oczekiwaniu. Geralt zobaczył, że trzyma pod pachą opakowany obraz. Nie miał pojęcia, skąd ten obraz się wziął, jeszcze przed chwilą Lydia nie niosła niczego. Amulet na jego szyi drgnął lekko.

Vilgefortz uśmiechał się.

– Pytałem – przypomniał – o twoje poglądy względem relacji między mężczyzną a kobietą.

– Względem jakiego względu tej relacji?

– Czy można, twoim zdaniem, zmusić do posłuszeństwa kobietę? Mówię oczywiście o prawdziwych kobietach, nie o samiczkach. Czy nad prawdziwą kobietą można zapanować? Owładnąć nią? Sprawić, by poddała się twojej woli? A jeżeli tak, to w jaki sposób? Odpowiedz.

•

Szmaciana laleczka nie spuszczała z nich guzikowych oczu. Yennefer odwróciła wzrok.

– Odpowiedziałeś?

– Odpowiedziałem.

Czarodziejka zacisnęła lewą dłoń na jego łokciu, a prawą na dotykających jej piersi palcach.

– W jaki sposób?

– Przecież wiesz.

•

– Zrozumiałeś – powiedział po chwili Vilgefortz. – I chyba zawsze rozumiałeś. A zatem zrozumiesz i to, że jeśli zginie i zniknie pojęcie woli i poddania, rozkazu i posłuszeństwa, władcy i poddanki, wtedy osiąga się jedność. Wspólnotę, połączenie się w jedną całość. Wzajemne przeniknięcie. A gdy coś takiego nastąpi, śmierć przestaje się liczyć.

Tam, na sali bankietowej, jest obecny Jan Bekker, który był wodą tryskającą ze skały. Mówić, że Bekker umarł, to tak jak gdyby twierdzić, że woda umarła. Spójrz na to płótno.

Spojrzał.

– Jest wyjątkowo piękne – powiedział po chwili. I natychmiast poczuł lekkie drgnięcie wiedźmińskiego medalionu.

– Lydia – uśmiechnął się Vilgefortz – dziękuje ci za uznanie. A ja gratuluję gustu. Pejzaż przedstawia spotkanie Cregennana z Lod i Lary Dorren aep Shiadhal, legendarnych kochanków, rozdzielonych i zniszczonych przez czas pogardy. On był czarodziejem, ona elfką, jedną z elity Aen Saevherne, czyli Wiedzących. To, co mogło być początkiem pojednania, zmieniło się w tragedię.

– Znam tę opowieść. Zawsze miałem ją za bajkę. Jak to było naprawdę?

– Tego – spoważniał czarodziej – nie wie nikt. To znaczy prawie nikt. Lydia, powieś twój obraz, tutaj obok. Geralt, podziwiał kolejne dzieło pędzla Lydii. To portret Lary Dorren aep Shiadhal wykonany na podstawie starożytnej miniatury.

– Gratuluję – wiedźmin uklonił się Lydii van Bredevoort, a głos nie drgnął mu nawet. – To prawdziwe arcydzieło.

Głos mu nie drgnął, choć Lara Dorren aep Shiadhal patrzyła na niego z portretu oczami Ciri.

•

– Co było potem?

– Lydia została w galerii. My obaj wyszliśmy na taras. A on zabawił się moim kosztem.

•

– Tędy, Geralt, pozwól. Stąpaj tylko po ciemnych płytkach, proszę.

W dole szumiało morze, wyspa Thanedd stała wśród białej piany przyboju. Fale rozbijały się o mury Loxii znajdującej się dokładnie pod nimi. Loxia skrzyła się od światła, podobnie jak Aretuza. Górujący nad nimi kamienny blok Garstangu był natomiast czarny i wymarły.

– Jutro – czarodziej podążył za wzrokiem wiedźmina – członkowie Kapituły i Rady ustroją się w tradycyjne szaty, w znane ci ze starożytnych rycin czarne powłóczyste płaszcze i szpiczaste kapelusze. Uzbroimy się też w długie różdżki i posochy, upodabiając się tym

sposobem do czarowników i wiedźm, jakimi straszy się dzieci. To taka tradycja. W towarzystwie kilku innych delegatów udamy się tam, w górę, do Garstangu. Tam, w specjalnie przygotowanej sali, będziemy radzić. Reszta zaczeka w Aretuzie na nasz powrót i na nasze decyzje.

– Obrady w Garstangu, w wąskim gronie, to także tradycja?

– Jak najbardziej. Długa i podyktowana względami praktycznymi. Zdarzało się, że obrady czarodziejów były burzliwe i dochodziło do dość aktywnej wymiany poglądów. Podczas jednej z takich wymian piorun kulisty uszkodził koafiurę i suknię Niny Fioravanti. Nina, poświęciwszy na to rok pracy, obłożyła mury Garstangu nieprawdopodobnie silną aurą i blokadą antymagiczną. Od tamtej pory w Garstangu nie podziała żadne zaklęcie, a dyskusje przebiegają spokojniej. Zwłaszcza gdy nie zapomni się o odebraniu dyskutantom noży.

– Rozumiem. A ta samotna wieża, powyżej Garstangu, na samym szczycie, co to jest? Jakaś ważna budowla?

– To jest Tor Lara, Wieża Mewy. Ruina. Czy ważna? Prawdopodobnie tak.

– Prawdopodobnie?

Czarodziej oparł się o balustradę.

– Według elfich przekazów Tor Lara połączona jest jakoby teleportem z tajemniczą, do dziś nie odnalezioną Tor Zireael, Wieżą Jaskółki.

– Jakoby? Nie udało się wam wykryć tego teleportu? Nie wierzę.

– Słusznie czynisz. Wykryliśmy portal, ale trzeba go było zablokować. Były protesty, wszyscy rwali się do eksperymentów, każdy chciał zasłynąć jako eksplorator Tor Zireael, mitycznej siedziby elfich magów i mędrców. Portal jest jednak nieodwracalnie spaczony i niesie chaotycznie. Były ofiary, więc zablokowano go. Chodźmy, Geralt, robi się zimno. Ostrożnie. Stąpaj tylko po ciemnych płytach.

– Dlaczego tylko po ciemnych?

– Te budowle są w ruinie. Wilgoć, abrazja, silne wiatry, sól w powietrzu, to wszystko fatalnie wpływa na mury. Remont zbyt drogo by kosztował, więc korzystamy z iluzji. Prestiż, rozumiesz.

– Nie ze wszystkim.

Czarodziej poruszył ręką i taras znikł. Stali nad przepaścią, nad otchłanią najeżoną w dole sterczącymi z piany zębami skał. Stali na wąziutkim pasie ciemnych płyt, rozpiętym niby trapez między gankiem Aretuzy a podtrzymującym taras filarem.

Geralt z wysiłkiem utrzymał równowagę. Gdyby był człowiekiem, nie wiedźminem, nie zdołałby jej utrzymać. Ale nawet on dał się zaskoczyć. Jego gwałtowny ruch nie mógł ujść uwagi czarodzieja, a na twarzy też musiały zajść zmiany. Wiatr zakolysał nim na wąskiej kładce, przepaść wzywała złowrogim szumem fal.

– Boisz się śmierci – skonstatował z uśmiechem Vilgefortz. – Jednak boisz się jej.

•

Laleczka z gałganków patrzyła na nich oczami z guzików.

– Podszedł cię – zamruczała Yennefer, przytulając się do wiedźmina. – Nie było niebezpieczeństwa, z pewnością asekurował i ciebie, i siebie polem lewitacyjnym. Nie ryzykowałby... Co było dalej?

– Przeszliśmy do innego skrzydła Aretuzy. Zaprowadził mnie do dużej komnaty, prawdopodobnie był to gabinet którejś z wykładowczyń, może nawet rektorki. Usiedliśmy przy stole, na którym stała klepsydra. Piasek się sączył. Wyczułem zapach perfum Lydii, wiedziałem, że była w komnacie przed nami...

– A Vilgefortz?

– Zadał pytanie.

•

– Dlaczego nie zostałeś czarodziejem, Geralt? Nigdy nie pociągała cię Sztuka? Bądź szczerzy.

– Będę. Pociągała.

– Dlaczego więc nie poszedłeś za głosem pociągu?

– Uznałem, że rozsądniej jest kierować się głosem rozsądku.

– To znaczy?

– Lata pracy w wiedźmińskim fachu nauczyły mnie mierzyć siły na zamiary. Wiesz, Vilgefortz, znałem kiedyś krasnoluda, który dzieckiem będąc, marzył o tym, by zostać elfem. Jak myślisz, zostałby, gdyby poszedł za głosem pociągu?

– To miało być porównanie? Paralela? Jeśli tak, to zupełnie nietrafna. Krasnolud nie mógł zostać elfem. Bo nie miał matki elfki.

Geralt milczał długo.

– No tak – rzekł wreszcie. – Mogłem się domyślić. Pogrzebałeś trochę w moim życiorysie. Czy możesz mi zdradzić, w jakim celu?

- Może - uśmiechnął się lekko czarodziej - marzy mi się obraz w Galerii Chwały? My dwaj, przy stole, a na mosiężnej tabliczce napis: „Vilgeforsz z Roggeveen zawiera pakt z Geraltom z Rivii”.

- To byłaby alegoria - rzekł wiedźmin. - O tytule: „Wiedza triumfuje nad niewiedzą”. Wolałbym obraz bardziej realistyczny, noszący tytuł: „Vilgeforsz wyjaśnia Geraltowi, o co chodzi”.

Vilgeforsz złączył palce obu dłoni na wysokości ust.

- Czy to nie oczywiste?

- Nie.

- Zapomniałeś? Obraz, który mi się marzy, wisi w Galerii Chwały, patrzą na niego przyszłe pokolenia, które doskonale wiedzą, o co chodzi, jakie wydarzenie przedstawia malunek. Na płótnie malowani Vilgeforsz i Geralt dogadują się i zawierają porozumienie, w wyniku którego Geralt, idąc za głosem nie jakiegoś tam ciągu czy pociągu, ale prawdziwego powołania, wstąpił nareszcie w szeregi magów, kładąc kres swej dotychczasowej, niezbyt sensownej i pozbawionej przyszłości egzystencji.

- Pomyśleć tylko - rzekł wiedźmin po bardzo długiej chwili milczenia - że całkiem niedawno mniemałem, że już nic nie może mnie zaskoczyć. Wierz mi, Vilgeforsz, długo będę wspominał ten bankiet i tę feerię ewenementów. Zaiste, warte to obrazu. Tytuł: „Geralt opuszcza wyspę Thanedd, pękając ze śmiechu”.

- Nie zrozumiałem - czarodziej pochylił się lekko. - Zgubiłem się wśród kwiecistości twojej wypowiedzi, gęsto przetykanej wyszukаныmi słowy.

- Przyczyny niezrozumienia są dla mnie jasne. Zbyt się różnimy, by się zrozumieć. Ty jesteś moźnym magiem z Kapituły, który osiągnął jedność z Naturą. Ja jestem włóczęgą, wiedźminem, mutantem, który jeździ po świecie i za pieniądze wykańcza potwory...

- Kwiecistość - przerwał czarodziej - została wyparta przez banał.

- Zbyt się różnimy - Geralt nie dał sobie przerwać. - A drobny fakt, że moją matką była, przypadkowo, czarodziejka, tej różnicy zatrzeć nie zdoła. A tak z ciekawości: kim była twoja matka?

- Pojęcia nie mam - powiedział spokojnie Vilgeforsz.

Wiedźmin zamilkł natychmiast.

- Druidzi z Kovirskiego Kręgu - podjął po chwili czarodziej - znaleźli mnie w rynsztoku w Lan Exeter. Przygarnęli i wychowali. Na druida, ma

się rozumieć. Wiesz, kim jest druid? To taki mutant, włóczęga, który chodzi po świecie i kłania się świętym dębom.

Wiedźmin milczał.

- A potem - kontynuował Vilgefortz - w trakcie pewnych druidycznych rytuałów wylazły na jaw moje zdolności. Zdolności, które ewidentnie i niezaprzeczalnie pozwalały określić mój rodowód. Spłodziło mnie, oczywiście przypadkowo, dwoje ludzi, z których przynajmniej jedno było czarodziejem.

Geralt milczał.

- Tym, który moje skromne zdolności odkrył, był oczywiście przygodnie spotkany czarodziej - ciągnął spokojnie Vilgefortz. - I tenże zdobył się wobec mnie na ogromną łaskę: zaproponował mi edukację i doskonalenie się, a w perspektywie wstąpienie do Bractwa Magów.

- A ty - rzekł głucho wiedźmin - przyjąłeś propozycję.

- Nie - głos Vilgefortza stawał się coraz bardziej zimny i nieprzyjemny. - Odrzuciłem ją w niegrzecznej, wręcz chamskiej formie. Wyładowałem na dziadymże całą złość. Chciałem, by poczuł się winny, on i cała jego magiczna konfraternia. Winny, oczywiście, rysztoła w Lan Exeter, winny, że jedno lub dwoje łajdackich magików, pozbawionych serca i ludzkich uczuć drani, wrzuciło mnie do tego rysztoła po urodzeniu, a nie przed. Czarodziej, rzecz jasna, ani nie zrozumiał, ani nie przejął się tym, co mu wtedy powiedziałem. Wzruszył ramionami i poszedł precz, znacząc tym samym siebie i ogół swych komilitonów klejmem nieczułych, aroganckich, godnych najwyższej pogardy skurwysynów.

Geralt milczał.

- Druidów miałem serdecznie dość - podjął Vilgefortz. - Porzuciłem więc święte dąbrowy i ruszyłem w świat. Robiłem różne rzeczy. Niektórych wstydzę się do dziś. Wreszcie zostałem najemnym żołnierzem. Moje dalsze losy potoczyły się, jak się domyślasz, stereotypowo. Żołnierz zwycięski, żołnierz pobity, maruder, rabuś, gwałciciel, morderca, wreszcie zbieg uciekający na koniec świata przed stryczkiem. Uciekłem na koniec świata. I tam, na końcu świata, poznałem kobietę. Czarodziejkę.

- Uważaj - szepnął wiedźmin, a oczy mu się zwęziły. - Uważaj, Vilgefortz, by wyszukiwane na siłę podobieństwa nie zawiodły cię za daleko.

- Podobieństwa już się skończyły - czarodziej nie spuścił wzroku. - Ja bowiem nie poradziłem sobie z uczuciem, jakie żywiłem do owej kobiety. Jej uczucia z kolei nie pojąłem, a ona nie starała się mi w tym pomóc. Porzuciłem ją. Bo była promiskuityczna, arogancka, złośliwa, nieczuła i zimna. Bo nie można było jej zdominować, a jej dominacja była upokarzająca. Porzuciłem ją, bo wiedziałem, że interesowała się mną tylko dlatego, że moja inteligencja, osobowość i fascynująca tajemniczość zacierały fakt, że nie byłem czarodziejem, a wyłącznie czarodziejów zwykła była zaszczycać więcej niż jedną nocą. Porzuciłem ją, bo... Bo była jak moja matka. Nagle zrozumiałem, że to, co do niej czuję, to wcale nie miłość, lecz uczucie znacznie bardziej skomplikowane, silne, lecz trudne do sklasyfikowania: mieszanina strachu, żalu, wściekłości, wyrzutów sumienia i potrzeby ekspiacji, poczucia winy, straty i krzywdy, perwersyjnej potrzeby cierpienia i pokuty. To, co czułem do tej kobiety, to była nienawiść.

Geralt milczał. Vilgefortz patrzył w bok.

- Porzuciłem ją - podjął po chwili. - I nie mogłem żyć z pustką, jaka mnie ogarnęła. I nagle zrozumiałem, że to nie brak kobiety powoduje tę pustkę, lecz brak tego, co wtedy czułem. Paradoks, prawda? Kończyć chyba nie muszę, domyślasz się dalszego ciągu. Zostałem czarodziejem. Z nienawiści. I dopiero wówczas zrozumiałem, jaki byłem głupi. Myliłem niebo z gwiazdami odbitymi nocą na powierzchni stawu.

- Jak słusznie zauważyłeś, paralele między nami nie do końca były paralelne - mruknął Geralt. - Wbrew pozorom mało mamy wspólnego, Vilgefortz. Czego chciałeś dowieść, opowiadając mi twą historię? Tego, że droga do czarodziejskiego mistrzostwa, choć kręta i trudna, dostępna jest dla wszystkich? Nawet dla, przepraszam za paralełę, bękartów i podrzutków, włóczęgów lub wiedźminów...

- Nie - przerwał czarodziej. - Nie zamierzałem dowodzić, że ta droga jest dostępna dla wszystkich, bo to oczywiste i dawno dowiedzione. Nie wymagał też udowadniania fakt, że dla pewnych ludzi innej drogi po prostu nie ma.

- A więc - uśmiechnął się wiedźmin - nie mam wyjścia? Muszę zawrzeć z tobą ów mający stać się tematem obrazu pakt i zostać czarodziejem? Tylko ze względu na genetykę? Ejże. Znam trochę teorię dziedziczności. Mój ojciec, do czego doszedłem z niemałym trudem, był włóczęgą, prostakiem, awanturnikiem i rębajłą. Mogę mieć przewagę

genów po mieczu, nie po kądzieli. Fakt, że też nieźle rąbię, zdaje się to potwierdzać.

– W samej rzeczy – czarodziej uśmiechnął się drwiąco. – Klepsydra bez mała przesypała się, a ja, Vilgefortz z Roggeveen, mistrz magii, członek Kapituły, wciąż rozprawiam, nie bez przyjemności, z prostakiem i rębajłą, synem prostaka, rębajły i włóczęgi. Mówimy o rzeczach i sprawach, które, jak powszechnie wiadomo, są zwykłym tematem debat przy ogniskach prostackich rębajłów. Takich jak genetyka, przykładowo. Skąd ty w ogóle znasz to słowo, mój ty rębajło? Ze świątynnej szkółki w Ellander, w której uczą sylabizować i pisać dwadzieścia cztery runy? Co cię skłoniło do czytania ksiąg, w których to i podobne słowa można znaleźć? Gdzie cyzelowałeś retorykę i elokwencję? I po co to robiłeś? By konwersować z wampirami? Mój ty genetyczny włóczęgo, do którego uśmiecha się Tissaia de Vries. Mój ty wiedźminie, rębajło, który fascynujesz Filippę Eilhart tak, że aż jej ręce drżą. Na wspomnienie o którym Triss Merigold oblewa się pąsem. O Yennefer z Vengerbergu nie wspomnę.

– Może i dobrze, że nie wspomnisz. W klepsydrze faktycznie zostało już tak mało piasku, że niemal można policzyć ziarenka. Nie maluj więcej obrazów, Vilgefortz. Mów, o co chodzi. Powiedz mi to w prostych słowach. Wyobraź sobie, że siedzimy przy ognisku, dwaj włóczędzy, pieczemy prosię, które dopiero co ukradliśmy, i bezskutecznie usiłujemy upić się brzozowym sokiem. Pada proste pytanie. Odpowiedz. Jak włóczęga włóczędzie.

– Jak brzmi to proste pytanie?

– Jakiż to pakt mi proponujesz? Jakaż to ugodę mamy zawrzeć? Dlaczego chcesz mieć mnie w swoim garnku, Vilgefortz? W kotle, w którym, jak mi się zdaje, zaczyna wrzeć? Co tu, oprócz kandelabrow, wisi w powietrzu?

– Hmm – czarodziej zastanowił się lub udał, że to czyni. – Pytanie nie jest proste, ale spróbuję odpowiedzieć. Ale nie jak włóczęga włóczędzie. Odpowiem... jak jeden najemny rębajło drugiemu, podobnemu sobie.

– Może być.

– Słuchaj tedy, kamracie rębajło. Kroi się niezła haratanina. Ostra rzeźba na śmierć i życie, pardonu dawać się nie będzie. Jedni zwyciężą, drugich rozdziobią krucy. Rzeknę ci, kamracie, przyłącz się więc do tych, którzy mają większe szanse. Do nas. Tamtych innych porzuć i pluń

na nich gęstą śliną, bo oni żadnych szans nie mają, po cholere masz ginąć wraz z nimi. Nie, nie, kamracie, nie pokazuj mi tu krzywego pyska, wiem, co chcesz powiedzieć. Chcesz powiedzieć, że jesteś neutralny. Że w rzyci masz i jednych, i drugich, że po prostu przeczekasz harataninę w górach, w Kaer Morhen. To zły pomysł, kamracie. Z nami będzie wszystko, co kochasz. Jeśli się do nas nie przyłączysz, stracisz to wszystko. A wtedy pochłonie cię pustka, nicość i nienawiść. Zniszczy cię czas pogardy, który nadchodzi. Bądź więc rozsądny i stań po właściwej stronie, gdy przyjdzie wybierać. A wybierać przyjdzie. Możesz mi wierzyć.

- Niesamowite - uśmiechnął się paskudnie wiedźmin - do jakiego stopnia bulwersuje wszystkich moja neutralność. Do jakiego stopnia czyni mnie ona obiektem propozycji paktów i umów, ofert współpracy, pouczeń o konieczności dokonania wyboru i stawania po właściwej stronie. Kończmy tę rozmowę, Vilgefortz. Tracisz czas. W tej grze nie jestem dla ciebie równym partnerem. Nie widzę możliwości, byśmy znaleźli się obaj na jednym obrazie w Galerii Chwały. Zwłaszcza na batalistycznym.

Czarodziej milczał.

- Rozstawiaj - podjął Geralt - na twojej szachownicy króle, damy, słonie i rochy, nie przejmuj się mną, bo ja na tej szachownicy znaczę tyle, co kurz, który ją pokrywa. To nie moja gra. Twierdzisz, że będę musiał wybierać? Oświadczam ci, że się mylisz. Nie będę wybierał. Dopasuję się do wydarzeń. Dopasuję się do tego, co wybiorą inni. Zawsze tak robiłem.

- Jesteś fatalistą.

- Jestem. Choć to jeszcze jedno słowo, którego nie powinienem znać. Powtarzam, to nie moja gra.

- Czyżby? - Vilgefortz przechylił się przez stół. - W tej grze, wiedźminie, na szachownicy stoi już czarny koń, na dobre i złe złączony z tobą więzami przeznaczenia. Wiesz, o kim mówię, prawda? Nie chcesz chyba jej stracić? Wiedz, że jest tylko jeden sposób na to, by jej nie utracić.

Oczy wiedźmina zwężyły się.

- Czego wy chcecie od tego dziecka?

- Jest tylko jeden sposób na to, byś mógł się tego dowiedzieć.

- Ostrzegam. Nie pozwolę jej skrzywdzić...

- Jest tylko jeden sposób, byś mógł tego dokonać. Zaproponowałem ci ten sposób, Geralcie z Rivii. Przemyśl moją propozycję. Masz na to całą noc. Myśl, patrząc na niebo. Na gwiazdy. I nie pomył ich z tymi, które odbijają się na powierzchni stawu. Klepsydra przesypała się.

•

- Boję się o Ciri, Yen.

- Niepotrzebnie.

- Ale...

- Zaufaj mi - objęła go. - Zaufaj mi, proszę. Nie przejmuj się Vilgefortzem. To gracz. Chciał cię podejść, sprowokować. I częściowo udało mu się to. Ale to nie ma znaczenia. Ciri jest pod moją opieką, a w Aretuzie będzie bezpieczna, będzie mogła rozwinać tu swe zdolności i nikt jej w tym nie przeszkodzi. Nikt. O tym, by została wiedźminką, zapomnij jednak. Ona ma inne talenty. I do innych dzieł jest przeznaczona. Możesz mi wierzyć.

- Wierzę ci.

- To znaczny postęp. A Vilgefortzem się nie przejmuj. Jutrzejszy dzień wyjaśni wiele spraw i rozwiąże wiele problemów.

Jutrzejszy dzień, pomyślał. Ona ukrywa coś przede mną. A ja boję się pytać. Codrigher miał rację. Zaplątałem się w paskudną kabałę. Ale teraz nie mam wyjścia. Muszę poczekać na to, co przyniesie ten jutrzejszy dzień, mający jakoby wyjaśnić wszystko. Muszę jej zaufać. Wiem, że coś się stanie. Zaczekam. I dopasuję się do sytuacji.

Spojrzał na sekretarzyk.

- Yen?

- Jestem tu.

- Gdy ty uczyłaś się w Aretuzie... Gdy sypiałaś w komnatce takiej jak ta... Czy miałaś laleczkę, bez której nie potrafiłaś zasnąć? Którą w dzień sadzałaś na sekretarzyku?

- Nie - Yennefer poruszyła się gwałtownie. - Ja nie miałam nawet laleczki. Nie pytaj mnie o tamto, Geralt. Proszę cię, nie pytaj.

- Aretuza - szepnął, rozglądając się. - Aretuza na wyspie Thanedd. Jej dom. Na tak wiele lat... Gdy stąd wyjdzie, będzie dojrzałą kobietą...

- Przestań. Nie myśl o tym i nie mów o tym. Zamiast tego...

- Co, Yen?

- Kochaj mnie.

Objął ją. Dotknął. Odnalazł. Yennefer, w niewiarygodny sposób miękka i twarda zarazem, westchnęła głośno. Słowa, które wypowiadali, rwały się, ginęły wśród westchnień i przyspieszonych oddechów, przestawały mieć znaczenie, rozpraszały. Zamilkli więc, skupili na poszukiwaniu siebie, na poszukiwaniu prawdy. Szukali długo, pieczołowicie i bardzo dokładnie, lękając się świętokradczego pośpiechu, lekkomyślności i nonszalancji. Szukali mocno, intensywnie i zapamiętale, lękając się świętokradczego zwątpienia i niezdecydowania. Szukali ostrożnie, lękając się świętokradczej niedelikatności.

Odnaleźli siebie, pokonali lęk, a w chwilę potem znaleźli prawdę, która eksplodowała im pod powiekami przeraźliwą, oślepiającą oczywistością, rozdarła jękiem zaciśnięte w determinacji usta. I wtedy czas drgnął spazmatycznie i zamarł, wszystko znikło, a jedynym funkcjonującym zmysłem stał się dotyk.

Minęła wieczność, powróciła rzeczywistość, a czas po raz wtóry drgnął i znowu ruszył z miejsca, powoli, ociężale, jak wielki, wyładowany wóz. Geralt spojrzał w okno. Księżyc nadal wisiał na niebie, choć to, co stało się przed momentem, w zasadzie powinno strącić go na ziemię.

– Jejku, jej – powiedziała po długiej chwili Yennefer, wolnym ruchem ścierając łzę z policzka.

Leżeli nieruchomo wśród rozburzonej pościeli, wśród dreszczu, wśród parującego ciepła i wygasającego szczęścia, wśród milczenia, a dookoła kłębiła się niewyraźna ciemność, przesycona zapachem nocy i głosami cykad. Geralt wiedział, że w takich momentach telepatyczne zdolności czarodziejki były wyczulone i bardzo silne, myślał więc intensywnie o sprawach i rzeczach pięknych. O rzeczach, które miały sprawić jej radość. O wybuchającej jasności wschodu słońca. O mgłę wiszącej o świcie nad górskim jeziorem. O kryształowych wodospadach, przez które skaczą łososie, tak lśniące, jak gdyby były z litego srebra. O ciepłych kroplach deszczu uderzających w ciężkie od rosy liście łopianu.

Myślał dla niej. Yennefer uśmiechała się, słuchając jego myśli. Uśmiech drgał na jej policzku księżycowym cieniem rzęs.

•

- Dom? - spytała nagle Yennefer. - Jaki dom? Ty masz dom? Chcesz zbudować dom? Ach... Przepraszam cię. Nie powinnam...

Milczał. Był zły na siebie. Myśląc dla niej, niechcący pozwolił jej odczytać myśl o niej.

- Ładne marzenie - Yennefer lekko pogładziła go po ramieniu. - Dom. Własnoręcznie zbudowany dom, w tym domu ty i ja. Ty hodowałbyś konie i owce, ja uprawiałabym ogródek, warzyła stawę i gręplowała wełnę, którą wozilibyśmy na targ. Za grosz uzyskany ze sprzedaży wełny i różnych ziemioplodów kupowalibyśmy to, co nam niezbędne, dajmy na to, miedziane sagany i żelazne grabie. Co jakiś czas odwiedzałyby nas Ciri z mężem i trójką dzieci, czasami zajrzałaby Triss Merigold, by pobyć kilka dni. Starzelibyśmy się pięknie i z godnością. A gdybym się nudziła, przygrywałbyś mi wieczorami na własnoręcznie zmajstrowanych dudach. Gra na dudach, jak powszechnie wiadomo, jest najlepszym remedium na chandrę.

Wiedźmin milczał. Czarodziejka chrząknęła cicho.

- Przepraszam cię - powiedziała po chwili.

Uniósł się na łokciu, pochylił, pocałował ją. Poruszyła się gwałtownie, objęła go. W milczeniu.

- Powiedz coś.

- Nie chciałbym cię stracić, Yen.

- Przecież mnie masz.

- Ta noc się skończy.

- Wszystko się kończy.

Nie, pomyślał. Nie chcę, by tak było. Jestem zmęczony. Zbyt zmęczony, by akceptować perspektywę końców, które są początkami, od których trzeba wszystko zaczynać od nowa. Ja chciałbym...

- Nie mów - szybkim ruchem położyła mu palce na wargach. - Nie mów mi, czego chciałbyś i czego pragniesz. Bo może okazać się, że nie będę mogła spełnić twych pragnień, a to sprawi mi ból.

- A czego ty pragniesz, Yen? O czym marzysz?

- Tylko o rzeczach osiągalnych.

- A ja?

- Ciebie już mam.

Milczał długo. I doczekał chwili, gdy ona przerwała milczenie.

- Geralt?

- Mhm?

– Kochaj mnie, proszę.

Początkowo, nasyceni sobą, oboje pełni byli fantazji i inwencji, pomysłowi, odkrywczy i spragnieni nowego. Jak zwykle, rychło okazało się, że to zarazem za dużo i za mało. Zrozumieli to jednocześnie i ponownie okazali sobie miłość.

Gdy Geralt oprzytomniał, księżyc nadal był na swoim miejscu. Cykady grały zajadle, jak gdyby i one chciały szaleństwem i zapamiętaniem zwalczyć niepokój i strach. Z pobliskiego okna w lewym skrzydle Aretuzy ktoś spragniony snu wrzeszczał i pomstował srodze, domagając się ciszy. Z okna z drugiej strony ktoś inny, o bardziej widać artystycznej duszy, entuzjastycznie bił brawo i gratulował.

– Och, Yen... – szepnął wiedźmin z wyrzutem.

– Miałam powód... – pocałowała go, a potem wtuliła policzek w poduszkę. – Miałam powód, żeby krzyczeć. Więc krzyczałam. Tego nie powinno się tłumić, to niezdrowe i nienaturalne. Obejmij mnie, jeśli możesz.

Teleport Lary, zwany również od imienia jego odkrywcy Portalem Benaventa. Znajduje się na wyspie Thanedd, na ostatniej kondygnacji Wieży Mewy. Stały, okresowo aktywny. Zasady funkcjonowania: nieznane. Destynacja: nieznana, prawdopodobnie wypaczona w wyniku samoistnego rozpadu, niewykluczone liczne rozwidlenia a. rozrzuty.

Uwaga: teleport chaotyczny i śmiertelnie niebezpieczny. Eksperymenty kategorycznie zabronione. Nie zezwala się na używanie magii w Wieży Mewy i w najbliższej okolicy, w szczególności magii teleportacyjnej. Kapituła wyjątkowo rozpatruje podania o zezwolenie na wstęp do Tor Lara i oględziny teleportu. Podanie należy umotywować rozpoczętymi pracami badawczymi i specjalizacją w przedmiotowym zakresie.

Bibliografia: Geoffrey Monck, „Magia Starszego Ludu”; Immanuel Benavent, „Portal z Tor Lara”; Nina Fioravanti, „Teoria i praktyka teleportacji”; Ransant Alvaro, ASDASD „Bramy tajemnicy”.

Prohibita (spis zakazanych artefaktów), *Ars Magica*, Ed. LVIII

Rozdział czwarty

Na początku był tylko pulsujący, migotliwy chaos i kaskada obrazów, wirowanie, pełna dźwięków i głosów otchłani. Ciri widziała sięgającą nieba wieżę, na dachu której tańczyły błyskawice. Słyszała krzyk drapieżnego ptaka i była tym ptakiem. Leciła z ogromną prędkością, a pod nią było wzburzone morze. Widziała małą laleczkę z gałganków i nagle była tą laleczką, a dookoła kłębiła się ciemność tętniąca głosami cykad. Widziała wielkiego czarno-białego kota i nagle była tym kotem, a dookoła był mroczny dom, pociemniałe boazerie, zapach świec i starych ksiąg. Słyszała, jak ktoś kilkakrotnie wypowiada jej imię, przyzywa ją. Widziała srebrne łososie przeskakujące wodospady, słyszała szum deszczu uderzającego o liście. A potem usłyszała dziwny, przeciągły krzyk Yennefer. I to ten krzyk zbudził ją, wyrwał z otchłani bezczasu i bezładu.

Teraz, bezskutecznie próbując przypomnieć sobie sen, słyszała już tylko ciche dźwięki lutni i fletu, pobrzękiwanie tamburynka, śpiew i śmiech. Jaskier i grupa przygodnie poznanych wagantów bawili się nadal w najlepsze w komnacie na końcu korytarza.

Przez okno wpadała smuga księżycowego światła, rozjaśniając nieco mrok i nadając komnacie Loxii wygląd miejsca ze snu. Ciri odrzuciła prześcieradła. Była spocona, włosy lepiły się jej do czoła. Wieczorem długo nie mogła zasnąć, brakowało jej tchu, choć okno było otwarte na oścież. Wiedziała, co było powodem. Zanim wyszła z Geralem, Yennefer obłożyła komnatę czarami ochronnymi. Jakoby dlatego, by uniemożliwić komukolwiek wejście, ale Ciri podejrzewała, że chodziło raczej o uniemożliwienie wyjścia. Była po prostu uwięziona. Yennefer, choć w wyraźny sposób zadowolona ze spotkania z Geralem, nie zapomniała i nie wybaczyła jej jeszcze samowolnej i wariackiej ucieczki do Hirundum, dzięki której do tego spotkania doszło.

Ją samą spotkanie z Geralem napełniło smutkiem i rozczarowaniem. Wiedźmin był małomówny, spięty, niespokojny i wyraźnie nieszczerzy. Ich rozmowy rwały się i utykały, więzły w nie dokończonych, przerwanych w pół słowa zdaniach i pytaniach. Oczy i myśli wiedźmina uciekały przed nią i biegły w dal. Ciri wiedziała, dokąd biegły.

Z komnatki w końcu korytarza docierał samotny i cichy śpiew Jaskra, muzyka strun lutni, szemrząca jak strumyk na kamieniach. Poznała melodię, którą bard układał od kilku dni. Ballada – Jaskier kilkakrotnie się tym pochwalił – nosiła tytuł „Nieuchwytna” i miała przynieść poecie triumf na dorocznym turnieju bardów odbywającym się późną jesienią na zamku Vartburg. Ciri wsłuchiwała się w słowa.

*Nad dachami mokrymi fruniesz
Między żółty nurkujesz grązel
Ale ja cię i tak zrozumiem
Oczywiście, jeżeli zdążę...*

Dudniły kopyta, jeźdźcy galopowali w noc, na horyzoncie niebo kwitło łunami pożarów. Drapieżny ptak zaskrzeczał i rozpostarł skrzydła, zrywając się do lotu. Ciri znowu pogrążyła się w sen, słysząc, jak ktoś kilkakrotnie wypowiada jej imię. Raz był to Geralt, raz Yennefer, raz Triss Merigold, wreszcie – i to kilka razy – nie znana jej, szczupła,

jasnowłosa i smutna dziewczyna, spoglądająca z oprawnej w róg i mosiądz miniatury.

Potem zobaczyła czarno-białego kota, a po chwili była tym kotem, patrzyła jego oczami. Dokoła był obcy, mroczny dom. Widziała wielkie regały pełne ksiąg, oświetlony kilkoma świecznikami pulpit, przy nim dwóch schylonych nad zwojami mężczyzn. Jeden z tych mężczyzn kaszał i ocierał wargi chustką. Drugi, karzeł z ogromną głową, siedział na fotelu na kółkach. Nie miał obu nóg.

•

– Niebywałe... – westchnął Fenn, przebiegając wzrokiem po zetłalym pergaminie. – Wierzyć się nie chce... Skąd masz te dokumenty?

– Nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedział – zakasła Codrigher. – Czy teraz pojąłeś już, kim jest naprawdę Cirilla, księżniczka Cintry? Dzieci Starszej Krwi... Ostatnia odrośl tego cholernego drzewa nienawiści! Ostatnia gałąź, a na niej ostatnie zatrute jabłuszko...

– Starsza Krew... Tak daleko wstecz... Pavetta, Calanthe, Adalia, Elen, Fiona...

– I Falka.

– Na bogów, to niemożliwe! Po pierwsze, Falka nie miała dzieci! Po drugie, Fiona była legalną córką...

– Po pierwsze, o młodości Falki nie wiemy nic. Po drugie, nie rozśmieszaj mnie, Fenn. Wiesz wszakże, że na dźwięk słowa „legalny” chwytają mnie spazmy wesołości. Ja wierzę w ten dokument, bo moim zdaniem jest autentyczny i mówi prawdę. Fiona, praprababka Pavetty, była córką Falki, tego potwora w ludzkiej skórze. Do diabła, nie wierzę w te wszystkie wariackie wieszczby, proroctwa i inne bzdury, ale gdy przypomnę sobie teraz przepowiednię Itliny...

– Skalana krew?

– Skalana, skażona, przeklęta, to można różnie rozumieć. A według legendy, jeśli pamiętasz, właśnie Falka była przeklęta, bo Lara Dorren aep Shiadhal rzuciła klątwę na jej matkę...

– To są bajki, Codrigher.

– Masz rację, to są bajki. Ale czy wiesz, kiedy bajki przestają być bajkami? W momencie, gdy ktoś zaczyna w nie wierzyć. A w bajkę o Starszej Krwi ktoś wierzy. Zwłaszcza we fragment mówiący o tym, że z

krwi Falki narodzi się mściciel, który zniszczy stary świat, a na jego gruzach zbuduje nowy.

- I tym mścicielem miałyby być Cirilla?

- Nie. Nie Cirilla. Jej syn.

- A Cirilli poszukuje...

- Emhyr var Emreis, cesarz Nilfgaardu - dokończył chłodno Codrigher. - Teraz rozumiesz? Cirilla, niezależnie od jej woli, ma zostać matką następcy tronu. Arcyksięcia, który ma stać się Arcyksięciem Ciemności, potomkiem i mścicielem tej diabolicznej Falki. Zagłada, a później odbudowa świata ma, jak mi się zdaje, przebiec w sposób sterowany i kontrolowany.

Kaleka milczał długo.

- Nie uważasz - spytał wreszcie - że należałoby o tym powiadomić Geralta?

- Geralt? - Codrigher wykrzywił wargi. - A kto to taki? Czy to przypadkiem nie ten naiwniak, który niedawno wmawiał mi, że nie działa dla zysku? O, ja wierzę, on nie działa dla własnego zysku. Działa dla cudzego. Bezwiednie zresztą. Tropi Rience'a, który jest na smyczy, nie czując obroży na własnej szyi. Ja miałbym go informować? Pomagać tym, którzy chcą sami zawładnąć tą znośną złotą kurką, by szantażować Emhyra albo wkraść się w jego łaski? Nie, Fenn. Aż tak głupi nie jestem.

- Wiedźmin działa ze smyczy? Czyjej?

- Pomyśl.

- Cholera!

- Precyzyjnie dobrane słowo. Jedyna osoba, która ma na niego wpływ. Której on ufa. Ale ja jej nie ufam. I nigdy nie ufałem. Sam włączę się do tej gry.

- To niebezpieczna gra, Codrigher.

- Nie ma bezpiecznych gier. Są tylko gry warte i niewarte świeczki. Fenn, bracie, czy nie rozumiesz, co wpadło nam w ręce? Złota kura, która nam, nie komuś innemu, zniesie ogromne jajo, całe z żółciutkiego złota...

Codrigher zaniósł się kaszlem. Gdy odjął chustkę od ust, były na niej ślady krwi.

- Złoto tego nie wyleczy - powiedział Fenn, patrząc na chustkę w ręku współnika. - A mnie nie odda nóg...

– Kto wie?

Do drzwi ktoś zakolała. Fenn niespokojnie zawiercił się w fotelu na kółkach.

– Czekasz na kogoś, Codringher?

– Owszem. Na ludzi, których posyłam na Thanedd. Po złotą kurę.

•

Nie otwieraj, krzyknęła Ciri. Nie otwieraj tych drzwi! Za nimi jest śmierć! Nie otwieraj tych drzwi!

•

– Już otwieram, już otwieram – zawołał Codringher, odsuwając rygle, po czym odwrócił się do miauczącego kota. – A będziesz ty cicho, bestio zatracona...

Urwał. W drzwiach nie stali ci, których oczekiwał. W drzwiach stali trzej osobnicy, których nie znał.

– Imć pan Codringher?

– Jegomość wyjechali w interesach – adwokat przybrał minę przygłupa i zmienił głos na lekko piskliwy. – Jam jest kamerdynierem jegomości, zwę się Glomb, Mikael Glomb. Czym mogę służyć wielmożnym panom?

– Niczym – powiedział jeden z osobników, wysoki półelf. – Skoro jegomości nie ma, zostawimy tylko list i wiadomość. Oto list.

– Przekażę niezawodnie – Codringher, pięknie wczuwając się w rolę nierozgarniętego lokaja, skłonił się uniżenie, wyciągnął rękę po przewiązany czerwonym sznurem zwój pergaminu. – A wiadomość?

Opasujący rulon sznur rozwinął się jak atakujący wąż, smagnął i ciasno oplótł mu nadgarstek. Wysoki targnął mocno. Codringher stracił równowagę, poleciał do przodu, by nie runąć na półelfa, odruchowo wparł lewą dłoń w jego pierś. W tej pozycji nie był w stanie uniknąć sztyletu, którym pchnięto go w brzuch. Krzyknął głucho i szarpnął się w tył, ale owinięty dookoła przegubu magiczny sznur nie puścił. Półelf ponownie przywłókł go ku sobie i dźgnął jeszcze raz. Tym razem Codringher zawisł na klindze.

– Oto wiadomość i pozdrowienia od Rience’a – zasyczał wysoki półelf, silnie rwąc sztylet ku górze i patrosząc adwokata jak rybę. – Idź do piekła, Codringher. Prościutko do piekła.

Codringher zacharczał. Czuł, jak ostrze pugiinału zgrzyta i chrupie na żebrach i mostku. Osunął się na ziemię, zwijając w kłębek. Chciał krzyczeć, by ostrzec Fenna, ale zdołał jedynie zaskrzeczeć, a skrzek natychmiast zdławiła fala krwi.

Wysoki półelf przestąpił nad ciałem, w ślad za nim do środka weszło dwóch pozostałych. Ci byli ludźmi.

Fenn nie dał się zaskoczyć.

Szczęknięła cięciwa, jeden ze zbirów runął na wznak, trafiony stalową kulą w środek czoła. Fenn odjechał z fotelem od pulpitu, nadaremnie próbując zarepetować arbalet drżącymi rękoma.

Wysoki doskoczył do niego, silnym kopnięciem przewrócił fotel. Karzeł potoczył się między porozrzucane na podłodze papiery. Bezsilnie przebierając małymi rączkami i kikutami nóg, przypominał okaleczonego pajaka.

Półelf kopnął arbalet, usuwając go z zasięgu Fenna. Nie zwracając uwagi na usiłującego pełzać kalekę, szybko przeglądał leżące na pulpicie dokumenty. Jego uwagę przykuła niewielka, oprawiona w róg i mosiądz miniatura przedstawiająca jasnowłosą dziewczynę. Podniósł ją wraz z przytwierdzonym do niej karteluszem.

Drugi zbir porzucił trafionego kulą z arbaletu, zbliżył się. Półelf pytająco uniósł brwi. Zbir pokręcił głową.

Półelf schował za pazuchę miniaturę i kilka zabranych z pulpitu dokumentów. Potem wyjął z kałamarza pęk piór i zapalił je od świecznika. Obracając pozwolił, by kwacz dobrze się zajął, po czym rzucił go na pulpit, między zwoje, które momentalnie stanęły w ogniu.

Fenn wrzasnął.

Wysoki półelf zdjął z gorejącego już stołu butlę z płynem do wywabiania inkaustu, stanął nad miotającym się karłem i wylał nań całą zawartość. Fenn zawył przeciągle. Drugi zbir ściągnął z regału naręcze zwojów i przywalił nimi kalekę.

Ogień z pulpitu buchnął aż pod powałę. Druga, mniejsza butla wywabiacza eksplodowała z hukiem, płomienie liznęły regały. Zwoje, rulony i teki zaczęły czernieć, zwijać się i ożywać ogniem. Fenn wył. Wysoki cofnął się od płonącego pulpitu, skrzył z papieru drugi kwacz i zapalił go. Drugi zbir narzucił na kalekę jeszcze jedno naręcze welinowych zwojów.

Fenn wył.

Półelf stanął nad nim, trzymając w ręku płonący kwacz.

Czarno-biały kocur Codringhera przysiadł na pobliskim murku. W jego żółtych oczach igrał odbłask pożaru zmieniającego przyjazną noc w straszliwą parodię dnia. Okolica rozbrzmiewała krzykiem. Gore! Gore! Wody! Ludzie biegli w kierunku domu. Kocur zamarł, patrząc na nich ze zdziwieniem i pogardą. Ci głupcy najwyraźniej zmierzali tam, w stronę tej ognistej czeluści, z której jemu ledwo udało się wydostać.

Odwróciwszy się obojętnie, kot Codringhera wznowił wylizywanie łapki unurzanej we krwi.

•

Ciri obudziła się złana potem, z dłońmi do bólu zaciśniętymi na prześcieradle. Dokoła była cisza i miękki mrok przeszyty jak sztyletem smugą księżycowego światła.

Pożar. Ogień. Krew. Koszmar... Nie pamiętam, niczego nie pamiętam...

Odetchnęła głęboko rześkim nocnym powietrzem. Wrażenie duszności znikło. Wiedziała, dlaczego.

Ochronne zaklęcia nie działały.

Coś się stało, pomyślała Ciri. Wyskoczyła z łóżka i ubrała się szybko. Przypasała kordzik. Miecza nie miała, Yennefer odebrała go jej i oddała pod opiekę Jaskra. Poeta spał już zapewne, w Loxii panowała cisza. Ciri zastanawiała się już, czy nie pójść i nie zbudzić go, gdy nagle poczuła w uszach silne pulsowanie i szum krwi.

Wpadająca oknem smuga księżycowego blasku stała się drogą. Na końcu drogi, bardzo daleko, były drzwi. Drzwi otwarły się, stanęła w nich Yennefer.

Chodź.

Za plecami czarodziejki otwierały się następne drzwi. Jedne po drugich. Nieskończenie wiele. W mroku niejasno rysowały się czarne kształty kolumn. A może posągów... Ja śnię, pomyślała Ciri, sama w to nie wierząc. Ja śnię. To nie jest żadna droga, to jest światło, smuga światła. Po tym nie można iść...

Chodź.

Uśluchała.

•

Gdyby nie głupie skrupuły wiedźmina, gdyby nie jego niezyciowe zasady, wiele późniejszych wypadków miałoby zupełnie inny przebieg.

Wiele wypadków prawdopodobnie w ogóle nie miałoby miejsca. A wówczas historia świata potoczyłaby się inaczej.

Ale historia świata potoczyła się tak, jak się potoczyła – a wyłączną tego przyczyną był fakt, że wiedźmin miał skrupuły. Gdy obudził się nad ranem i poczuł potrzebę, nie uczynił tego, co uczyniłby każdy – nie wyszedł na balkonik i nie wysikał się do doniczki z nasturcjami. Miał skrupuły. Ubrał się cichutko, nie budząc Yennefer, śpiącej twardo, bez ruchu i niemal bez oddechu. Wyszedł z komnatki i poszedł do ogrodu.

Bankiet trwał jeszcze, ale, jak wskazywały odgłosy, w szczątkowej postaci. Okna sali balowej wciąż pałały światłem zalewającym atrium i klomby piwonii. Wiedźmin udał się więc nieco dalej, w co gęstsze krzaki, tam zapatrzył się w jaśniejące niebo, od horyzontu palące się już purpurową pręgą świtu.

Gdy powoli wracał, rozmyślając o sprawach ważnych, jego medalion zadrgał silnie. Przytrzymał go dłonią, czując przenikającą całe ciało wibrację. Nie było wątpliwości – w Aretuzie ktoś rzucał zaklęcia. Geralt nadstawił uszu i usłyszał zduszone krzyki, rumor i łomot dobiegające z krużganka w lewym skrzydle pałacu.

Każdy inny bez zwłoki odwróciłby się i prędkim krokiem poszedł w swoją stronę, udając, że niczego nie słyszał. I wówczas historia świata też może potoczyłaby się inaczej. Ale wiedźmin miał skrupuły i zwykł był postępować według niemądrych, nieżyciowych zasad.

Gdy wbiegł na krużganek i w korytarz, trwała tam walka. Kilku zbirów w szarych kubrakach obezwładniało obalonego na ziemię niewysokiego czarodzieja. Obezwładnianiem kierował Dijkstra, szef wywiadu Vizimira, króla Redanii. Zanim Geralt zdołał cokolwiek przedsięwziąć, sam został obezwładniony – dwóch innych szarych zbirów przyparło go do ściany, a trzeci przystawił mu do piersi trójzębne żeleźce korseki.

Wszystkie zbiry miały na piersiach ryngrafy z redańskim orłem.

– To się nazywa „wpaść w gówno” – wyjaśnił cicho Dijkstra, zbliżywszy się. – A ty, wiedźminie, masz chyba wrodzony talent do takiego wpadania. Stój spokojnie i staraj się nie zwrócić niczyjej uwagi.

Redańczycy obezwładnili wreszcie niewysokiego czarodzieja i podnieśli go, trzymając za ręce. Był to Artaud Terranova, członek Kapituły.

Światło, które pozwalało widzieć szczegóły, biło z kuli wiszącej nad głową Keiry Metz, czarodziejki, z którą Geralt wieczorem gawędził na

bankiecie. Ledwie ją poznał – zmieniła zwiewne tiule na surowy męski ubiór, a u boku miała sztylet.

– Zakujcie go – zakomenderowała krótko. W jej dłoni zadzwoniły kajdanki wykonane z niebieskawego metalu.

– Nie waż się zakładać mi tego! – wrzasnął Terranova. – Nie waż się, Metz! Jestem członkiem Kapituły!

– Byłeś. Teraz jesteś zwykłym zdrajcą. I będziesz potraktowany jak zdrajca.

– A ty jesteś parszywą dziwką, którą...

Keira cofnęła się o krok, lekko zakołysała w biodrach i z całej siły trzasnęła go pięścią w twarz. Głowa czarodzieja odskoczyła do tyłu tak, że przez moment Geralt miał wrażenie, że oderwie się od tułowia. Terranova obwisł w rękach trzymających go ludzi, spływając krwią z nosa i warg. Czarodziejka nie zadała drugiego ciosu, choć rękę miała uniesioną. Wiedźmin dostrzegł mosiężny błysk kastetu na jej palcach. Nie zdziwił się. Keira była mikrej postury, takie uderzenie nie mogło być zadane gołą pięścią.

Nie poruszył się. Zbiry trzymały go mocno, a kolec korseki kłuł w pierś. Geralt nie był pewien, czy poruszyłby się, gdyby był wolny. Czy wiedziałby, co zrobić.

Redańczycy zatrzasnęli okowy na wykręconych do tyłu rękach czarodzieja. Terranova zakrzyczał, zatargał się, zgiął, zacharczał w wymiotnym odruchu. Geralt wiedział już, z czego zrobiono kajdany. Był to stop żelaza i dwimerytu, rzadkiego minerału, którego właściwości polegały na dławieniu zdolności magicznych. Dławieniu takiemu towarzyszyły dość przykre dla magików skutki uboczne.

Keira Metz podniosła głowę, odgarniając włosy z czoła. I wtedy go zobaczyła.

– Co on tu robi, do jasnej cholery? Skąd on się tu wziął?

– Wpadł – odrzekł beznamiętnie Dijkstra. – On ma talent do wpadania. Co mam z nim zrobić?

Keira pomrocniła, kilkakrotnie tupnęła obcasem wysokiego buta.

– Pilnuj go. Nie mam teraz czasu.

Odeszła szybko, za nią poszli Redańczycy, wlokąc Terranovę. Świecąca kula pofrunęła za czarodziejką, ale już był świt, jaśniało szybko. Na dany przez Dijkstrę znak zbiry puściły Geralta. Szpieg zbliżył się i popatrzył wiedźminowi w oczy.

- Zachowaj bezwzględny spokój.
- Co się tu dzieje? Co to...
- I bezwzględne milczenie.

Keira Metz wróciła po krótkiej chwili, nie sama. Towarzyszył jej płowowłosy czarodziej, którego wczoraj przedstawiono Geraltowi jako Detmolda z Ban Ard. Ten na widok wiedźmina zaklął i uderzył pięścią o dłoń.

- Psiakrew! Czy to ten, którego upodobała sobie Yennefer?
- Ten – potwierdziła Keira. – Geralt z Rivii. Problem polega na tym, że ja nie wiem, jak to jest z Yennefer...
- Ja też tego nie wiem – wzruszył ramionami Detmold. – W każdym razie on już jest wmieszany. Za dużo widział. Zabierzcie go do Filippy, ona zadecyduje. Skujcie go.
- Nie ma takiej potrzeby – rzekł pozornie ospale Dijkstra. – Odpowiadam za niego. Doprowadzę go, dokąd należy.
- Świetnie się składa – kiwnął głową Detmold. – Bo my nie mamy czasu. Chodź, Keira, tam na górze sprawy się komplikują...
- Ależ zdenerwowani – mruknął redański szpieg, patrząc za odchodzącymi. – Brak wprawy, nic innego. A zamachy stanu i pucze są jak chłódnik z botwinki. Należy je spożywać na zimno. Idziemy, Geralt. I pamiętaj: spokojnie, godnie, bez awantur. Nie każ mi żałować, że nie kazałem cię zakuwać ani pętać.
- Co tu się dzieje, Dijkstra?
- Jeszcze się nie domyśliłeś? – szpieg szedł obok niego, trzej Redańczycy trzymali się z tyłu. – Powiedz no szczerze, wiedźminie, jak to się stało, żeś tu się zjawił?
- Bałem się, że nasturcja uschnie.
- Geralt – Dijkstra spojrzał na niego krzywo. – Wpadłeś w gówna z głową. Wynurkowałeś i trzymasz usta nad powierzchnią, ale nogami wciąż nie sięgasz dna szamba. Ktoś podaje ci pomocną dłoń, ryzykując, że sam się powala i osmrodzi. Poniechaj tedy głupawych żartów. To Yennefer kazała ci tu przyjść, tak?
- Nie. Yennefer śpi w ciepłym łóżku. Czy to cię uspokoiło?
- Olbrzymi szpieg odwrócił się gwałtownie, chwycił wiedźmina za ramiona i przyparł go do ściany korytarza.
- Nie, nie uspokoiło mnie to, ty cholerny durniu – zasyczał. – Czy ty jeszcze nie pojąłeś, palancie, że przyzwoici, wierni królom czarodzieje

nie śpią dzisiejszej nocy? Że w ogóle nie kładli się do łóżek? W ciepłutkich łóżkach śpią przekupieni przez Nilfgaard zdrajcy. Sprzedawczycy, którzy sami szykowali pucz, ale na później. Nie wiedzieli, że przejrzano ich plany i uprzedzono zamiary. I oto właśnie wyciąga się ich z ciepłych betów, wali kastetem w zęby, nakłada na łapy obrączki z dwimerytu. Zdrajcy są skończeni, pojmujesz? Jeżeli nie chcesz pójść na dno razem z nimi, przestań udawać idiotę! Czy wczoraj wieczorem Vilgefortz skaptował cię? Czy może już wcześniej skaptowała cię Yennefer? Gadaj! Szybko, bo gównu zaczyna zalewać ci usta!

– Chłodnik z botwinki, Dijkstra – przypomniał Geralt. – Prowadź mnie do Filippy. Spokojnie, godnie i bez awantur.

Szpieg puścił go, cofnął się o krok.

– Idziemy – powiedział zimno. – Tymi schodami, w górę. Ale rozmowę dokończymy. Obiecuję ci to.

•

Tam, gdzie łączyły się cztery korytarze, pod podtrzymującą sklepienie kolumną, było jasno od latarni i magicznych kul. Tłoczyli się tu Redańczycy i czarodzieje. Wśród tych ostatnich byli członkowie Rady – Radcliffe i Sabrina Glevissig. Sabrina, podobnie jak Keira Metz, była w szarym męskim stroju. Geralt zrozumiał, że w przeprowadzanym na jego oczach puczu można rozróżniać stronnictwa po uniformach.

Na posadzce klęczała Triss Merigold, schylona nad ciałem leżącym w kałuży krwi. Geralt poznał Lydię van Bredevoort. Poznał ją po włosach i po jedwabnej sukni. Z twarzy nie rozpoznałby jej, bo to już nie była twarz. Była to ohydna, makabryczna trupia maska, błyszcząca odsłoniętymi aż do połowy policzków zębami i zniekształconą, zapadniętą, źle pozrastaną kością żuchwy.

– Zakryjcie ją – powiedziała głucho Sabrina Glevissig. – Gdy skoła, rozwiąła się iluzja... Cholera, zakryjcie ją czymś!

– Jak to się stało, Radcliffe? – spytała Triss, cofając rękę od pozłacanej rękojeści sztyletu tkwiącego poniżej mostka Lydii. – Jak to się mogło stać? Miało obyć się bez trupów!

– Zaatakowała nas – mruknął czarodziej, opuszczając głowę. – Gdy wyprowadzano Vilgefortza, rzuciła się na nas. Powstało zamieszanie... Sam nie wiem, w jaki sposób... To jej własny sztylet.

– Zakryjcie jej twarz! – Sabrina odwróciła się gwałtownie. Zobaczyła Geralta, jej drapieżne oczy zaśniły jak antracyty.

– Skąd ten się tu wziął?

Triss poderwała się błyskawicznie, przypadła do wiedźmina. Geralt ujrzał tuż przed twarzą jej dłoń. Potem zobaczył błysk i łagodnie pogrążył się w ciemności. Poczuł rękę na kołnierzu i gwałtowne szarpnięcie.

– Trzymajcie go, bo upadnie – głos Triss był nienaturalny, brzmiał w nim udawany gniew. Szarpnęła nim ponownie, tak by na moment znalazł się tuż przy niej.

– Wybacz – usłyszał jej prędkie szept. – Musiałam.

Ludzie Dijkstry przytrzymali go.

Poruszył głowę. Przystawiał się na inne zmysły. W korytarzach panował ruch, powietrze falowało, niesło zapachy. I głosy. Sabrina Glevissig klęła, Triss mitygowała ją. Śmierdzący koszarami Redańczycy wlekli po podłodze bezwładne ciało szepczące jedwabiem sukni. Krew. Zapach krwi. I zapach ozonu. Zapach magii. Podniesione głosy. Kroki, nerwowy stukot obcasów.

– Pospieszcie się! To wszystko zbyt długo się ciągnie! Powinniśmy już być w Garstangu!

Filippa Eilhart. Zdenerwowana.

– Sabrina, znajdź prędko Marti Sodergren. Jeśli będzie trzeba, wyciągnij ją z łóżka. Z Gedymdeithem jest źle. To chyba zawał. Niech Marti się nim zajmie. Ale nie mów niczego, ani jej, ani temu, z którym śpi. Triss, odszukaj i sprowadź do Garstangu Dorregaraya, Drithelma i Carduina.

– Po co?

– Reprezentują królów. Niech Ethain i Esterad będą poinformowani o naszej akcji i o jej skutkach. Zaprowadzisz ich... Triss, masz na rękę krew! Kto?

– Lydia.

– Jasna cholera. Kiedy? Jak?

– Czy to ważne, jak? – zimny, spokojny głos. Tissaia de Vries. Szelest sukni. Tissaia była w sukni balowej. Nie w rebelianckim uniformie. Geralt nadstawił uszu, ale nie słyszał dzwonienia kajdan z dwimerytu.

– Udajesz przejętą? – powtórzyła Tissaia. – Zmartwioną? Gdy organizuje się rewolty, gdy sprowadza się nocą uzbrojonych zbirów,

trzeba liczyć się z ofiarami. Lydia nie żyje, Hen Gedymdeith umiera. Widziałam przed chwilą Artauda ze zmasakrowaną twarzą. Ile jeszcze będzie ofiar, Filippo Eilhart?

– Nie wiem – odpowiedziała twardo Filippa. – Ale nie cofnę się.

– Oczywiście. Ty nie cofasz się przed niczym.

Powietrze drgnęło, obcasy stuknęły o posadzkę w znajomym rytmie. Filippa szła ku niemu. Zapamiętał nerwowy rytm jej kroków, gdy wczoraj razem szli przez salę Aretuzy, by uraczyć się kawiozem. Zapamiętał zapach cynamonu i nardu. Teraz ten zapach mieszał się z zapachem sody. Geralt wykluczał swój udział w jakimkolwiek przewrocie czy puczu, ale zastanowił się, czy uczestnicząc pomyślałby o uprzednim wyczyszczeniu zębów.

– On cię nie widzi, Fil – powiedział pozornie ospale Dijkstra. – Niczego nie widzi i niczego nie widział. Ta z pięknymi włosami oślepiła go.

Słyszał oddech Filippy i czuł każdy jej ruch, ale niezdarnie poruszył głową, udając bezradność. Czarodziejka nie dała się nabrać.

– Nie udawaj, Geralt. Triss zaćmiła ci oczy, ale wszakże nie odebrała rozumu. Jakim cudem się tu znalazłeś?

– Wpadłem. Gdzie jest Yennefer?

– Błogosławieni ci, którzy nie wiedzą – w głosie Filippy nie było drwiny. – Albowiem dłużej pożyją. Bądź wdzięczny Triss. To było miękkie zaklęcie, zaćma wkrótce minie. A ty nie widziałeś tego, czego nie wolno ci było zobaczyć. Pilnuj go, Dijkstra. Zaraz wrócę.

Znowu poruszenie. Głosy. Dźwięczny sopran Keiry Metz, nosowy bas Radcliffe’a. Stuk redańskich buciorów. I podniesiony głos Tissai de Vries.

– Puście ją! Jak mogliście? Jak mogliście jej to zrobić?

– To zdrajczyni! – nosowo, Radcliffe.

– Nigdy w to nie uwierzę!

– Krew nie woda – zimno, Filippa Eilhart. – A cesarz Emhyr obiecał elfom wolność. I własne, niezależne państwo. Tu, na tych ziemiach. Oczywiście, po wyrznięciu ludzi. I to wystarczyło, by natychmiast nas zdradziła.

– Odpowiedz! – Tissaia de Vries, z emocją. – Odpowiedz jej, Enid!

– Odpowiedz, Francesca.

Brzęk kajdan z dwimerytu. I śpiewny elfi akcent Franceski Findabair, Stokrotki z Dolin, najpiękniejszej kobiety świata.

– *Va vort a me, Dh’oine. N’aen te a dice’n.*

- Czy to ci wystarczy, Tissaia? - głos Filippy, jak szczeknięcie. - Czy teraz mi wierzysz? Ty, ja, my wszyscy jesteśmy i zawsze byliśmy dla niej Dh'oine, ludźmi, którym ona, Aen Seidhe, nie ma nic do powiedzenia. A ty, Fercart? Co tobie przyrzekli Vilgefartz i Emhyr, że zdecydowałeś się zdradzić?

- Idź do diabła, zboczona gamratko.

Geralt wstrzymał oddech, ale nie dobiegł go odgłos kastetu zderzającego się ze szczęką. Filippa była bardziej opanowana od Keiry. Albo nie miała kastetu.

- Radcliffe, zabierz zdrajców do Garstangu! Detmold, podaj ramię arcymistrzyni de Vries. Idźcie. Ja zaraz dołączę.

Kroki. Zapach cynamonu i nardu.

- Dijkstra.

- Jestem, Fil.

- Twoi podkomendni nie są tu już potrzebni. Niech wracają do Loxii.

- Czy aby na pewno...

- Do Loxii, Dijkstra!

- Rozkaz, miłościwa pani - w głosie szpiega zabrzmiało szyderstwo. - Pachółkowie odejdą, zrobili, co do nich należało. Teraz to jest już wyłącznie sprawa czarodziejów. A zatem i ja nie mieszkając schodzę z pięknych oczu waszej wysokości. Podziękowań za pomoc i współudział w puczu nie oczekiwałem, ale pewien jestem, że wasza wysokość zachowa mnie we wdzięcznej pamięci.

- Wybacz, Sigismund. Dziękuję ci za pomoc.

- Nie ma za co, cała przyjemność po mojej stronie. Hej, Voymir, zbierz ludzi. Pięciu zostaje ze mną. Resztę sprowadź na dół i zaokrętu na „Spadę”. Tylko cichcem, na paluszkach, bez szumu, bez sensacji. Bocznymi korytarzami. W Loxii i w porcie ani pary z gęby! Wykonać!

- Nic nie widziałeś, Geralt - powiedziała szeptem Filippa Eilhart, wionąc na wiedzmina cynamonem, nardem i sodą. - Niczego nie słyszałeś. Z Vilgefartzem nigdy nie rozmawiałeś. Dijkstra zabierze cię teraz do Loxii. Postaram się odnaleźć cię tam, gdy... Gdy wszystko się skończy. Obiecałam ci coś wczoraj i dotrzymam słowa.

- Co z Yennefer?

- On chyba ma obsesję - Dijkstra wrócił, szurając nogami. - Yennefer, Yennefer... Do znudzenia. Nie przejmuj się nim, Fil. Są ważniejsze sprawy. Czy przy Vilgefartzu znaleziono to, co spodziewano się znaleźć?

- Owszem. Proszę, to dla ciebie.
- Oho! – szelest rozwijanego papieru. – Oho! Oho, oho! Pięknie! Diuk Nitert. Wybornie! Baron...
- Dyskretniej, bez nazwisk. I bardzo cię proszę, po powrocie do Tretogoru nie zaczynaj od razu od egzekucji. Nie wywołuj przedwcześnie skandalu.
- Nie obawiaj się. Chłoptysie z tej listy, tak łase na nilfgaardzkie złoto, są bezpieczni. Na razie. To będą moje kochane marioneteczki do pociągania za sznureczki. A później nałożę się im sznureczki na szyjeczki... Ciekawość, były i inne listy? Zdrajcy z Kaedwen, z Temerii, z Aedirn? Rad bym rzucić na nie okiem. Choćby kątem oka...
- Wiem, że rad byś. Ale to nie twoja sprawa. Tamte listy dostali Radcliffe i Sabrina Glevissig, już oni będą wiedzieli, jak się nimi posłużyć. A teraz żegnaj. Spieszę się.
- Fil.
- Słucham.
- Przywróć wiedźminowi wzrok. Niech się nie potyka na schodach.

•

W sali balowej Aretuzy bankiet trwał nadal, ale zmienił formę na bardziej tradycyjną i swojską. Stoły poprzesuwno, czarodzieje i czarodziejki poznosili do sali zdobyte gdzieś fotele, krzesła i zydle, porozsiadali się na nich i poświęcili rozmaitym rozrywkom. Większość tych rozrywek była nietaktowna. Liczna grupa, obsiadłszy dookoła wielki antał siwuchy, piła, gawędząc i od czasu do czasu wybuchając gromkim śmiechem. Ci, którzy jeszcze niedawno delikatnie kłuli wyszukane zakąski srebrnymi widelczykami, teraz bez żenady ogryzali trzymane oburącz baranie żebra. Kilku rżnęło w karty, lekceważąc otoczenie. Kilku spało. W kącie jakaś para całowała się zapamiętale, a zapal, z jakim to czynili, wskazywał, że nie poprzestaną na całowaniu.

- Popatrz tylko na nich, wiedźminie – Dijkstra przechylił się przez balustradę krużganka, przyglądając się czarodziejom z wysokości. – Jak się radośnie bawią, pomyślałbyś, pacholeta. A tymczasem ich Rada właśnie przydupiła bez mała całą ich Kapitułę i sądzi ją za zdradę, za kumanie się z Nilfgaardem. Spójrz na tę parkę. Zaraz poszukają sobie ustronnego kącika, a zanim skończą się gzić, Vilgefortz będzie wisiał. Ach, dziwny jest ten świat...

– Zamknij się, Dijkstra.

•

Droga wiodąca ku Loxii wgryzała się zygzakiem schodów w zbocze góry. Schody łączyły tarasy, udekorowane zaniedbanymi żywopłotami, klombami i przysuszonymi agawami w donicach. Na jednym z mijanych tarasów Dijkstra zatrzymał się, podszedł do muru, do rzędu kamiennych łbów chimery, z paszcz których ciurkała woda. Szpieg pochylił się, pil długo.

Wiedźmin przybliżył się do balustrady. Morze pobłyskiwało złotem, niebo miało kolor jeszcze bardziej kiczowaty niż na obrazach w Galerii Chwały. W dole widział oddziały odesłanych z Aretuzy Redańczyków, w karnym szyku zmierzający do portu. Przechodzili właśnie przez mostek spinający brzegi skalnej rozpadliny.

Tym, co nagle zwróciło jego uwagę, była samotna kolorowa postać. Postać rzucała się w oczy, bo poruszała się szybko. I w przeciwnym kierunku niż Redańczyki. W górę, do Aretuzy.

– No – Dijkstra ponaglił go chrząknięciem. – Komu w drogę, temu czas.

– Jeśli ci tak spieszo, idź sam.

– No pewnie – wykrzywił się szpieg. – A ty wrócisz na górę ratować twoją Yennefer. I narozrabiasz jak pijany gnom. Idziemy do Loxii, wiedźminie. Czy ty złudzenia masz, czy coś w tym rodzaju? Myślisz, że wyciągnąłem cię z Aretuzy z długo tajonej miłości? Otóż nie. Wyciągnąłem cię stamtąd, bo jesteś mi potrzebny.

– Do czego?

– Udajesz? W Aretuzie studiuje dwanaście panienek z pierwszych rodów Redanii. Nie mogę ryzykować konfliktu z szanowną rektorką, Margaritą Laux-Antille. Rektorka nie wyda mi Cirilli, księżniczki Cintry, którą Yennefer przywiozła na Thanedd. Natomiast tobie ją wyda. Gdy ją o to poprosisz.

– Skąd śmieszne przypuszczenie, że poproszę?

– Ze śmiesznego założenia, że zechcesz zapewnić Cirilli bezpieczeństwo. Pod moją opieką, pod opieką króla Vizimira będzie bezpieczna. W Tretogorze. Na Thanedd bezpieczna nie jest. Powstrzymaj się od złośliwych komentarzy. Tak, wiem, że początkowo królowie nie mieli wobec dziewczyny najpiękniejszych planów. Ale to się zmieniło.

Teraz stało się oczywiste, że żywa, zdrowa i bezpieczna Cirilla może być w nadciągającej wojnie warta więcej niż dziesięć hufców ciężkiej jazdy. Martwa nie jest warta funta kłaków.

– Filippa Eilhart wie, co zamierzasz?

– Nie wie. Nie wie nawet tego, że ja wiem, że dziewczyna jest w Loxii. Moja niegdyś ukochana Fil wysoko zadziera głowę, ale królem Redanii wciąż jest Vizimir. Ja wykonuję rozkazy Vizimira, knowania czarodziejów gównu mnie obchodzą. Cirilla wsiądzie na „Spadę” i pożegluje do Novigradu, stamtąd pojedzie do Tretogoru. I będzie bezpieczna. Wierzysz mi?

Wiedźmin pochylił się ku jednej z głów chimery, popił wody ciurkającej z monstrualnej paszczy.

– Wierzysz mi? – powtórzył Dijkstra, stając nad nim.

Geralt wyprostował się, otarł wargi i z całych sił wałnął go w szczękę. Szpieg zatoczył się, ale nie upadł. Najbliższy z Redańczyków przyskoczył i chciał chwycić wiedźmina, ale chwycił powietrze, a zaraz potem usiadł, wypływając krew i ząb. Wtedy rzucili się na niego wszyscy. Powstał ścisk, nieład, zamieszanie i krętwa, a o to właśnie wiedźminowi chodziło.

Jeden Redańczyk z trzaskiem wyrzwał twarzą w kamienny łeb chimery, ciurkająca z paszczy woda natychmiast zabarwiła się na czerwono. Drugi dostał nasadą pięści w tchawicę, zgiał się, jakby wrywano mu genitalia. Trzeci, walnięty łokciem w oko, odskoczył z jękiem. Dijkstra chwycił wiedźmina w niedźwiedzi uścisk, a Geralt z mocą uderzył go obcasem w śródstopie. Szpieg zawył i przekomicznie zapląsał na jednej nodze.

Kolejny zbir chciał rąbnąć wiedźmina kordem, ale rąbnął powietrze. Geralt chwycił go jedną ręką za łokieć, drugą za nadgarstek, zakręcił, zwalając na ziemię dwóch innych, próbujących wstać. Trzymany zbir był silny, ani myślał wypuścić korda. Geralt wzmocnił chwyt i z trzaskiem złamał mu rękę.

Dijkstra, nadal kicając na jednej nodze, podniósł z ziemi korsekę i zamierzał przybić wiedźmina do muru trójzębnym ostrzem. Geralt uchylił się, chwycił drzewce oburącz i zastosował znaną uczonym zasadę dźwigni. Szpieg, widząc rosnące w oczach cegły i fugi muru, puścił korsekę, ale i tak zbyt późno, by uniknąć zderzenia się krocem z ciurkającym wodą łbem chimery.

Geralt wykorzystał korsekę do zwalenia z nóg kolejnego zbira, potem oparł drzewce o posadzkę i uderzeniem buta złamał je, skracając do długości miecza. Wypróbował pałkę, najpierw waląc w kark Dijkstrę siedzącego okrakiem na chimerze, a zaraz po tym uciszając wycie draba ze złamaną ręką. Szwy dubletu już dawno puściły pod obiema pachami i wiedźmin czuł się znacznie lepiej.

Ostatni trzymający się na nogach drab też zaatakował korseką, sądząc, że jej długość daje mu przewagę. Geralt uderzył go w nasadę nosa, drab z impetem usiadł na donicy z agawą. Inny Redańczyk, nadzwyczaj uparty, wczepił się w udo wiedźmina i ugryzł go boleśnie. Wiedźmin zrobił się zły i silnym kopniakiem pozbawił gryzonia możliwości gryzienia.

Na schody wbiegł zdyszany Jaskier, zobaczył, co się dzieje, i zbladł jak papier.

– Geralt! – wrzasnął po chwili. – Ciri zniknęła! Nie ma jej!

– Spodziewałem się tego – wiedźmin zdzielił kijem kolejnego Redańczyka nie chcącego leżeć spokojnie. – Ależ dajesz na siebie czekać, Jaskier. Mówiłem ci wczoraj, gdyby coś się stało, masz w dyrdy lecieć do Aretuzy! Przyniosłeś mój miecz?

– Obydwa!

– Ten drugi to miecz Ciri, idioto – Geralt grzmotnął draba usiłującego wstać z agawy.

– Nie znam się na mieczach – wysapał poeta. – Na bogów, przestań ich tłuc! Nie widzisz redańskich orłów? To ludzie króla Vizimira! To oznacza zdradę i bunt, za to można trafić do lochu...

– Na szafot – zabełkotał Dijkstra, dobywając sztyletu i zbliżając się chwiejnym krokiem. – Obaj pójdziecie na szafot...

Więcej powiedzieć nie zdążył, bo upadł na czworaki, palnięty w bok głowy ułomkiem drzewca korseki.

– Łamanie kołem – ocenił ponuro Jaskier. – Poprzedzone szarpaniem gorącymi kleszczami...

Wiedźmin kopnął szpiega w żebra. Dijkstra przewrócił się na bok jak ubity łoś.

– Ćwiartowanie – ocenił poeta.

– Przestań, Jaskier. Dawaj oba miecze. I zjeżdżaj stąd, ale szybko. Uciekaj z wyspy. Uciekaj jak najdalej!

– A ty?

– Wracam na górę. Muszę ratować Ciri... I Yennefer. Dijkstra, leż grzecznie i zostaw w spokoju sztylet!

– Nie ujdzie ci to płazem – wydyszał szpieg. – Sprowadzę moich... Pójdę za tobą...

– Nie pójdziesz.

– Pójdę. Mam na pokładzie „Spady” pięćdziesięciu ludzi...

– A jest wśród nich cyrulik?

– He?

Geralt zaszedł szpiega od tyłu, schylił się, chwycił go za stopę, szarpnął, skręcił raptownie i bardzo mocno. Chrupnęło. Dijkstra zawył i zemdłał. Jaskier wrzasnął, jak gdyby to był jego własny staw.

– To, co robią mi po ćwiartowaniu – mruknął wiedźmin – to już mnie mało obchodzi.

•

W Aretuzie panowała cisza. Na sali balowej pozostały już wyłącznie niedobitki, nie mające sił, by hałasować. Geralt ominął salę, nie chcąc, by go zauważono.

Nie bez trudu odnalazł komnatkę, w której nocował z Yennefer. Korytarze pałacu były istnym labiryntem i wszystkie wyglądały tak samo.

Szmaciana laleczka patrzyła na niego oczami z guzików.

Usiadł na łóżku, mocno obejmując głowę dłońmi. Na podłodze komnatki nie było krwi. Ale na oparciu krzesła wisiała czarna suknia. Yennefer przebrała się. W męski strój, uniform spiskowców?

Albo wywleczono ją w białiznie. W kajdanach z dwimerytu.

•

We wnęce okna siedziała Marti Sodergren, uzdrowicielka. Podniosła głowę, słysząc jego kroki. Policzki miała mokre od łez.

– Hen Gedyndeith nie żyje – powiedziała łamiącym się głosem. – Serce. Niczego nie mogłam zrobić... Dlaczego wezwali mnie tak późno? Sabrina uderzyła mnie. Uderzyła mnie w twarz. Dlaczego? Co tu się stało?

– Czy widziałaś Yennefer?

– Nie, nie widziałam. Zostaw mnie. Chcę być sama.

– Wskaż mi najkrótszą drogę do Garstangu. Proszę.

•

Powyżej Aretuzy były trzy zakrzaczone tarasy, dalej zbocze góry robiło się urwiste i niedostępne. Nad urwiskiem wznosił się Garstang. U podstawy pałac był ciemnym, jednolicie gładkim, przylepionym do skał blokiem kamienia. Dopiero wyższa kondygnacja pobłyskiwała marmurem i witrażami okien, złociła się w słońcu blachą kopuł.

Brukowana droga wiodąca do Garstangu i dalej, na szczyt, wiła się dookoła góry jak wąż. Była jednak jeszcze jedna droga, krótsza – schody łączące tarasy, tuż pod Garstangiem znikające w czarnej paszczęce tunelu. Te właśnie schody wskazała wiedźminowi Marti Sodergren.

Zaraz za tunelem był most spinający krawędzie przepaści. Za mostem schody pięły się ostro w górę i skręcały, ginęły za załosem. Wiedźmin przyspieszył kroku.

Balustrada schodów udekorowana była posążkami faunów i nimf. Posążki sprawiały wrażenie żywych. Poruszały się. Medalion wiedźmina zaczął silnie drgać.

Przetarł oczy. Pozorny ruch posążków polegał na tym, że zmieniały postać. Gładki kamień zamieniał się w porowatą, bezkształtną masę, zżartą przez wichry i sól. I zaraz po tym odnawiał się znowu.

Wiedział, co to znaczy. Maskująca Thanedd iluzja chwiała się, zanikała. Mostek też był częściowo iluzoryczny. Przez dziurawy jak rzeszoto kamuflaż przebierała przepaść i huczący na jej dnie wodospad.

Nie było ciemnych płyt wskazujących bezpieczną drogę. Przeszedł przez mostek powoli, bacząc na każdy krok, przeklinając w duchu stratę czasu. Gdy znalazł się po drugiej stronie przepaści, usłyszał kroki biegnącego człowieka.

Poznał go od razu. Z góry, ze schodów, zbiegał Dorregaray, czarodziej będący w służbie króla Ethaina z Cidaris. Pamiętał słowa Filippy Eilhart. Czarodziejów, którzy reprezentowali neutralnych królów, zaproszono do Garstangu jako obserwatorów. Ale Dorregaray gnał po schodach w tempie, które sugerowało, że zaproszenie nagle odwołano.

– Dorregaray!

– Geralt? – sapnął czarodziej. – Co ty tu robisz? Nie stój, uciekaj! Szybko w dół, do Aretuzy!

– Co się stało?

– Zdrada!

– Co?

Dorregaray nagle drgnął i kaszlnął dziwnie, a zaraz po tym pochylił się i upadł prosto na wiedźmina. Zanim Geralt chwycił go, zdążył dostrzec brzechwę szaropiórej strzały sterczącej mu z pleców. Zachwiał się z czarodziejem w objęciach i to uratowało mu życie, bo druga identyczna strzała, zamiast przebić mu gardło, łupnęła w obłeśnię uśmiechniętą facjatę kamiennego fauna, utracając mu nos i część policzka. Wiedźmin puścił Dorregaraya i zanurkował za balustradę schodów. Czarodziej zwał się na niego.

Strzelców było dwóch i obaj mieli u czapek wiewiórcze ogony. Jeden został na szczycie schodów, napinając łuk, drugi wyciągnął miecz z pochwy i popędził w dół, sadząc po kilka stopni. Geralt strącił z siebie Dorregaraya, zerwał się, dobywając miecza. Strzała zaśpiewała, wiedźmin przerwał śpiew, odbijając grot szybkim uderzeniem klingi. Drugi elf był już blisko, ale na widok odbijanej strzały zawahał się na moment. Ale tylko na moment. Rzucił się na wiedźmina, zawijając mieczem do cięcia. Geralt sparował krótko, ukośnie, tak by klinga elfa ześliznęła się po jego ostrzu. Elf stracił równowagę, wiedźmin obrócił się płynnie i ciął go w bok szyi, pod ucho. Tylko raz. Wystarczyło.

Strzelec na szczycie schodów znowu napinał łuk, ale nie zdążył spuścić cięciwy. Geralt zobaczył błysk, elf krzyknął, rozłożył ręce i runął w dół, turlając się po stopniach. Kubrak na jego plecach płonął.

Ze schodów zbiegał następny czarodziej. Na widok wiedźmina zatrzymał się, uniósł rękę. Geralt nie tracił czasu na wyjaśnienia, padł płasko na ziemię, a ognista błyskawica z sykiem przeleciała nad nim, w drobny pył rozbijając statuetkę fauna.

– Przestań! – wrzasnął. – To ja, wiedźmin!

– Psiakrew – wydyszał czarodziej, podbiegając. Geralt nie przypominał go sobie z bankietu. – Wzięłem cię za jednego z tych elfich bandytów... Co z Dorregarayem? Żyje?

– Chyba tak...

– Prędko, na drugą stronę mostu!

Przeciągnęli Dorregaraya, szczęśliwie, bo w pośpiechu nie zwracali uwagi na chwiejącą się i zanikającą iluzję. Nikt ich nie ścigał, mimo to czarodziej wyciągnął rękę, wyskandował zaklęcie i kolejną błyskawicą rozwalął most. Kamienie zahuczały po ścianach przepaści.

– To ich powinno zatrzymać – powiedział.

Wiedźmin otarł krew płynącą z ust Dorregaraya.

- On ma przebite płuco. Możesz mu pomóc?

- Ja mogę - powiedziała Marti Sodergren, z wysiłkiem wspinając się po schodach od strony Aretuzy, od tunelu. - Co tu się dzieje, Carduin? Kto go postrzelił?

- Scoia'tael - czarodziej wytarł czoło rękawem. - W Garstangu trwa walka. Przekłeta banda, jedni lepsi od drugich! Filippa nocą zakuwa Vilgefortza w kajdany, a Vilgefortz i Francesca Findabair sprowadzają na wyspę Wiewiórki! A Tissaia de Vries... Jasna cholera, ta narobiła zamieszania!

- Mówże składniej, Carduin!

- Nie będę tracił czasu na gadanie! Uciekam do Loxii, stamtąd natychmiast teleportuję się do Koviru. A ci tam, w Garstangu, niech się wyrzną nawzajem! To już nie ma żadnego znaczenia! Jest wojna! Cała ta draka była uknuta przez Filippę, by umożliwić królom wszczęcie wojny z Nilfgaardem! Meve z Lyrii i Demawend z Aedirn sprowokowali Nilfgaard! Rozumiecie to?

- Nie - powiedział Geralt. - I wcale nie chcemy rozumieć. Gdzie jest Yennefer?

- Przestańcie! - wrzasnęła Marti Sodergren, schylona nad Dorregarayem. - Pomóżcie mi! Przytrzymajcie go! Nie mogę wyciągnąć strzały!

Pomogli jej. Dorregaray jęczał i dygotał, schody też drżały. Geralt początkowo sądził, że to magia leczących zakłóć Marti. Ale to był Garstang. Nagle eksplodowały witraże, w oknach pałacu zamigotał ogień, zakłębił się dym.

- Jeszcze się biją - zgrzytnął zębami Carduin. - Tam idzie ostro, zakłęcie na zakłęcie...

- Zakłęcia? W Garstangu? Tam jest przecież aura antymagiczna!

- To sprawka Tissai. Nagle zdecydowała się, po czyjej stronie stanąć. Zdjęła blokadę, zlikwidowała aurę i zneutralizowała dwimeryt. Wtedy wszyscy skoczyli sobie do gardeł! Vilgefortz i Terranova z jednej, Filippa i Sabrina z drugiej strony... Pękły kolumny i sklepienie się zawaliło... A Francesca otworzyła wejście do podziemi, stamtąd nagle wyskoczyły te elfie diabły... Krzyczeliśmy, że jesteśmy neutralni, ale Vilgefortz tylko się zaśmiał. Zanim zdążyliśmy zbudować osłonę, Drithelm dostał strzałą w oko, Rejeana nadziali jak jeża... Na dalszy rozwój wypadków nie czekałem. Marti, długo jeszcze? Musimy stąd wiać!

- Dorregaray nie będzie mógł iść - uzdrowicielka wytarła zakrwawione ręce w białą balową suknię. - Teleportuj nas, Carduin.

- Stąd? Oszalałaś chyba. Za blisko Tor Lara. Portal Lary emanuje i wykrzywi każdy teleport. Stąd nie można się teleportować!

- On nie może chodzić! Muszę przy nim zostać...

- To zostań! - Carduin wstał. - I baw się dobrze! Mnie życie mile! Wracam do Koviru! Kovir jest neutralny!

- Pięknie - wiedźmin splunął, patrząc za niknącym w tunelu czarodziejem. - Koleżeństwo i solidarność! Ale i ja nie mogę z tobą zostać, Marti. Muszę iść do Garstangu. Twój neutralny konfrater rozpieprzył most. Jest inna droga?

Marti Sodergren pociągnęła nosem. Potem podniosła głowę i pokiwała twierdząco.

•

Był już pod murem Garstangu, gdy na głowę spadła mu Keira Metz.

Wskazana przez uzdrowicielkę droga wiodła przez wiszące ogrody połączone serpentyną schodków. Schodki gęsto porośnięte były bluszczem i kaprifolium, zielsko utrudniało wspinaczkę, ale dawało ukrycie. Udało mu się niepostrzeżenie dostać pod sam mur pałacu. Gdy szukał wejścia, spadła na niego Keira, obydwójce zwalili się w krzaki tarniny.

- Wybiłam sobie ząb - stwierdziła ponuro czarodziejka, sepleniąc lekko. Była rozczochrana, brudna, pokryta tynkiem i sadzą, na policzku miała wielki krwiał.

- I chyba złamałam nogę - dodała, plując krwią. - To ty, wiedźminie? Spadłam na ciebie? Jakim cudem?

- Też się zastanawiam.

- Terranova wyrzucił mnie oknem.

- Możesz wstać?

- Nie, nie mogę.

- Chcę dostać się do środka. Nie zauważony. Którędy?

- Czy wszyscy wiedźmini - Keira splunęła ponownie, jęknęła, próbując unieść się na łokciu - są wariatami? W Garstangu trwa walka! Tam gotuje się tak, że aż sztukateria płynie ze ścian! Szukasz guza?

- Nie. Szukam Yennefer.

- Ha! - Keira zaprzestała wysiłków, położyła się na wznak. - Chciałabym, żeby i mnie ktoś tak kochał. Weź mnie na ręce.

- Może innym razem. Trochę się spieszę.

- Weź mnie na ręce, mówię! Wskażę ci drogę do Garstangu. Muszę dostać tego skurwysyna Terranovę. No, na co czekasz? Sam nie odnajdziesz wejścia, a jeśli nawet, to wykończą cię skurwysyńskie elfy... Ja nie mogę chodzić, ale jestem jeszcze zdolna do rzucenia paru zaklęć. Jeśli ktoś stanie nam na drodze, pożałuje.

Wrzasnęła, gdy ją podnosił.

- Przepraszam.

- Nie szkodzi - otoczyła mu szyję ramionami. - To ta noga. Ciągłe pachniesz jej perfumami, wiesz? Nie, nie tędy. Zawróć i idź pod górę. Jest drugie wejście, od strony Tor Lara. Może tam nie ma elfów... Auuu! Ostrożniej, cholera!

- Przepraszam. Skąd wzięli się tu Scoia'tael?

- Byli w podziemiach. Thanedd jest pusta jak łupina, tam jest wielka kawerna, można wpłynąć statkiem, jeśli się wie, którądy. Ktoś im zdradził, którądy... Auuuu! Uważaj! Nie trzęś mną!

- Przepraszam. A więc Wiewiórki przypląły morzem? Kiedy?

- Cholera wie kiedy. Może wczoraj, może tydzień temu? Myśmy szykowali się na Vilgefortza, a Vilgefortz na nas. Vilgefortz, Francesca, Terranova i Fercart... Nieźle nas wyrolowali. Filippa myślała, że im chodziło o powolne przejęcie władzy w Kapitulę, o wywieranie wpływu na królów... A oni mieli zamiar wykończyć nas w trakcie zjazdu... Geralt, ja tego nie wytrzymam... Noga... Połóż mnie na chwilę. Auuuuu!

- Keira, to otwarte złamanie. Krew cieknie przez nogawkę.

- Zamknij się i słuchaj. Bo tu chodzi o twoją Yennefer. Weszliśmy do Garstangu, do sali obrad. Tam jest blokada antymagiczna, ale to nie działa na dwimeryt, czuliśmy się bezpieczni. Zaczęła się kłótnia. Tissaia i ci neutralni wrzeszczeli na nas, myśmy wrzeszczeli na nich. A Vilgefortz milczał i uśmiechał się...

•

- Powtarzam, Vilgefortz jest zdrajcą! Skumał się z Emhyrem z Nilfgaardu, wciągnął do spisku innych! Złamał Prawo, sprzeniewierzył się nam i królom...

– Powoli, Filippa. Ja wiem, że łaski, którymi otacza cię Vizimir, znaczą dla ciebie więcej niż solidarność Bractwa. To samo dotyczy ciebie, Sabrina, bo identyczną rolę odgrywasz w Kaedwen. Keira Metz i Triss Merigold reprezentują interesy Foltesta z Temerii, Radcliffe jest narzędziem Demawenda z Aedirn...

– Co to ma do rzeczy, Tissaia?

– Interesy królów nie muszą pokrywać się z naszymi. Ja doskonale wiem, o co chodzi. Królowie rozpoczęli eksterminację elfów i innych nieludzi. Może ty, Filippa, uważasz to za słuszne. Może ty, Radcliffe, uważasz za właściwe wspomagać wojska Demawenda w obławach na Scoia'tael. Ale ja jestem temu przeciwna. I nie dziwię się Enid Findabair, że jest temu przeciwna. Ale to jeszcze nie oznacza zdrady. Nie przerywaj mi! Ja doskonale wiem, co zamierzeli wasi królowie, wiem, że chcą rozpętać wojnę. Działania, które miałyby tej wojnie zapobiec, są może zdradą w oczach twojego Vizimira, ale w moich nie. Jeżeli chcesz sądzić Vilgefortza i Franceskę, sądz również mnie!

– O jakiej wojnie mówi się tutaj? Mój król, Esterad z Koviru, nie poprze żadnych agresywnych działań wobec cesarstwa Nilfgaardu! Kovir jest i pozostanie neutralny!

– Jesteś członkiem Rady, Carduin! A nie ambasadorem twego króla!

– I kto to mówi, Sabrina?

– Dość! – Filippa walnęła pięścią w stół. – Zaspokoję twoją ciekawość, Carduin. Pytasz, kto przygotowuje wojnę? Przygotowuje ją Nilfgaard, który zamierza nas zaatakować i zniszczyć. Ale Emhyr var Emreis pamięta Wzgórze Sodden i tym razem postanowił zabezpieczyć się, wyłączyć czarodziejów z gry. W tym celu nawiązał kontakt z Vilgefortzem z Roggeveen. Kupił go, obiecując władzę i zaszczyty. Tak, Tissaia. Vilgefortz, bohater spod Sodden, ma oto zostać namiestnikiem i władcą wszystkich zdobytych krajów Północy. To Vilgefortz, wspomagany przez Terranovę i Fercarta, ma rządzić prowincjami, które powstaną w miejscu podbitych królestw, to on ma wymachiwać nilfgaardzkim batogiem nad zamieszkującymi te kraje niewolnikami trującymi się dla Cesarstwa. A Francesca Finabair, Enid an Gleanna, ma zostać królową państwa Wolnych Elfów. Będzie to oczywiście nilfgaardzki protektorat, ale elfom to wystarczy, jeśli tylko cesarz Emhyr da im wolną rękę w mordowaniu ludzi. A elfy niczego bardziej nie pragną, jak mordować Dh'oine.

– To ciężkie oskarżenie. Dlatego też dowody będą musiały być równie ważne. Ale nim rzucisz owe dowody na szalę, Filippo Eilhart, bądź świadoma mego stanowiska. Dowody można fabrykować, działania i ich motywy można interpretować. Ale zaistniałych faktów nic nie zmieni. Złamałaś jedność i solidarność Bractwa, Filippo Eilhart. Zakulaś członków Kapituły w kajdany jak bandytów. Nie śmiej więc proponować mi objęcia stanowiska w nowej Kapitulce, którą zamierza utworzyć twoja zaprzędana królom szajka puczystów. Między nami jest śmierć i krew. Śmierć Hena Gedymdeitha. I krew Lydii van Bredevoort. Tę krew rozlałaś z pogardą. Byłaś moją najlepszą uczennicą, Filippo Eilhart. Byłam zawsze z ciebie dumna. Ale teraz mam dla ciebie wyłącznie pogardę.

•

Keira Metz była blada jak pergamin.

– Od jakiegoś czasu – szepnęła – w Garstangu jest jakby ciszej. Kończy się... Gonią się po pałacu. Tam jest pięć kondygnacji, siedemdziesiąt sześć komnat i sal. Jest gdzie się gonić...

– Miałaś mówić o Yennefer. Spiesz się. Boję się, że zemdlejesz.

– O Yennefer? Ach, tak... Wszystko szło po naszej myśli, kiedy nagle pojawiła się Yennefer. I wprowadziła na salę to medium...

– Kogo?

– Dziewczynę, może czternastoletnią. Szare włosy, wielkie zielone oczy... Zanim zdążyliśmy się dobrze przyjrzeć, dziewczyna zaczęła wieszczyć. Powiedziała o wydarzeniach w Dol Angra. Nikt nie miał wątpliwości, że mówi prawdę. Była w transie, a w transie się nie kłamie.

•

– Wczoraj w nocy – powiedziało medium – wojska ze znakami Lyrri i sztandarami Aedirn dokonały agresji na cesarstwo Nilfgaardu. Zaatakowano Glevitzingen, pograniczny fort w Dol Angra. Heroldowie w imieniu króla Demawenda otrąbili po okolicznych wsiach, że od dziś Aedirn przejmuje władzę nad całym krajem. Wezwano ludność do zbrojnego powstania przeciw Nilfgaardowi...

– To niemożliwe! To ohydna prowokacja!

– Gładko przechodzi ci przez usta to słowo, Filippo Eilhart – powiedziała spokojnie Tissaia de Vries. – Ale nie łudź się, twoje wrzaski nie przerwą transu. Mów dalej, dziecko.

– Cesarz Emhyr var Emreis wydał rozkaz, by odpowiedzieć ciosem na cios. Wojska nilfgaardzkie dziś o świcie wkroczyły do Lyrii i Aedirn.

– Tak tedy – uśmiechnęła się Tissaia – nasi królowie pokazali, jacy to z nich rozumni, światli i miłujący pokój władcy. A niektórzy z czarodziejów udowodnili, czyjej sprawie naprawdę służą. Tych, którzy mogliby zapobiec zaborczej wojnie, przezornie zakuto w kajdany z dwimerytu i postawiono im bzdurne zarzuty...

– To wszystko wierutne kłamstwo!

– Do dupy z wami wszystkimi! – wrzasnęła nagle Sabrina Glevissig. – Filippa! Co to wszystko znaczy? Co ma znaczyć ta draka w Dol Angra? Czy nie ustaliliśmy, żeby nie zaczynać za wcześnie? Dlaczego ten pieprzony Demawend nie wstrzymał się? Dlaczego ta zdzira Meve...

– Zamilcz, Sabrina!

– Ależ nie, niech mówi – Tissaia de Vries uniosła głowę. – Niech powie o skoncentrowanej na granicy armii Henselta z Kaedwen. Niech powie o wojskach Foltesta z Temerii, które już pewnie spuszczają na wodę łodzie, do tej pory ukrywane w zaroślach nad Jarugą. Niech powie o korpusie ekspedycyjnym pod dowództwem Vizimira z Redanii, stojącym nad Pontarem. Czy ty sądziłaś, Filippa, że my jesteśmy ślepi i głusi?

– To jest jedna wielka cholerna prowokacja! Król Vizimir...

– Król Vizimir – przerwało beznamiętnym głosem szarowłose medium – został wczoraj w nocy zamordowany. Zasztyletowany przez zamachowca. Redania nie ma już króla.

– Redania już od dawna nie miała króla – Tissaia de Vries wstała. – W Redanii panowała jaśnie wielmożna Filippa Eilhart, godna następczyni Raffarda Białego. Gotowa dla władzy absolutnej poświęcić dziesiątki tysięcy istnień.

– Nie słuchajcie jej! – wrzasnęła Filippa. – Nie słuchajcie tego medium! To narzędzie, bezrozumne narzędzie... Komu ty służysz, Yennefer? Kto rozkazał ci przyprowadzić tu tego potwora?

– Ja – powiedziała Tissaia de Vries.

•

– Co było dalej? Co stało się z dziewczyną? Z Yennefer?

– Nie wiem – Keira zamknęła oczy. – Tissaia nagle zniosła blokadę. Jednym zaklęciem. W życiu nie widziałam czegoś podobnego... Oszłomiła nas i przyblokowała, potem uwolniła Vilgefortza i innych... A

Francesca otworzyła wejścia do podziemi i w Garstangu nagle zaroilo się od Scoia'tael. Dowodził nimi cudak w zbroi i skrzydlatym, nilfgaardzkim hełmie. Pomagał mu typ ze znamieniem na twarzy. Ten umiał rzucać zaklęcia. I zasłaniać się magią...

– Rience.

– Może, nie wiem. Było gorąco... Runął strop. Zaklęcia i strzały... Masakra... Wśród nich zabity Fercart, wśród nas zabity Drithelm, zabity Radcliffe, zabici Marquard, Rejean i Bianca d'Este... Kontuzjowana Triss Merigold, ranna Sabrina... Gdy Tissaia zobaczyła trupy, zrozumiała swój błąd, próbowała nas chronić, próbowała mitygować Vilgefortza i Terranovę... Vilgefortz wyśmiał ją i wykpił. Wtedy straciła głowę i uciekła. Och, Tissaia... Tyle trupów...

– Co z dziewczyną i Yennefer?

– Nie wiem – czarodziejka zaniosła się kaszlem, splunęła krwią. Oddychała bardzo płytko i z wyraźnym trudem. – Po którejś z rzędu eksplozji na moment straciłam przytomność. Ten z blizną i jego elfy obezwładnili mnie. Terranova najpierw mnie skopał, a potem wyrzucił oknem.

– To nie tylko noga, Keira. Masz połamane żebra.

– Nie zostawiaj mnie.

– Muszę. Wrócę po ciebie.

– Akurat.

•

Na początku był tylko migotliwy chaos, pulsowanie cieni, kotłowisko mroku i jasności, chór bełkotliwych, dobiegających z otchłani głosów. Nagle głosy przybrały na sile, dookoła eksplodował wrzask i huk. Jasność wśród mroku stała się ogniem pożerającym arras i gobeliny, snopami iskier zdających się tryskać ze ścian, z balustrad i z kolumn podtrzymujących sklepienie.

Ciri zakrztusiła się dymem i zrozumiała, że to już nie sen.

Spróbowała wstać, wspierając się na rękach. Natrafiła dłonią na wilgoć, spojrzała w dół. Kłęzła w kałuży krwi. Tuż obok leżało nieruchome ciało. Ciało elfa. Poznała to od razu.

– Wstań.

Yennefer stała obok. W dłoni miała sztylet.

– Pani Yennefer... Gdzie my jesteśmy? Niczego nie pamiętam...

Czarodziejka szybko chwyciła ją za rękę.

– Jestem przy tobie, Ciri.

– Gdzie my jesteśmy? Dlaczego wszystko się pali? Kim jest ten... Ten tutaj?

– Powiedziałam ci kiedyś, wieki temu, że Chaos wyciąga po ciebie rękę. Pamiętasz? Nie, pewnie nie pamiętasz. Ten elf wyciągnął po ciebie rękę. Musiałam zabić go nożem, bo jego mocodawcy tylko czekają, by któraś z nas ujawniła się, używając magii. I doczekają się, ale jeszcze nie teraz... Jesteś już całkowicie przytomna?

– Ci czarodzieje... – szepnęła Ciri. – Ci w dużej sali... Co ja do nich mówiłam? I dlaczego to mówiłam? Ja wcale nie chciałam... Ale musiałam mówić! Dlaczego? Dlaczego, pani Yennefer?

– Cicho, brzydulko. Popęłniłam błąd. Nikt nie jest doskonały.

Z dołu rozległ się huk i przeraźliwy krzyk.

– Chodź. Prędko. Nie mamy czasu.

Pobiegły korytarzem. Dym był coraz gęstszy, dusił, dławił, oślepiał. Mury dygotały od eksplozji.

– Ciri – Yennefer zatrzymała się na skrzyżowaniu korytarzy, mocno ścisnęła dłoń dziewczynki. – Posłuchaj mnie teraz, posłuchaj uważnie. Ja muszę tu zostać. Widzisz te schody? Zejdiesz nimi...

– Nie! Nie zostawiaj mnie samej!

– Muszę. Powtarzam, zejdziesz tymi schodami. Na sam dół. Tam będą drzwi, za nimi długi korytarz. Na końcu korytarza jest stajnia, w niej stoi jeden osiodłany koń. Tylko jeden. Wyprowadzisz go i dosiądziesz. To wyćwiczony koń, służy gońcom jeżdżącym do Loxii. Zna drogę, wystarczy go popędzić. Gdy będziesz w Loxii, odszukasz Margaritę i oddasz się pod jej opiekę. Nie odstępуй jej nawet na krok...

– Pani Yennefer! Nie! Nie chcę być sama!

– Ciri – powiedziała cicho czarodziejka. – Kiedyś już powiedziałam ci, że wszystko, co robię, robię dla twojego dobra. Zaufaj mi. Proszę cię, zaufaj mi. Biegnij.

Ciri była już na schodach, gdy jeszcze raz usłyszała głos Yennefer. Czarodziejka stała przy kolumnie, opierając o nią czoło.

– Kocham cię, córeczko – powiedziała niewyraźnie. – Biegnij.

•

Osaczyli ją w połowie schodów. Z dołu dwóch elfów z wiewiórczymi ogonami u czapek, z góry człowiek w czarnym stroju. Ciri bez namysłu przeskoczyła przez balustradę i uciekła w boczny korytarz. Pobiegli za nią. Była szybsza i umknęłaby im bez trudu, gdyby nie to, że korytarz kończył się otworem okiennym.

Wyrzała. Wzdłuż muru biegł kamienny występ, szeroki może na dwie piędzi. Ciri przełożyła nogi przez parapet i wyszła. Odsunęła się od okna, przywarła plecami do ściany. W oddali lśniło morze.

Z okna wychylił się elf. Miał jaśniutkie włosy i zielone oczy, na szyi jedwabną chustkę. Ciri odsunęła się prędko, posuwając ku drugiemu oknu. Ale przez to drugie wyrzał człowiek w czarnym stroju. Ten miał oczy ciemne i paskudne, na policzku czerwona plama.

– Mamy cię, dziewczko!

Spojrzała w dół. Pod sobą, bardzo daleko, widziała dziedziniec. A nad dziedzińcem, jakieś dziesięć stóp poniżej występu, na którym stała, był mostek łączący dwa krużganki. Tyle że to nie był mostek. To były szczątki mostku. Wąska kamienna kładka z resztkami pogruchotanej balustrady.

– Na co czekacie? – krzyknął ten z blizną. – Wyłaźcie i łapcie ją!

Jasnowłosy elf ostrożnie wyszedł na występ, przycisnął się plecami do ściany. Wyciągnął rękę. Był blisko.

Ciri przełknęła ślinę. Kamienna kładka, pozostałość mostu, nie była węższa niż huśtawka w Kaer Morhen, a ona dziesiątki razy skakała na huśtawkę, umiała amortyzować skok i utrzymywać równowagę. Ale wieżmińską huśtawkę dzieliły od ziemi cztery stopy, a pod kamienną kładką ziała przepaść tak głęboka, że płyty podwórca wydawały się mniejsze od dłoni.

Skoczyła, wylądowała, zachwiała się, utrzymała równowagę, chwytając się potłuczonej balustrady. Pewnymi krokami osiągnęła krużganek. Nie mogła się powstrzymać – odwróciła się i pokazała prześladowcom zgięty łokieć, gest, którego nauczył ją krasnolud Yarpen Zigrin. Człowiek z blizną zaklął głośno.

– Skacz! – krzyknął do jasnowłosego elfa stojącego na występie. – Skacz za nią!

– Chyba zwariowałeś, Rience – powiedział zimno elf. – Skacz sam, jeśli wola.

•

Szczęście, jak to zwykle bywa, nie dopisało, nie towarzyszyło jej długo. Gdy zbiegła z krużganka i wymknęła się za mur, w krzaki tarniny, schwytano ją. Schwycił ją i unieruchomił w niesamowicie silnym uścisku niski, lekko otyły mężczyzna z opuchniętym nosem i rozciętą wargą.

– Tuś mi – zasyczał. – Tuś mi, laleczko!

Ciri szarpnęła się i zawyla, bo zaciśnięte na jej ramionach dłonie poraziły ją nagle paroksyzmem obezwładniającego bólu. Mężczyzna zarechotał.

– Nie trzepocz, szary ptaszku, bo przypalę ci piórka. Pozwól, niech ci się przyjrzę. Niech no popatrzę na pisklątko, które aż tyle warte jest dla Emhyra var Emreisa, imperatora Nilfgaardu. I dla Vilgefortza.

Ciri przestała się wyrywać. Niski mężczyzna oblizał pokaleczoną wargę.

– Ciekawe – zasyczał znowu, pochylając się ku niej. – Takaś niby cenna, a ja, uważasz, nie dałbym za ciebie nawet złamanego szeląga. Jak też te pozory mylą. Ha! Skarbie mój! A gdyby Emhyrowi dał cię w prezencie nie Vilgefortz, nie Rience, nie ten galant w pierzastym hełmie, ale stary Terranova? Czy Emhyr byłby łaskaw dla starego Terranovy? Co na to powiesz, wieszczko? Wszakże umiesz wieszczyć!

Jego oddech śmierdzał nie do wytrzymania. Ciri odwróciła głowę, krzywiąc się. Źle zrozumiał.

– Nie kłap na mnie dziobkiem, ptaszku! Ja nie lękam się ptaszków. A może powinienem? Co, fałszywa wróżbitko? Podstawiona wyrocznio? Czy powinienem lękać się ptaszków?

– Powinieneś – szepnęła Ciri, czując zawrót głowy i ogarniające ją nagle zimno.

Terranova zaśmiał się, odrzucając głowę do tyłu. Śmiech zmienił się w ryk bólu. Wielka szara sowa bezszelestnie sfrunęła z góry i wpila mu się szponami w oczy. Czarodziej puścił Ciri, gwałtownym ruchem strącił z siebie sowę, a zaraz po tym runął na kolana i chwycił się za twarz. Spomiędzy palców zatętniła krew. Ciri wrzasnęła, cofnęła się. Terranova odjął od twarzy zakrwawione i pokryte śluzem ręce, dzikim, rwącym się głosem zaczął skandować zaklęcie. Nie zdążył. Za jego plecami pojawił się niewyraźny kształt, wiedźmińska klinga zawyla w powietrzu i przecięła mu kark tuż pod potylicą.

•

- Geralt!

- Ciri.

- Nie czas na czułości - powiedziała ze szczytu muru sowa, zamieniając się w ciemnowłosą kobietę. - Uciekajcie! Biegną tu Wiewiórki!

Ciri wyzwoliła się z ramion Geralta, spojrzała ze zdumieniem. Siedząca na szczycie muru kobieta-sowa wyglądała okropnie. Była osmalona, obszarpana, umazana popiołem i krwią.

- Ty mały potworze - powiedziała kobieta-sowa, patrząc na nią z góry. - Za tę twoją niewczesną wieszczbę powinnam cię... Ale obiecałam coś twojemu wiedzminowi, a ja zawsze dotrzymuję słowa. Nie mogłam dać ci Rience'a, Geralt. W zamian daję ci ją. Żywą. Uciekajcie!

•

Cahir Mawr Dyffryn aep Ceallach był wściekły. Dziewczynę, którą rozkazano mu schwytać, widział tylko przez chwilę, ale zanim zdołał cokolwiek przedsięwziąć, zatraceni czarownicy rozpętali w Garstangu piekło uniemożliwiające przedsięwzięcie czegokolwiek. Cahir stracił orientację wśród dymu i pożaru, na oślep krążył korytarzami, biegał po schodach i krużgankach, przeklinając Vilgefortza, Rience'a, siebie i cały świat.

Od spotkanego elfa dowiedział się, że dostrzeżono dziewczynę poza pałacem, uciekającą drogą ku Aretuzie. I wtedy szczęście uśmiechnęło się do Cahira. Scoia'tael znaleźli w stajni osiodłanego konia.

•

- Biegnij przodem, Ciri. Są blisko. Ja ich zatrzymam, a ty biegnij. Biegnij, ile sił! Jak na Mordowni!

- Ty też chcesz mnie zostawić samą?

- Będę tuż za tobą. Ale nie oglądaj się!

- Daj mi mój miecz, Geralt.

Spojrzał na nią. Ciri odruchowo cofnęła się. Takich oczu nie widziała u niego jeszcze nigdy.

- Mając miecz, będziesz może musiała zabijać. Potrafisz?

- Nie wiem. Daj mi miecz.

- Biegnij. I nie oglądaj się za siebie.

•

Na drodze załomotały kopyta. Ciri obejrzała się. I zamarła sparaliżowana strachem.

Ścigał ją czarny rycerz w hełmie ozdobionym skrzydłami drapieżnego ptaka. Skrzydła szumiały, powiewał czarny płaszcz. Podkowy krzeszały iskry na bruku drogi.

Nie była w stanie się poruszyć.

Czarny koń przedarł się przez przydrożne krzaki, rycerz krzyknął głośno. W krzyku tym była Cintra. Były w nim noc, mord, krew i pożoga. Ciri pokonała obezwładniający strach i rzuciła się do ucieczki. Z rozpędu przesadziła żywopłot, wpadając na maleńki dziedziniec z basenikiem i fontanną. Z dziedzińca nie było wyjścia, dookoła były mury, wysokie i gładkie. Koń zachrapał tuż za jej plecami. Cofnęła się, potknęła i wzdrygnęła, trafiając plecami na twardą, nieustępliwą ścianę. Była w pułapce.

Drapieżny ptak załopotał skrzydłami, zrywając się do lotu. Czarny rycerz poderwał konia, przeskoczył żywopłot odgradzający go od dziedzińca. Kopyta zadudniły na płytach posadzki, koń pośliznął się, pojechał, przysiadając na zadzie. Rycerz zachwiał się w siodle, przechylił. Koń zerwał się, a rycerz spadł, łoskocząc zbroją o kamień. Podniósł się jednak natychmiast, szybko osaczając Ciri wciśniętą w róg.

– Nie dotkniesz mnie! – krzyknęła, dobywając miecza. – Nigdy mnie już nie dotkniesz!

Rycerz zbliżał się powoli, rosnąc nad nią jak ogromna czarna wieża. Skrzydła na jego hełmie chwiały się i szeleściły.

– Nie uciekniesz mi już, Lwiątko z Cintry – w szparze hełmu płonęły bezlitosne oczy. – Nie tym razem. Tym razem nie masz już dokąd uciekać, szalona panno.

– Nie dotkniesz mnie – powtórzyła głosem zduszonym zgrozą, przyparta plecami do kamiennej ściany.

– Muszę. Wykonuję rozkazy.

Gdy wyciągnął ku niej rękę, strach ustąpił nagle, jego miejsce zajęła dzika wściekłość. Spięte, zastygłe w przerażeniu mięśnie zadziały jak sprężyny, wszystkie wyuczone w Kaer Morhen ruchy wykonały się same, gładko i płynnie. Ciri skoczyła, rycerz rzucił się na nią, ale nie był przygotowany na piruet, którym bez wysiłku wywinęła się z zasięgu jego rąk. Miecz zawył i ukąsił, niechybnie trafiając między blachy

pancerza. Rycerz zachwiał się, upadł na jedno kolano, spod naramiennika trysnęła jasnoczerwona struga krwi. Wrzeszcząc wściekle, Ciri znowu otoczyła go piruetem, znowu uderzyła, tym razem prosto w dzwon hełmu, obalając rycerza na drugie kolano. Wściekłość i szal zaślepiły ją zupełnie, nie widziała nic oprócz nienawistnych skrzydeł. Posypały się czarne pióra, jedno skrzydło odpadło, drugie zwisło na zakrwawiony naramiennik. Rycerz, wciąż nadaremnie usiłując podnieść się z kolan, spróbował zatrzymać klingę miecza chwytem pancерnej rękawicy, stęknął boleśnie, gdy wiedźmińskie ostrze rozchlastało kolczą siatkę i dłoń. Pod kolejnym uderzeniem spadł hełm, Ciri odskoczyła, by nabrać impetu do ostatniego, morderczego ciosu.

Nie uderzyła.

Nie było czarnego hełmu, nie było skrzydeł drapieżnego ptaka, których szum prześladował ją w koszmarach sennych. Nie było już czarnego rycerza z Cintry. Był klęczący w kałuży krwi blady, ciemnowłosy młodzieniec o oszołomionych błękitnych oczach i ustach wykrzywionych w grymasie strachu. Czarny rycerz z Cintry padł od ciosów jej miecza, przestał istnieć, z budzących grozę skrzydeł pozostały porąbane pióra. Przerażony, skulony, broczący krwią młodzik był nikim. Nie знаła go, nigdy go nie widziała. Nie obchodził jej. Nie bała się go, nie nienawidziła. I nie chciała zabijać.

Rzuciła miecz na posadzkę.

Odwróciła się, słysząc krzyki Scoia'tael nadbiegających od strony Garstangu. Zrozumiała, że za moment osaczają ją na dziedzińcu. Zrozumiała, że dopędzą ją na drodze. Musiała być od nich szybsza. Podbiegła do karego konia stukającego podkownikami po płytach posadzki, krzykiem popędziła go do galopu, w biegu wskakując na siodło.

•

– Zostawcie mnie... – stęknął Cahir Mawr Dyffryn aep Ceallach, odpychając zdrową ręką podnoszących go elfów. – Nic mi nie jest! To lekka rana... Ścigajcie ją. Ścigajcie dziewczynę...

Jeden z elfów krzyknął, na twarz Cahira trysnęła krew. Drugi Scoia'tael zatoczył się i zwałił na kolana, obu rękoma wpijając się w rozchlastany brzuch. Pozostali odskoczyli, rozprysnęli się po dziedzińcu, błyskając mieczami.

Zaatakował ich białowłosy potwór. Skoczył na nich z muru. Z wysokości, z której niepodobna było skoczyć, nie łamiąc nóg. Niepodobna było wylądować miękko, zawirować w umykającym oczom piruecie i w ułamku sekundy zabić. Ale białowłosy potwór dokonał tego. I zaczął zabijać.

Scoia'tael walczyli zażarcie. Mieli przewagę. Ale nie mieli żadnych szans. Na rozwartych ze zgrozy oczach Cahira dokonywała się masakra. Szarowłosa dziewczyna, która przed chwilą go poraniła, była szybka, była niewiarygodnie zwinna, była jak kocica broniąca kociąt. Ale białowłosy potwór, który wpadł między Scoia'tael, był jak zerrikański tygrys. Szarowłosa panna z Cintry, która z niewiadomych powodów nie zabiła go, sprawiała wrażenie szalonej. Białowłosy potwór nie był szalony. Był spokojny i zimny. Mordował spokojnie i zimno.

Scoia'tael nie mieli żadnych szans. Ich trupy jeden po drugim waliły się na płyty dziedzińca. Ale nie ustępowali. Nawet wtedy, gdy zostało tylko dwóch, nie uciekli, jeszcze raz zaatakowali białowłosego potwora. Na oczach Cahira potwór odrąbał jednemu rękę powyżej łokcia, drugiego uderzył pozornie lekkim, niedbałym ciosem, który jednak rzucił elfem do tyłu, przeważył go przez cembrowinę fontanny i wwałił do wody. Woda przelała się przez brzeg basenu karminową falą.

Elf z odrąbaną ręką klęczał przy fontannie, błędnym wzrokiem patrząc na buchający krwią kikut. Białowłosy potwór chwycił go za włosy i szybkim pociągnięciem miecza poderżnął mu gardło.

Gdy Cahir otworzył oczy, potwór był tuż przy nim.

– Nie zabijaj... – szepnął, zaprzestając prób podniesienia się ze śliskiej od krwi posadzki. Rozsieczona przez szarowłosą dziewczynę dłoń przestała boleć, zmartwiała.

– Wiem, kim jesteś, Nilfgaardczyku – białowłosy potwór kopnął hełm z porąbanymi skrzydłami. – Ścigałeś ją uparcie i długo. Ale już nigdy nie zdołasz jej skrzywdzić.

– Nie zabijaj...

– Podaj mi jeden powód. Choć jeden. Spiesz się.

– To ja... – wyszeptał Cahir. – To ja wywiozłem ją wtedy z Cintry. Z pożaru... Ocaliłem ją. Uratowałem jej życie...

Gdy otworzył oczy, potwora już nie było, był na dziedzińcu sam na sam z trupami elfów. Woda w fontannie szumiała, przelewała się przez brzeg cembrowiny, rozmywała krew na posadzce. Cahir zemdlął.

•

U stóp wieży stał budynek będący jedną wielką salą, czy może raczej rodzajem perystylu. Dach nad perystylem, zapewne iluzoryczny, świecił dziurami. Wsparty był na kolumnach i pilastrach wyrzeźbionych w kształty skapo odzianych kariatyd o imponujących biustach. Takie same kariatydy podtrzymywały łuk portalu, w którym znikła Ciri. Za portalem Geralt dostrzegł schody wiodące w górę. Do wieży.

Zaklął pod nosem. Nie rozumiał, dlaczego tam pobiegła. Pędząc za nią szczytami murów widział, jak padł jej koń. Widział, jak zerwała się z ręcznie, ale zamiast biec dalej wijącą się dookoła szczytu serpentyną drogi, nagle pognęła pod górę, w stronę samotnej wieży. Dopiero później dostrzegł na drodze elfów. Elfy nie widziały Ciri ani jego, zajęte ostrzeliwaniem z łuków biegnących pod górę ludzi. Z Aretuzy nadciągała odsiecz.

Zamierzał pójść schodami śladem Ciri, gdy usłyszał szmer. Z góry. Odwrócił się szybko. To nie był ptak.

Vilgefortz, szumiąc szerokimi rękawami, wleciał przez dziurę w dachu, wolno opuścił się na posadzkę.

Geralt stanął przed wejściem do wieży, dobył miecza i westchnął. Miał szczerą nadzieję, że dramatyczna, finałowa walka rozegra się pomiędzy Vilgefortzem a Filippą Eilhart. On sam na taki dramatyzm nie miał najmniejszej ochoty.

Vilgefortz otrzepał wams, poprawił mankiety, spojrzał na wiedźmina i odczytał jego myśli.

– Cholerny dramatyzm – westchnął.

Geralt nie skomentował.

– Weszła do wieży?

Nie odpowiedział. Czarodziej pokiwał głową.

– Oto mamy więc epilog – powiedział zimno. – Koniec wieńczący dzieło. A może to przeznaczenie? Wiesz, dokąd prowadzą te schody? Do Tor Lara. Do Wieży Mewy. Stamtąd nie ma wyjścia. Wszystko się skończyło.

Geralt cofnął się tak, by jego flanki chroniły wspierające portal kariatydy.

– A jakże – wycedził, obserwując ręce czarodzieja. – Wszystko się skończyło. Połowa twoich współników nie żyje. Trupy ściągniętych na Thanedd elfów leżą pokotem stąd aż do Garstangu. Reszta uciekła. Z

Aretuzy nadciągają czarodzieje i ludzie Dijkstry. Nilfgaardczyk, który miał zabrać Ciri, pewnie się już wykrwawił. A Ciri jest tam, w wieży. Stamtąd nie ma wyjścia? Rad jestem to słyszeć. To znaczy, że prowadzi tam tylko jedno wejście. To, które zagradzam.

Vilgefortz zachnął się.

– Jesteś niepoprawny. Nadal nie potrafisz prawidłowo ocenić sytuacji. Kapituła i Rada przestały istnieć. Wojska cesarza Emhyra idą na północ; pozbawieni czarodziejskiej rady i pomocy królowie są bezradni jak dzieci. Pod naporem Nilfgaardu ich królestwa runą jak zamki z piasku. Proponowałem ci to wczoraj, a dzisiaj powtarzam: przyłącz się do zwycięzców. Na przegranych pluń gęstą śliną.

– To ty jesteś przegrany. Dla Emhyra byłeś tylko narzędziem. Jemu zależało na Ciri, dlatego przysłał tu tego typu ze skrzydłami na hełmie. Ciekawym, co Emhyr zrobi z tobą, gdy zameldujesz mu o fiasku misji.

– Strzelasz na oślep, wiedźminie. I nie trafiasz, rzecz jasna. A gdybym ci powiedział, że to Emhyr jest moim narzędziem?

– Nie uwierzyłbym.

– Geralt, bądź rozsądny. Czy naprawdę chcesz bawić się w teatr, w banalną finałową walkę Dobra i Zła? Ponawiam wczorajszą propozycję. Wcale jeszcze nie jest za późno. Wciąż jeszcze możesz dokonać wyboru, możesz stanąć po właściwej stronie...

– Po stronie, którą dzisiaj nieco przerzedziłem?

– Nie uśmiechaj się, twoje demoniczne uśmiechy nie robią na mnie wrażenia. Tych kilku usieczonych elfów? Artaud Terranova? Drobiazgi, fakty bez znaczenia. Można przejść nad nimi do porządku dziennego.

– Ależ oczywiście. Znam twój światopogląd. Śmierć się nie liczy, prawda? Zwłaszcza cudza?

– Nie bądź banalny. Żał mi Artauda, ale cóż, trudno. Nazwijmy to... wyrównaniem rachunków. Ostatecznie ja dwukrotnie próbowałem cię zabić. Emhyr się niecierpliwił, więc kazałem nasłać na ciebie morderców. Za każdym razem robiłem to z prawdziwą niechęcią. Ja, widzisz, nadal jeszcze mam nadzieję na to, że wymalują nas kiedyś na jednym obrazie.

– Porzuć tę nadzieję, Vilgefortz.

– Schowaj miecz. Wejdziemy razem do Tor Lara. Uspokoimy Dziecko Starszej Krwi, które gdzieś tam na górze kona pewnie ze strachu. I odejdziemy stąd. Razem. Będziesz przy niej. Będziesz patrzył, jak spełnia

się jej przeznaczenie. A cesarz Emhyr? Cesarz Emhyr dostanie, czego chciał. Bo zapomniałem ci powiedzieć, że choć Codrigher i Fenn umarli, ich dzieło i koncepcja żyją nadal i mają się dobrze.

- Łesz. Odejdź stąd. Zanim plunę na ciebie gęstą śliną.
- Naprawdę nie mam ochoty cię zabijać. Ja niechętnie zabijam.
- Doprawdy? A Lydia van Bredevoort?

Czarodziej skrzywił usta.

- Nie wymawiaj tego imienia, wiedźminie.

Geralt mocniej ścisnął rękę w garści, uśmiechnął się drwiąco.

- Dlaczego Lydia musiała umrzeć, Vilgefortz? Dlaczego rozkazałeś jej umrzeć? Miała odwrócić od ciebie uwagę, prawda? Miała dać ci czas na uodpornienie się na dwimeryt, na wysłanie telepatycznego sygnału do Rience'a? Biedna Lydia, artystka ze skrzywdzoną twarzą. Wszyscy wiedzieli, że jest osobą bez znaczenia. Wszyscy. Oprócz niej.

- Milcz.

- Zamordowałeś Lydię, czarowniku. Wykorzystałeś ją. A teraz chcesz wykorzystać Ciri? Z moją pomocą? Nie. Nie wejdiesz do Tor Lara.

Czarodziej cofnął się o krok. Geralt sprężył się, gotów do skoku i ciosu. Ale Vilgefortz nie uniósł ręki, wyciągnął ją tylko nieco w bok. W jego dłoni zmaterializował się nagle gruby, sześciostopowy kij.

- Wiem - powiedział - co ci przeszkadza w rozsądnym ocenianiu sytuacji. Wiem, co komplikuje i utrudnia ci właściwe przewidywanie przyszłości. To twoja arogancja, Geralt. Oduczę cię arogancji. Oduczę cię jej za pomocą tej oto różdżki.

Wiedźmin zmrużył oczy, unosząc lekko klingę.

- Drzę z niecierpliwości.

Kilka tygodni później, już wyleczony staraniem driad i wodą Brokilonu, Geralt zastanawiał się, jaki błąd popełnił w czasie walki. I doszedł do wniosku, że podczas walki nie popełnił żadnego. Jedyne błędy popełnił przed walką. Należało uciec, zanim walka się zaczęła.

Czarodziej był szybki, kij migał w jego rękach jak błyskawica. Tym większe było zdziwienie Geralta, gdy przy parady drąg i miecz zadzwoniły metalicznie. Ale brakowało czasu na dziwienie się. Vilgefortz atakował, wiedźmin musiał zwijać się w unikach i piruetach. Bał się parować mieczem. Cholerny drąg był żelazny, a do tego magiczny.

Czterokrotnie znalazł się w pozycji do kontrataku i ciosu. Czterokrotnie uderzył. W skroń, w szyję, pod pachę, w udo. Każdy z tych

ciosów byłby śmiertelny. Ale każdy został sparowany.

Żaden człowiek nie zdołałby sparować takich cięć. Geralt powoli zaczął rozumieć. Ale już było za późno.

Ciosu, którym czarodziej go dosięgnął, nie widział. Uderzenie cisnęło nim o ścianę. Odbił się plecami, nie zdążył odskoczyć, wykonać zwodu, cios pozbawił go oddechu. Dostał drugi raz, w bark, znowu poleciał do tyłu, waląc potylicą o pilaster, o wystające piersi kariatydy. Vilgefortz przyskoczył zręcznie, zawinął drągiem i wałnął go w brzuch, pod żebra. Mocno. Geralt zgął się wpół i wtedy dostał w bok głowy. Kolana zmiękły mu nagle, upadł na nie. I to był koniec walki. W zasadzie.

Niemrawo próbował zasłonić się mieczem. Klinga, wkliniowana między ścianę a pilaster, pękła pod uderzeniem ze szklanym, wibrującym jękiem. Zasłonił głowę lewą ręką, drąg spadł z impetem i złamał kość przedramienia. Ból oślepił go zupełnie.

– Mógłbym wythuc ci mózg przez uszy – powiedział z bardzo daleka Vilgefortz. – Ale to przecież miała być lekcja. Pomyliłeś się, wiedźminie. Pomyliłeś niebo z gwiazdami odbitymi nocą na powierzchni stawu. Aha, wymiotujesz? Dobrze. Wstrząś mózgu. Krew z nosa? Świetnie. No, to do zobaczenia. Kiedyś. Może.

Nie widział już nic i niczego nie słyszał. Tonał, pogrążał się w czymś ciepłym. Sądził, że Vilgefortz odszedł. Zdziwił się więc, gdy na jego nogę z impetem zwałił się cios żelaznego drąga, druzgocąc trzon kości udowej.

Dalszych cięgów, nawet jeśli nastąpiły, nie pamiętał.

•

– Wytrzymaj, Geralt, nie poddawaj się – powtarzała bez ustanku Triss Merigold. – Wytrzymaj. Nie umieraj... Proszę cię, nie umieraj...

– Ciri...

– Nie mów. Zaraz cię stąd wyciągnę. Wytrzymaj... Bogowie, nie mam sił...

– Yennefer... Ja muszę...

– Niczego nie musisz! Niczego nie możesz! Wytrzymaj, nie poddawaj się... Nie mdlej... Nie umieraj, proszę...

Wlokła go po posadzce zasłanej trupami. Widział swoją pierś i brzuch, całe we krwi, która płynęła mu z nosa. Widział nogę. Była wykrzywiona pod dziwnym kątem i wydawała się znacznie krótsza od tej zdrowej. Nie

czuł bólu. Czuł zimno, całe ciało było zimne, zdrętwiałe i obce. Chciało mu się rzygać.

– Wytrzymaj, Geralt. Z Aretuzy nadciąga pomoc. Już niedługo...

– Dijkstra... Jeżeli Dijkstra mnie dopadnie... to już po mnie...

Triss zakłęła. Rozpaczliwie.

Wlokła go po schodach. Złamana noga i ręka podskoczyły na stopniach. Ból ożył, wgryzł się w trzewia, w skronie, zapromieniował aż do oczu, do uszu, do czubka głowy. Nie krzyczał. Wiedział, że krzyk mu ulży, ale nie krzyczał. Otwierał tylko usta, to też przynosiło ulgę.

Usłyszał huk.

Na szczycie schodów stała Tissaia de Vries. Włosy miała w nieładzie, twarz pokrytą kurzem. Uniosła obie ręce, jej dłonie zapłonęły. Wykrzyczała zakłęcie, a tańczący na jej palcach ogień runął w dół w formie oślepiającej i huczącej żarem kuli. Wiedźmin usłyszał z dołu łoskot walących się murów i przeraźliwe wrzaski poparzonych.

– Tissaia, nie! – krzyknęła rozpaczliwie Triss. – Nie rób tego!

– Nie wejdą tu – powiedziała arcymistrzynie, nie odwracając głowy. – Tu jest Garstang na wyspie Thanedd. Nikt tu nie zapraszał królewskich pachołków wykonujących rozkazy ich krótkowzrocznych władców!

– Zabijasz ich!

– Milcz, Triss Merigold! Zamach na jedność Bractwa nie udał się, wyspą wciąż włada Kapituła! Wara królom od spraw Kapituły! To nasz konflikt i my sami go rozwiążemy! Rozwiążemy nasze sprawy, a potem położymy kres tej idiotycznej wojnie! Bo to my, czarodzieje, ponosimy odpowiedzialność za losy świata!

Z jej dłoni wystrzelił kolejny kulisty piorun, zwielokrotnione echo eksplozji przetoczyło się wśród kolumn i kamiennych ścian.

– Precz! – krzyknęła znowu. – Nie wejdziecie tu! Precz!

Wrzaski z dołu cichły. Geralt zrozumiał, że oblegający cofnęli się od schodów, zrejterowali. Sylwetka Tissai rozmazała się w jego oczach. To nie była magia. To on tracił przytomność.

– Uciekaj stąd, Triss Merigold – usłyszał słowa czarodziejki dobiegające z daleka, jak zza ściany. – Filippa Eilhart już uciekła, uleciała na swoich skrzydłach. Byłaś jej współniczką w tym niecnym spisku, powinnam cię ukarać. Ale dość już krwi, śmierci, nieszczęścia! Precz stąd! Idź do Aretuzy, do twoich sprzymierzeńców! Teleportuj się. Portal Wieży Mewy już nie istnieje. Zawalił się razem z wieżą. Możesz

teleportować się bez lęku. Dokąd zechcesz. Choćby do twego króla Foltesta, dla którego zdradziłaś Bractwo!

– Nie zostawię Geralta... – jęknęła Triss. – On nie może wpaść w ręce Redańczyków... Jest ciężko ranny... Krwawi wewnętrznie... A ja nie mam już sił! Nie mam sił, by otworzyć teleport! Tissaia! Pomóż mi, proszę!

Ciemność. Przenikliwie zimno. Z daleka, zza kamiennej ściany, głos Tissai de Vries:

– Pomogę ci.

Evertsen Peter, * 1220, zausznik cesarza Emhyra Deithwena i jeden z faktycznych twórców potęgi Cesarstwa. Główny komornik armii w czasie Wojen Północnych (ob.), od roku 1290 wielki podskarbi koronny. W końcowym okresie panowania Emhyra podniesiony do godności koadiutora Cesarstwa. Za panowania cesarza Morvrana Voorhisa fałszywie oskarżony o nadużycia, skazany, więziony, † 1301 w zamku Winneburg. Zrehabilitowany pośmiertnie przez cesarza Jana Calveita w roku 1328.

Effenberg i Talbot,
Encyclopaedia Maxima Mundi, tom V

Drżycie, albowiem oto nadchodzi Niszczyciel Narodów. Stratują waszą ziemię i sznurem ją podzielią. Miasta wasze zostaną zburzone i pozbawione mieszkańców. Nietoperz, puchacz i kruk w domach waszych zamieszkają, wąż się w nich zagnieździ.

Aen Ithlinnespeath

Rozdział piąty

Dowódca oddziału zatrzymał wierzchowca, zdjął hełm, przeczesał palcami rzadkie, zlepione potem włosy.

– Koniec jazdy – powtórzył, widząc pytające spojrzenie trubadura.
– Hę? Jak to? – zdziwił się Jaskier. – Dlaczego?
– Dalej nie pójdziemy. Widzicie? Rzeczka, co tam błyska w dole, to Wstążka. Do Wstążki jeno mieliśmy was eskortować. Znaczy, czas się rozstać.

Reszta oddziału zatrzymała się za nimi, ale żaden z żołnierzy nie zsiadł z konia. Wszyscy niespokojnie rozglądali się na boki. Jaskier przysłonił oczy dłonią, stanął w strzemionach.

– Gdzie ty tę rzekę widzisz?
– Rzekłem, w dole. Zjedźcie jarem, w mig traficie.

- Odprowadźcie mnie chociaż do brzegu - zaprotestował Jaskier. - Wskażcie bród...

- Ale, jużci jest co wskazywać. Od maja nic, jeno spiekota, to i opadła woda, wypłynęła się Wstążka. Koniem w każdym miejscu przejedzie...

- Pokazywałem waszemu komendantowi list od króla Venzlava - powiedział trubadur i nadał się. - Komendant zapoznał się z listem i sam słyszałem, jak rozkazywał wam odprowadzić mnie aż do samego Brokilonu. A wy chcecie mnie porzucić tu, w tej gęstwinie? Co będzie, jak zabłądzą?

- Nie zabłądzą - burknął ponuro drugi żołnierz, który zbliżył się do nich, ale do tej pory milczał. - Nie zdążycie zabłądzić. Pierwej was dziwożoni grot odnajdzie.

- Ależ z was zestrachane dudki - zakpił Jaskier. - Ależ wy się tych driad boicie. Przecież Brokilon jest dopiero na tamtym brzegu Wstążki. Wstążka to granica. Jeszcze jej nie przekroczyliśmy!

- Ich granica - wyjaśnił dowódca, rozglądając się - sięga tak daleko, jak ich strzały. Strzała puszczone z tamtego brzegu dziarsko doleci aż do skraju lasu, a będzie miała dość pędu, by kolczugę przebóść. Wyście się uparli, by tam iść, wasza sprawa, wasza skóra. Ale mnie życie miłe. Ja dalej nie pojadę. Wolej by mi łeb w gniazdo szerszeni wetkać!

- Tłumaczyłem wam - Jaskier odsunął kapelusik na tył głowy i wyprostował się w siodle - że jadę do Brokilonu w misji. Jestem, można powiedzieć, ambasadorem. Driad się nie lękam. Ale proszę was, byście zechcieli eskortować mnie aż do brzegu Wstążki. Co będzie, jak mnie w tych chaszczach jacyś zbójcy obkoczą?

Ten drugi, ponury, zaśmiał się wymuszenie.

- Zbójcy? Tu? Za dnia? Panie, dniem tu żywego ducha nie spotkacie. Ostatnimi czasy dziwożony szyją z łuków do każdego, kto się na brzegu Wstążki pokaże, a potrafią się nieraz i daleko na naszą stronę zapuścić. Nie, zbójców to wy się nie lękajcie.

- Prawda to - potwierdził dowódca. - Wielce głupi musiałby być zbój, by się za dnia nad Wstążkę wyprawić. Dlatego i my nie durni. Wy samojeden jedziecie, bez zbroi ni oręża, a na wojaka to, wybaczenie, całkiem nie patrzycie, na miłe to widać. To i może się wam poszczęści. Ale gdy nas zoczą dziwożony, konnych i zbrojnych, nie ujrzyć nam słonka zza lecących strzał.

- Ha, cóż, trudna rada - Jaskier poklepał konia po szyi, spojrzał w dół, do wąwozu. - Jadę tedy sam. Bywajcie, żołnierze. Dziękuję za eskortę.

- Nie spieszcie się tak - ponury żołdak spojrzał w niebo. - Wieczór blisko. Gdy się opar ze strugi podniesie, wtedy jedźcie. Bo to, wiecie...

- Co?

- We mgle strzał mniej pewny. Jak wam doła będzie łaskawa, chybi dziwożona. Ale one, panie, rzadko chybiają...

- Mówiłem wam...

- Ano, mówić mówiliście, miarkowałem. Że to niby z misją do nich jedziecie. Ale ja wam co inszego rzeknę: z misją li czy z procesją, im to zajadno. Puszczą w was szyp, i tyle.

- Uwzięliście się, żeby mnie straszyć? - nadał się znowu poeta. - Za kogo wy mnie macie, za grodzkiego gryzipiórka? Ja, panowie żołnierze, widziałem więcej pól bitewnych niż wy wszyscy razem wzięci. I o driadach też więcej wiem niż wy. Choćby to, że nigdy nie strzelają bez ostrzeżenia.

- Onegdaj tak było, prawiście - rzekł cicho dowódca oddziałku. - Onegdaj ostrzegały. Puściły strzałę w pień albo na ścieżkę, znaczy, tu, gdzie ów szyp, jest rubież, dalej ani kroku. Jeśli człek bystro zawrócił, mógł ująć cało. Ale nynie jest inaczej. Nynie od razu szyją tak, by zabić.

- Skąd ta zawziętość?

- Ano - mruknął żołnierz - widzicie, to jest tak. Gdy królowie rozejm z Nilfgaardem zawarli, wzięli się ostro za elfie bandy. Mocno je widać wszędy przycisnęli, bo nie ma nocy, by niedobitki nie umykały przez Brugge, w Brokilonie szukając schronienia. A gdy nasi elfów ścigają, to zdarzy się też czasem rozprawa z dziwożonami, które im zza Wstążki na odsiecz idą. A było, że i nasze wojsko rozpędziło się nieco w pościgu... Rozumiecie?

- Rozumiem - Jaskier spojrzał na żołnierza bacznie, pokiwał głową. - Ścigając Scoia'tael, przekraczaliście Wstążkę. Zabijaliście driady. I teraz driady rewanżują się tym samym. Wojna.

- Tak jest, panie, z ust żeście mi wyjęli. Wojna. Zawsze to była na śmierć walka, nigdy na życie, ale teraz to już bardzo źle jest. Wielka jest między nimi a nami nienawiść. Jeszcze raz wam powiadam, jeśli nie macie musu, nie jedźcie tamój.

Jaskier przełknął ślinę.

- Rzecz w tym - wyprostował się w siodle, z wielkim wysiłkiem przybierając marsową minę i dziarską postawę - że mam mus. I jadę. Zaraz. Wieczór nie wieczór, mgła nie mgła, trzeba ruszać, gdy obowiązek wzywa.

Lata ćwiczeń robiły swoje. Głos trubadura brzmiał pięknie i groźnie, surowo i zimno, dźwięczał żelazem i męstwem. Żołnierze spojrzeli na niego z niekłamany podziwem.

- Nim wyruszyście - dowódca odtoczył od kulbaki płaską drewnianą manierkę - gołnijcie sobie gorzałki, panie śpiewak. Gołnijcie sobie tego...

- Lekcejam wam będzie umierać - dodał ponuro ten drugi, małomówny. Poeta łknął z manierki.

- Tchórz - oświadczył z godnością, gdy tylko przestał kasłać i złapał oddech - umiera po stokroć. Człek mężny umiera tylko raz. Ale Pani Fortuna sprzyja śmiałym, tchórzów w pogardzie mając.

Żołnierze popatrzyli z jeszcze większym podziwem. Nie wiedzieli i nie mogli wiedzieć, że Jaskier cytuje słowa bohaterskiego eposu. W dodatku napisanego przez kogoś innego.

- Tym zaś - poeta wyciągnął zza pazuchy skórzany pobrzękujący woreczek - niechże się wam odwdzięczę za eskortę. Nim do fortu wrócicie, nim was znowu surowa służba-matka przytuli, zawadźcie o szynk, wypijcie moje zdrowie.

- Dzięki, panie - dowódca poczerwieniał lekko. - Hojniście, a przecie my... Wybaczcie, że was samego ostawiamy, ale...

- Nic to. Bywajcie.

Bard zawadiacko przesunął kapelusik na lewe ucho, szturchnął konia piętą i ruszył w dół jarem, pogwizdując melodię „Wesela w Bullerlyn”, słynnej i wyjątkowo nieprzyzwoitej kawaleryjskiej piosenki.

- A mówił w forcie kornet - usłyszał jeszcze słowa tego ponurego - że to darmozjad, tchórz i dupek. A to wojenny i chrobry pan, choć wierszokleta.

- Iście, prawda - odpowiedział dowódca. - Bojący to on nie jest, nie można rzec. Nawet mu powieka nie mrugła, miarkowałem. I jeszcze se gwizda, słyszysz? Ho, ho... Baczyłeś, co mówił? Że ambarasem jest. Nie bój się, byle kogo ambarasem nie mianują. Trza mieć łeb na karku, by ambarasem zostać...

Jaskier pojechał szybciej, chcąc jak najprędzej się oddalić. Nie chciał sobie psuć opinii, na którą dopiero co zapracował. A wiedział, że na dłuższe gwizdanie nie wystarczy mu już wilgoci na schnących z przerażenia wargach.

Jar był mroczny i wilgotny, mokra glina i zalegający ją dywan przegniłych liści tłumiły stuk kopyt skarogniadego wałacha, ochrzczonego przez poetę Pegazem. Pegaz kroczył powoli, zwiesiwszy łeb. Był to jeden z tych nielicznych koni, którym zawsze jest wszystko jedno.

Las się skończył, ale od koryta rzeki, wytyczonego pasem olch, dzieliła Jaskra jeszcze szeroka zatrzciniona łąka. Poeta zatrzymał konia. Rozejrzał się uważnie, ale niczego nie dostrzegł. Wyteżył słuch, ale słyszał jedynie granie żab.

– No, koniku – odchrząknął. – Raz kozie śmierć. Naprzód.

Pegaz uniósł nieco łeb i pytająco postawił obwisłe zwykle uszy.

– Dobrze słyszałeś. Naprzód.

Wałach z ociąganiem ruszył, pod kopytami zamlaskało bagno. Żaby długimi susami umykały spod nóg konia. Kilka kroków przed nimi poderwała się z furkotem i kwakiem kaczka, sprawiając, że serce trubadura na moment wstrzymało pracę, po czym zaczęło pracować bardzo szybko i intensywnie. Pegaz nie przejął się kaczką w ogóle.

– Jechał bohater... – wymamrotał Jaskier, wycierając złany zimnym potem kark wyciągniętą zza pazuchy chustką. – Nieustraszenie jechał przez uroczysko, nie bacząc na skaczące płazy i latające smoki... Jechał i jechał... Aż dotarł nad niezmierzony przestwór wód...

Pegaz parsknął i zatrzymał się. Byli nad rzeką, wśród trzcin i oczeretów sięgających powyżej strzemion. Jaskier otarł spocone powieki, zawiązał chustkę na szyi. Długo, aż do załzawienia oczu wpatrywał się w gęstwą olszyn na przeciwległym brzegu. Niczego i nikogo nie dostrzegł. Powierzchnię wody marszczyły poruszane prądem wodorosty, tuż nad nimi śmigały turkusowo-oranżowe zimorodki. Powietrze migotało od rójki owadów. Ryby połykały jętki, zostawiając na wodzie wielkie koła.

Wszędzie, jak okiem sięgnąć, widać było bobrze żeremia, kupy naciętych gałęzi, zwalone i poogryzane pnie, omywane leniwym nurtem. Ależ tu jest bobrów, pomyślał poeta, niewiarygodne bogactwo. I nie dziwota. Nikt nie niepokoi cholernych drzewogryzów. Nie

zapuszczają się tu zbójcy, łowcy ani bartnicy, nawet wszędobylscy traperzy nie zastawiają tu sidła. Ci, którzy próbowali, dostali strzałę w gardło, raki oszczypały ich w przybrzeżnym mule. A ja, idiota, pcham się tu z nieprzymuszonej woli, tu, nad Wstążkę, nad rzekę, nad którą unosi się trupi smród, którego nie zabija nawet zapach tataraku i mięty...

Westchnął ciężko.

Pegaz powoli wstał w wodę przednimi nogami, opuścił pysk ku powierzchni, pił długo, potem odwrócił łeb i popatrzył na Jaskra. Woda ciekła mu z pyska i nozdrzy. Poeta pokiwał głową, westchnął ponownie, głośno pociągnął nosem.

– Spojrzał bohater na wzburzony odmęt – wydeklamował z cicha, starając się nie szczekać zębami. – Spojrzał i ruszył naprzód, albowiem serce jego nie znało trwogi.

Pegaz zwiesił łeb i uszy.

– Nie znało trwogi, mówię.

Pegaz potrząsnął łbem, dzwoniąc kółkami wodzy i munsztuka. Jaskier szturchnął go piętą w bok. Wąłach wkroczył w wodę z patetyczną rezygnacją.

Wstążka była płytka, ale bardzo zarośnięta. Nim dotarli do środka nurtu, za nogami Pegaza wlokły się już długie warkocze zielska. Koń stapał powoli i z wysiłkiem, przy każdym kroku usiłując strząsać krępujące go wodorosty.

Szuwary i olszyny prawego brzegu były już niedaleko. Tak niedaleko, że Jaskier poczuł, jak żołądek opuszcza mu się nisko, bardzo nisko, aż do samego siodła. Miał świadomość, że na środku rzeki, uwięziony w zielsku, stanowi wyśmienity, niemożliwy do spuszczenia cel. Oczyma wyobraźni widział już wyginające się oblęki łuków, napinające się cięciwy i ostre groty wymierzonych w siebie strzał.

Ścisnął boki konia łydkami, ale Pegaz miał to gdzieś. Zamiast przyspieszyć, zatrzymał się i zadął ogon. Jabłka nawozu chlupnęły w wodę. Jaskier jęknął przeciągle.

– Bohater – wymamrotał, przymykając oczy – nie zdołał sforsować huczących porohów. Zginął śmiercią walecznych, przeszyty mnogimi pociskami. Na wieki skryła go modra toń, utuliły go w objęciach glony, zielone jak nefryty. Przepadł po nim ślad wszelki, ostało jeno końskie gówno, niesione nurtem ku dalekiemu morzu...

Pegaz, któremu widać ulżyło, bez zachęty ruszył raźniej ku brzegowi, a na przybrzeżnej, wolnej od wodorostów bystrzynie pozwolił sobie nawet na bryknięcie, którym dokumentnie zmoczył Jaskrowi buty i spodnie. Poeta nawet tego nie zauważył – wizja wycelowanych w jego brzuch strzał nie opuszczała go ani na moment, a przerażenie pełzało po plecach i karku jak wielka, zimna i śliska pijawka. Bo za olszynami, mniej niż sto kroków za soczyście zielonym pasem nadrzecznych traw, wyrastała z wrzosowisk pionowa, czarna, groźna ściana lasu.

Brokilon.

Na brzegu, kilka kroków z biegiem rzeki, białął koński szkielet. Pokrzywy i oczerety przebijały się przez klatkę żeber. Leżało tam też trochę innych, mniejszych kości, nie wyglądających na końskie. Jaskier zadygotał i odwrócił wzrok.

Popędzony wałach z mlaskiem i chlupem wydarł się z przybrzeżnego bagna, muł zaśmierdział nieładnie. Żaby na moment przestały koncertować. Zrobiło się bardzo cicho. Jaskier zamknął oczy. Nie deklamował już, nie improwizował. Natchnienie i fantazja uleciały gdzieś w nieznana dal. Pozostał tylko zimny, obrzydliwy strach, doznanie silne, ale zupełnie wyprane z impulsów twórczych.

Pegaz zastrzygł obwisłymi uszami i beznamietnie poczłapał w stronę Lasu Driad. Przez wielu nazywanego Lasem Śmierci.

Przekroczyłem granicę, pomyślał poeta. Teraz wszystko się rozstrzygnie. Dopóki byłem nad rzeką i w wodzie, mogły być wspaniałomyślne. Ale teraz już nie. Teraz jestem intruzem. Tak jak tamten... Po mnie też może zostać tylko szkielet... Ostrzeżenie dla następnych... Jeśli driady tu są... Jeśli mnie obserwują...

Przypomniał sobie oglądane zawody łucznicze, jarmarczne konkursy i popisy strzeleckie, słomiane tarcze i manekiny, szpikowane i darte grotami strzał. Co czuje trafiony strzałą człowiek? Uderzenie? Ból? A może... nic?

Driad nie było w okolicy albo nie zdecydowały jeszcze, co przedsięwziąć względem samotnego jeźdźcy, bo poeta podjechał pod las zmartwiały ze strachu, ale żywy, cały i zdrowy. Dostępu do drzew broniła zakrzaczona, najeżona korzeniami i gałęziami matnia wiatrołomu, ale Jaskier i tak nie miał najmniejszego zamiaru dojeżdżać do samego skraju ani tym bardziej zagłębiać się w las. Mógł zmusić się do ryzyka – ale nie do samobójstwa.

Zsiadł bardzo wolno, przymocował wodze do sterczącego w górę korzenia. Zazwyczaj tego nie robił – Pegaz nie zwykł oddalać się od właściciela. Jaskier nie był jednak pewien, jak koń zareaguje na świst i furkot strzał. Do tej pory ani siebie, ani Pegaza raczej nie narażał na takie odgłosy.

Zdjął z łąku siodła lutnię, unikalny, wysokiej klasy instrument o smukłym gryfie. Prezent od elfki, pomyślał, gładząc intarsjowane drewno. Może się zdarzyć, że wróci do Starszego Ludu... Chyba że driady zostawią ją przy moim trupie...

Niedaleko leżało leciwe, zwalone przez wichy drzewo. Poeta usiadł na pniu, oparł lutnię o kolano, oblizał wargi, wytarł spocone dłonie o spodnie.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Z Wstażki wstawał opar, szarobiałym całunem zasnuwając łąki. Zrobiło się chłodniej. Klągór żurawi rozbrzmiał i przebrzmiał, zostało tylko granie żab.

Jaskier uderzył w struny. Raz, potem drugi, potem trzeci raz. Podkreślił kołki, dostroił instrument i zaczął grać. A po chwili śpiewać.

*Yviss, m'evelienn vente cáelm en tell
Elaine Ettariel
Aep cor me lode deith ess'viell
Yn blath que me darienn
Aen minne vain tegen a me
Yn toin av muireánn que dis eveigh e aep llea...*

Słońce zniknęło za lasem. W cieniu ogromnych drzew Brokilonu natychmiast zrobiło się mroczno.

*L'eassan Lamm feainne renn, ess'ell,
Elaine Ettariel,
Aep cor...*

Nie usłyszał. Poczuł obecność.

– *N'te mire daetre. Sh'aente vort.*

– Nie strzelaj... – wyszeptał, posłusznie nie oglądając się. – *N'aen aespar a me...* Przybywam w pokoju...

– *N'ess a tearth. Sh'aente.*

Usłuchał, choć palce ziębły mu i drętwiały na strunach, a śpiew z trudem dobywał się z krtani. Ale w głosie driady nie było wrogości, a

on, do cholery, był zawodowcem.

*L'eassan Lamm feainne renn, ess'ell,
Elaine Ettariel,
Aep cor aen tedd teviel e gwen
Yn blath que me darienn
Ess yn e evellien a me
Que shaent te cáelm a'vean minne me striscea...*

Tym razem pozwolił sobie na rzut oka przez ramię. To, co przycupnęło obok pnia, bardzo blisko, przypominało omotany bluszczem krzak. Ale to nie był krzak. Krzaki nie miały wielkich błyszczących oczu.

Pegaz prychnął cicho, a Jaskier wiedział, że za nim, w ciemnościach, ktoś głaszcze jego konia po chrapach.

– *Sh'aente vort* – poprosiła ponownie przycupnięta za jego plecami driada. Jej głos przypominał szum liści uderzanych deszczem.

– Ja... – zaczął. – Ja jestem... Jestem druhem wiedźmina Geralta... Wiem, że Geralt... Że Gwynbleidd jest wśród was w Brokilonie. Przybywam...

– *N'te dice'en. Sh'aente, va.*

– *Sh'aent* – łagodnie poprosiła zza jego pleców druga driada, nieledwie chórem z trzecią. I chyba czwartą. Nie był pewien.

– *Yea, sh'aente, taedh* – powiedziało srebrzystym dziewczęcym głosem to, co jeszcze przed chwilą wydawało się poecie brzózką rosnącą kilka kroków przed nim. – *Ess'laine... Taedh... Ty śpiewaj... Jeszcze o Ettariel... Tak?*

Usłuchał.

*Miłować ciebie, to jest życia mego cel
Nadobna Ettariel
Zachować tedy pozwól wspomnień skarb
I czarodziejski kwiat
Miłości zakład twej i znak
Kroplami rosy niby łzami posrebrzony...*

Tym razem usłyszał kroki.

– Jaskier.

– Geralt!

– Tak, to ja. Możesz już przestać hałasować.

•

– W jaki sposób mnie odnalazłeś? Skąd wiedziałeś, że jestem w Brokilonie?

– Od Triss Merigold... Cholera... – Jaskier potknął się ponownie i byłby wywalił, ale idąca przy nim driada podtrzymała go zręcznym chwytem, zadziwająco silnym przy jej niewielkiej posturze.

– *Gar'ean, táedh* – ostrzegła srebrzyście. – *Va cáelm.*

– Dziękuję. Strasznie tu ciemno... Geralt? Gdzie jesteś?

– Tu. Nie zostawaj w tyle.

Jaskier przyspieszył kroku, potknął się znowu i niemal wpadł na wiedźmina, który zatrzymał się w mroku przed nim. Driady minęły ich bezszelestnie.

– Ależ piekielne mroki... Daleko jeszcze?

– Niedaleko. Zaraz będziemy w obozie. Kto oprócz Triss wie, że się tu ukrywam? Wygadałeś komuś?

– Królowi Venzlavowi musiałem powiedzieć. Potrzebowałem glejtu na podróż przez Brugge. Czasy teraz takie, że szkoda gadać... Musiałem też mieć zgodę na wyprawę do Brokilonu. Ale Venzlav przecież cię zna i lubi... Mianował mnie, wystaw sobie, posłem. Jestem pewien, że dochowa tajemnicy, prosiłem go o to. Nie wściekaj się, Geralt...

Wiedźmin podszedł bliżej. Jaskier nie widział wyrazu jego twarzy, widział tylko białe włosy i zauważalną nawet w ciemności białą szczecinę wielodniowego zarostu.

– Nie wściekam się – poczuł dłoń na ramieniu i wydało mu się, że chłodny do tej chwili głos zmienił się nieco. – Cieszę się, że przyjechałeś, sukinsynu.

•

– Zimno tu – wzdrygnął się Jaskier, trzeszcząc gałęziami, na których siedzieli. – Może by tak rozpalić...

– Nawet nie myśl o tym – mruknął wiedźmin. – Zapomniałeś, gdzie jesteś?

– One do tego stopnia... – trubadur rozejrzał się płochliwie. – Żadnego ognia, tak?

– Drzewa nienawidzą ognia. One też.

- Psiakrew. Będziemy siedzieć w chłodzie? I w tych cholernych ciemnościach? Gdy wyciągnę rękę, nie widzę własnych palców...

- To nie wyciągaj.

Jaskier westchnął, zgarbił się, roztarł łokcie. Słyszał, jak siedzący obok wiedźmin łamie w palcach cienkie patyczki.

W mroku rozjarzyło się nagle zielone światełko, z początku mdłe i niewyraźne, ale jaśniejące szybko. Po pierwszym zabłysły następne, w wielu miejscach, poruszając się i tańcząc jak świetliki lub błędne ogniki na bagnie. Las ożył nagle migotaniem cieni, Jaskier zaczął widzieć sylwetki otaczających ich driad. Jedna zbliżyła się, postawiła przy nich coś, co wyglądało jak rozżarzony kłób roślin. Poeta ostrożnie wyciągnął rękę, zbliżył dłoń. Zielony żar był zupełnie zimny.

- Co to jest, Geralt?

- Próchno i rodzaj mchu. To rośnie tylko tutaj, w Brokilonie. I tylko one wiedzą, jak to wszystko razem spleść, by świeciło. Dziękuję ci, Fauve.

Driada nie odpowiedziała, ale i nie odeszła. Przykucnęła obok. Jej czoło przepasywał wianek, długie włosy spadały na ramiona. W świetle włosy wyglądały na zielone, a może i naprawdę takie były. Jaskier wiedział, że włosy driad miały najdziwniejsze barwy.

- *Taedh* - powiedziała melodyjnie, unosząc na trąbce oczy błyszczące w drobnej twarzy, przeciętej skośnie dwoma równoległymi ciemnymi pasami maskującego malunku. - *Ess've vort shaente aen Ettariel? Shaente a'vean vort?*

- Nie... Może później - odpowiedział grzecznie, starannie dobierając słowa Starszej Mowy. Driada westchnęła, pochyliła się, delikatnie pogładziła gryf leżącej obok lutni, wstała sprężysto. Jaskier patrzył za nią, gdy odchodziła w las, ku innym, których cienie chwiejnie majaczyły w niewyraźnym blasku zielonych latarenek.

- Chyba jej nie obraziłem, co? - spytał cicho. - One mówią własnym dialektem, nie znam grzecznościowych form...

- Sprawdź, czy masz nóż w brzuchu - w głosie wiedźmina nie było ani drwiny, ani humoru. - Driady reagują na obrazę wbiciem noża w brzuch. Nie bój się, Jaskier. Zdaje się, że są skłonne wybaczyć ci znacznie więcej niż językowe potknięcia. Koncert, który dałeś pod lasem, najwyraźniej przypadł im do gustu. Teraz jesteś *ard táedh*, wielki

bard. Czeka ją na dalszy ciąg „Kwiatu Ettariel”. Znasz dalszy ciąg? Bo to przecież nie twoja ballada.

– Przekład jest mój. Wzbogaciłem też nieco elfią muzykę, nie zauważyłeś?

– Nie.

– Tak przypuszczałem. Na szczęście driady lepiej znają się na sztuce. Gdzieś czytałem, że są niezwykle muzykalne. Dlatego ułożyłem mój sprytny plan, za który, nawiasem mówiąc, jeszcze mnie nie pochwaliłeś.

– Pochwalam – powiedział wiedźmin po chwili milczenia. – To było rzeczywiście sprytne. A szczęście też ci dopisało, jak zwykle. Ich łuki biją celnie na dwieście kroków. Zwykle nie czekają do chwili, gdy ktoś przejedzie na ich brzeg rzeki i zacznie śpiewać. Są bardzo wrażliwe na nieprzyjemne zapachy. A gdy trupa uniesie nurt Wstążki, to im nie cuchnie pod lasem.

– A, co tam – poeta odchrząknął, przełknął ślinę. – Najważniejsze, że mi się udało i że cię odnalazłem. Geralt, jak ty tu...

– Brzytwę masz?

– Hę? No pewnie, że mam.

– Pożyczysz mi rano. Ta broda doprowadza mnie do szału.

– A driady nie miały... Hmm... No tak, prawda, im brzytwy są w zasadzie zbędne. Pożyczę ci, oczywiście. Geralt?

– Co?

– Nie mam ze sobą niczego do żarcia. Czy *ard táedh*, wielki bard, może w gościnie u driad mieć nadzieję na kolację?

– One nie jadają kolacji. Nigdy. A strażniczki na granicy Brokilonu nie jadają i śniadań. Przyjdzie ci pocierpieć do południa. Ja się już przyzwyczaiłem.

– Ale gdy dotrzemy do ich stolicy, do tego słynnego, skrytego w sercu puszczy Duen Canell...

– Nigdy tam nie dotrzemy, Jaskier.

– Jak to? Myślałem, że... Przecież ty... Przecież udzieliły ci azylu. Przecież... cię tolerują...

– Użyłeś właściwego słowa.

Milczeli długo.

– Wojna – powiedział wreszcie poeta. – Wojna, nienawiść i pogarda. Wszędzie. We wszystkich sercach.

– Poetyzujesz.

- Ale tak przecież jest.
 - Dokładnie tak. No, mów, z czym przybywasz. Opowiadaj, co stało się ze światem w czasie, gdy mnie tutaj leczono.
 - Najpierw - Jaskier chrząknął cicho - ty opowiedz mi o tym, co naprawdę wydarzyło się w Garstangu.
 - Triss nie opowiedziała ci?
 - Opowiedziała. Ale chciałbym poznać twoją wersję.
 - Jeśli znasz wersję Triss, znasz wersję dokładniejszą i zapewne wierniejszą. Opowiedz mi o tym, co stało się później, gdy ja już byłem w Brokilonie.
 - Geralt - szepnął Jaskier. - Ja naprawdę nie wiem, co stało się z Yennefer i z Ciri... Nikt tego nie wie. Triss też...
- Wiedźmin poruszył się gwałtownie, gałęzie zatrzeszczały.
- Czy ja cię pytam o Ciri lub o Yennefer? - powiedział zmienionym głosem. - Opowiedz mi o wojnie.
 - Nic nie wiesz? Żadne wieści cię tu nie doszły?
 - Doszły. Ale chcę wszystko usłyszeć od ciebie. Mów, proszę.
 - Nilfgaardczycy - zaczął bard po chwili milczenia - zaatakowali Lyrię i Aedirn. Bez wypowiedzenia wojny. Powodem był jakoby napad wojsk Demawenda na jakiś pograniczny fort w Dol Angra, dokonany w czasie zjazdu czarodziejów na Thanedd. Niektórzy mówią, że to była prowokacja. Że to byli Nilfgaardczycy przebrani za żołnierzy Demawenda. Jak było rzeczywiście, chyba nigdy się nie dowiemy. W każdym razie odwet Nilfgaardu był błyskawiczny i zmasowany: granicę przekroczyła potężna armia, która musiała być skoncentrowana w Dol Angra od tygodni, jeśli nie miesięcy. Spalla i Scala, obie lyrijskie twierdze graniczne, zostały zdobyte z marszu, w ciągu zaledwie trzech dni. Rivia była przygotowana do wielomiesięcznego oblężenia, a skapitulowała po dwóch dniach pod naciskiem cechów i kupiectwa, którym obiecano, że jeśli miasto otworzy bramy i złoży okup, to nie będzie ograbione...
 - Dotrzymano przyrzeczenia?
 - Tak.
 - Ciekawe - głos wiedźmina znowu zmienił się nieco. - Dotrzymywanie obietnic w dzisiejszych czasach? Nie mówię o tym, że dawniej nawet nie myślano o składaniu takich obietnic, bo nikt ich nie

oczekiwał. Rzemieślnicy i kupcy nie otwierali bram twierdz, lecz bronili ich, każdy cech własnej baszty lub machikuly.

– Pieniądz nie ma ojczyzny, Geralt. Kupcom wszystko jedno, pod czyimi rządami robią pieniądze. A nilfgaardzkiemu palatynowi wszystko jedno, od kogo będzie ściągał podatki. Martwi kupcy nie robią pieniędzy i nie płacą podatków.

– Mów dalej.

– Po kapitulacji Rivii armia Nilfgaardu w niebywałym tempie poszła na północ, prawie nie napotykając oporu. Wojska Demawenda i Meve wycofywały się, nie mogąc zewrzeć frontu do decydującej bitwy. Nilfgaardczycy doszli do Aldersbergu. By nie dopuścić do blokady twierdzy, Demawend i Meve zdecydowali się przyjąć bitwę. Pozycja ich armii nie była najlepsza... Psiakrew, gdyby było więcej światła, nakreśliłbym ci...

– Nie kreśl. I streszczaj się. Kto zwyciężył?

•

– Słyszeliście, panie? – jeden z rejestrantów, zdyszany i spocony, przedarł się przez grupę otaczającą stół. – Przybył goniec z pola! Zwyciężyliśmy! Bitwa wygrana! Wiktoria! Nasz, nasz jest dzień! Pobiliśmy wroga, pobiliśmy na głowę!

– Ciszej – skrzywił się Evertsen. – Głowa pęka od tych waszych wrzasków. Tak, słyszałem, słyszałem. Pobiliśmy wroga. Nasz jest dzień, nasze jest pole i wiktoria też jest nasza. Wielka mi sensacja.

Komornicy i rejestrancie uciszyli się, patrzyli na przełożonego ze zdziwieniem.

– Nie radujecie się, panie komorzy?

– Raduję. Ale umiem czynić to w ciszy.

Rejestrancie milczeli, popatrując po sobie. Szczeniaki, pomyślał Evertsen. Podnieceni gówniarze. Im zresztą nie dziwię się, ale proszę, tam, na wzgórzu, nawet Menno Coehoorn i Elan Trahe, ba, nawet siwobrody generał Braibant, wrzeszczą, podskakują z uciechy i gratulacyjnie okładają się po plecach. Wiktoria! Nasz jest dzień! A czy miał być? Królestwa Aedirn i Lyrii zdołały zmobilizować łącznie trzy tysiące jazdy i dziesięć tysięcy pieszego żołnierza, z czego jedna piąta już w pierwszych dniach inwazji została zablokowana, odcięta w fortach i twierdzach. Część pozostałej armii musieli wycofać do ochrony

skrzydeł, zagrożonych przez dalekie rajdy lekkiej jazdy i dywersyjne uderzenia oddziałów Scoia'tael. Pozostałe pięć lub sześć tysięcy – w tym nie więcej niż tysiąc dwustu rycerzy – przyjęło bitwę na polach pod Aldersbergiem. Coehoorn rzucił na nich trzynastotysięczną armię, w tym dziesięć chorągwi pancernych, kwiat nilfgaardzkiego rycerstwa. A teraz cieszy się, ryczy, wali buzdyganem o udo i woła o piwo... Wiktoria! Wielka mi sensacja.

Gwałtownym ruchem zgarnął i zebrał do kupy zalegające stół mapy i notatki, podniósł głowę, rozejrzał się.

– Nadstawcie uszu – powiedział opryskliwie do rejestrantów. – Będę wydawał polecenia.

Jego podwładni zastygli w oczekiwaniu.

– Każdy z was – zaczął – przysłuchiwał się wczorajszej przemowie ogłoszonej przez pana marszałka polnego Coehoorna do chorążych i oficerów. Zwracam tedy uwagę waszmościów, że to, co marszałek mówił do wojskowych, was nie dotyczy. Wy macie do wykonania inne zadania i rozkazy. Moje rozkazy.

Evertsen zamyślił się, potarł czoło.

Wojna zamkom, pokój chatom, powiedział wczoraj dowódcem Coehoorn. Znacnie taką zasadę, dodał zaraz, uczyli was jej w akademii wojskowej. Zasada ta obowiązywała do dzisiaj, od jutra macie o niej zapomnieć. Od jutra obowiązuje inna zasada, która teraz będzie hasłem prowadzonej przez nas wojny. Hasło to i mój rozkaz brzmią: wojna wszystkiemu, co żyje. Wojna wszystkiemu, czego ima się ogień. Macie zostawiać za sobą spaloną ziemię. Od jutra niesiemy wojnę poza linię, za którą wycofamy się po podpisaniu traktatu. My się wycofamy, ale tam, za linią, ma zostać spalona ziemia. Królestwa Rivii i Aedirn mają być obrócone w popiół! Przypomnijcie sobie Sodden! Dzisiaj nadszedł czas odwetu!

Evertsen chrząknął głośno.

– Zanim wojacy zostawią za sobą spaloną ziemię – powiedział do milczących rejestrantów – waszym zadaniem jest wyciągnąć z tej ziemi i tego kraju wszystko, co się da, wszystko, co może pomnożyć bogactwo naszej ojczyzny. Ty, Audegast, zajmiesz się załadunkiem i wywozem już zebranych i zmagazynowanych płodów rolnych. To, co jeszcze jest na polach, a czego nie zniszczą waleczni rycerze Coehoorna, należy zebrać.

– Ludzi mam mało, panie komorzy...

- Będzie dość niewolników. Zagonicie ich do pracy. Marder i ty... Zapomniałem twego miana...

- Helvet. Evan Helvet, panie komorzy.

- Zajmiecie się żywym inwentarzem. Pogrupować w stada, zegnać do wyznaczonych punktów na kwarantannę. Uważać na pryszczycę i inne zarazy. Sztuki chore lub podejrzane ubić, padlinę spalić. Resztę pędzić na południe wyznaczonymi trasami.

- Rozkaz.

Teraz zadania specjalne, pomyślał Evertsen, przypatrując się podkomendnym. Komu je przydzielić? Wszystko młodziki, mleko pod nosem, mało jeszcze widzieli, niczego nie doświadczyli... Ech, brak mi tamtych starych, bywałych komorników... Wojny, wojny, ciągle wojny... Wojacy giną licznie i często, ale komornicy, uwzględniając proporcje, niewiele rzadziej. Ale wśród wojaków nie dostrzeżesz uszczerbku, bo wciąż przychodzą nowi, bo każdy chce być wojakiem. A kto chce być komornikiem albo rejestrantem? Kto, pytany przez synów po powrocie, jakich to czynów dokonał na wojnie, chce opowiadać, jak to mierzył korcem ziarno, liczył śmierdzące skóry i ważył воск, jak prowadził przez wyboiste, pokryte wolim gównem drogi konwój wyładowanych łupem wozów, poganiał ryczące i beczące stada, łykając kurz, smród i muchy...

Zadania specjalne. Huta w Gulecie, z wielkimi piecami. Fryszarki, huta galmanu i wielka kuźnica żelaza w Eysenlaan, pięćset centnarów rocznej produkcji. Konwisarnie i manufaktury wełniane w Aldersbergu. Młyny słodowe, gorzelnie, tkalnie i farbiarnie w Vengerbergu...

Zdemontować i wywieźć. Tak rozkazał cesarz Emhyr, Biały Płomień Tańczący na Kurhanach Wrogów. W dwóch słowach. Zdemontować i wywieźć, Evertsen.

Rozkaz to rozkaz. Musi być wykonany.

Pozostaje najważniejsze. Kopalnie kruszców i ich urobek. Moneta. Kosztowności. Dzieła sztuki. Ale tym zajmę się sam. Osobiście.

Obok widocznych na horyzoncie czarnych słupów dymu wyrosły następne. I następne. Armia wprowadzała w życie rozkazy Coehoorna. Królestwo Aedirn stawało się krainą pożarów.

Drogą, hurkocąc i wzbijając tumany kurzu, ciągnęła długa kolumna maszyn oblężniczych. Na wciąż broniący się Aldersberg. I na Vengerberg, stolicę króla Demawenda.

Peter Evertsen patrzył i liczył. Kalkulował. Przeliczał. Peter Evertsen był wielkim komorzym Cesarstwa, w czasie wojny pierwszym komornikiem armii. Pełnił ten urząd od dwudziestu pięciu lat. Liczby i kalkulacja, to było całe jego życie.

Mangonela kosztuje pięćset florenów, trebuszeta dwieście, petraria minimum sto pięćdziesiąt, najprostsza balista osiemdziesiąt. Wyszkolona obsługa pobiera dziewięć i pół florena miesięcznego żołdu. Kolumna, która ciągnie na Vengerberg, jest, wliczywszy konie, woły i drobny sprzęt, warta minimum trzysta grzywien. Z grzywiny, inaczej marki czystego kruszcu ważącej pół funta, bije się sześćdziesiąt florenów. Roczny urobek dużej kopalni to pięć, sześć tysięcy grzywien...

Kolumnę oblężniczą wyprzedziła lekka jazda. Po znakach na proporcach Evertsen rozpoznał taktyczną chorągiew księcia Winneburga, jedną z tych przerzuconych z Cintry. Tak, pomyślał, ci mają się z czego cieszyć. Bitwa wygrana, armia z Aedirn w rozsypce. Oddziały odwodowe nie będą rzucone do ciężkiej walki z regularnym wojskiem. Będą ścigać wycofujących się, znosić rozproszone, pozbawione dowódców grupy, będą mordować, grabić i palić. Cieszą się, bo zapowiada się przyjemna, wesoła wojenka. Wojenka, która nie utrudzi. I nie zabije.

Evertsen kalkulował.

Chorągiew taktyczna łączy dziesięć zwykłych chorągwi i liczy dwa tysiące konnych. Choć Winneburczycy nie wejdą już zapewne do żadnej dużej bitwy, w potyczkach polegnie nie mniej niż jedna szósta stanu. Potem będą obozy i biwaki, zepsute żarcie, brud, wszy, komary, skażona woda. Przyjdzie to, co zawsze, co nieuniknione: tyfus, dyzenteria i malaria, które zabijają nie mniej niż jedną czwartą. Do tego doliczyć trzeba ryczałt – wypadki nieprzewidziane, zwykle około jednej piątej stanu. Do domu wróci ośmiuset. Nie więcej. A zapewne mniej.

Gościńcem przeszły następne chorągwie, za jazdą pojawiły się korpusy piechoty. Maszerowali łucznicy w żółtych kabatach i okrągłych hełmach, kusznicy w płaskich kapalinach, pawężnicy i pikinierzy. Za nimi szli tarczownicy, opancerzeni jak raki weterani z Vicovaro i Etolii, dalej kolorowa zbieranina – zacieężni knechci z Metinny, najemnicy z Thurn, Maecht, Geso i Ebbing...

Pomimo upału oddziały maszerowały dziarsko, wzbijany żołnierskimi buciorami pył kłębił się nad drogą. Łomotały bębny, powiewały

proporce, chwiały się i błyszczały żeleźca pik, oszczepów, halabard i gizarm. Wojacy maszerowali raźnie i wesoło. To szła armia zwycięska. Armia niezwyciężona. Dalej, chłopcy, naprzód, do boju! Na Vengerberg! Wykończyć wroga, zemścić się za Sodden! Użyć wesołej wojaczki, napchać sakwy łupem i do domu, do domu!

Evertsen patrzył. I liczył.

•

– Vengerberg padł po tygodniu oblężenia – dokończył Jaskier. – Zdziwi cię, ale tam cechy dzielnie i do końca broniły baszt i wyznaczonych odcinków muru. Wyrżnięto więc całą załogę i ludność miasta, coś około sześciu tysięcy ludzi. Na wieść o tym zaczęła się wielka ucieczka. Rozbite pułki i ludność cywilna zaczęły masowo uchodzić do Temerii i Redanii. Tłumy uciekinierów ciągnęły Doliną Pontaru i przełęczami Mahakamu. Ale nie wszystkim udało się uciec. Konne zagony Nilfgaardczyków poszły za nimi, odcinały drogę ucieczki... Wiesz, o co chodziło?

– Nie wiem. Nie znam się na... Nie znam się na wojnie, Jaskier.

– Chodziło o jeńców. O niewolników. Chcieli zagarnąć w niewolę jak najwięcej ludzi. To dla Nilfgaardu najtańsza siła robocza. Dlatego tak zawzięcie prześladowali uciekinierów. To było wielkie polowanie na ludzi, Geralt. Łatwe polowanie. Bo wojsko uciekło, a uchodzących ludzi nikt nie bronił.

– Nikt?

– Prawie nikt.

•

– Nie zdążymy... – wycharczał Villis, oglądając się. – Nie zdołamy ująć... Psiakrew, granica już tak blisko... Tak blisko...

Rayla stanęła w strzemionach, spojrzała na gościniec wijący się wśród pokrytych borem wzgórz. Droga, jak okiem sięgnąć, usiana była porzuconym dobytkiem, trupami koni, zepchniętymi na pobocza wozami i wózkami. Za nimi, zza lasów, były w niebo czarne słupy dymów. Słysząc było coraz bliższy wrzask, narastające odgłosy walki.

– Wykańczają tylną straż... – Villis otarł twarz z sadzy i potu. – Słyszysz, Rayla? Dogonili tylną straż i wycinają ich w pień! Nie zdążymy!

– Teraz my jesteśmy tylną strażą – powiedziała sucho najemniczka. – Teraz nasza kolej.

Villis pobladł, któryś z przysłuchujących się żołnierzy westchnął głośno. Rayla szarpnęła wodze, obróciła chrapiącego ciężko, z trudem unoszącego łeb wierzchowca.

– I tak nie zdołamy ująć – powiedziała spokojnie. – Konie za chwilę padną. Zanim dojdziemy do przełęczy, dopędzą nas i zarąbią.

– Rzućmy wszystko i zapadnijmy w lasy – powiedział Villis, nie patrząc na nią. – Pojedynczo, każdy za siebie. Może się uda... przeżyć.

Rayla nie odpowiedziała, wzrokiem i ruchem głowy wskazała na przełęcz, na szlak, na ostatnie szeregi długiej kolumny uciekinierów ciągnących ku granicy. Villis zrozumiał. Zaklął wstrętnie, zeskoczył z siodła, zachwiał się, oparł na mieczu.

– Z koni! – krzyknął chrapliwie do żołnierzy. – Tarasować gościniec, czym się da! Czego się gapicie? Raz matka rodziła i zdycha się ino raz! Jesteśmy wojsko! Jesteśmy straż tylna! Musimy zatrzymać pościg, opóźnić...

Zamilkł.

– Jeśli opóźnimy pościg, ludzie zdołają przejść do Temerii, na tamtą stronę gór – dokończyła Rayla, też zsiadając z konia. – Tam są kobiety i dzieci. Co tak wytrzeszczacie gały? To nasze rzemiosło. Za to nam płacą, zapomnieliście?

Żołnierze popatrzyli po sobie. Przez moment Rayla sądziła, że jednak umkną, że poderwą mokre i wycieńczone konie do ostatniego, niemożliwego wysiłku, że pognają za kolumną uchodzących, ku zbawczej przełęczy. Myliła się. Żle ich oceniała.

Przewrócili na gościniec wóz. Szybko zbudowali barykadę. Prowizoryczną. Niską. Absolutnie niewystarczającą.

Nie czekali długo. Do wąwozu wpadły dwa konie, chrapiące, potykające się, sypiące płatami piany. Tylko jeden niósł jeźdźca.

– Blaise!

– Gotujcie się... – najemnik zsunął się z siodła w ramiona żołnierzy. – Gotujcie się, psiamać... Są tuż za mną...

Koń zachrapał, tanecznie postąpił boki kilka kroków, upadł na zad, ciężko runął na bok, wierzgnął, wyciągnął szyję, zarżał przeciągle.

– Rayla... – wycharczał Blaise, odwracając wzrok. – Dajcie... Dajcie mi coś. Straciłem miecz...

Wojownicza, patrząc na bijące w niebo dymy pożarów, wskazała ruchem głowy topór oparty o przewrócony wóz. Blaise chwycił broń,

zatoczył się. Lewą nogawkę miał przesiąkniętą krwią.

– Co z innymi, Blaise?

– Wyrznęli ich – stęknął najemnik. – Wszystkich. Cały oddział... Rayla, to nie Nilfgaard... To Wiewiórki... To elfy nas dognały. Scoia'tael idą przodem, przed Nilfgaardczykami.

Jeden z żołnierzy jęknął rozdzierająco, drugi ciężko usiadł na ziemi, zasłaniając twarz dłońmi. Villis zaklął, dociągając rzemienie półpancerza.

– Na miejsca! – wrzasnęła Rayla. – Za zaporę! Nie wezmą nas żywych! Obiecuję wam!

Villis splunął, po czym szybko zerwał z naramiennika trójkolorową, czarno-złoto-czerwoną kokardę wojsk specjalnych króla Demawenda, cisnął ją w zarośla. Rayla, wyglądając i czyszcząc własną odznakę, uśmiechnęła się krzywo.

– Nie wiem, czy ci to pomoże, Villis. Nie wiem.

– Obiecałaś, Rayla.

– Obiecałam. I dotrzymam obietnicy. Na miejsca, chłopaki! Kusze i łuki w garść!

Nie czekali długo.

Gdy odparli pierwszą falę, zostało ich tylko sześcioro. Walka była krótka, ale zażarta. Zmobilizowani żołnierze z Vengerbergu bili się jak szatani, zaciekłością nie ustępowali najemnikom. Żaden nie chciał wpaść żywy w ręce Scoia'tael. Woleli umrzeć w boju. I umierali przeszywani strzałami, umierali od pchnięć oszczepów i ciosów mieczy. Blaise umarł leżąc, zadźgany sztyletami przez dwóch elfów, którzy zwalili się na niego, ściągając z zapory. Żaden z tych elfów nie wstał. Blaise też miał sztylet.

Scoia'tael nie dali im odpocząć. Runęło na nich drugie komando. Villis, po raz trzeci pchnięty oszczepem, upadł.

– Rayla! – krzyknął niewyraźnie. – Obiecałaś!

Najemniczka, kładąc trupem kolejnego elfa, odwróciła się szybko.

– Bywaj, Villis – oparła leżącemu sztych miecza poniżej mostka i pchnęła silnie. – Do zobaczenia w piekle!

Po chwili była sama. Scoia'tael otaczali ją ze wszystkich stron. Wojowniczką, umazaną krwią od stóp do głowy, uniosła miecz, zawirowała, potrząsnęła czarnym warkoczem. Stała wśród trupów, straszna, wykrzywiona jak demon. Elfy cofnęły się.

– Chodźcie! – krzyknęła dziko. – Na co czekacie? Nie weźmiecie mnie żywej! Jestem Czarna Rayla!

– *Gláeddyv vort, beanna* – powiedział spokojnie jasnowłosej piękny elf o twarzy cherubina i wielkich chabrowych oczach dziecka. Wyłonił się zza otaczających ją, wciąż wahających się Scoia'tael. Jego biały jak śnieg koń chrapał, mocno machał głową w dół i w górę, energicznie grzebał kopytem przesiąknięty krwią piasek gościńca.

– *Gláeddyv vort, beanna* – powtórzył jeździec. – Rzuć miecz, niewiasto.

Najemniczka zaśmiała się makabrycznie, otarła twarz mankietem rękawicy, rozmazując pot zmieszany z kurzem i krwią.

– Mój miecz zbyt wiele kosztował, by nim rzucać, elfie! – krzyknęła. – Żeby go wziąć, będziesz musiał łamać mi palce! Jestem Czarna Rayla! No, chodźcie!

Nie czekała długo.

•

– Nikt nie przyszedł Aedirn z odsieczą? – spytał wiedźmin po dłuższej chwili. – Istniały przecież podobno sojusze. Układy o wzajemnej pomocy... Traktaty...

– Redania – odchrząknął Jaskier – jest w chaosie po śmierci Vizimira. Wiesz o tym, że król Vizimir został zamordowany?

– Wiem.

– Rządy objęła królowa Hedwig, ale w kraju zapanowało bezhołowie. I terror. Polowanie na Scoia'tael i nilfgaardzkich szpiegów. Dijkstra szalał po całym kraju, szafoty spłynęły krwią. Dijkstra nadal nie może chodzić. Noszą go w lektyce.

– Domyślam się. Ścigał cię?

– Nie. Mógł, ale nie ścigał. Ach, nieważne. W każdym razie pogrążona w chaosie Redania nie była w stanie wystawić armii mogącej wesprzeć Aedirn.

– A Temeria? Dlaczego król Foltest z Temerii nie wspomógł Demawenda?

– Gdy tylko zaczęła się agresja w Dol Angra – powiedział cicho Jaskier – Emhyr var Emreis wysłał poselstwo do Wyzimy...

•

- Do diabła - syknął Bronibor, patrząc na zamknięte drzwi. - Nad czym oni tak długo debatuja? Dlaczego Foltest w ogóle zniżył się do negocjacji, dlaczego udzielił audiencji temu nilfgaardzkiemu psu? Należało go ściąć i odesłać Emhyrowi głowę! W worku!

- Na bogów, wojewodo - zachłysnął się kapłan Willemer. - Toć to poseł! Osoba posła jest święta i nietykalna! Nie godzi się...

- Nie godzi? Powiem wam, co się nie godzi! Nie godzi się stać bezczynnie i przyglądać się, jak najeźdźca pustoszy kraje, z którymi jesteśmy w przymierzu! Lyria już padła, a Aedirn pada! Demawend samotnie nie zatrzyma Nilfgaardu! Należy natychmiast wysłać do Aedirn korpus ekspedycyjny, trzeba odciążyć Demawenda uderzeniem na lewy brzeg Jarugi! Tam jest mało wojska, większość chorągwi przerzucili do Dol Angra! A my tutaj obradujemy! Zamiast się bić, gadamy! A do tego gościmy nilfgaardzkiego posła!

- Milczcie, wojewodo - książę Hereward z Ellander skarcił starego wojaka zimnym spojrzeniem. - To jest polityka. Trzeba umieć spojrzeć nieco dalej niż koniec końskiego łba i lancy. Trzeba wysłuchać posła. Cesarz Emhyr nie wysłał go do nas bez przyczyny.

- Pewnie, że nie bez przyczyny - warknął Bronibor. - Emhyr rozgramia właśnie Aedirn i wie, że jeśli wkroczymy, a z nami Redania i Kaedwen, to pobijemy go, wyrzucimy za Dol Angra, do Ebbing. Wie, że jeśli uderzymy na Cintrę, ugodzimy go w miękki brzuch, zmusimy do walki na dwa fronty! Tego się boi! Usiłuje więc zastraszyć nas, byśmy nie interweniowali. Z takim, nie innym zadaniem przyjechał tu nilfgaardzki poseł!

- Należy więc wysłuchać posła - powtórzył książę. - I podjąć decyzję zgodną z interesami naszego królestwa. Demawend nierozsądnie sprowokował Nilfgaard i teraz ponosi konsekwencje. A mnie wcale niespieszno umierać za Vengerberg. To, co dzieje się w Aedirn, to nie nasza sprawa.

- Nie nasza? Co wy, u kroćset diabłów, pleciecie? To, że Nilfgaardzcy są w Aedirn i Lyrrii, na prawym brzegu Jarugi, to, że oddziela nas od nich wyłącznie Mahakam, uważacie za cudzą sprawę? Trzeba nie mieć krztyny rozumu...

- Dosyc tych sporów - ostrzegł Willemer. - Ani słowa więcej. Król idzie.

Drzwi sali otwarły się. Członkowie rady królewskiej wstali, szurając krzesłami. Wiele krzeseł było pustych. Hetman koronny i większość dowódców byli przy oddziałach, w Dolinie Pontaru, w Mahakamie i nad Jarugą. Puste były też krzesła zajmowane zwykle przez czarodziejów. Czarodzieje... Tak, pomyślał kapłan Willemer, miejsca zajmowane przez czarodziejów tu, na królewskim dworze w Wyzimie, pozostaną puste bardzo długo. Kto wie, czy nie na zawsze.

Król Foltest szybko przemierzył salę, stanął przy tronie, ale nie usiadł, pochylił się tylko, opierając pięści o stół. Był bardzo blady.

– Vengerberg jest obleżony – powiedział cicho król Temerii – i będzie wzięty łaśda godzina. Nilfgaard niepowstrzymanie prze na północ. Okrążone oddziały jeszcze walczą, ale to już niczego nie zmieni. Aedirn jest stracone. Król Demawend zbiegł do Redanii. Los królowej Meve jest nieznany.

Rada milczała.

– Naszą wschodnią granicę, to znaczy wylot Doliny Pontaru, Nilfgaardczycy osiągną za kilka dni – ciągnął Foltest, nadal bardzo cicho. – Hagge, ostatnia forteca Aedirn, nie utrzyma się długo, a Hagge to już nasza wschodnia granica. A na naszej granicy południowej... stała się rzecz bardzo zła. Król Eryyll z Verden złożył hołd lenny imperatorowi Emhyrowi. Poddął i otworzył twierdze u ujścia Jarugi. W Nastrogu, Rozrogu i Bodrogu, które miały strzec naszego skrzydła, stoją już nilfgaardzkie załogi.

Rada milczała.

– Dzięki temu – ciągnął Foltest – Eryyll zachował tytuł królewski, ale jego suzerenem jest Emhyr. Verden jest więc jeszcze formalnie królestwem, ale w praktyce już nilfgaardzką prowincją. Czy rozumiecie, co to oznacza? Sytuacja się odwróciła. Verdeńskie twierdze i ujście Jarugi są w rękach Nilfgaardu. Nie mogę przystąpić do forsowania rzeki. I nie mogę osłabić stojącej tam armii, formując korpus, który miałby wkroczyć do Aedirn i wesprzeć wojska Demawenda. Nie mogę tego uczynić. Cięży na mnie odpowiedzialność za mój kraj i za mych poddanych.

Rada milczała.

– Cesarz Emhyr var Emreis, imperator Nilfgaardu – podjął król – złożył mi propozycję... układu. Przyjąłem tę propozycję. Zaraz wyłożę wam, na

czym ten układ polega. A wy, gdy mnie wysłuchacie, zrozumiecie... Przyznacie, że... Powiecie...

Rada milczała.

– Powiecie... – dokończył Foltest. – Powiecie, że przynoszę wam pokój.

•

– Tak więc Foltest schował ogon pod siebie – mruknął wiedźmin, łamiąc w palcach kolejny patyczek. – Dogadał się z Nilfgaardem. Zostawił Aedirn na łasce losu...

– Tak – potwierdził poeta. – Wprowadził jednak wojska do Doliny Pontaru, zajął i obsadził twierdzę Hagge. A Nilfgaardczycy nie weszli na przełęcz Mahakamu i nie przekroczyli Jarugi w Sodden, nie zaatakowali Brugge, które po kapitulacji i hołdzie Ervylla mają w kleszczach. To była bez wątpienia cena neutralności Temerii.

– Ciri miała rację – szepnął wiedźmin. – Neutralność... Neutralność zwykle bywa podła.

– Co?

– Nic. A co z Kaedwen, Jaskier? Dlaczego Henselt z Kaedwen nie wspomógł Demawenda i Meve? Przecież mieli pakt, łączyło ich przymierze. A jeśli nawet Henselt, wzorem Foltesta, szcza na podpisy i pieczęcie na dokumentach i za nic ma królewskie słowo, to chyba nie jest głupi? Czy nie rozumie, że po upadku Aedirn i układzie z Temerią kolej na niego, że jest następny na nilfgaardzkiej liście? Kaedwen winno wesprzeć Demawenda z rozsądku. Nie ma już na świecie wiary ani prawdy, ale chyba istnieje na świecie rozsądek? Co, Jaskier? Jest jeszcze na świecie rozsądek? Czy już zostały na nim tylko skurwysyństwo i pogarda?

Jaskier odwrócił głowę. Zielone latarenki były blisko, otaczały ich zwartym pierścieniem. Nie zauważył tego wcześniej, ale teraz zrozumiał. Wszystkie driady przysłuchiwały się jego opowieści.

– Milczysz – powiedział Geralt. – A to znaczy, że Ciri miała rację. Że Codrigher miał rację. Wszyscy mieli rację. Tylko ja, naiwny, anachroniczny i głupi wiedźmin, nie miałem racji.

•

Setnik Digod, znany pod przezwiskiem Półgarniec, odchylił płachtę namiotu, wszedł, sapiąc ciężko i warcząc gniewnie. Dziesiętnicy zerwali

się z miejsc, przybierając wojskowe postawy i miny. Zyvik zręcznie narzucił kozuch na stojącą wśród siodeł baryłeczkę wódki, zanim wzrok setnika zdążył przyzwyczaić się do półmroku. Nie chodziło o to, by Digod był akurat zagorzałym przeciwnikiem picia na służbie i w obozie, ale raczej o to, by ocalić baryłkę. Przewisko setnika nie brało się znikąd – wieść głosiła, że w sprzyjających warunkach zdolny był dziarsko i w imponującym czasie wyłopać pół garnca przepalanki. Kazionny żołnierski kubek o pojemności kwarty setnik wychylał jak półkwaterekę, od jednego machu, i rzadko kiedy moczył sobie przy tym uszy.

– No i jak, panie setnik? – spytał Bode, dziesiątnik strzelców. – Co tam uradzili wielmożni komendanci? Jakie rozkazy? Przekraczamy granicę? Mówcież!

– Zaraz – stęknął Półgarniec. – Ależ upał, ażeby to cholera... Zaraz wszystko wam wyłożę. Ale wpierv dajcie się czegoś napić, bo mi gardziel wyschła na wiór. A nie gadajcie aby, że nie macie, bo gorzałką niesie od namiotu na wiorstę. I wiem, skąd niesie. O, spod tamtego kozucha.

Zyvik, mamrocząc klątwy, wydobyl baryłkę. Dziesiątnicy zbili się w ciasną grupkę, zabrzęczały czarki i cynowe kubki.

– Aaaach – setnik otarł wąsy i oczy. – Uuuuuch, ależ świństwo niedobre. Lej jeszcze, Zyvik.

– Nuże, gadajcie wraz – niecierpliwił się Bode. – Jakie rozkazy? Idziemy na Nilfgaardczyków czy dalej sterczymy na rubieży niczym kuśki na weselu?

– Ckni się wam do bitki? – Półgarniec zacharczał przeciągle, splunął, przysiadł ciężko na kulbace. – Tak wam pilno za rubież, do Aedirn? Spiera was, he? Zjadł z was wilczki, nic, jeno kłami błyskacie.

– A tak – powiedział zimno mały Stahler, przestępując z nogi na nogę. Obie, jako stary kawalerzysta, miał krzywe jak pałaki. – A tak, panie setnik. Piątą noc w butach śpimy, w gotowości. To i chcemy wiedzieć, co ma być. Albo bitka, albo nazad do fortu.

– Idziemy za rubież – oznajmił krótko Półgarniec. – Jutro o świtaniu. Pięć chorągwi, Bura przodem. A nynie baczność, bo nynie powiem, co nam, setnikom i chorążym, nakazali wojewoda i wielmożny pan margraf Mansfeld z Ard Carraigh, któren wprost od króla przybył. Naszpiczcie uszy, bo dwa razy gadał nie będę. A niezwykajne to rozkazy.

W namiocie zrobiło się cicho.

- Nilfgaardczycy przeszli przez Dol Angra - powiedział setnik. - Stłamsili Lyrię, we cztery dni doszli do Aldersbergu, tam w walnej bitwie rozbili w puch armię Demawenda. Z marszu, po ledwie sześciu dniach oblężenia, wzięli zdradą Vengerberg. Nynie chyżo idą na północ, spychają wojska z Aedirn ku dolinie Pontaru i ku Dol Blathanna. Idą ku nam, ku Kaedwen. Tedy rozkaz dla Burej Chorągwi jest taki: przejść rubież i iść forsownie na południe, prosto ku Dolinie Kwiatów. We trzy dni mus nam stanąć nad rzeczką Dyfne. Powtarzam, we trzy dni, znaczy się, rysią będziemy szli. Za rzeczkę Dyfne ani kroku. Ani kroku, powtarzam. Wnet na tamtym brzegu pokażą się Nilfgaardczycy. Z tymi, baczność teraz i uwaga, walki nie podejmować. Żadną miarą, zrozumiano? Nawet jeśliby gdzie próbowali przejść rzeczkę, to tylko się im pokazać, znaki im pokazać, żeby wiedzieli, że to my, kaedweńskie wojsko.

W namiocie zrobiło się jeszcze ciszej, chociaż wydawało się, że ciszej być nie może.

- Jakże to? - bąknął wreszcie Bode. - Nilfgaardczyków nie bić? Na wojnę idziem czy nie? Jakże to, panie setnik?

- Rozkaz taki. Nie idziemy na wojnę, jeno... - Półgarniec podrapał się w szyję. - Jeno z bratnią pomocą. Przekraczamy rubież, by dać ochronę ludziom z Górnego Aedirn... Wróć, co ja gadam... Nie z Aedirn, jeno z Dolnej Marchii. Tak rzekł wielmożny margraf Mansfeld. Tak i tak, prawil, Demawend poniósł klęskę, wykopyrtnął się i leży jak długi, bo źle rządził i politykę miał do rzyci. I tak z nim już koniec i z całym Aedirn. Nasz król Demawendowi mnogo pożyczyl grosza, bo mu pomocy udzielał, nie lza takiemu bogactwu przepadać, nynie czas ten pieniądz odzyszczyć z procentem. Nie możemy też pozwolić, by nasi ziomkowie i bracia z Dolnej Marchii poszli w nilfgaardzką niewolę. Musimy ich, ten tego, wyzwolić. Bo nasze to odwieczne ziemie, Dolna Marchia, kiedyś pod berłem Kaedwen te ziemie były i nynie pod to berło wróca. Aż po rzeczkę Dyfne. Taki to układ zawarł nasz miłościwy król Henselt z Emhyrem z Nilfgaardu. Ale układ układem, a Bura Chorągiew ma nad rzeką stać. Zrozumieliście?

Nikt nie odpowiedział. Półgarniec skrzywił się, machnął ręką.

- A, pies was chędożył, gówności zrozumieli, widzę. Ale nie frasujcie się, bo i ja niewiele. Ale od rozumienia to jest jegomość król, grabiowie, wojewodowie i panowie szlachta. A myśmy są wojsko! Nam słuchać

rozkazu: dojść do rzeczki Dyfne we trzy dni, tam stanąć i stać jak mur. I tyle. Nalej, Zyvik.

– Panie setnik... – zająknął się Zyvik. – A co będzie... Co będzie, jeśli wojsko z Aedirn opór stawia? Szlak zagrozi? Przecie zbrojnie przez ich kraj idziem. Co wtedy?

– A jeśli nasi ziomkowie i bracia – podchwycił zjadliwie Stahler – ci, co to ich niby mamy wyzwolić... Gdyby zaczęli z łuków szyc, kamieniami ciskać? He?

– Mamy we trzy dni stanąć nad Dyfne – rzekł z naciskiem Pólgarniec.
– Nie później. Kto by nas chciał opóźniać albo zatrzymywać, widno nieprzyjaciół. A nieprzyjaciół na mieczach roznieść trzeba. Ale uwaga i baczność! Słuchać rozkazu! Siół ni chałup nie palić, ludziom dobytku nie brać, nie rabować, bab nie gwałcić! Zakarbować w pamięci sobie i żołnierzom, bo kto ten rozkaz złamie, pójdzie na stryk. Wojewoda z dziesięć razy to powtarzał: nie idziem, kurwa, z najazdem, ale z braterską pomocą! Czego zęby szczerzysz, Stahler? To rozkaz, psiamać! A teraz biegiem do dziesiątek, postawić mi wszystkich na nogi, konie i rynsztunek mają lśnić jak miesiąc w pełni! Na przedwieczeru wszystkie chorągwie do musztrunku staną, sam wojewoda będzie musztrował z chorążymi. Jeśli się przez którą dziesiątkę wstydu najem, popamięta mnie dziesiętnik, oj, popamięta! Wykonać!

Zyvik wyszedł z namiotu jako ostatni. Mrużąc porażone słońcem oczy, obserwował panujący w obozie rozgardiasz. Dziesiętnicy spieszyli do oddziałów, setnicy biegali i klęli, szlachta, korneci i paziowie plątali się pod nogami. Pancerni z Ban Ard kłusowali po polu, wzbijając tumany pyłu. Upał był straszliwy.

Zyvik przyspieszył kroku. Minał czterech przybyłych wczorajszego dnia skaldów z Ard Carraigh, siedzących w cieniu rzucanym przez bogato zdobiony namiot margrafa. Skaldowie właśnie układali balladę o zwycięskiej operacji wojskowej, o geniuszu króla, roztropności dowódców i męstwie prostego żołnierza. Jak zwykle, robili to przed operacją, by nie tracić czasu.

– Witali nas nasi bracia, witali chleeebem, solą... – zaśpiewał dla próby jeden ze skaldów. – Zbawców i wyswobodzicieli swych witali, witali chleeebem, solą... Hej, Hrafnir, podrzuć jakiś niebanalny rym do „solą”!

Drugi skald podrzucił rym. Zyvik nie dosłyszał, jaki.

Obozująca wśród wierzb nad stawem dziesiątka poderwała się na jego widok.

– Gotować się! – wrzasnął Zyvik, stając na tyle daleko, by jego chuch nie wpłynął na morale podkomendnych. – Nim się słońeczko na cztery palce podniesie, wszyscy do przeglądu! Wszystko ma się błyszczeć jak to słońeczko właśnie, broń, rynsztunek, rząd, koń zarówno! Będzie musztrunek, jeśli się przez którego przed setnikiem wstydu najem, nogi powyrywam takiemu synowi! Żywo!

– Idziem w bój – domyślił się jezdny Kraska, szybko wpychając koszulę do spodni. – Idziem w bój, panie dziesiątnik?

– A cożeś myślał? Że na tańce, na Zażynek? Przechodzimy rubież. Jutro o świtaniu rusza cała Bura Chorągiew. Setnik nie rzekł, w jakim szyku, ale przecie nasza dziesiątka przodem pójdzie jako zwykle. No, żwawiej, ruszcie dupy! Zaraz, wróć. Powiem od razu, bo potem czasu nie stanie pewnikiem. To nie będzie zwykła wojaczka, chłopcy. Jakąś durnotę nowoczesną wymyślili wielmożni. Jakieś wyzwalanie, czy coś takiego. Nie idziem wroga bić, ale na te, no, nasze odwieczne ziemie, z tą, jak jej tam, braterską pomocą. Tedy baczość, co powiem: ludzisków z Aedirn nie ruszać, nie grabić...

– Jakże to? – rozdziawił gębę Kraska. – Jakże to: nie grabić? A czymże konie karmić będziem, panie dziesiątnik?

– Paszę dla koni grabić, więcej nic. Ale ludzi nie siec, chałup nie palić, upraw nie niszczyć... Zawrzyj gębę, Kraska! To nie wiec gromadzki, to wojsko, taka wasza mać! Rozkazu słuchać, bo inaczej na stryk! Rzekłem, nie mordować, nie palić, bab...

Zyvik przerwał, zamyślił się.

– Baby – dokończył po chwili – gwałcić po cichu i tak, coby nikt nie widział.

•

– Na moście na rzece Dyfne – dokończył Jaskier – uścisnęli sobie dłonie. Margrabia Mansfeld z Ard Carraigh i Menno Coehoorn, głównodowodzący nilfgaardzkimi wojskami z Dol Angra. Uścisnęli sobie dłonie nad krwawiącym, dogorywającym królestwem Aedirn, pieczętując bandycki podział łupów. Najobrzydliwszy z gestów, jaki znała historia.

Geralt milczał.

– Jeśli już jesteśmy przy obrzydliwościach – powiedział po chwili nieoczekiwanie spokojnie – to co z czarodziejami, Jaskier? Myślę o tych z Kapituły i Rady.

– Przy Demawendzie nie pozostał żaden – zaczął po chwili poeta. – A Foltest wszystkich, którzy mu służyli, wypędził z Temerii. Filippa jest w Tretogorze, pomaga królowej Hedwig w opanowaniu chaosu, jaki wciąż panuje w Redanii. Jest z nią Triss i jeszcze trzech, imion nie pamiętam. Kilku jest w Kaedwen. Wielu uciekło do Koviru i Hengfors. Wybrali neutralność, bo Esterad Thyssen i Niedamir, jak wiesz, byli i są neutralni.

– Wiem. A Vilgefortz? I ci, którzy z nim trzymali?

– Vilgefortz zniknął. Spodziewano się, że wypłynie w zdobytym Aedirn, jako namiestnik Emhyra... Ale ślad po nim zaginął. Po nim i po wszystkich jego wspólnikach. Oprócz...

– Mów, Jaskier.

– Oprócz jednej czarodziejki, która została królową.

•

Filavandrel aep Fidhail w milczeniu czekał na odpowiedź. Królowa też milczała wpatrzona w okno. Okno wychodziło na ogrody, jeszcze do niedawna będące dumą i chlubą poprzedniego władcy Dol Blathanna, namiestnika tyrana z Vengerbergu. Uciekając przed Wolnymi Elfami, idącymi w awangardzie wojsk cesarza Emhyra, ludzki namiestnik zdążył wywieźć z pradawnego elfiego pałacu większość cennych rzeczy, nawet część mebli. Ale ogrodów zabrać nie mógł. Zniszczył je.

– Nie, Filavandrel – powiedziała wreszcie królowa. – Na to jeszcze za wcześnie, o wiele za wcześnie. Nie myślmymy o rozszerzaniu naszych granic, bo na razie nie jesteśmy nawet pewni dokładnego ich przebiegu. Henselt z Kaedwen ani myśli przestrzegać układu i wycofać się znad Dyfne. Szpiedzy donoszą, że wcale nie porzucił myśli o agresji. Może uderzyć na nas łąda dzień.

– A więc nie osiągnęliśmy niczego.

Królowa wolno wyciągnęła rękę. Motyl niepylak, który wleciał przez okno, usiadł na jej koronkowym mankiecie, złożył i rozłożył czubato zakończone skrzydełka.

– Osiągnęliśmy więcej – powiedziała królowa, cicho, by nie spłoszyć motyla – niż mogliśmy się spodziewać. Po stu latach odzyskaliśmy

wreszcie naszą Dolinę Kwiatów...

- Nie nazywałbym jej tak - uśmiechnął się smutno Filavandrel. - Teraz, po przejściu wojsk, jest to raczej Dolina Popiołów.

- Mamy znowu nasz własny kraj - dokończyła królowa, przyglądając się motylowi. - Znowu jesteśmy Ludem, nie wygnańcami. A popiół użyźnia. Wiosną Dolina zakwitnie znowu.

- To za mało, Stokrotko. Ciągłe za mało. Spuściliśmy z tonu. Jeszcze niedawno chwaliliśmy się, że zepchniemy ludzi do morza, zza którego przybyli. A teraz zacieśniliśmy nasze granice i ambicje do Dol Blathanna...

- Emhyr Deithwen dał nam Dol Blathanna w podarunku. Czego ode mnie oczekujesz, Filavandrel? Mam żądać więcej? Nie zapominaj, że nawet w przyjmowaniu darów należy zachować umiar. Zwłaszcza jeżeli chodzi o dary Emhyra, bo Emhyr niczego nie daje za darmo. Ziemię, które nam darował, musimy utrzymać. A siły, którymi dysponujemy, z ledwością wystarczą na utrzymanie Dol Blathanna.

- Wycofajmy komanda z Temerii, Redanii i Kaedwen - zaproponował białowłose elf. - Wycofajmy wszystkich walczących z ludźmi Scoia'tael. Jesteś teraz królową, Enid, oni posłuchają twego rozkazu. Teraz, gdy mamy już nasz własny spłachetek ziemi, ich walka nie ma sensu. Ich obowiązkiem jest teraz wrócić tu i bronić Doliny Kwiatów. Niech walczą jako wolny lud w obronie własnych granic. A teraz giną jak rozbójnicy po lasach!

Elfka opuściła głowę.

- Emhyr nie wyraża na to zgody - szepnęła. - Komanda mają walczyć nadal.

- Dlaczego? W jakim celu? - Filavandrel aep Fidhail wyprostował się gwałtownie.

- Powiem ci więcej. Nie wolno nam ich wspierać i pomagać im. To był warunek Foltesta i Henselta. Temeria i Kaedwen będą respektować naszą władzę nad Dol Blathanna, ale tylko wówczas, gdy oficjalnie potępimy walkę Wiewiórek i odetniemy się od nich.

- Te dzieci umierają, Stokrotko. Umierają co dnia, giną w nierównej walce. Po tajnych układach z Emhyrem ludzie rzucają się na komanda i zginią. To są nasze dzieci, nasza przyszłość! Nasza krew! A ty mi oznajmiasz, że mamy się od nich odciąć? *Que'ss aen me dicette, Enid? Vorsaeke'llan? Aen vaine?*

Motyl wzbił się do lotu, zatrzepotał skrzydełkami, poleciał ku oknu, zawirował porwany prądami upalnego powietrza. Francesca Findabair, zwana Enid an Gleanna, niegdyś czarodziejka, obecnie królowa Aen Seidhe, Wolnych Elfów, uniosła głowę. W jej pięknych błękitnych oczach błyszczały łzy.

- Komanda - powtórzyła głucho - muszą nadal prowadzić walkę. Muszą dezorganizować ludzkie królestwa, utrudniać przygotowania wojenne. Taki był rozkaz Emhyra, a ja nie mogę przeciwstawić się Emhyrowi. Wybacz mi, Filavandrel.

Filavandrel aep Fidhail spojrzał na nią, uklonił się głęboko.

- Wybaczam, Enid. Ale nie wiem, czy oni wybaczą.

•

- Ani jeden czarodziej nie przemyślał sprawy ponownie? Nawet wtedy, gdy Nilfgaard mordował i palił w Aedirn, żaden z nich nie porzucił Vilgefortza, nie przyłączył się do Filippy?

- Żaden.

Geralt milczał długo.

- Nie wierzę - powiedział wreszcie, bardzo cicho. - Nie wierzę, by żaden nie odszedł od Vilgefortza, gdy prawdziwe przyczyny i skutki jego zdrady wyszły na jaw. Jestem, jak już powszechnie wiadomo, naiwnym, bezrozumnym i anachronicznym wieźminem. Ale nadal nie wierzę, by w żadnym czarodzieju nie obudziło się sumienie.

•

Tissaia de Vries położyła swój wypracowany, ozdobny podpis pod ostatnim zdaniem listu. Po długim namyśle dodała jeszcze obok ideogram oznaczający jej prawdziwe imię. Imię, którego nikt nie znał. Imię, którego nie używała od bardzo dawna. Od czasu, gdy została czarodziejką.

Skowronek.

Odłożyła pióro. Bardzo starannie, równo, dokładnie w poprzek zapisanego arkusza pergaminu. Przez długą chwilę siedziała nieruchomo, wpatrzona w czerwoną kulę zachodzącego słońca. Potem wstała. Podeszła do okna. Przez jakiś czas patrzyła na dachy domów. Domów, w których kładli się właśnie do snu zwykli ludzie, zmęczeni swym zwykłym, ludzkim życiem i trudem, pełni zwykłego ludzkiego niepokoju o los, o jutro. Czarodziejka spojrzała na leżący na stole list.

List adresowany do zwykłych ludzi. To, że większość zwykłych ludzi nie umiała czytać, było bez znaczenia.

Stała przed zwierciadłem. Poprawiła włosy. Poprawiła suknię. Strzepnęła z bufiastego rękawa nie istniejący pyłek. Wyrównała na dekolcie naszyjnik ze spineli.

Lichtarze pod zwierciadłem stały nierówno. Służąca musiała poruszyć i poprzesuwać je podczas sprzątania. Służąca. Zwykła kobieta. Zwykły człowiek o oczach pełnych strachu przed tym, co nadchodziło. Zwykły człowiek zagubiony w czasach pogardy. Zwykły człowiek szukający nadziei i pewności jutra u niej, u czarodziejki...

Zwykły człowiek, którego zaufanie zawiodła.

Z ulicy dobiegł odgłos kroków, stuk ciężkich żołnierskich butów. Tissaia de Vries nie drgnęła nawet, nie odwróciła głowy ku oknu. Było jej obojętne, czyje to kroki. Żołnierze królewscy? Prewot z nakazem aresztowania zdrajczyni? Najemni mordercy? Siepacze Vilgefortza? Nie obchodziło jej to.

Kroki ucichły w oddali.

Lichtarze pod zwierciadłem stały nierówno. Czarodziejka wyrównała je, skorygowała ułożenie serwetki, tak by jej róg wypadał dokładnie pośrodku i był symetryczny do czworokątnych podstawek świeczników. Odpięła z przegubów złote bransoletki i równiutko ułożyła je na wygładzonej serwetce. Spojrzała krytycznie, ale nie znalazła najmniejszego błędu. Wszystko leżało równo, porządnie. Tak, jak powinno leżeć.

Otworzyła szufladę komódki, wyjęła z niej krótki nóż z kościaną rękojeścią.

Twarz miała dumną i nieruchomą. Martwą.

W domu było cicho. Tak cicho, że słyszeć było, jak na blat stołu pada płatek więdnącego tulipana.

Słońce, czerwone jak krew, wolno osunęło się za dachy domów.

Tissaia de Vries usiadła w fotelu przy stole, zdmuchnęła świecę, jeszcze raz poprawiła leżące w poprzek listu pióro i przecięła sobie żyły na przegubach obu rąk.

•

Zmęczenie całodzienną podróżą i wrażeniami dało o sobie znać. Jaskier obudził się i pojął, że zasnął prawdopodobnie w trakcie

opowieści, że zachrapał w pół słowa. Poruszył się i niemal stoczył z kupy gałęzi – Geralt nie leżał już obok niego i nie równoważył barłogu.

– Na czym... – odkaszlnął, usiadł. – Na czym to ja stanąłem? Aha, na czarodziejach... Geralt? Gdzie jesteś?

– Tu – powiedział wiedźmin, ledwie widoczny w mroku. – Kontynuuj, proszę. Właśnie miałeś mi powiedzieć o Yennefer.

– Posłuchaj – poeta doskonale wiedział, że o wymienionej osobie nie miał najmniejszego zamiaru nawet napomykać. – Ja naprawdę nic...

– Nie łzyj. Znam cię.

– Jeśli mnie tak dobrze znasz – zdenerwował się trubadur – to po jaką cholere domagasz się, bym mówił? Znajac mnie jak zły szeląg, powinienes wiedziec, dlaczego przemilczam, dlaczego nie powtarzam zaslyszanych plotek! Powinienes tez domyslisc sie, jakie to plotki i dlaczego chce ci ich oszczedzic!

– *Que suecc's?* – jedna ze śpiących obok driad poderwała się zbudzona jego podniesionym głosem.

– Przepraszam – powiedział cicho wiedźmin. – Ciebie też.

Zielone latarenki Brokilonu pogasły już, tylko niektóre jeszcze tliły się słabo.

– Geralt – przerwał milczenie Jaskier. – Zawsze twierdziłeś, że stoisz z boku, że jest ci wszystko jedno... Ona mogła w to uwierzyć. Wierzyła w to, gdy razem z Vilgefortzem zaczęła tę grę...

– Dosyc – powiedział Geralt. – Ani słowa więcej. Gdy słyszę słowo „gra”, mam ochotę kogoś zabić. Ach, dawaj tę brzytwę. Chce się nareszcie ogolic.

– Teraz? Jeszcze ciemno...

– Dla mnie nigdy nie jest ciemno. Jestem dziwolągiem.

Gdy wiedźmin wyrwał mu z ręki sakiewkę z przyborami toaletowymi i odszedł w kierunku strumienia, Jaskier stwierdził, że senność opuściła go zupełnie. Niebo jaśniało już zapowiedzią brzasku. Wstał, wszedł w las, ostrożnie mijając śpiące, przytulone do siebie driady.

– Czy należałeś do tych, którzy się do tego przyczynili?

Odwrócił się gwałtownie. Oparta o sosnę driada miała włosy w kolorze srebra, było to widoczne nawet w półmroku świtu.

– Wielce paskudny widok – powiedziała, krzyżując ręce na piersi. – Ktoś, kto wszystko stracił. Wiesz, śpiewaku, to ciekawe. Swego czasu wydawało mi się, że wszystkiego nie można stracić, że zawsze coś

zostaje. Zawsze. Nawet w czasach pogardy, w których naiwność potrafi zemścić się w najokrutniejszy sposób, nie można utracić wszystkiego. A on... On stracił kilka kwaterek krwi, możliwość sprawnego chodzenia, częściową władzę w lewej ręce, wiedźmiński miecz, ukochaną kobietę, zyskaną cudem córkę, wiarę... No, pomyślałam, ale coś, coś przecież musiało mu zostać? Myliłam się. On nie ma już nic. Nawet brzytwy.

Jaskier milczał. Driada nie poruszyła się.

– Pytałam, czy przyczyniłeś się do tego – podjęła po chwili. – Ale chyba pytałam niepotrzebnie. To oczywiste, że się przyczyniłeś. To oczywiste, że jesteś jego przyjacielem. A jeśli ma się przyjaciół, a mimo to wszystko się traci, jest oczywiste, że przyjaciele ponoszą winę. Za to, co uczynili, względnie za to, czego nie uczynili. Za to, że nie wiedzieli, co należy uczynić.

– A co ja mogłem? – szepnął. – Co ja mogłem uczynić?

– Nie wiem – odpowiedziała driada.

– Nie powiedziałem mu wszystkiego...

– To wiem.

– Nie jestem niczemu winien.

– Jesteś.

– Nie! Nie jestem...

Poderwał się, trzeszcząc gałęziami legowiska. Geralt siedział obok, trąc twarz. Pachniał mydłem.

– Nie jesteś? – spytał chłodno. – Ciekawość, co też ci się przyśniło. Że jesteś żabą? Uspokój się. Nie jesteś. Że jesteś cymbałem? A, w takim razie to mógł być sen proroczy.

Jaskier rozejrzał się. Byli na polanie zupełnie sami.

– Gdzie ona... Gdzie one są?

– Na skraju lasu. Zbieraj się, czas na ciebie.

– Geralt, ja przed chwilą rozmawiałem z driadą. Mówiła wspólnym bez akcentu i powiedziała mi...

– Żadna z tego oddziału nie mówi wspólnym bez akcentu. Przyśniło ci się, Jaskier. To jest Brokilon. Tu niejedno może się przyśnić.

•

Na skraju lasu czekała na nich samotna driada. Jaskier poznał ją od razu – to była ta o zielonkawych włosach, która nocą przyniosła im światło i chciała go nakłonić do dalszego śpiewania. Driada uniosła

dłoń, nakazując im zatrzymać się. W drugiej ręce miała łuk ze strzałą na cięciwie. Wiedźmin położył dłoń na ramieniu trubadura i ścisnął mocno.

– Czy coś się dzieje? – szepnął Jaskier.

– Owszem. Bądź cicho i nie ruszaj się.

Gęsta mgła zalegająca w dolinie Wstążki tłumiała głosy i dźwięki, ale nie na tyle, by Jaskier nie zdołał usłyszeć plusku wody i pochrapywania koni. Rzekę przekraczali jeźdźcy.

– Elfy – domyślił się. – Scoia'tael? Uciekają do Brokilonu, prawda? Całe komando...

– Nie – odmruknął Geralt wpatrzony w mgłę. Poeta wiedział, że wzrok i słuch wiedźmina są niebywale bystre i czule, ale nie był w stanie odgadnąć, czy ocenia wzrokiem, czy słuchem. – To nie komando. To jest to, co zostało z komanda. Pięciu lub sześciu konnych, trzy luzaki. Zostań tu, Jaskier. Idę tam.

– *Gar'ean* – powiedziała ostrzegawczo zielonowłosa driada, unosząc łuk. – *N'te va, Gwynbleidd! Ki'rin!*

– *Thaess aep, Fauve* – odrzekł niespodziewanie ostro wiedźmin. – *M'aespar que va'en, ell'ea?* Proszę, strzelaj. Jeśli nie, zamknij się i nie próbuj mnie straszyć, bo mnie nie można już niczym przestraszyć. Muszę porozmawiać z Milwą Barring i zrobię to, czy ci się to podoba, czy nie. Zostań, Jaskier.

Driada opuściła głowę. Łuk też.

Z oparu wyłoniło się dziewięć koni i Jaskier zobaczył, że rzeczywiście tylko sześć niosło jeźdźców. Dostrzegł sylwetki driad wyłaniających się z zarośli i idących na spotkanie. Zauważył, że trzem konnym trzeba było pomóc zsiąść z wierzchowców i że trzeba było ich podtrzymywać, by byli w stanie iść w stronę zbawczych drzew Brokilonu. Inne driady jak duchy przemknęły przez wiatrołom i stok, zniknęły we mgle nad Wstążką. Z przeciwległego brzegu rozległ się krzyk, rżenie koni, plusk wody. Poecie wydało się też, że słyszy świst strzała. Ale nie był pewien.

– Ścigali ich... – mruknął. Fauve odwróciła się, zaciskając dłoń na łączysku.

– Ty śpiewaj taką pieśń, *taedh* – warknęła. – *N'te shaent a'minne*, nie o Ettariel. Kochanie, nie. Nie czas. Teraz czas zabijać, tak. Taka pieśń, tak!

– Ja – bąknął – nie jestem winien temu, co się dzieje...

Driada milczała przez chwilę, patrząc w bok.

– Ja też nie – powiedziała i szybko odeszła w gąszcz.

Wiedźmin wrócił, nim minęła godzina. Prowadził dwa osiodłane konie – Pegaza i gniadą klacz. Czaprak klaczy nosił ślady krwi.

– To koń elfów, prawda? Tych, którzy przeszli rzekę?

– Tak – odrzekł Geralt. Twarz i głos miał zmienione i obce. – To klacz elfów. Chwilowo jednak posłuży mnie. A gdy będę miał okazję, wymienię ją na konia, który umie nieść rannego, a gdy ranny spadnie, zostaje przy nim. Tej klaczy tego najwyraźniej nie nauczono.

– Odjeżdżamy stąd?

– Ty odjeżdżasz – wiedźmin rzucił poecie wodze Pegaza. – Bywaj, Jaskier. Driady odprowadzą cię ze dwie mile w górę rzeki, żebyś nie wpadł na żołdaków z Brugge, którzy pewnie wciąż kręcą się na tamtym brzegu.

– A ty? Zostajesz tu?

– Nie. Nie zostaję.

– Dowiedziałeś się czegoś. Od Wiewiórek. Dowiedziałeś się o Ciri, tak?

– Bywaj, Jaskier.

– Geralt... Posłuchaj mnie...

– Czego mam słuchać? – krzyknął wiedźmin i zająknął się nagle. – Ja jej przecież.... Nie mogę jej przecież zostawić na pastwę losu. Ona jest zupełnie sama... Ona nie może być sama, Jaskier. Nie zrozumiesz tego. Nikt tego nie zrozumie, ale ja to wiem. Jeśli ona będzie samotna, stanie się z nią to samo, co kiedyś... To, co kiedyś stało się ze mną... Nie zrozumiesz tego...

– Rozumiem. I dlatego jadę z tobą.

– Zwariowałeś. Czy wiesz, dokąd się wybieram?

– Wiem. Geralt, ja... Ja nie powiedziałem ci wszystkiego. Jestem... Czuję się winny. Nie uczyniłem niczego, nie wiedziałem, co należy uczynić... Ale teraz wiem. Chcę jechać z tobą. Chcę ci towarzyszyć. Nie powiedziałem ci... o Ciri, o plotkach, które krążą. Spotkałem znajomych z Koviru, a ci z kolei słyszeli relację posłów, którzy wrócili z Nilfgaardu... Domyślałem się, że te plotki mogły dotrzeć nawet do Wiewiórek. Że już wszystko wiesz od tych elfów, którzy przeszli Wstążkę. Ale pozwól... bym to ja... Bym to ja ci opowiedział...

Wiedźmin milczał długo, bezbrinnie opuściwszy rękę.

– Wskakuj na siodło – powiedział wreszcie zmienionym głosem. – Opowiesz mi w drodze.

•

Tego ranka w pałacu Loc Grim, letniej rezydencji imperatora, panowało niezwykle poruszenie. Tym bardziej niezwykle, że wszelkie poruszenia, wzruszenia i ożywienia absolutnie nie leżały w zwyczaju nilfgaardzkiej szlachty, a okazywanie niepokoju lub podniecenia uważano za objaw niedojrzałości. Podobne zachowanie traktowane było wśród nilfgaardzkich wielmożów tak nagannie i pogardliwie, że okazywania ożywienia czy podniecenia wstydziła się nawet niedojrzała młodzież, od której wszakże mało kto oczekiwał przyzwoitego zachowania.

Tego ranka w Loc Grim nie było jednak młodzieży. W Loc Grim młodzież nie miała czego szukać. Olbrzymią salę tronową pałacu zapelniali poważni i surowi arystokraci, rycerze i dworacy, wszyscy jak jeden mąż odziani w ceremonialną dworską czerń, ożywioną jedynie bielą kryz i mankietów. Mężczyznom towarzyszyły nieliczne, lecz równie poważne i surowe damy, którym zwyczaj zezwalał rozjaśnić czerń stroju odrobiną skromnej biżuterii. Wszyscy udawali, że są dostojni, poważni i surowi. A byli niesamowicie podnieceni.

- Powiadają, że jest brzydka. Chuda i brzydka.
- Ale to podobno królewska krew.
- Z nieprawego łoża?
- Nic podobnego. Legalna.
- Zasiądzie więc na tronie?
- Jeśli imperator tak postanowi...
- Do pioruna, spójrzcie tylko na Ardala aep Dahy i na księcia de Wett... Ależ mają miny... Jakby się octu napili...
- Ciszej, hrabio... Dziwisz się ich minom? Jeśli plotki się potwierdzą, Emhyr wymierzy policzek starym rodom. Upokorzy je...
- Plotki się nie potwierdzą. Imperator nie poślubi tej znajdy! Nie może tego uczynić...
- Emhyr wszystko może. Baczcie na słowa, baronie. Uważajcie, co mówicie. Byli już tacy, którzy twierdzili, że Emhyr nie może tego czy tamtego. Skończyli na szafocie.
- Powiadają, że już podpisał dekret o nadaniach dla niej. Trzysta grzywien renty, wyobrażacie sobie?
- I tytuł princessy. Czy któryś z was już ją widział?
- Natychmiast po przybyciu oddano ją pod opiekę hrabiny Liddertal, a dom otoczono gwardią.

- Powierzono ją hrabinie, by ta wpoila smarkuli trochę pojęcia o manierach. Mówią, że ta wasza princessa zachowuje się jak dziewczka z obory...

- Co w tym dziwnego? Pochodzi z Północy, z barbarzyńskiej Cintry...

- Tym mniej prawdopodobne są plotki o ożenku Emhyra. Nie, nie, to absolutnie niemożliwe. Imperator pojmie za żonę najmłodszą córkę de Wetta, tak jak planowano. Nie poślubi tej uzurpatorki!

- Najwyższy czas, by wreszcie kogoś poślubił. Ze względu na dynastię... Najwyższy czas, byśmy mieli małego arcyksięcia...

- Niech się więc żeni, ale nie z tą przybłądą!

- Ciszej, bez egzaltacji. Zaręczam wam, szlachetni panowie, że do tego związku nie dojdzie. Jaki cel miałby przyświecać takiemu mariażowi?

- To polityka, hrabino. Toczymy wojnę. Ten związek miałby znaczenie polityczne i strategiczne... Dynastia, z której pochodzi princessa, ma legalne tytuły i potwierdzone prawa lenne do ziem nad Dolną Yarrą. Gdyby została małżonką imperatora... Ha, to byłoby doskonałe posunięcie. Popatrzcie tylko tam, na posłów króla Esterada, jak szepczą...

- Popieracie tedy tę dziwną parantelę, mości książę? A może wręcz doradzaliście to Emhyrowi, co?

- To moja rzecz, margrabio, co popieram, a czego nie. A decyzji imperatora nie radziłbym wam kwestionować.

- A zatem podjął już decyzję?

- Nie sędzę.

- Jesteście więc w błędzie, nie sądząc.

- Co chcesz przez to powiedzieć, pani?

- Emhyr odprawił z dworu hrabinę Broinne. Nakazał, by powróciła do męża.

- Zerwał z Dervlą Tryffin Broinne? Nie może to być! Dervla była jego faworytą od trzech lat...

- Powtarzam, odprawił ją z dworu.

- To prawda. Powiadają, że Złotowłosa Dervla straszliwie się awanturowała. Czterech gwardzistów przemocą wsadzało ją do karety...

- Jej mąż się uraduje...

- Wątpię.

- Na Wielkie Słońce! Emhyr zerwał z Dervlą? Zerwał z nią dla tej znajdy? Dla tej dzikuski z Północy?

- Ciszej... Ciszej, do diaska...
- Kto to popiera? Które stronnictwo to popiera?
- Ciszej, prosiłam. Patrzą na nas...
- Ta dziewczka... Chciałem powiedzieć, princessa... Podobno jest brzydka... Gdy imperator ją zobaczy...
- Chcecie powiedzieć, że jeszcze jej nie widział?
- Nie miał czasu. Przybył z Darn Ruach przed godziną.
- Emhyr nigdy nie gustował w brzydkich. Aine Dermott... Clara aep Gwydolyn Gor... A Dervla Tryffin Broinne to przecież prawdziwa piękność...
- Może ta znajдка z czasem wyładnieje...
- Gdy się ją domyje? Księżniczki z Północy podobno myją się rzadko...
- Baczcie na słowa. Mówicie, być może, o małżonce imperatora...
- To jeszcze dziecko. Ma nie więcej niż czternaście lat.
- Powtarzam, to byłby związek polityczny... Czysto formalny...
- Gdyby tak było, Złotowłosa Dervla pozostałaby na dworze. Znajдка z Cintry politycznie i formalnie zasiadałaby na tronie obok Emhyra... Ale wieczorem Emhyr dawałby jej do zabawy tiarę i klejnoty koronne, a sam szedłby do sypialni Dervli... Przynajmniej do czasu, gdy smarkuła osiągnęłaby wiek, w którym bezpiecznie się rodzi.
- Hmmm... Tak... Coś w tym jest. Jak ma na imię ta... princessa?
- Xerella, czy jakoś tak.
- Skądże, nieprawda. Zwie się... Zirilla. Tak, chyba Zirilla.
- Barbarzyńskie imię.
- Ciszej, u kaduka...
- I więcej powagi. Zachowujecie się jak smarkacze!
- Baczcie na słowa! Baczcie, bym ich nie uznał za zniewagę!
- Jeśli żądacie satysfakcji, wiecie, gdzie mnie szukać, margrabio!
- Ciszej! Spokój! Imperator...

Herold nie musiał się specjalnie wysilać. Wystarczyło jednego uderzenia laską o posadzkę, by udekorowane czarnymi beretami głowy arystokratów i rycerzy schyliły się niby kłosa pod uderzeniem wichru. W sali tronowej zapanowała taka cisza, że głosu herold również nie musiał nadmiernie wyteżać.

- Emhyr var Emreis, Deithwen Addan yn Carn aep Morvudd!

Biały Płomień Tańczący na Kurhanach Wrogów wszedł na salę. Przemaszerował szpalerem szlachty swym zwykłym szparkim krokiem,

energicznie machając prawą ręką. Jego czarny strój niczym nie różnił się od stroju dworaków, jeśli nie liczyć braku kryzy. Ciemne włosy imperatora, jak zwykle nie ufryzowane, utrzymywała we względnym ładzie wąska złota obręcz, na szyi połyskiwał cesarski alszband.

Emhyr dość niedbale zasiadł na tronie na podwyższeniu, oparł łokieć na poręczy, a podbródek na dłoni. Nie zarzucił nogi na drugą poręcz tronu, co znaczyło, że ceremonia obowiązuje nadal. Żadna z pochylonych głów nie uniosła się nawet na cal.

Imperator chrząknął głośno, nie zmieniając pozycji. Dworacy odetchnęli i wyprostowali się. Herold ponownie uderzył laską o posadzkę.

- Cirilla Fiona Elen Riannon, królowa Cintry, księżna Brugge i diuszesa na Sodden, dziedziczka Inis Ard Skellig i Inis An Skellig, suzerenka Attre i Abb Yarra!

Wszystkie oczy zwróciły się ku drzwiom, w których stała wysoka i dostojna Stella Congreve, hrabina Liddertal. Zaś u boku hrabiny szła właścicielka wszystkich wymienionych przed momentem imponujących tytułów. Szczupła, jasnowłosa, niezwykle blada, lekko zgarbiona, w długiej błękitnej sukience. W sukience, w której najwyraźniej czuła się nieswojo i źle.

Emhyr Deithwen wyprostował się na tronie, a dworacy natychmiast zgięli się w ukłonach. Stella Congreve niezauważalnie popchnęła jasnowłosą dziewczynę, obie defilowały wzdłuż szpaleru kłaniających się arystokratów, przedstawicieli pierwszych rodów Nilfgaardu. Dziewczyna kroczyła sztywno i niepewnie. Potknie się, pomyślała hrabina.

Cirilla Fiona Elen Riannon potknęła się.

Nieładna i chuderława, pomyślała hrabina, zbliżając się do tronu. Niezgrabna, a do tego wszystkiego mało roztargnięta. Ale zrobię z niej piękność. Zrobię z niej królową, Emhyr, tak jak rozkazałeś.

Biały Płomień Nilfgaardu przyglądał się im z wysokości swego tronu. Jak zwykle, oczy miał lekko zmrużone, na wargach tańczył mu cień drwiącego uśmiechu.

Królowa Cintry potknęła się po raz wtóry. Imperator oparł łokieć na poręczy tronu, dotknął dłonią policzka. Uśmiechał się. Stella Congreve była już na tyle blisko, by rozpoznać ten uśmiech. Zmartwiała z

przerażenia. Coś jest nie tak, pomyślała ze zgrozą, coś jest nie tak. Polecą głowy. Na Wielkie Słońce, polecą głowy...

Odzyskała przytomność umysłu, ukloniła się, zmuszając do dygnięcia również dziewczynę.

Emhyr var Emreis nie wstał z tronu. Ale skłonił lekko głowę. Dworacy wstrzymali oddech.

– Królowo – przemówił Emhyr. Dziewczyna skurczyła się. Imperator nie patrzył na nią. Patrzył na zgromadzoną na sali szlachtę.

– Królowo – powtórzył. – Szczęśliwy jestem, mogąc powitać cię w moim pałacu i w moim państwie. Ręczę ci cesarskim słowem, że bliski jest dzień, w którym wszystkie należne tytuły powrócą do ciebie wraz z ziemiami, które są twym prawnym dziedzictwem, które legalnie i niezaprzeczalnie ci przynależą. Uzurpatorzy, którzy panoszą się w twych włościach, wszczęli ze mną wojnę. Zaatakowali mnie, głosząc przy tym, że bronią twoich praw i sprawiedliwych racji. Niech tedy cały świat dowie się, że to do mnie, nie do nich, zwracasz się o pomoc. Niech cały świat dowie się, że tu, w moim państwie, zażywasz przysługującej suzerence czci i królewskiego imienia, podczas gdy wśród mych wrogów byłeś jedynie wygnańcem. Niech cały świat wie, że w moim państwie jesteś bezpieczna, podczas gdy moi wrogowie nie tylko odmawiali ci korony, ale i usiłowali nastawić na twe życie.

Wzrok cesarza Nilfgaardu zatrzymał się na posłach Esterada Thyssena, władcy Koviru, i na ambasadorze Niedamira, króla Ligi z Hengfors.

– Niech cały świat pozna prawdę, a w tej liczbie i królowie, którzy zdawali się nie wiedzieć, po czyjej stronie jest słusność i sprawiedliwość. I niech cały świat dowie się, że pomoc będzie ci dana. Twoi i moi wrogowie zostaną pokonani. W Cintrze, w Sodden i Brugge, w Attre, na Wyspach Skellige i u ujścia Yarry znów zapanuje pokój, a ty zasiądziesz na tronie ku radości twych ziomków i wszystkich miłujących sprawiedliwość ludzi.

Dziewczyna w błękitnej sukience opuściła głowę jeszcze niżej.

– Zanim to się stanie – podjął Emhyr – będziesz w moim państwie traktowana z należnym ci szacunkiem, przeze mnie i przez wszystkich moich poddanych. A ponieważ w twoim królestwie wciąż jeszcze gorzej płomień wojny, w dowód czci, szacunku i przyjaźni Nilfgaardu nadaję ci tytuł princessy Rowan i Ymlac, pani na zamku Darn Rowan,

dokąd udasz się teraz, by oczekiwać nadejścia spokojniejszych, szczęśliwszych czasów.

Stella Congreve opanowała się, nie pozwoliła, by na jej twarzy zagościł choćby ślad zdziwienia. Nie zatrzyma jej przy sobie, pomyślała, wysyła ją do Darn Rowan, na koniec świata, tam gdzie sam nigdy nie bywa. Najwyraźniej nie ma zamiaru zalecać się do tej dziewczyny, nie myśli o szybkim ożenku. Najwyraźniej nie chce jej nawet widywać. Dlaczego więc pozbył się Dervli? O co tutaj chodzi?

Otrząsnęła się, szybko chwyciła *princessę* za rękę. Audycja była skończona. Gdy wychodziły z sali, cesarz nie patrzył na nie. Dworacy kłaniali się.

Gdy wyszły, Emhyr var Emreis zarzucił nogę na oparcie tronu.

– Ceallach – powiedział. – Do mnie.

Seneszał zatrzymał się w nakazanej ceremoniałem odległości od władcy, zgiął się w ukłonie.

– Bliżej – powiedział Emhyr. – Podejdź bliżej, Ceallach. Będę mówił cicho. A to, co powiem, przeznaczone jest wyłącznie dla twoich uszu.

– Wasza wysokość...

– Co jeszcze przewiduje się na dzisiaj?

– Przyjęcie listów uwierzytelniających i udzielenie formalnego *exequatur* posłowi króla Esterada z Koviru – wyrecytował szybko seneszał. – Mianowanie namiestników, prefektów i palatynów w nowych Prowincjach i Palatynatach. Zatwierdzenie tytułu hrabiowskiego i apanaży dla...

– Posłowi udzielimy *exequatur* i przyjmiemy go na prywatnej audycji. Pozostałe sprawy na jutro.

– Tak jest, wasza wysokość.

– Zawiadom wicehrabiego Eiddon i Skellena, że natychmiast po audycji ambasadora mają się stawić w bibliotece. Sekretnie. Ty także się tam stawisz. I przyprowadzisz tego waszego głośnego maga, tego wróżbitę... Jak mu tam?

– Xarthisius, wasza wysokość. Mieszka w wieży za miastem...

– Nie interesuje mnie jego mieszkanie. Poślesz po niego ludzi, mają go dostarczyć do moich komnat. Po cichu, bez rozgłosu, sekretnie.

– Wasza wysokość... Czy to rozsądne, aby ten astrolog...

– Wydałem rozkaz, Ceallach.

– Tak jest.

Nim minęły trzy godziny, wszyscy wezwani spotkali się w cesarskiej bibliotece. Wezwanie nie zdziwiło Vattiera de Rideaux, wicehrabiego Eiddon. Vattier był szefem wywiadu wojskowego. Emhyr wzywał Vattiera bardzo często – w końcu trwała wojna. Wezwanie nie zdziwiło też Stefana Skellena, zwanego Puszczkiem, pełniącego przy imperatorze funkcję koronera, specjalisty od służb i zadań specjalnych. Puszczka nigdy nic nie dziwiło.

Trzecia wezwana osoba była natomiast niezmiernie zdziwiona wezwaniem. Tym bardziej, że to do niej cesarz zwrócił się najpierw.

– Mistrzu Xarthisiusie.

– Wasza cesarska mość...

– Muszę ustalić miejsce pobytu pewnej osoby. Osoby, która zaginęła lub jest ukrywana. Może uwięziona. Czarodzieje, którym to już kiedyś zlecałem, zawiedli. Podejmiesz się?

– W jakiej odległości znajduje się... może się znajdować ta osoba?

– Gdybym wiedział, nie potrzebowałbym twoich guseł.

– Proszę o wybaczenie, wasza cesarska wysokość... – zająknął się astrolog. – Rzecz w tym, że duża odległość utrudnia astromancję, praktycznie wyklucza... Hem, hem... A jeśli ta osoba znajduje się pod magiczną protekcją... Mogę spróbować, ale...

– Krócej, mistrzu.

– Potrzebuję czasu... I komponentów do zaklęć... Jeśli koniunkcja gwiazd będzie pomyślna, to... Hem, hem... Wasza cesarska wysokość, to, o co prosicie, to rzecz niełatwa... Potrzebuję czasu...

Jeszcze chwila, a Emhyr każe go wbić na pal, pomyślał Puszczek. Jeśli czarownik nie przestanie bełkotać...

– Mistrzu Xarthisiusie – przerwał imperator niespodziewanie grzecznie, wręcz łagodnie. – Będziesz miał do dyspozycji wszystko, czego ci potrzeba. Również czas. W granicach rozsądku.

– Zrobię, co w mej mocy – oświadczył astrolog. – Ale będę mógł ustalić jedynie przybliżoną lokalizację... To znaczy rejon lub radius...

– Co?

– Astromancja... – zająknął się Xarthisius. – Przy dużych odległościach astromancja pozwala tylko na lokalizowanie przybliżone... Bardzo przybliżone, z dużą tolerancją... Z bardzo dużą tolerancją. Doprawdy, nie wiem, czy zdołam...

- Zdołasz, mistrzu - wycedził imperator, a jego ciemne oczy zabłyśły złowroźnie. - Jestem pełen wiary w twoje zdolności. A co do tolerancji, to im twoja będzie mniejsza, tym moja będzie większa.

Xarthisius skurczył się.

- Muszę znać dokładną datę urodzenia tej osoby - wybąkał. - W miarę możliwości, co do godziny... Cenny byłby też jakiś przedmiot, który do tej osoby należał...

- Włosy - powiedział cicho Emhyr. - Czy włosy mogą być?

- Oooo! - poweselał astrolog. - Włosy! To znacznie ułatwi... Ach, gdybym jeszcze mógł mieć kał albo mocz...

Oczy Emhyra zwęziły się niebezpiecznie, a mag skurczył się i zgiął w niskim ukłonie.

- Uniżenie przepraszam waszą cesarską mość... - zastękał. - Proszę wybaczenia... Rozumiem... Tak, włosy wystarczą... W zupełności wystarczą... Kiedy będę mógł je otrzymać?

- Jeszcze dziś będą ci dostarczone razem z datą i godziną urodzenia. Mistrzu, nie zatrzymuję cię dłużej. Wracaj do twojej wieży i zacznij śledzić konstelacje.

- Niech Wielkie Słońce ma w opiece waszą cesarską...

- Dobrze, dobrze. Możesz odejść.

Teraz my, pomyślał Puszczyk. Ciekawe, co nas czeka.

- Każdego - powiedział powoli imperator - kto piśnie słowo o tym, co będzie tu za chwilę powiedziane, czeka ćwiartowanie. Vattier!

- Słucham, wasza wysokość.

- Jaką drogą dotarła tu... ta princessa? Kto był w to zaangażowany?

- Od twierdzy Nastrog - zmarszczył czoło szef wywiadu - konwojowali jej wysokość gwardziści dowodzeni przez...

- Nie o to pytam, do diabła! Skąd dziewczyna wzięła się w Nastrogu, w Verden? Kto dostarczył ją do twierdzy? Kto jest tam obecnie komendantem? Czy to ten, od którego pochodził meldunek? Godyvron jakiś tam?

- Godyvron Pitcairn - powiedział szybko Vattier de Rideaux. - Był oczywiście poinformowany o misji Rience'a i grafa Cahira aep Ceallach. Trzy dni po wydarzeniach na wyspie Thanedd zjawilo się w Nastrogu dwóch ludzi. Dokładniej: jeden człowiek i jeden półkrwi elf. To oni, powołując się na polecenia Rience'a i grafa Cahira, przekazali Godyvronowi princessę.

- Aha - imperator uśmiechnął się, a Puszczyk poczuł zimno na plecach. - Vilgefortz zaręczał, że schwytą Cirillę na Thanedd. Rience gwarantował mi to samo. Cahir Mawr Dyffryn aep Ceallach otrzymał w tej sprawie wyraźne rozkazy. I oto do Nastrogu nad rzeką Yarra, trzy dni po aferze na wyspie, Cirillę przywożą nie Vilgefortz, nie Rience, nie Cahir, ale człowiek i półelf. Godyvron, oczywista rzecz, nie pomyślał o tym, aby obu aresztować?

- Nie. Ukarać go za to, wasza wysokość?

- Nie.

Puszczyk przełknął ślinę. Emhyr milczał, trąc czoło, ogromny brylant w jego pierścieniu błyszczał jak gwiazda. Po chwili cesarz podniósł głowę.

- Vattier.

- Wasza wysokość?

- Postawisz na nogi wszystkich swoich podkomendnych. Rozkazuję ująć Rience'a i grafa Cahira. Domniemywam, że obaj przebywają na terenach jeszcze nie zajętych przez nasze wojska. Wykorzystasz w tym celu Scoia'tael lub elfy królowej Enid. Obu aresztowanych dostarczyć do Darn Ruach i poddać torturom.

- O co pytać, wasza wysokość? - zmrużył oczy Vattier de Rideaux, udając, że nie widzi bladości, jaka pokryła twarz senesza Ceallacha.

- O nic. Później, gdy już trochę zmiękną, wypytam ich osobiście. Skellen!

- Słucham.

- Zaraz po tym, gdy ten piernik Xarthisius... Jeżeli ten bełkocący kopromanta zdoła ustalić to, co rozkazałem mu ustalić... Wtedy zorganizujesz na wskazanym przez niego terenie poszukiwania pewnej osoby. Rysopis otrzymasz. Nie wykluczam, że astrolog wskaże terytorium, nad którym mamy władzę, wówczas postawisz na nogi wszystkich, którzy za to terytorium odpowiadają. Cały aparat cywilny i wojskowy. To sprawa o najwyższym priorytecie. Zrozumiałeś?

- Tak jest. Czy mogę...

- Nie, nie możesz. Siadaj i słuchaj, Puszczyku. Xarthisius najprawdopodobniej nie ustali niczego. Osoba, której kazałem mu szukać, znajduje się zapewne na obcym terytorium i pod magiczną protekcją. Głowę daję, że poszukiwana osoba znajduje się w tym samym miejscu, co nasz tajemniczo zaginiony przyjaciel, czarodziej Vilgefortz z

Roggeveen. Dlatego też, Skellen, sformujesz i przygotujesz specjalny oddział, którym będziesz dowodził osobiście. Dobierzesz ludzi spośród najlepszych. Mają być gotowi na wszystko... i nieprzesądni. To znaczy nie lękający się magii.

Puszczyk uniósł brwi.

- Twój oddział - dokończył Emhyr - będzie miał za zadanie zaatakować i opanować ową nie znaną mi chwilowo, acz zapewne nieźle zamaskowaną i dobrze bronioną kryjówkę Vilgefirtza. Naszego byłego przyjaciela i sprzymierzeńca.

- Zrozumiałem - powiedział beznamiętnie Puszczyk. - Poszukiwanej osobie, którą tam zapewne zastanę, nie może, jak się domyślam, spaść włos z głowy?

- Dobrze się domyślasz.

- A Vilgefirtz?

- Jemu może - cesarz uśmiechnął się okrutnie. - Jemu nawet powinien spaść, raz na zawsze. Razem z głową. Innych czarodziejów, których zastaniesz w jego kryjówce, również to dotyczy. Bez wyjątków.

- Zrozumiałem. Kto zajmie się odnalezieniem kryjówki Vilgefirtza?

- Ty, Puszczyku.

Stefan Skellen i Vattier de Rideaux wymienili spojrzenia. Emhyr odchylił się na oparcie fotela.

- Wszystko jasne? A zatem... O co chodzi, Ceallach?

- Wasza wysokość... - jęknął seneszał, na którego nikt do tej pory zdawał się nie zwracać uwagi. - Dopraszam się łaski...

- Nie ma łaski dla zdrajców. Nie ma litości dla tych, którzy przeciwstawiają się mojej woli.

- Cahir... Mój syn...

- Twój syn... - Emhyr zmrużył oczy. - Nie wiem jeszcze, czym zawinił twój syn. Chciałbym wierzyć, że jego wina polegała tylko na głupocie i nieudolności, nie na zdradzie. Jeśli tak jest, będzie ścięty, nie łamany kołem.

- Wasza wysokość! Cahir nie jest zdrajcą... Cahir nie mógł...

- Dość, Ceallach, ani słowa więcej. Winni będą ukarani. Próbowali mnie oszukać, a tego im nie wybaczę. Vattier, Skellen, za godzinę stawicie się po odbiór podpisanych instrukcji, rozkazów i pełnomocnictw, po czym natychmiast przystapicie do wykonywania zadań. I jeszcze jedno: nie muszę chyba dodawać, że dziewczynina,

którą niedawno widzieliście w sali tronowej, ma dla wszystkich pozostać Cirillą, królową Cintry i princessą Rowan. Dla wszystkich. Rozkazuję, by traktować to jako tajemnicę stanu i sprawę najwyższej wagi państwowej.

Zebrani spojrzeli na imperatora ze zdziwieniem. Deithwen Addan yn Carn aep Morvudd uśmiechnął się lekko.

- Czyżbyście nie zrozumieli? Zamiast prawdziwej Cirilli z Cintry podesłali mi jakąś niedojdę. Ci zdrajcy zapewne łudzili się, że nie rozpoznam jej. Ale ja rozpoznam prawdziwą Ciri. Rozpoznam ją na końcu świata i w ciemnościach piekieł.

Wielce zagadkową jest sprawą, że jednorożec, choć niebywale płochliwy i ludzi się bojący, jeśli takową pannę napotka, która jeszcze z mężem cielesnie nie obcowiała, wnet przybieży do niej, uklęknie i bez nijakiego lęku głowę jej na podołku pokładzie. Ponoć w minionych a zamierzchłych czasach były takie panny, które istny proceder z tego sobie uczyniły. W bezżeństwie i wstrzeźliwości trwały lata długie po to, aby łowcom jako wabiki na jednorożce służyć mogły. Wnet się jednak wykawiło, że jednorożec jeno ku młodzieniutkim dziewicom idzie, starsze za nic sobie mając. Mądrym zwierzęciem będąc, jednorożec rozumie niechybnie, że ponad miarę w dziewictwie trwać podejrzaną i przeciwną naturze jest rzeczą.

Physiologus

Rozdział szósty

Obudziło ją gorąco. Oprzytomnił ją żar palący skórę jak katowskie żelazo.

Nie mogła poruszyć głową, coś ją trzymało. Szarpnęła się i zawyla z bólu, czując, jak rwie się i pęka skóra na skroni. Otworzyła oczy. Kamień, na którym opierała głowę, był brunatny od zakrzepłej i wyschniętej krwi. Obmacała skroń, wyczuła pod palcami twardy, spękany strup. Strup był przylepiony do kamienia, oderwał się od niego przy ruchu głowy, teraz ociekał krwią i osoczem. Ciri odkaslnęła, charknęła, wypłuła piasek wraz z gęstą, lepką śliną. Uniosła się na łokciach, potem usiadła, rozejrzała dookoła.

Zewsząd otaczała ją kamienista, szaroczerwona, pocięta jarami i uskokami równina, gdzieniegdzie wypiętrzająca się kopcami kamieni lub ogromnymi głazami o dziwacznych kształtach. Nad równiną, wysoko, wisiało wielkie, złote, rozpalone słońce, żółcące całe niebo, zniekształcające widoczność oślepiającym blaskiem i drganiem powietrza.

Gdzie ja jestem?

Dotknęła ostrożnie rozbitej, napuchniętej skroni. Bolało. Bardzo bolało. Musiałam wyciąć niezłego kozła, domyśliła się, musiałam zdrowo poszorować po ziemi. Nagle zauważyła poszarpaną, porozdzieraną odzież i odkryła nowe ogniska bólu – w krzyżu, w plecach, w ramieniu, na biodrach. Przy upadku pył, ostry piasek i żwir dostały się wszędzie – we włosy, do uszu, do ust, jak również do oczu, które piekły i łzały. Paliły dłonie i łokcie, pościerane do żywego mięsa.

Delikatnie i powoli rozprostowała nogi i jęknęła znowu, bo lewe kolano odpowiedziało na ruch dojmującym, tępym bólem. Obmacała je przez nie uszkodzoną skórę spodni, ale nie wyczuła opuchlizny. Przy wdechach czuła złowróżbne klucie w boku, a próba pochylenia tułowia sprawiła, że o mało nie krzyknęła, przeszyta ostrym spazmem, który odezwał się w dole pleców. Ale się potłukłam, pomyślała. Ale chyba niczego sobie nie połamałam. Gdybym połamała kości, bolałoby bardziej. Jestem cała, tylko trochę poobijana. Będę mogła wstać. I wstanę.

Powolutku, oszczędnymi ruchami przybrała pozycję, niezgrabnie uklękła, próbując chronić rozbite kolano. Potem stanęła na czworakach, stękając, pojękując i posykując. Wreszcie, po czasie, który wydał się jej wiecznością, wstała. Po to tylko, by natychmiast zwalić się ciężko na kamienie, bo mroczący oczy zawrót głowy momentalnie podciął jej nogi. Czując gwałtowną falę mdłości, położyła się na boku. Rozpalone głązy piekły jak rozżarzone węgle.

– Nie wstanę... – załkała. – Nie mogę... Spalę się na tym słońcu...

W głowie tętnił tępy, wredny, nieustępliwy ból. Każde poruszenie sprawiało, że ból się wzmacniał, więc Ciri przestała się poruszać. Zasłoniła głowę ramieniem, ale żar rychło stał się nie do wytrzymania. Zrozumiała, że jednak musi przed nim uciec. Pokonując obezwładniający opór obolałego ciała, mrużąc oczy od rwącego bólu w skroniach, na czworakach popęzła w stronę większego głązu, wysieczonego przez wichry w kształt dziwaczного grzyba, którego nieforemny kapelusz dawał u podstawy odrobinę cienia. Zwinęła się w kłębek, kaszląc i pociągając nosem.

Leżała długo, dopóty, dopóki wędrujące po niebie słońce nie dopadło jej znowu lejącym się z góry ogniem. Przesunęła się na drugą stronę głązu, po to tylko, by stwierdzić, że to na nic. Słońce stało w zenicie,

kamienny grzyb praktycznie nie dawał już cienia. Przycisnęła dłonie do pękających z bólu skroni.

Obudziły ją dreszcze wstrząsające całym ciałem. Ognista kula słońca straciła oślepiającą złocistość. Teraz, będąc już niżej, wisząc nad poszarpanymi, zębatymi skałami, była pomarańczowa. Upał zelżał nieco.

Ciri usiadła z trudem, rozejrzała się dookoła. Ból głowy ścichł, przestał oślepiać. Obmacała głowę i stwierdziła, że gorąco spaliło i wysuszyło strup na skroni, zmieniając go w twardą, śliską skorupę. Wciąż jednak bolało ją całe ciało, wydawało się, że nie ma na nim jednego zdrowego miejsca. Odchrząknęła, zgrzytnęła piaskiem w zębach, spróbowała splunąć. Bezskutecznie. Oparła się plecami o grzybokształtny głaz, wciąż jeszcze gorący od słońca. Wreszcie przestało prażyć, pomyślała. Teraz, gdy słońce chyli się ku zachodowi, jest już do wytrzymania, a niedługo...

Niedługo zapadnie noc.

Wzdrygnęła się. Gdzie ja, u diabła starego, jestem? Jak mam stąd wyjść? I którędy? Dokąd mam iść? A może nie ruszać się z miejsca, może czekać, aż mnie odnajdą? Przecież będą mnie szukać. Geralt. Yennefer. Przecież nie zostawią mnie samej...

Znowu spróbowała splunąć i znowu nie wyszło. I wtedy zrozumiała.

Pragnienie.

Pamiętała. Już wtedy, podczas ucieczki, męczyło ją pragnienie. Przy lęku siodła karego konia, którego dosiadła, uciekając do Wieży Mewy, była drewniana manierka, przypominała to sobie dokładnie. Ale nie mogła jej wtedy ani odtroczyć, ani unieść, nie miała czasu. A teraz manierki nie było. Teraz niczego nie było. Niczego prócz ostrych rozpalonych kamieni, prócz ściągającego skórę strupa na skroni, prócz bólu ciała i skurzonego gardła, któremu nie można było ulżyć nawet przełknięciem śliny.

Nie mogę tu zostać. Muszę iść i odnaleźć wodę. Jeśli nie odnajdę wody, zginę.

Spróbowała wstać, raniąc palce o kamienny grzyb. Wstała. Zrobiła krok. I ze skowytem zwała się na czworaki, wyprężyła w suchym, wymiotnym spazmie. Chwyciły ją kurcze i zawrót głowy, tak mocne, że ponownie musiała przybrać pozycję leżącą.

Jestem bezsilna. I sama. Znowu. Wszyscy mnie zdradzili, porzucili, zostawili samą. Tak jak kiedyś...

Ciri poczuła, jak gardło ściskają jej niewidzialne kleszcze, jak do bólu kurczą się mięśnie na szczękach, jak zaczynają drżeć spękane usta. Nie ma paskudniejszego widoku niż płacząca czarodziejka, przypomniła sobie słowa Yennefer. Ale przecież... Przecież nikt mnie tutaj nie zobaczy... Nikt...

Zwinięta w kłębek pod kamiennym grzybem, Ciri zaszlochała, zaniósł się suchym, strasznym płaczem. Bez łez.

Kiedy uniosła opuchnięte, stawiające opór powieki, stwierdziła, że żar jeszcze bardziej złagodniał, a żółte jeszcze niedawno niebo przybrało właściwą mu kobaltową barwę, o dziwo, przetykaną nawet cienkimi białymi pasemkami chmur. Słoneczna tarcza szczerwieniła, opuściła się niżej, ale nadal staczała na pustynię falujące, tętniące gorąco. A może gorąco biło z nagrzaných kamieni?

Usiadła, konstatuując, że ból w czaszce i potłuczonym ciele przestał dokuczać. Że obecnie był niczym w porównaniu ze ssącym cierpieniem rosnącym w żołądku i z okrutnym, zmuszającym do kaszlu drapaniem w wyschniętym gardle.

Nie poddawać się, pomyślała. Nie wolno się poddawać. Tak jak w Kaer Morhen, trzeba wstać, trzeba pokonać, zwalczyć, zdusić w sobie ból i słabość. Trzeba wstać i iść. Teraz przynajmniej znam kierunek. Tam, gdzie teraz jest słońce, jest zachód. Muszę iść, muszę znaleźć wodę i coś do jedzenia. Muszę. Inaczej zginę. To jest pustynia. Zaleciałam na pustynię. To, w co weszłam w Wieży Mewy, to był magiczny portal, czarodziejskie urządzenie, za pomocą którego można się przenosić na duże odległości...

Portal w Tor Lara był dziwnym portalem. Gdy wbiegła na ostatnią kondygnację, nie było tam nic, nawet okien, tylko gołe i pokryte grzybem ściany. I na jednej ze ścian zapłonął nagle regularny owal wypełniony opalizującą poświatą. Zawahała się, ale portal przyciągał, przyzywał ją, wręcz prosił. A innego wyjścia nie było, tylko ten świecący owal. Zamknęła oczy i weszła wewnątrz.

A potem była oślepiająca jasność i wściekły wir, podmuch pozbawiający oddechu i miażdżący żebra. Pamiętała lot wśród ciszy, zimna i pustki, potem znowu błysk i zachłyśnięcie się powietrzem. W górze był błękit, w dole zamazana szarość...

Wyrzucił ją w locie, tak jak orlik wypuszcza zbyt ciężką dla niego rybę. Gdy walnęła na kamienie, straciła przytomność. Nie wiedziała, na jak

długi czas.

Czytałam w świątyni o portalach, przypomniała sobie, wytrząsając piasek z włosów. W księgach były wzmianki o teleportach spaczonych albo chaotycznych, które niosą nie wiadomo dokąd i wyrzucają nie wiadomo gdzie. Portal w Wieży Mewy był pewnie właśnie taki. Wyrzucił mnie gdzieś na końcu świata. Nikt nie wie, gdzie. Nikt mnie tutaj nie będzie szukał i nikt nie znajdzie. Jeśli tu zostanę, umrę.

Wstała. Mobilizując wszystkie siły, przytrzymując się głazu, zrobiła pierwszy krok. Potem drugi. I trzeci.

Te pierwsze kroki uświadomiły jej, że sprzączki prawego buta są zerwane, a opadająca cholewka uniemożliwia marsz. Usiadła, tym razem w celowy, niewymuszony sposób, dokonała przeglądu ubrania i wyposażenia. Koncentrując się na tej czynności, zapomniała o zmęczeniu i bólu.

Pierwszą rzeczą, którą odkryła, był kordzik. Zapomniała o nim, pochwa przesunęła się do tyłu. Obok kordzika, jak zwykle, na pasku była mała sakiewka. Prezent od Yennefer. Zawierająca to, co „dama zawsze winna mieć przy sobie”. Ciri rozwiązała mieszek. Niestety, standardowy ekwipunek damy nie uwzględniał sytuacji, w której się znalazła. Sakiewka zawierała szylkretowy grzebyk, uniwersalny nożyk-pilnik do paznokci, opakowany, wyjałowiony tampon z lnianej tkaniny i jadeitowe pudełeczko maści do rąk.

Ciri natychmiast natarła maścią spieczoną twarz i usta, natychmiast też chciwie zlizła smarowidełko z warg. Nie zastanawiając się długo, wylizła całe pudełeczko, rozkoszując się tłustością i odrobiną kojącej wilgoci. Użyte do aromatyzowania maści rumianek, ambra i kamfora smakowały obrzydliwie, ale podziałały stymulująco.

Związała opadającą cholewkę wywleczonym z rękawa rzemykiem, wstała, tupnęła kilka razy, dla próby. Rozpakowała i rozwinęła tampon, zrobiła z niego szeroką opaskę chroniącą rozbitą skroń i przypieczone słońcem czoło.

Wstała, poprawiła pas, przesunęła kordzik bliżej lewego biodra, odruchowo wyjęła go z pochwy, sprawdziła klingę kciukiem. Była ostra. Wiedziała o tym.

Mam broń, pomyślała. Jestem wiedźminką. Nie, nie zginę tu. Co tam głód, wytrzymam, w świątyni Melitele czasem trzeba było pościć nawet i dwa dni. A woda... Wodę muszę znaleźć. Będę szła tak długo, aż znajdę.

Ta przeklęta pustynia musi się gdzieś kończyć. Gdyby to była wielka pustynia, wiedziałabym coś o niej, zauważyłabym ją na mapach, które oglądałam razem z Jarre'em. Jarre... Ciekawe, co on teraz robi...

Ruszam, zadecydowała. Idę na zachód, widzę, gdzie zachodzi słońce, to jedyny pewny kierunek. Przecież ja nigdy nie błędę, zawsze wiem, w którą stronę należy iść. Jeśli będzie trzeba, będę szła całą noc. Jestem wiedźminką. Gdy tylko wrócą mi siły, będę biec jak na Szlaku. Wtedy dotrę szybko do krańca tego pustkowia. Wytrzymam. Muszę wytrzymać... Ha, Geralt pewnie nieraz bywał na pustyniach takich jak ta, kto wie, czy nie bywał na jeszcze gorszych...

Idę.

Krajobraz nie zmienił się po pierwszej godzinie marszu. Dookoła nadal nie było nic, tylko kamienie, szaro-czerwone, ostre, osuwające się spod nóg, zmuszające do ostrożności. Rzadkie krzaki, suche i kolczaste, wyciągały ku niej z rozpadlin poskręcane pędy. Przy pierwszym napotkanym krzaku Ciri zatrzymała się, licząc, że trafi na liście lub młode gałązki, które można będzie wyssać i zżuć. Ale krzak miał tylko kaleczące palce ciernie. Nie nadawał się nawet do tego, by wyłamać z niego kij. Drugi i trzeci krzak były takie same, następne zlekceważyła, minęła, nie zatrzymując się.

Zmierzchało szybko. Słońce opuściło się nad zębaty, poszarpany horyzont, niebo rozbłysło czerwienią i purpurą. Wraz ze zmrokiem nadchodził chłód. Początkowo powitała go z radością, zimno kołoło spieczoną skórę. Wkrótce jednak zrobiło się jeszcze zimniej, a Ciri zaczęła szczekać zębami. Przyspieszyła kroku, licząc na to, że rozgrzeje ją ostry marsz, ale wysiłek znowu obudził ból w boku i w kolanie. Zaczęła utykać. Na domiar złego słońce całkiem skryło się za horyzontem i momentalnie zapanowała ciemność. Księżyc był w nowiu, a gwiazdy, od których skrzyło się niebo, nie pomagały. Ciri wkrótce przestała widzieć drogę przed sobą. Kilkakrotnie przewróciła się, boleśnie zdzierając skórę z nadgarstków. Dwukrotnie natrafiła stopą na rozpadlinę między kamieniami, przed złamaniem lub skrzyknięciem nogi uratował ją wyłącznie wyuczony wiedźmiński unik w upadku. Zrozumiała, że nic z tego. Marsz wśród ciemności był niemożliwy.

Usiadła na płaskim bloku bazaltu, czując obezwładniającą rozpacz. Nie miała pojęcia, czy idąc utrzymała kierunek, dawno już zgubiła miejsce, w którym słońce znikło za horyzontem, zupełnie straciła z oczu

poświatę, którą kierowała się w czasie pierwszych godzin po zachodzie. Dookoła była już tylko aksamitna, nieprzejrzana czern. I dojmujące zimno. Zimno, które paraliżowało, kasało stawy, zmuszało do garbienia się i wciągania głowy w obolałe od przykurczu ramiona. Ciri zaczęła tęsknić za słońcem, choć wiedziała, że wraz z jego powrotem zwali się na skały żar, którego nie będzie w stanie znieść. W którym nie będzie w stanie kontynuować marszu. Znowu poczuła, jak gardło ściska jej chęć płaczu, jak ogarnia ją fala rozpacz i beznadziei. Ale tym razem rozpacz i beznadzieja zamieniły się we wściekłość.

- Nie będę płakać! - krzyknęła w mrok. - Jestem wiedźminką! Jestem...

Czarodziejką.

Ciri uniosła ręce, przycisnęła dłonie do skroni. Moc jest wszędzie. Jest w wodzie, powietrzu, w ziemi...

Wstała szybko, wyciągnęła ręce, wolno, niepewnie postąpiła kilka kroków, gorączkowo szukając źródła. Miała szczęście. Prawie natychmiast poczuła w uszach znajomy szum i pulsowanie, poczuła energię bijącą z wodnej żyły skrytej w głębinach ziemi. Zacerpnęła Mocy razem z ostrożnym, powstrzymywanym wdechem, wiedziała, że jest osłabiona, a w takim stanie raptowne odtlenienie mózgu mogło momentalnie pozbawić ją przytomności, zniweczyć cały wysiłek. Energia powoli wypełniała ją, przynosiła znajomą, chwilową euforię. Płuca zaczęły pracować silniej i szybciej. Ciri opanowała przyspieszony oddech - zbyt intensywne dotlenianie też mogło mieć fatalne skutki.

Udało się.

Najpierw zmęczenie, pomyślała, najpierw ten paraliżujący ból w ramionach i udach. Potem zimno. Muszę podwyższyć temperaturę ciała...

Stopniowo przypominała sobie gesty i zaklęcia. Niektóre wykonywała i wypowiadała zbyt pośpiesznie - nagle chwyciły ją kurcze i drgawki, gwałtowny spazm i zawrót głowy podciął jej kolana. Usiadła na bazaltowej płycie, uspokoiła roztrzęsione ręce, opanowała rwący się, arytmiczny oddech.

Powtórzyła formuły, wymuszając na sobie spokój i precyzję, skupienie i pełną koncentrację woli. I tym razem skutek był natychmiastowy. Roztarła na udach i karku ogarniające ją ciepło. Wstała, czując, jak zmęczenie znika, a obolałe mięśnie odpuszczają się.

– Jestem czarodziejką! – krzyknęła triumfalnie, wysoko unosząc rękę.
– Przybądź, nieśmiertelne Światło! Wzywam cię! *Aen'drean va, eveigh Aine!*

Niewielka ciepła kula światła wyfrunęła z jej dłoni jak motyl, ciskając na kamienie ruchliwe mozaiki cienia. Wolno poruszając ręką, ustabilizowała kulę, ustawiła ją tak, by wisiała przed nią. To nie był najszcześniejszy pomysł – światło oślepiało ją. Spróbowała umieścić kulę za plecami, ale i to dało kiepski efekt – jej własny cień kładł się na drogę, pogarszał widoczność. Ciri powolutku przesunęła świetlistą sferę w bok, zawiesiła ją nieco powyżej prawego ramienia. Choć kula w oczywisty sposób nie umywała się do prawdziwej magicznej Aine, dziewczynka była niesłychanie dumna ze swego wyczynu.

– Ha! – powiedziała napuszczona. – Szkoda, że Yennefer tego nie widzi!

Raźno i energicznie podjęła marsz, krocząc szybko i pewnie, wybierając drogę w migotliwym i niepewnym *chiaroscuro*, rzucanym przez kulę. Idąc, starała się przypomnieć sobie inne zaklęcia, ale żadne nie wydawało się jej właściwe, przydatne w tej sytuacji, ponadto niektóre były bardzo wyczerpujące, bała się ich trochę, nie chciała używać bez wyraźnej konieczności. Niestety, nie знаła żadnego, które zdolne byłoby stworzyć wodę lub jedzenie. Wiedziała, że takowe istniały, ale żadnego z nich nie umiała zastosować.

W świetle magicznej sfery martwa dotychczas pustynia nagle nabrała życia. Spod nóg Ciri uciekały niezgrabne połyskliwe żuki i kosmate pająki. Niewielki rudożółty skorpion, wlokący za sobą segmentowany ogon, chyżo przebiegł jej drogę, zemknął w szczelinę między kamieniami. Zielona długoogoniasta jaszczurka prysnęła w mrok, szeleszcząc po żwirze. Zmykały przed nią podobne do wielkich myszy gryzonie, zwinnie i wysoko podskakujące na tylnych nogach. Kilkakrotnie dojrzała w ciemnościach odbłask oczu, a raz usłyszała mrozący krew w żyłach syk, dobiegający ze skalnego rumowiska. Jeżeli z początku nosiła się z zamiarem upolowania czegoś nadającego się do jedzenia, syk całkowicie zniechęcił ją do myszkowania wśród kamieni. Zaczęła uważniej patrzeć pod nogi, a przed oczami stanęły jej ryciny z ksiąg, które oglądała w Kaer Morhen. Gigantyczny skorpion. Scarletia. Przeraza. Wicht. Lamia. Krabopająk. Potwory żyjące na pustyniach. Szła, rozglądając się płochliwie i czujnie nadstawiając uszu, ściskając w spotniałej dłoni rękojeść kordzika.

Po kilku godzinach świetlista kula zmętniała, rzucany przez nią krąg światła zmalął, zmroczniał, rozmazał się. Ciri, koncentrując się z trudem, ponownie wypowiedziała zaklęcie. Kula na kilka sekund zatętniała jaśniejszym blaskiem, ale natychmiast szczerwieniła i przygasła znowu. Wysiłek zachwiał nią, zatoczyła się, przed oczami zatańczyły jej czarne i czerwone plamy. Usiadła ciężko, zgrzytając żwirem i luźnymi kamieniami.

Kula zgasła zupełnie. Ciri nie próbowała już zaklęć, wyczerpanie, pustka i brak energii, które czuła w sobie, z góry przekreślały szanse na sukces.

Przed nią, daleko na horyzoncie, wstawała niejasna poświata. Zmyliłam drogę, skonstatowała z przerażeniem. Wszystko pokręciłam... Z początku szłam na zachód, a teraz słońce wszędzie wprost przede mną, a to znaczy...

Poczuła obezwładniające zmęczenie i senność, której nie płoszył nawet trzęsący nią chłód. Nie zasnę, postanowiła. Nie wolno mi zasnąć... Nie wolno mi...

Obudziło ją przenikliwe zimno i rosnąca jasność, oprzytomnił skręcający wewnątrz ból brzucha, suche i dokuczliwe pieczenie w gardle. Spróbowała wstać. Nie mogła. Obolałe i zeszywniałe członki odmawiały posłuszeństwa. Macając dookoła dłońmi, poczuła pod palcami wilgoć.

– Woda... – wychrypiała. – Woda!

Trzęsąc się cała, uniosła się na czworaki, przypadła ustami do bazaltowych płyt, gorączkowo zbierając językiem osadzone na gładkiej powierzchni kropelki, wysysając wilgoć z zagłębień na nierównej powierzchni głazu. W jednym zebrała się bez mała półgarść rosy – wychleptała ją razem z piaskiem i żwirem, nie odważając się pluć. Rozejrzała się.

Ostrożnie, by nie uronić ani odrobinki, zebrała językiem błyszczące krople wiszące na cierniach karłowatego krzaka, który zagadkowym sposobem zdołał wyrosnąć spomiędzy kamieni. Na ziemi leżał jej kordzik. Nie pamiętała, kiedy wyjęła go z pochwy. Klinga była mętna od warstewki rosy. Skrupulatnie i dokładnie wylizała chłodny metal.

Pokonując usztywniający ciało ból, ruszyła na czworakach przed siebie, tropiąc wilgoć na dalszych kamieniach. Ale złota tarcza słońca wytrysnęła już ponad kamienisty horyzont, zalała pustynię oślepiającą

żółtą jasnością, błyskawicznie wysuszyła głazy. Ciri z radością przyjęła rosnące ciepło, była jednak świadoma faktu, że już niedługo, niemiłosiernie prażona, zateśkni do chłodu nocy.

Odwróciła się plecami do jaskrawej kuli. Tam, gdzie świeciła, był wschód. A ona musiała iść na zachód. Musiała.

Żar rósł, wzmagał się szybko, wkrótce stał się nie do wytrzymania. W południe wycieńczył ją tak, że rada nierada musiała zmienić kierunek marszu, by szukać cienia. Znalazła wreszcie osłonę: duży, podobny do grzyba głaz. Wpełzła pod niego.

I wtedy zobaczyła przedmiot leżący pomiędzy kamieniami. Było to jadeitowe, wylizane do czysta pudełeczko po maści do rąk.

Nie znalazła w sobie dość sił, by płakać.

•

Głód i pragnienie przemogły wyczerpanie i rezygnację. Zataczając się, podjęła marsz. Słońce paliło.

Daleko, na horyzoncie, za falującą zasłoną upału, zobaczyła coś, co mogło być tylko łańcuchem górskim. Bardzo dalekim łańcuchem górskim.

Gdy zapadła noc, z olbrzymim trudem zaczerpnęła Mocy, ale wyczarowanie magicznej kuli udało się jej dopiero po kilku próbach i wycieńczyło tak, że nie mogła iść dalej. Straciła całą energię, zaklęcia rozgrzewające i relaksujące nie udały się jej mimo wielu prób. Wyczarowane światło dodawało odwagi i podnosiło na duchu, ale chłód wyniszczał. Dojmujące, przenikliwe zimno trzęsło nią aż do świtu. Dygotała, niecierpliwie oczekując wschodu słońca. Wyjęła kordzik z pochwy, ułożyła go przezornie na kamieniu, by metal pokrył się rosą. Była potwornie wyczerpana, ale głód i pragnienie płoszyły sen. Dotrwała do świtu. Było jeszcze ciemno, gdy już zaczęła chciwie zlizywać rosę z klingi. Gdy się rozwidniło, natychmiast rzuciła się na czworaki, by szukać wilgoci w zagłębieniach i szczelinach.

Usłyszała syk.

Duża kolorowa jaszczurka siedząca na pobliskim bloku skalnym rozwierała na nią bezzębną paszczę, stroszyła imponujący grzebień, nadymała się i siekła kamień ogonem. Przed jaszczurką widniała malutka, wypełniona wodą szczelinka.

Ciri początkowo cofnęła się przestraszona, ale natychmiast ogarnęła ją rozpacz i dzika wściekłość. Macając dookoła rozdygotanymi dłońmi, ucała kanciasty złomek skały.

– To moja woda! – zawyla. – Moja!

Cisnęła kamieniem. Chybiła. Jaszczurka podskoczyła na długoszponiastych łapach, umknęła zwinnie w skalisty labirynt. Ciri przypadła do kamienia, wyssała resztkę wody z rozpadliny. I wtedy zobaczyła.

Za kamieniem, w okrągłej niecce, leżało siedem jaj wystających częściowo z czerwonego piasku. Dziewczynka nie zastanawiała się ani chwili. Na kolanach dopadła gniazda, chwyciła jedno z jaj i wpiła w nie zęby. Skórzasta skorupa pękła i oklapła jej w dłoni, lepka maź spłynęła do rękawa. Ciri wyssała jajo, oblizwała rękę. Przetykała z trudem i w ogóle nie czuła smaku.

Wyssała wszystkie jaja i została na czworakach, lepka, brudna, zapiaszczona, ze zwisającym z zębów glutem, gorączkowo grzebiąc w piasku i wydając nieludzkie, łkające odgłosy. Zamarła.

(Wyprostuj się, księżniczko! Nie opieraj łokci o stół. Uważaj, jak sięgasz do półmiska, powalasz koronki na rękawkach! Obetrzyj usta serwetką i przestań mlaskać! Bogowie, czy nikt nie nauczył tego dziecka, jak zachowywać się przy stole? Cirillo!)

Ciri rozplakała się, opierając głowę o kolana.

•

Wytrzymała w marszu do południa, potem upał zmógł ją i zmusił do odpoczynku. Drzemała długo, skryta w cieniu pod kamiennym uskokiem. Cień nie dawał chłodu, ale był lepszy niż palące słońce. Pragnienie i głód płoszyły sen.

Daleki łańcuch górski, jak się jej zdawało, palił się i błyszczał w słonecznych promieniach. Na szczytach tych gór, pomyślała, może leżeć śnieg, może tam być lód, mogą tam być strumienie. Muszę tam dotrzeć, muszę tam dotrzeć szybko.

Szła prawie całą noc. Postanowiła kierować się gwiazdami. Całe niebo było w gwiazdach. Ciri żałowała, że nie uważała na lekcjach i że nie chciało jej się studiować atlasów nieba, które były w świątynnej bibliotece. Znała, rzecz jasna, najważniejsze gwiazdozbiory – Siedem Kóz, Dżban, Sierp, Smoka i Zimową Pannę – ale te akurat leżały wysoko

na nieboskłonie i trudno było się nimi kierować w marszu. Udało się jej wreszcie wybrać z migoczącego mrowia jedną dość jasną gwiazdę, wskazującą, w jej mniemaniu, właściwy kierunek. Nie wiedziała, co to za gwiazda, więc sama nadała jej nazwę. Nazwała ją Okiem.

•

Szła. Łańcuch górski, ku któremu zmierzała, nie zbliżył się ani trochę – wciąż był tak samo daleko jak poprzedniego dnia. Ale wskazywał drogę.

Idąc, rozglądała się bacznie. Znalazła jeszcze jedno jaszczurcze gniazdo, były w nim cztery jaja. Wypatrzyła zieloną roślinkę, nie dłuższą od małego palca, która jakimś cudem zdołała wyrosnąć między głazami. Wytropiła dużego brunatnego chrząszcza. I cienkonogiego pajaka.

Zjadła wszystko.

•

W południe zwymiotowała to, co zjadła, po czym zemdląła. Gdy oprzytomiała, poszukała odrobiny cienia, leżała, zwinięta w kłębek, uciskając dłońmi bolący brzuch.

O zachodzie słońca podjęła marsz. Sztywno, jak automat. Kilkakrotnie padała, wstawiała, szła dalej.

Szła. Musiała iść.

•

Wieczór. Odpoczynek. Noc. Oko wskazuje drogę. Marsz aż do zupełnego wyczerpania, które przyszło na długo przed wschodem słońca. Odpoczynek. Płochy sen. Głód. Zimno. Brak magicznej energii, fiasko przy wyczarowywaniu światła i ciepła. Pragnienie tylko wzmagane rosą zlizywaną nad ranem z klingi kordzika i kamieni.

Gdy słońce weszło, zasnęła w rosnącym cieple. Obudził ją piekący żar. Wstała, by iść dalej.

Zemdląła po niecałej godzinie marszu. Gdy oprzytomniała, słońce stało w zenicie, prażyło. Nie miała sił, by szukać cienia. Nie miała sił, by wstać. Ale wstała.

Szła. Nie poddawała się. Przez prawie cały następny dzień. I część nocy.

•

Największy upał znowu przespała zwinięta w kłębek pod pochylonym, zarytym w piasku głazem. Sen był płochy i męczący – śniła się jej woda, woda, którą można było pić. Wielkie, białe, otoczone mgiełką i tęczą wodospady. Śpiewające strumienie. Małe leśne źródelka ocienione zanurzonymi w wodzie paprociami. Pachnące mokrym marmurem pałacowe fontanny. Omszałe studnie i przelewające się cebry... Krople ściekające z topniejących sopli lodu... Woda. Zimna ożywcza woda kłująca bólem zęby, ale o tak cudownym, niepowtarzalnym smaku...

Obudziła się, zerwała na równe nogi i zaczęła iść w kierunku, z którego przyszła. Wracala, zataczając się i padając. Musiała wrócić! Idąc minęła wodę! Minęła, nie zatrzymując się, szumiący wśród kamieni strumień! Jak mogła być taka nierozsądna!

Oprzytomniała.

Upał zelżał, zbliżał się wieczór. Słońce wskazywało zachód. Góry. Słońce nie mogło, nie miało prawa być za jej plecami. Ciri odpędziła zwidy, powstrzymała płacz. Odwróciła się i podjęła marsz.

•

Szła całą noc, ale bardzo wolno. Nie uszła daleko. Przysypiała w marszu, śniąc o wodzie. Wschodzące słońce zastało ją siedzącą na kamiennym bloku, zapatrzoną w klingę kordzika i obnażone przedramię.

Krew jest przecież płynna. Można ją pić.

Odpędziła zwidy i koszmary. Oblizła pokryty rosą kordzik i podjęła marsz.

•

Zemdlała. Oprzytomniała, palona słońcem i rozgrzаныmi kamieniami.

Przed sobą, za rozedrganą od gorąca kurtyną, widziała poszarpany, zębaty łańcuch gór.

Blżej. Znacznie blżej.

Ale nie miała już sił. Usiadła.

Kordzik w jej dłoni odbijał słońce, płonął. Był ostry. Wiedziała o tym.

Po co się męczysz, zapytał kordzik poważnym, spokojnym głosem pedantycznej czarodziejki, nazywanej Tissaia de Vries. Dlaczego skazujesz się na cierpienie? Skończ z tym nareszcie!

Nie. Nie poddam się.

Nie wytrzymasz tego. Czy wiesz, jak umiera się z pragnienia? Lada chwila oszalejesz, a wtedy już będzie za późno. Wtedy nie będziesz już umiała z tym skończyć.

Nie. Nie poddam się. Wytrzymam.

Schowała kordzik do pochwy. Wstała, zatoczyła się, upadła. Wstała, zatoczyła się, podjęła marsz.

Nad sobą, wysoko na żółtym niebie, zobaczyła sępa.

•

Gdy oprzytomniała ponownie, nie pamiętała, kiedy upadła. Nie pamiętała, jak długo leżała. Spojrzała w górę. Do krążącego nad nią sępa dołączyły dalsze dwa. Nie miała dość sił, by wstać.

Zrozumiała, że to już koniec. Przyjęła to spokojnie. Wręcz z ulgą.

•

Coś ją dotknęło.

Coś lekko i ostrożnie szturchnęło ją w ramię. Po długim okresie samotności, gdy otaczały ją wyłącznie martwe i nieruchome kamienie, dotknięcie sprawiło, że mimo wycieńczenia poderwała się gwałtownie – a przynajmniej spróbowała poderwać. To, co ją dotknęło, zaprychało i odskoczyło, tupiąc głośno.

Ciri usiadła z trudem, przecierając knykциями zaropiałe kąciaki oczu.

Oszalałam, pomyślała.

Kilka kroków przed nią stał koń. Zamrugła. To nie było złudzenie. To był naprawdę koń. Konik. Młody konik, prawie żrebak.

Oprzytomniała. Oblizła spękane usta i bezwiednie chrząknęła. Konik podskoczył i odbiegł, zgrzytając kopytami po żwirze. Poruszał się bardzo dziwnie i maść też miał nietypową – ni to bułąną, ni to szarą. Ale może tylko wydawał się taki, bo stał na tle słońca.

Konik prychnął i postąpił kilka kroczków. Teraz widziała go lepiej. Na tyle, by oprócz faktycznie nietypowej maści natychmiast zauważyć dziwne nieprawidłowości budowy – małą głowę, niezwykłą smukłość szyi, cieniutkie pęciny, długi, obfity ogon. Konik zatrzymał się i spojrzał na nią, odwracając łeb profilem. Ciri westchnęła bezgłośnie.

Z wysklepionego czoła konika sterczał róg, długi na co najmniej dwie piędzi.

Niemożliwa niemożliwość, pomyślała Ciri, przytomniejąc, zbierając myśli. Przecież jednorożców już nie ma na świecie, przecież wymarły.

Nawet w wiedźmińskiej księdze w Kaer Morhen nie było jednoroźca! Czytałam o nich tylko w *Księdze mitów* w świątyni... Aha, a w *Physiologusie*, który przeglądałam w banku pana Giancardiego, była ilustracja przedstawiająca jednoroźca... Ale jednorożec z ryciny bardziej przypominał kozła niż konia, miał kosmate pęciny i kozią brodę, a jego róg był długi chyba na dwa łokcie...

Dziwiło ją, że tak dobrze wszystko pamięta, zdarzenia, które miały miejsce setki lat temu. W głowie zawirowało jej nagle, wnętrzności skręcił ból. Jęknęła i zwinęła się w kłębek. Jednorożec prychnął i postąpił ku niej krok, zatrzymał się, uniósł wysoko głowę. Ciri nagle przypomniała sobie, co księgi mówiły o jednorożcach.

- Możesz śmiało podejść... - wychrypiała, próbując usiąść. - Możesz, bo ja jestem...

Jednorożec prychnął, odskoczył i odgalopował, zamasyście wywijając ogonem. Ale po chwili zatrzymał się, miotnął głową, grzebnął kopytem i zarżał głośno.

- Nieprawda! - zajęczała rozpaczliwie. - Jarre tylko raz mnie pocałował, a to się nie liczy! Wróć!

Wysiłek zmroczył jej oczy, bezwładnie opadła na kamienie. Kiedy wreszcie zdołała unieść głowę, jednorożec był znowu blisko. Patrząc na nią badawczo, pochylił głowę i prychnął cicho.

- Nie bój się mnie... - szepnęła. - Nie musisz, bo... Bo ja przecież umieram...

Jednorożec zarżał, potrząsając łbem. Ciri zemdlała.

•

Gdy się ocknęła, była sama. Obolała, zeszywniała, spragniona, głodna i sama jak palec. Jednorożec był mirażem, złudą, snem. I zniknął tak, jak znika sen. Rozumiała to, akceptowała, a jednak czuła żal i rozpacz, jak gdyby stworzenie faktycznie istniało, było przy niej i porzuciło ją. Tak jak wszyscy ją porzucili.

Chciała wstać, ale nie mogła. Oparła twarz na kamieniach. Powolutku sięgnęła do boku, namacała rękojeść kordzika.

Krew jest płynna. Muszę się napić.

Usłyszała stuk kopyt, prychnięcie.

- Wróciłeś... - szepnęła, unosząc głowę. - Naprawdę wróciłeś?

Jednorożec zaparował głośno. Zobaczyła jego kopyta, blisko, tuż przy niej. Kopyta były mokre. Wręcz ociekały wodą.

•

Nadzieja dodała jej mocy, przepełniła euforią. Jednorożec prowadził, Ciri szła za nim, wciąż nie mając pewności, że to nie sen. Gdy wyczerpanie jednak ją zmogło, szła na czworakach. Potem pełzła.

Jednorożec wwiódł ją między skały, do płytkiego jaru, którego dno wysłane było piaskiem. Ciri pełzła ostatkiem sił. Ale pełzła. Bo piasek był mokry.

Jednorożec zatrzymał się nad widocznym w piasku zagłębieniem, zarżał, silnie grzebnał kopytem, raz, drugi, trzeci. Zrozumiała. Podpełzła bliżej, pomogła mu. Ryła, łamiąc paznokcie, kopała, odgarniała. Chyba szłochała przy tym, ale nie była pewna. Gdy na dnie zagłębienia pojawiła się błotnista ciecz, natychmiast przypadła do niej ustami, chleptała mętną wodę razem z piaskiem, tak łapczywie, że ciecz znikła. Ciri z ogromnym wysiłkiem opanowała się, pogłębiła dół, pomagając sobie kordzikami, potem usiadła i czekała. Zgrzytała piaskiem w zębach i dygotała z niecierpliwości, ale czekała, aż zagłębienie znowu wypełni się wodą. A potem piła. Długo.

Za trzecim razem pozwoliła wodzie ustać się nieco, wypila ze cztery łyki bez piasku, z samym tylko mułem. I wtedy przypomniała sobie o jednorożcu.

– Też pewnie jesteś spragniony, Koniku – powiedziała. – A przecież nie będziesz pił błota. Żaden konik nie pije błota.

Jednorożec zarżał.

Ciri pogłębiła dołek, umacniając jego brzegi kamieniami.

– Zaczekaj, Koniku. Niech się trochę ustoi...

„Konik” prychnął, tupnął, odwrócił głowę.

– Nie bocz się. Pij.

Jednorożec ostrożnie zbliżył chrapy do wody.

– Pij, Koniku. To nie sen. To jest prawdziwa woda.

•

Ciri początkowo ociągała się, nie chciała odejść od źródelka. Właśnie wymyśliła nowy sposób picia polegający na wyciskaniu do ust moczony w pogłębionym dołku chustki, co pozwalało w znacznym stopniu odcedzać piasek i muł. Ale jednorożec nalegał, rżał, tupał, odbiegał,

wracał znowu. Nawoływał do marszu i wskazywał drogę. Ciri po głębszym zastanowieniu usłuchała – zwierzę miało rację, należało iść, iść w stronę gór, wyjść z pustyni. Ruszyła za jednorożcem, oglądając się i dokładnie notując w pamięci położenie źródła. Nie chciała błędzić, gdyby musiała tu wrócić.

Szli razem cały dzień. Jednorożec, którego nazywała Konikiem, prowadził. Był to dziwny konik. Gryzł i żuł badyle, których nie ruszyłyby nie tylko koń, ale i wygłodniała koza. A gdy przydybał wędrującą wśród kamieni kolumnę wielkich mrówek, też zaczął je jeść. Ciri początkowo przyglądała się temu ze zdumieniem, potem przyłączyła się do uczty. Była głodna.

Mrówki były strasznie kwaśne, ale może dzięki temu odechciewało się wymiotować. Poza tym mrówek było dużo i można było trochę popracować zeszytniałymi szczękami. Jednorożec zjadał całe owady, ona zadowalała się odwłokami, wypluwając twarde fragmenty chitynowych pancerzy.

Poszli dalej. Jednorożec wypatrzył kilka kęp pożółkłych ostów i zjadł je ze smakiem. Tym razem Ciri nie przyłączyła się. Ale gdy Konik znalazł w piachu jaszczurcze jaja, ona jadła, a on się przyglądał. Poszli dalej. Ciri wypatrzyła kępkę ostu, wskazała ją Konikowi. Po jakimś czasie Konik zwrócił jej uwagę na ogromnego czarnego skorpiona z ogonem długim chyba na półtorej piędzi. Ciri zdeptała paskudę. Widząc, że nie kwapi się jeść skorpiona, jednorożec zjadł go sam, a krótko po tym wskazał jej następne gniazdo jaszczurki.

To była, jak się okazywało, całkiem znośna współpraca.

•

Szli.

Łańcuch górski był coraz bliżej.

Gdy zapadała głęboka noc, jednorożec zatrzymywał się. Spał na stojąco. Ciri, obeznana z końmi, próbowała początkowo skłaniać go, by się położył – mogła spróbować spać na nim i korzystać z jego ciepła. Nic z tego nie wyszło. Konik boczył się i odchodził, wciąż zachowując dystans. W ogóle nie chciał zachować się w sposób klasyczny, opisany w uczonych księgach – najwyraźniej nie miał najmniejszego zamiaru składać głowy na jej podolku. Ciri była pełna wątpliwości. Nie wykluczała, że księgi łągały w kwestii jednorożców i dziewic, ale była też

i inna możliwość. Jednorożec był w oczywisty sposób jednorożcem żrebakiem, jako zwierzątko młode mógł guzik się znać na dziewicach. Możliwość, by Konik był w stanie wyczuwać i traktować poważnie te kilka dziwnych snów, jakie jej się kiedyś przyśniły, odrzuciła. Któż by traktował poważnie sny?

•

Trochę ją rozczerował. Wędrowali dwa dni i dwie noce, a on nie znalazł wody, choć szukał. Kilkakrotnie zatrzymywał się, kręcił głową, wodził rogiem, potem kłusował, penetrował skalne rozpadliny, grzebał kopytami w piachu. Znalazł mrówki, znalazł mrówcze jaja i larwy. Znalazł jaszczurcze gniazdo. Znalazł kolorowego węża, którego z ręcznie zatratował. Ale wody nie znalazł.

Ciri zauważyła, że jednorożec kluczy, nie trzyma się prostej linii marszu. Nabrała uzasadnionych podejrzeń, że stworzenie wcale nie mieszkało na pustyni. Że po prostu na niej zabłądziło.

Tak samo jak ona.

•

Mrówki, które zaczęli znajdować w obfitości, zawierały w sobie kwaśną wilgoć, ale Ciri coraz poważniej zaczęła się zastanawiać nad powrotem do źródła. Gdyby poszli jeszcze dalej i nie znaleźli wody, na powrót mogłoby nie wystarczyć sił. Upał był wciąż straszliwy, marsz wycieńczał.

Już miała zamiar zacząć tłumaczyć to Konikowi, gdy ten nagle zarżał przeciągle, machnął ogonem i pobiegł galopem w dół, między zębate skały. Ciri podążyła za nim, w marszu zjadając mrówcze odwłoki.

Wielką przestrzeń między skałami wypełniała szeroka piaszczysta łąka, a w jej środku widniało wyraźne zagłębienie.

– Ha! – ucieszyła się Ciri. – Mądry z ciebie konik, Koniku. Znowu odnalazłeś źródło. W tym dole musi być woda!

Jednorożec prychał przeciągle, okrążając zagłębienie lekkim kłusem. Ciri zbliżyła się. Zagłębienie było duże, miało co najmniej dwadzieścia stóp średnicy. Było precyzyjnie i równiutko koliste, przypominało lejek, tak regularny, jak gdyby ktoś odcisnął w piasku gigantyczne jajo. Ciri zrozumiała nagle, że tak regularny kształt nie mógł powstać samorzutnie. Ale już było za późno.

Na dnie leja coś poruszyło się, a w twarz Ciri uderzył gwałtowny grad piasku i żwiru. Odskokczyła, upadła i spostrzegła, że jedzie w dół. Strzelające fontanny żwiru biły nie tylko w nią – biły w krawędź leja, a krawędź osypywała się falami i wlokła ku dnu. Wrzasnęła, jak pływak młóćąc rękami, bezskutecznie próbując znaleźć oparcie dla nóg. Natychmiast zorientowała się, że gwałtowne ruchy tylko pogarszają sprawę, wzmagają osypywanie się piasku. Przekręciła się na wznak, zaparła obcasami i szeroko rozrzuciła ręce. Piasek na dnie dołu poruszył się i zafalował, dostrzegła wychylające się spod niego brązowe, zakończone hakami kleszcze, długie na dobre pół sążnia. Wrzasnęła znowu, tym razem znacznie głośniej.

Grad żwiru przestał nagle sypać się na nią, uderzył w przeciwną krawędź leja. Jednorożec stanął dęba, rżąc opętańczo, krawędź załamała się pod nim. Próbował wyrwać się z grząskiego piachu, ale nadaremnie – grzął w nim coraz bardziej i coraz szybciej osuwał się w kierunku dna. Straszliwe kleszcze zakłapały gwałtownie. Jednorożec zarżał rozpaczliwie, targnął się, bezsilnie bijąc przednimi kopytami osypujący się piasek. Tylne nogi miał zupełnie uwięzione. Gdy osunął się na samo dno leja, capnęły go okropne szczypce ukrytego w piachu stwora.

Słyszając dziki wizg bólu, Ciri wrzasnęła wściekle i rzuciła się w dół, wyszarpując kordzik z pochwy. Gdy tylko znalazła się na dnie, zrozumiała, że popełniła błąd. Potwór krył się głęboko, dźgnięcia kordzika nie dosięgały go poprzez warstwę piasku. Na domiar złego trzymany w potwornych kleszczach i wciągany w piaszczystą pułapkę jednorożec szalał z bólu, kwiczał, na oślep tłukł przednimi kopytami, grożąc jej pogruchotaniem kości.

Wiedźmińskie tańce i sztuczki były tu na nic. Ale istniało jedno dość proste zaklęcie. Ciri przywołała Moc i uderzyła telekinezą.

W górę frunęła chmura piachu, odsłaniając ukrytego potwora uczepionego uda kwiczącego jednorożca. Ciri wrzasnęła z przerażenia. Czegoś tak obrzydliwego nie widziała jeszcze nigdy w życiu, na żadnej ilustracji, w żadnej z wiedźmińskich ksiąg. Czegoś tak szkaradnego nie była sobie nawet w stanie wyobrazić.

Potwór był brudnoszary, obły i pękaty jak opita krwią pluskwa, wąskie segmenty baryłowatego korpusu pokrywała rzadka szczecina.

Nóg zdawał się w ogóle nie mieć, natomiast kleszcze miał prawie tak długie jak on sam.

Pozbawiony piaszczystej osłony stwór natychmiast puścił jednoroźca i zaczął się zakopywać szybkimi, gwałtownymi podrygami pękatego cielska. Szło mu to wyjątkowo sprawnie, a wydzierający się z leja jednorożec jeszcze mu pomagał, spychając w dół zwały piachu. Ciri ogarnął szal i żądza zemsty. Rzuciła się na ledwie już widoczną spod piachu szkaradę i wraziła kordzik w wysklepiony grzbiet. Zaatakowała od tyłu, przezornie trzymając się z daleka od kłapiących kleszczy, którymi potwór, jak się okazało, potrafił sięgnąć dość daleko za siebie. Dźgnęła znowu, a stwór zakopywał się w niesamowitym tempie. Ale nie zakopywał się w piachu, by uciec. Robił to po to, by zaatakować. Na to, by skryć się zupełnie, wystarczyły mu jeszcze dwa podrygi. Ukryty, gwałtownie pchnął falę żwiru, zagrzebując Ciri do połowy ud. Wyrwała się i rzuciła w tył, ale nie było dokąd uciekać – to ciągle był lej w sypkim piasku, każde poruszenie ciągnęło na dno. A piasek na dnie wybrzuszył się sunącą ku niej falą, z fali wyłoniły się szczękające, zakończone ostrymi hakami kleszcze.

Uratował ją Konik. Osunąwszy się na dno leja, potężnie uderzył kopytami w wybrzuszenie piachu zdradzające płytko ukrytego potwora. Pod dzikimi kopnięciami odsłonił się szary grzbiet. Jednorożec schylił łeb i przygwoździł straszydło rogiem, celnie, w miejscu, gdzie uzbrojona kleszczami głowa łączyła się z pękatym tułowiem. Widząc, że szczypce przytłoczonego do ziemi monstrum bezsilnie orzą piach, Ciri doskoczyła, z rozmachem wbiła kordzik w podrygujące cielsko. Wyszarpnęła ostrze, uderzyła jeszcze raz. I jeszcze raz. Jednorożec wyrwał róg i z impetem spuścił na beczkowaty korpus przednie kopyta.

Tratowane monstrum nie próbowało się już zakopywać. Nie poruszało się w ogóle. Piasek wokół niego zawilgotniał od zielonkawej cieczy.

Nie bez trudności wydostali się z leja. Odbiegłszy kilka kroków, Ciri bezwładnie zwała się na piasek, dysząc ciężko i dygocząc pod falami atakującej krtani i skronie adrenaliny. Jednorożec obszedł ją dookoła. Stapał niezgrabnie, z rany na udzie ciekła mu krew, spływając po nodze na pęczinę, znacząc kroki czerwonym śladem. Ciri podniosła się na czworaki i zwymiotowała gwałtownie. Po chwili wstała, zatoczyła się, podeszła do jednoroźca, ale Konik nie pozwolił się dotknąć. Odbiegł, po

czym przewrócił się na piach i wytarzał. A potem wyczyścił róg, kilkakrotnie dźgając nim w piasek.

Ciri też oczyściła i wytarła klingę kordzika, co i rusz niespokojnie zerkając w stronę niedalekiego leja. Jednorożec wstał, zarżał, podszedł do niej stępa.

– Chciałabym obejrzeć twoją ranę, Koniku.

Konik zarżał i potrząsnął rogatym łbem.

– Jeśli nie, to nie. Jeśli możesz iść, idziemy. Lepiej nie zostawajmy tu.

•

Niedługo potem pojawiła się na ich drodze kolejna rozległa ławica piachu, cała aż do krawędzi otaczających ją skał upstrzona wygrzebanymi w piasku lejami. Ciri przyglądała się z przerażeniem – niektóre leje były co najmniej dwukrotnie większe od tego, w którym niedawno walczyli o życie.

Nie odważyli się przeciąć ławicy, lawirując pomiędzy lejami. Ciri była przekonana, że leje były pułapkami na nieostrożne ofiary, a siedzące w nich monstra z długimi kleszczami były groźne tylko dla ofiar, które do lejów wpadały. Zachowując ostrożność i trzymając się z daleka od dołów, można było pokonać piaszczysty teren na przełaj, nie lękając się, że któryś z potworów wylezie z leja i zacznie ich gonić. Była pewna, że nie ma ryzyka – ale wolą nie sprawdzać. Jednorożec był najwyraźniej podobnego zdania – parsknął, prychnął i odbiegał, odciągał ją od ławicy piasku. Nadłożyli drogi, szerokim łukiem omijając niebezpieczny teren, trzymając się skał i twardego kamienistego gruntu, przez który żadna z bestii nie byłaby w stanie się przekopać.

Idąc, Ciri nie spuszczała z lejów oka. Kilkakrotnie widziała, jak z morderczych pułapek strzelały w górę fontanny piachu – potwory pogłębiały i odnawiały swoje siedziby. Niektóre leje były tak blisko siebie, że wyrzucany przez jedno monstrum żwir trafiał do innych dołków, alarmując ukryte na dnie stwory, a wtedy rozpoczynała się straszliwa kanonada, przez kilka chwil piasek świszczał i prał dookoła jak grad.

Ciri zastanawiała się, na co piaszkowe potwory polują na bezwonnym i martwym pustkowiu. Odpowiedź przyszła sama – z jednego z bliższych dołów szerokim łukiem wyfrunął ciemny przedmiot, z trzaskiem padając niedaleko nich. Po krótkiej chwili wahania zbiegła ze skał na

piasek. Tym, co wyleciało z leja, był trupek gryzonia przypominającego królika. Przynajmniej z futerka. Trupek był bowiem skurczony, twardy i suchy jak wiór, lekki i pusty jak pęcherz. Nie było w nim ani kropli krwi. Ciri wzdrygnęła się – wiedziała już, na co szkarady polują i jak się odżywiają.

Jednorożec zarżał ostrzegawczo. Ciri uniosła głowę. W najbliższej okolicy nie było żadnego leja, piasek był równy i gładki. I na jej oczach ten równy i gładki piasek wybrzuszył się nagle, a wybrzuszenie szybko zaczęło sunąć w jej stronę. Rzuciła wysrane truchelko i pędem umknęła na skały.

Decyzja, by ominąć piaszczystą ławicę, okazała się bardzo słuszną.

Poszli dalej, omijając najmniejsze nawet połacie piasku, stąpając wyłącznie po twardym gruncie.

Jednorożec szedł wolno, utykał. Z jego skaleczonego uda wciąż ciekła krew. Ale nadal nie pozwalał jej podejść i obejrzeć rany.

•

Piaszczysta ławica zwęziła się znacznie i zaczęła wić. Drobny i sypki piasek ustąpił miejsca grubemu żwirowi, potem otoczakom. Lejów nie widzieli już od dłuższego czasu, postanowili więc iść wytyczonym przez ławicę szlakiem. Ciri, choć znowu męczona pragnieniem i głodem, zaczęła poruszać się szybciej. Była nadzieja. Kamienista ławica nie była żadną ławicą. Była dnem rzeki płynącej od strony gór. W rzece nie było wody, ale rzeka prowadziła do źródeł – zbyt słabych i zbyt mało wydajnych, by wypełnić wodą koryto, ale pewnie wystarczających, by się napić.

Szła szybciej, ale musiała zwolnić. Bo jednorożec zwolnił. Szedł z wyraźnym trudem, utykał, powłóczył nogą, boki stawiał kopyto. Gdy przyszedł wieczór, położył się. Nie wstał, gdy podeszła. Pozwolił, by obejrzała ranę.

Były dwie rany, po obu stronach silnie napuchniętego, rozpalonego uda. Obie rany były zaognione, obie wciąż krwawiły, wraz z krwią z obydwu ciekła lepka, brzydko pachnąca ropa.

Potwór był jadowity.

•

Następnego dnia było jeszcze gorzej. Jednorożec ledwie szedł. Wieczorem położył się na kamieniach i nie chciał wstać. Gdy przy nim

ukłękła, sięgnął do zranionego uda chrapami i rogiem, zarżał. W tym rzeniu był ból.

Ropa ciekła coraz silniej, zapach był wstrętny. Ciri wydobyła kordzik. Jednorożec zawizzał cienko, spróbował wstać, zwałił się zadem na kamienie.

– Nie wiem, co mam robić... – załkała, patrząc na klingę. – Naprawdę nie wiem... Ranę trzeba pewnie przeciąć, wycisnąć ropę i jad... Ale ja nie umiem! Mogę skrzywdzić cię jeszcze bardziej!

Jednorożec spróbował unieść łeb, zarżał. Ciri usiadła na kamieniach, obejmując głowę dłońmi.

– Nie nauczyli mnie leczyć – powiedziała gorzko. – Nauczyli mnie zabijać, tłumacząc, że w ten sposób będę mogła ratować. To było wielkie kłamstwo, Koniku. Okłamali mnie.

Zapadała noc, ciemniało szybko. Jednorożec leżał, Ciri myślała gorączkowo. Nazbierała ostów i badyli rosnących w obfitości na brzegach wyschłej rzeki, ale Konik nie chciał ich jeść. Głowę złożył bezwładnie na kamieniach, nie próbował już jej unosić. Mrugał tylko okiem. W jego pysku pojawiła się piana.

– Nie mogę ci pomóc, Koniku – powiedziała zduszonym głosem. – Nie mam niczego...

Oprócz magii.

Jestem czarodziejką.

Wstała, wyciągnęła ręce. I nic. Potrzebowała dużo magicznej energii, a nie było ani śladu. Nie spodziewała się tego, była zaskoczona. Przecież żyły wodne są wszędzie! Zrobiła kilka kroków w jedną, potem kilka w drugą stronę. Zaczęła iść kołem. Cofnęła się.

Nic.

– Ty przekłeta pustynio! – krzyknęła, potrząsając pięściami. – W tobie nie ma nic! Ani wody, ani magii! A magia miała być wszędzie! To też było kłamstwo! Wszyscy mnie okłamali, wszyscy!

Jednorożec zarżał.

Magia jest wszędzie. Jest w wodzie, w ziemi, w powietrzu...

I w ogniu.

Ciri ze złością palnęła się pięścią w czoło. Nie przyszło jej to wcześniej do głowy, może dlatego, że tam, wśród gołych kamieni, nie było nawet czego palić. A teraz miała pod ręką suche osty i badyle, a do

wytworzenia malusieńkiej iskiejki powinno jej wystarczyć tej odrobiny energii, którą jeszcze w sobie czuła...

Nazbierała więcej patyków, ułożyła je w stosik, obłożyła suchym ostem. Ostrożnie wsunęła rękę.

– *Aenye!*

Stosik zajaśniał, płomień zamigotał, rozbłysnął, chwycił liście, pożarł je, strzelił w górę. Ciri dorzuciła badyli.

Co teraz, pomyślała, patrząc w ożywające płomienie. Czerpać? Jak? Yennefer zabraniała mi dotykać energii ognia... Ale ja nie mam wyboru! Ani czasu! Muszę działać! Patyki i liście spalą się szybko... Ogień zgaśnie... Ogień... Jaki on jest piękny, jaki ciepły...

Nie wiedziała, kiedy i jak to się stało. Zapatrzyła się w płomień i nagle poczuła łomotanie w skroniach. Chwyciła się za piersi, miała wrażenie, że pękają jej żebra. W podbrzuszu, kroczu i sutkach zatętnił ból, który momentalnie zamienił się w przerażającą rozkosz. Wstała. Nie, nie wstała. Wzleciała.

Moc wypełniła ją jak roztopiony ołów. Gwiazdy na nieboskłonie zatańczyły jak odbite na powierzchni stawu. Płonące na zachodzie Oko eksplodowało jasnością. Wzięła tę jasność, a wraz z nią Moc.

– *Hael, Aenye!*

Jednorożec zarżał dziko i spróbował się poderwać, opierając się na przednich nogach. Ręka Ciri uniosła się sama, dłoń sama złożyła się do gestu, usta same wykrzyczały zaklęcie. Z palców wypłynęła świetlista, falująca jasność. Ogień zahuczał płomieniami.

Bijące z jej ręki fale światła dotknęły zranionego uda jednorożca, skupiły się, wniknęły.

– Chce, byś był zdrowy! Chcę tego! *Vess’hael, Aenye!*

Moc eksplodowała w niej, przepełniła dziką euforią. Ogień wystrzelił w górę, dokoła pojaśniało. Jednorożec uniósł głowę, zarżał, potem nagle szybko poderwał się z ziemi, niezgrabnie postąpił kilka kroków. Wygiął szyję, sięgnął pyskiem uda, poruszył chrapami, zaparskał – jakby z niedowierzaniem. Zarżał głośno i przeciągle, wierzgnął, machnął ogonem i galopem obiegł ognisko.

– Uleczyłaś cię! – krzyknęła Ciri z dumą. – Uleczyłaś! Jestem czarodziejką! Udało mi się wyciągnąć moc z ognia! I mam tę moc! Mogę wszystko!

Odwróciła się. Rozpalone ognisko huczało, sypało iskrami.

- Nie musimy już szukać źródeł! Nie będziemy już pić rozgrzebanego błota! Ja teraz mam moc! Czuję moc, która jest w tym ogniu! Sprawię, że na tej przeklętej pustyni spadnie deszcz! Że woda tryśnie ze skał! Że wyrosną tu kwiaty! Trawa! Kalarepa! Ja teraz mogę wszystko! Wszystko!

Gwałtownie uniosła obie ręce, wykrzykując zaklęcia i skandując inwokacje. Nie rozumiała ich, nie pamiętała, kiedy się ich uczyła i czy kiedykolwiek się ich uczyła. To nie miało znaczenia. Czowała moc, czowała siłę, płonęła ogniem. Była ogniem. Dygotała od przenikającej ją potęgi.

Nocne niebo przeorała nagle wstęga błyskawicy, wśród skał i ostów zawył wicher. Jednorożec zarżał przenikliwie i stanął dęba. Ogień buchnął w górę, eksplodował. Nazbierane patyki i łodygi dawno już zwęgliły się, teraz płonęła sama skała. Ale Ciri nie zwróciła na to uwagi. Czowała moc. Widziała tylko ogień. Słyszała tylko ogień.

Możesz wszystko, szeptały płomienie, posiadłś naszą moc, możesz wszystko. Świat jest u twoich stóp. Jesteś wielka. Jesteś potężna.

Wśród płomieni postać. Wysoka młoda kobieta o długich, prostych kruczoczarnych włosach. Kobieta śmieje się, dziko, okrutnie, ogień szaleje dokoła niej.

Jesteś potężna! Ci, którzy cię skrzywdzili, nie wiedzieli, z kim zadzierają! Zemścij się! Odpłać im! Odpłać im wszystkim! Niech drżą ze strachu u twoich stóp, niech szczękają zębami, nie śmiejąc spojrzeć w górę, na twoją twarz! Niech skamlą o litość! Ale ty nie znaj litości! Odpłać im! Odpłać wszystkim i za wszystko! Zemsta!

Za plecami czarnowłosej ogień i dym, w dymie rzędy szubienic, szeregi pali, szafoty i rusztowania, góry trupów. To trupy Nilfgaardczyków, tych, którzy zdobyli i plądrowali CINTRĘ, którzy zabili króla EISTA i jej babkę Calanthe, tych, którzy mordowali ludzi na ulicach miasta. Na szubienicy kołysze się rycerz w czarnej zbroi, stryczek skrzypi, dookoła wisielca kłębią się wrony próbujące wydziobać mu oczy przez szpary skrzydlatego hełmu. Dalsze szubienice ciągną się aż po horyzont, wiszą na nich Scoia'tael, ci, którzy zabili Paulie Dahlberga w Kaedwen, i ci, którzy ścigali ją na wyspie Thanedd. Na wysokim palu podryguje czarodziej Vilgefortz, jego piękna, oszukańczo szlachetna twarz jest skurczona i sinoczarna od męki, ostry i zakrwawiony koniec pała wyziera mu z obojczyka... Inni czarodzieje z Thanedd klęczą na ziemi, ręce mają skrepowane na plecach, a zaostrome pale już czekają...

Słupy obłożone wiązkami chrustu wznoszą się aż po gorejący, poznaczony wstęgami dymu horyzont. Przy najbliższym słupie, przykrępowana łańcuchami, stoi Triss Merigold... Dalej Margarita Laux-Antille... Matka Nenneke... Jarre... Fabio Sachs...

Nie. Nie. Nie.

Tak, krzyczy czarnowłosa, śmierć wszystkim, odplać im wszystkim, pogardzaj nimi! Oni wszyscy skrzywdzili cię albo chcieli cię skrzywdzić! Mogą kiedyś zechcieć cię skrzywdzić! Pogardzaj nimi, bo nadszedł nareszcie czas pogardy! Pogarda, zemsta i śmierć! Śmierć całemu światu! Śmierć, zagłada i krew!

Krew na twoim ręku, krew na twej sukience...

Zdradzili cię! Oszukali! Skrzywdzili! Teraz masz moc, mścij się!

Usta Yennefer są pocięte i rozbite, broczą krwią, na jej rękach i nogach okowy, ciężkie łańcuchy przymocowane do mokrych i brudnych ścian lochu. Zgromadzony dookoła szafotu tłum wrzeszczy, poeta Jaskier kładzie głowę na pniu, błyska w górze ostrze katowskiego topora. Pod szafotem ulicznicy rozwijają chustę, by złapać na nią krew... Wrzask tłumy głuży uderzenie, od którego trzęsie się rusztowanie...

Zdradzili cię! Okłamali i oszukali! Wszyscy! Byłaś dla nich marionetką, byłaś kukiełką na patyku! Wykorzystali cię! Skazali na głód, na palące słońce, na pragnienie, na poniewierkę, na samotność! Nadszedł czas pogardy i zemsty! Masz moc! Jesteś potężna! Niech cały świat zadrży przed tobą! Niech cały świat zadrży przed Starszą Krwią!

Na szafot wprowadzają wiedźminów – Vesemira, Eskela, Coena, Lamberta. I Geralta... Geralt ślania się na nogach, jest cały we krwi...

– Nie!!!

Dookoła niej ogień, za ścianą płomieni dzikie rzenie, jednorożce stają dęba, potrząsają głowami, biją kopytami. Ich grzywy są jak postrzępione bojowe sztandary, ich rogi są długie i ostre jak miecze. Jednorożce są wielkie, wielkie jak rycerskie konie, znacznie większe od jej Konika. Skąd się tu wzięły? Skąd wzięło się ich tu aż tyle? Płomień z rykiem strzela w górę. Czarnowłosa kobieta unosi ręce, na jej rękach jest krew. Jej włosy rozwiewa żar.

Płoń, płoń, Falka!

– Precz! Odejdź! Nie chcę ciebie! Nie chcę twojej mocy!

Płoń, Falka!

– Nie chcę!

Chcesz! Pragniesz! Pragnienie i żądza wrą w tobie jak płomień, rozkosz zniewala cię! To jest potęga, to jest moc, to jest władza! To najrozkoszniejsza z rozkoszy świata!

Błyskawica. Grom. Wiatr. Łomot kopyt i rzenie szalejących dookoła ognia jednorożców.

– Nie chcę tej mocy! Nie chcę! Wyrzekam się jej!

Nie wiedziała, czy to ogień przygasł, czy to jej pociemniało w oczach. Upadła, czując na twarzy pierwsze krople deszczu.

•

Istocie należy odebrać istnienie. Nie można pozwolić, by istniała. Istota jest groźna. Potwierdzenie.

Przeczenie. Istota nie przywołała Mocy dla siebie. Uczyniła to, by ratować Ihuarraquax. Istota współczuje. To dzięki Istocie Ihuarraquax jest znowu wśród nas.

Ale Istota ma Moc. Jeśli zechce ją wykorzystać...

Nie będzie mogła jej wykorzystać. Nigdy. Wyrzekła się jej. Wyrzekła się Mocy. Całkowicie. Moc odeszła. To bardzo dziwne...

Nigdy nie zrozumiemy Istot.

I nie trzeba ich rozumieć! Odbierzmy Istocie istnienie. Zanim będzie za późno. Potwierdzenie.

Przeczenie. Odejdźmy stąd. Zostawmy Istotę. Pozostawmy ją jej przeznaczeniu.

•

Nie wiedziała, jak długo leżała na kamieniach, wstrząsana dreszczem, zapatrzona w niebo zmieniające kolory. Było na przemian ciemno i jasno, zimno i gorąco, a ona leżała, bezsilna, wysuszona i pusta jak tanto truchelko, tamten trupek gryzonia, wyspany i wyrzucony z leja.

Nie myślała o niczym. Była samotna, była pusta. Nie miała już nic i nie czuła w sobie niczego. Nie było pragnienia, głodu, zmęczenia, strachu. Zginęło wszystko, nawet wola przetrwania. Była tylko wielka, zimna, przeraźliwa pustka. Czuła tę pustkę całym jestestwem, każdą komórką organizmu.

Czuła krew na wewnętrznej stronie ud. Było jej to obojętne. Była pusta. Straciła wszystko.

Niebo zmieniało kolory. Nie poruszała się. Czy w pustce poruszanie się miało jakikolwiek sens?

Nie poruszyła się, gdy dokoła niej załomotały kopyta, zadzwoniły podkowy. Nie zareagowała na głośnie okrzyki i nawoływania, na podniecone głosy, na parskanie koni. Nie poruszyła się, gdy chwyciły ją twarde, silne ręce. Podniesiona, obwisła bezwładnie. Nie zareagowała na szarpania i potrząsania, na ostre, gwałtowne pytania. Nie rozumiała ich i nie chciała rozumieć.

Była pusta i obojętna. Obojętnie przyjęła wodę, tryskającą jej na twarz. Gdy przystawiono jej manierkę do ust, nie zakrztusiła się. Piła. Obojętnie.

Później też była obojętna. Wciągnięto ją na lęk. Krocze było tkliwe i bolało. Dygotała, więc okrecono ją derką. Była bezwładna i miękka, leciała przez ręce, więc przywiązano ją pasem do siedzącego za nią jeźdźca. Jeździec śmierdzał potem i uryną. Było jej to obojętne.

Dokoła byli konni. Wielu konnych. Ciri patrzyła na nich obojętnie. Była pusta, straciła wszystko. Nic już nie miało znaczenia.

Nic.

Nawet to, że komenderujący konnymi rycerz miał na hełmie skrzydła drapieżnego ptaka.

Gdy podłożono ogień pod stos zbrodniarki i gdy ogarnęły ją płomienie, lżyć owa poczęła zebranych na placu rycerzy, baronów, czarodziejów i panów rajców słowy tak okropnemi, że groza wszystkich przejęła. Choć wprzód wilgotnemi jeno polany stos obłożono, by diablica nie szczęła za prędko i snadniej katuszy ognia zaznała, teraz czem prędzej rozkazano suszu dorzucić i kaźń zakończyć. Ale iście demon siedział w onej przeklętnicy, bo choć już skwierczała grzecznie, okrzyku boleści nie wydała, jeno straszliwsze jeszcze klątwy miotać jęła. „Zrodzi się mściciel z mojej krwi – zakrzyknęła w głos. – Zrodzi się ze skalanej Starszej Krwi niszczyciel narodów i światów! On pomści mękę moją! Śmierć, śmierć i pomsta wam wszystkim i pokoleniom waszym!” Tyle jeno zdołała wykrzyczeć, nim zgorzała. Tak zginęła Falka, taką karę poniosła za przelaną krew niewinną.

Roderick de Novembre,
Historia świata, tom II

Rozdział siódmy

– Popatrzcie na nią. Spalona słońcem, pokaleczona, wykurzona. Wciąż pije, by gąbka, a wygłodniała, że strach. Powiadam wam, ona ze wschodu przyszła. Przeszła przez Korath. Przez Patelnię.

– Bajesz! Na Patelni nikt nie przeżyje. Z zachodu szła, od gór, korytem Suchaka. Ledwo o skraj Korathu zawadziła, a i tego było dość. Gdyśmy ją znaleźli, padła już, bez ducha leżała.

– Na zachodzie takż pustkowie milami się ciągnie. Skąd tedy szła?

– Nie szła, ino jechała. Kto wie, z jak daleka. Ślady kopyt były podle niej. Musiał ją koń w Suchaku zwalić, dlatego pobita, posiniaczona.

– Czemu ona taka dla Nilfgaardu ważna, ciekawym? Gdy nas prefekt na poszukiwanie posłał, dumałem, jakasi ważna szlachcianka zaginęła. A ta? Zwykły kopciuch, obdarte pomiotło, do tego kołowata niemowa. Iście nie wiem, Skomlik, czyśmy tą co trza naszli...

– Ona to. Zwykła zasię nie jest. Zwykłą byśmy nieżywą znaleźli.

- Niewiele brakowało. Deszcz ją ani chybi uratował. Zaraza, najstarsze dziady deszczu na Patelni nie pamiętają. Chmury zawsze omijają Korath... Nawet gdy w dolinach pada, tam jedna kropla nie spadnie!

- Pożrzyjcie na nią, jak to ćpa. Jakby tydzień w gębie nic nie miała... Ej, ty, poćpiego! Smaczna li słonina? Chlebek suchy?

- Po elfiemu pytaj. Albo po nilfgaardzku. Ona po ludzku nie rozumie. To elfi pomiot jakiś...

- To przygłup, niedojda. Gdy ją rano na konia wsadzałem, jakbym kukłę z drewna wsadzał.

- Oczów nie macie - błysnął zębami ten nazywany Skomlikiem, potężny i łysawy. - Co z was za Łapacze, jeśliście się jeszcze na niej nie poznali! Ani ona głupia, ani nierozumna. Udaje jeno. To dziwna i chytra ptaszka.

- A czemu taka dla Nilfgaardu ważna? Nagrodę obiecali, wszędy patrole pognały... Czemu?

- Tego nie wiem. Ale jakby ją dobrze zapytać... Pletnią po grzbiecie zapytać... Ha! Miarkowaliście, jak na mnie spojrzała? Wszystko pojmuje, słucha bacznie. Hej, dziewczko! Jam jest Skomlik, tropiciel, Łapaczem zwany. A to, pojrzyj no tu, to jest nahajka, batem zwana! Miła ci na plecach skóra? To gadaj wraz...

- Dosyć! Milczeć!

Głośny, ostry, nie tolerujący sprzeciwu rozkaz padł od drugiego ogniska, przy którym siedział rycerz wraz ze swym giermkim.

- Nudzicie się, Łapacze? - spytał groźnie rycerz. - Tedy jazda do roboty! Konie oporządzić! Zbroję moją i oręż wyczyścić! Do lasu po drwa! A dziewczyny nie tykać! Zrozumieliście, chamy?

- Iście, szlachetny panie Sweers - bąknął Skomlik. Jego kamraci pospuszczali głowy.

- Do roboty! Wykonać rozkazy!

Łapacze zakrzęcali się.

- Dola nas pokarała tym zasrańcem - zamamrotał jeden. - Że też prefekt jego akurat nad nami postawił, rycerza chędożonego...

- Ważny - bąknął z cicha drugi, oglądając się chyłkiem. - A wždy to my, Łapacze, dziewczkę odnaleźlim... Nasz to niuch sprawił, żeśmy w koryto Suchaka pojechali.

- Ano. Zasluga nasza, a wielmożny nagrodę weźmie, nam leda jaki grosz skapnie... Florena pod nogi rzuca, masz, pry, Łapaczu, podziękuj

za pańską łaskę...

- Zamknijcie gęby - syknął Skomlik - bo jeszcze usłyszycie...

Ciri została przy ognisku sama. Rycerz i giermek patrzyli na nią badawczo, ale nie odzywali się.

Rycerz był starszym, ale krzepkim mężczyzną o surowej, poznaczonej bliznami twarzy. W czasie jazdy zawsze miał na głowie hełm z ptasimi skrzydłami, ale nie były to te skrzydła, które Ciri widywała w sennych koszmarach, a potem na wyspie Thanedd. To nie był Czarny Rycerz z Cintry. Ale był to rycerz nilfgaardzki. Gdy wydawał rozkazy, mówił wspólnym płynnie, ale z wyraźnym akcentem, podobnym do akcentu elfów. Ze swym gierkiem, chłopakiem niewiele starszym od Ciri, rozmawiał natomiast językiem zbliżonym do Starszej Mowy, ale mniej śpiewnym, twardszym. Musiał to być język nilfgaardzki. Ciri, dobrze znająca Starszą Mowę, rozumiała większość słów. Ale nie zdradzała się z tym. Na pierwszym postoju, na skraju pustyni, którą nazywano Patelnią lub Korathem, nilfgaardzki rycerz i jego giermek zasypali ją pytaniami. Wtedy nie odpowiadała, bo była obojętna i oszołomiona, półprzytomna. Po kilku dniach jazdy, gdy wyjechali ze skalistych wąwozów i zjechali w dół, w zielone doliny, Ciri oprzytomniała, zaczęła wreszcie dostrzegać świat wokół siebie i ospale reagować. Ale nadal nie odpowiadała na pytania, więc rycerz w ogóle przestał się do niej odzywać. Zdawało się, że nie zwraca na nią uwagi. Zajmowali się nią tylko drabi każący nazywać się Łapaczami. Ci też próbowali ją wypytywać. Byli agresywni.

Ale Nilfgaardczyk w skrzydlatym hełmie prędko przywołał ich do porządku. Było jasne i oczywiste, kto tu jest panem, a kto sługą.

Ciri udawała niemądrą niemowę, ale pilnie nadstawiała uszu. Powoli zaczynała rozumieć swoją sytuację. Wpadła w łapy Nilfgaardu. Nilfgaard jej szukał i znalazł, niewątpliwie wysłedziwszy trasę, którą posłał ją chaotyczny teleport z Tor Lara. To, co nie udało się Yennefer, nie udało się Geraltowi, udało się skrzydlatemu rycerzowi i tropicielom Łapaczom.

Co stało się na Thanedd z Yennefer i Geraltem? Gdzie była? Miała najgorsze podejrzenia. Łapacze i ich herszt, Skomlik, mówili prostacką, niechlujną wersją wspólnego, ale bez nilfgaardzkiego akcentu. Łapacze byli zwykłymi ludźmi, ale służyli rycerzowi z Nilfgaardu. Łapacze cieszyli się na myśl o nagrodzie, jaką za odnalezienie Ciri wypłaci im prefekt. We florenach.

Jedynymi krajami, gdzie obiegową monetą był floren, a ludzie służyli Nilfgaardczykom, były zarządzane przez prefektów cesarskie Prowincje na dalekim Południu.

•

Następnego dnia, na popasie nad brzegiem strumienia, Ciri zaczęła zastanawiać się nad możliwością ucieczki. Magia mogła jej pomóc. Ostrożnie spróbowała najprostszego zaklęcia, delikatnej telekinezy. Ale jej obawy potwierdziły się. Nie miała w sobie nawet krzty czarodziejskiej energii. Po nierozsądnej zabawie z ogniem zdolności magiczne opuściły ją całkowicie.

Zobojętniała znowu. Na wszystko. Zamknęła się w sobie i pogrążyła w apatii. Na długo.

Do dnia, w którym drogę przez wrzosowiska zajechał im Błękitny Rycerz.

•

- Aj, aj - mruknął Skomlik, patrząc na zagradzających im drogę konnych. - Bieda będzie. To Varnhageny z fortu Sarda...

Konni zbliżyli się. Na czele, na potężnym siwku, jechał olbrzym w szmelcowanej, błękitno połyskującej zbroi. Tuż za nim trzymał się drugi pancerny, z tyłu podążało dwóch jeźdźców w prostych burchach, niewątpliwie pacholków.

Nilfgaardczyk w skrzydlatym hełmie wyjechał na spotkanie, wstrzymując gniadosza w tanecznym klusie. Jego giermek pomacał rękojeść miecza, odwrócił się na kulbace.

- Stać z tyłu i pilnować dziewczyny - warknął do Skomlika i jego Łapaczy. - Nie mieszać się!

- Niegłupim - rzekł cicho Skomlik, gdy tylko giermek się oddalił. - Niegłupim, by mieszać się do wasni panów z Nilfgaardu...

- Będzie bitka, Skomlik?

- Niechybnie. Między Sweersami a Varnhagenami rodowa wróżda i krwawa zemsta. Z koni. Strzeżcie dziewczki, bo w niej nasz spor i zysk. Jeśli się poszczęści, całą nagrodę za nią weźmiemy.

- Varnhageny pewnością też dziewczki szukają. Gdyby przeważyli, odbiorą nam ją... Nas ino czterech...

- Pięciu - błysnął zębami Skomlik. - Jeden z ciurów z Sardy to zda się mój swojak. Uwidzicie, z tej draki dla nas będzie spor, nie dla panów

rycerzów...

Rycerz w błękitnej zbroi ściągnął wodze siwka. Skrzydlaty stanął naprzeciw. Towarzysz Błękitnego podkłusował, zatrzymał się z tyłu. Jego dziwaczny szyszak ozdobiony był dwoma pasami skóry zwisającymi z zasłony i wyglądającymi jak dwa wielkie wasy lub morsie kły. W poprzek siodła Dwa Kły trzymał groźnie wyglądającą broń, przypominającą nieco szponton noszony przez gwardzystów z Cintry, ale mający znacznie krótsze drzewce i dłuższe żeleźce.

Błękitny i Skrzydlaty wymienili kilka słów. Ciri nie dosłyszała jakich, ale ton obu rycerzy nie pozostawiał wątpliwości. Nie były to słowa przyjazne. Błękitny nagle uniósł się na kulbace, wskazał gwałtownie na Ciri, powiedział coś głośno i gniewnie. Skrzydlaty w odpowiedzi krzyknął równie gniewnie, machnął ręką w pancernej rękawicy, najwyraźniej każąc Błękitnemu iść precz. I wtedy się zaczęło.

Błękitny wałnął siwka ostrogami i runął do przodu, wyszarpując topór z uchwytu przy siodle. Skrzydlaty spał gniadosza, wyrywając miecz z pochwy. Zanim jednak pancerni zdążyli zewrzeć się w boju, zaatakował Dwa Kły, popędzając konia do galopu drzewcem szpontonu. Giermek Skrzydlatego skoczył na niego, dobywając miecza, ale Dwa Kły uniósł się na kulbace i cisnął mu szponton prosto w pierś. Długie żeleźce z trzaskiem przebiło kaplerz i kolczugę, giermek jęknął rozdzierająco i runął z konia na ziemię, oburącz trzymając drzewce wbite aż po krzyżyk.

Błękitny i Skrzydlaty zderzyli się z hukiem i łomotem. Topór był groźniejszy, ale miecz szybszy. Błękitny dostał w bark, fragment szmelcowanego naręczaka poleciał w bok, wirując i powiewając rzemieniem, jeździec zachwiał się w siodle, na błękitnej zbroi załśniły karminowe smugi. Galop rozdzielił walczących. Skrzydlaty Nilfgaardczyk zawrócił gniadosza, ale wtedy wpadł na niego Dwa Kły, oburącz wznosząc miecz do ciosu. Skrzydlaty szarpnął wodze, Dwa Kły, kierujący koniem tylko nogami, przecwałował obok. Skrzydlaty zdążył jednak rąbnąć go w przelocie. Na oczach Ciri blacha naramiennika wgłębiała się, spod blachy buchnęła krew.

Już wracał Błękitny, wywijając toporem i wrzeszcząc. Obaj pancerni w pędzie wymienili huczące ciosy, rozdzielili się. Na Skrzydlatego znowu wpadł Dwa Kły, konie zderzyły się, zadzwoniły miecze. Dwa Kły ciał Skrzydlatego, rozwalając opachę i tarczkę, Skrzydlaty wyprostował

się i uderzył od prawej potężnym ciosem w bok napierśnika. Dwa Kły zakołysał się w siodle. Skrzydlaty stanął w strzemionach i z rozmachem ciał jeszcze raz, między rozrąbany, wgięty już naramiennik a szyszak. Ostrze szerokiego miecza z hukiem wcięło się w blachy, uwieźło. Dwa Kły wyprężył się i zadygotał. Konie zwarły się, tupiąc i zgrzytając zębami na wędzidlach. Skrzydlaty zaparł się o lęk, wyrwał miecz. Dwa Kły zwiśł z siodła i runął pod kopyta. Podkowy zahuczały o rozgniatany pancerz.

Błękitny zawrócił siwka, atakował, unosząc topór. Z trudem powodował koniem zranioną ręką. Skrzydlaty dostrzegł to, zręcznie zaszedł go od prawej, uniósł się w strzemionach do strasznego cięcia. Błękitny złapał cios na topór i wybił miecz z dłoni Skrzydlatego. Konie znowu zderzyły się. Błękitny był istnym siłaczem, ciężka siekiera w jego dłoni wzniosła się i opadła jak trzcinka. Na pancerz Skrzydlatego zwałił się z łomotem cios, od którego gniadosz aż przysiadł na zadzie. Skrzydlaty zakołysał się, ale utrzymał w siodle. Nim topór zdążył spaść po raz drugi, puścił wodze i zakręcił lewą ręką, chwytając zawieszony na rzemiennym temblaku ciężki graniasty buzdygan, na odlew zdzielił Błękitnego po hełmie. Hełm zahuczał jak dzwon, teraz Błękitny zachwiał się w kulbace. Konie kwiczały, próbowały się kasać i nie chciały rozdzielić.

Błękitny, wyraźnie oszołomiony ciosem buzdyganu, zdołał jednak uderzyć toporem, z hukiem trafiając przeciwnika w napierśnik. To, że obaj utrzymywali się jeszcze w siodłach, wydawało się istnym cudem, ale było po prostu zasługą wysokich wspierających łęków. Po bokach obu wierzchowców ciekła krew, szczególnie dobrze widoczna na jasnej maści siwka. Ciri patrzyła ze zgrozą. W Kaer Morhen nauczono ją walczyć, ale nie wyobrażała sobie, w jaki sposób mogłaby stawić czoło któremuś z takich siłaczy. I sparować choćby jeden z tak potężnych ciosów.

Błękitny oburącz chwycił stylisko topora, głęboko wbitego w napierśnik Skrzydlatego, zgarbił się i zaparł, próbując zepchnąć przeciwnika z siodła. Skrzydlaty z rozmachem zdzielił go buzdyganem, raz, drugi, trzeci. Krew trysnęła spod okapu hełmu, bryzgnęła na błękitną zbroję i szyję siwka. Skrzydlaty uderzył gniadosza ostrogami, skok konia wydarł ostrze siekiery z jego napierśnika; chwiejący się w siodle Błękitny wypuścił z dłoni stylisko. Skrzydlaty przełożył buzdygan do prawej ręki, naleciał, strasznym ciosem przygiął głowę Błękitnego do

końskiej szyi. Chwyciwszy wodze siwka wolną ręką, Nilfgaardczyk walił buzdyganem, błękitna zbroja dzwoniła jak żelazny garnek, krew sikała spod powyginanego hełmu. Jeszcze jedno uderzenie i Błękitny głową do przodu runął pod kopyta siwka. Siwek odkłusował, ale gniadosz Skrzydlatego, najwidoczniej wyćwiczony, z gruchotem stratował powalonego. Błękitny żył jeszcze, o czym zaświadczył rozpaczliwy ryk bólu. Gniadosz tratował go nadal – z takim impetem, że ranny Skrzydlaty nie utrzymał się w siodle i z hukiem zwałił się obok.

– Pozabijali się, psiekrwie – stęknął Łapacz, który trzymał Ciri.

– Panowie rycerze, mór na nich a zaraza – splunął drugi.

Pachołkowie Błękitnego przyglądali się z oddalenia. Jeden zawrócił konia.

– Stój, Remiz! – wrzasnął Skomlik. – Dokąd to? Do Sardy? Pilno ci na stryk?

Pachołkowie zatrzymali się, jeden spojrzał, przysłaniając oczy dłonią.

– To ty, Skomlik?

– Ja! Podjedź, Remiz, nie bojaj się! Rycerskie właśnie to nie nasza sprawa!

Ciri nagle miała dość obojętności. Zwinnie wyszarpnęła się trzymającemu ją Łapaczowi, puściła się biegiem, dopadła siwka Błękitnego, jednym skokiem znalazła się na kulbace z wysokim łękiem.

Udałoby się jej może, gdyby nie to, że pachołkowie z Sardy byli w siodłach i na wypoczętych koniach. Dopadli ją bez trudu, wyrwali wodze. Zeskoczyła i pognęła w stronę lasu, ale konni znowu ją dogonili. Jeden w pędzie chwycił ją za włosy, pociągnął, powłókł. Ciri wrzasnęła, uwiesiła się jego ręki. Konny rzucił ją wprost pod nogi Skomlika. Świsnęła nahajka, Ciri zawyla i zwinęła się w kłębek, zasłaniając głowę rękoma. Nahajka świsnęła znowu i cięła ją po rękach. Odturlała się, ale Skomlik doskoczył, kopnął ją, potem przydeptał butem krzyże.

– Uciekać chciałaś, zmijo?

Nahajka świsnęła. Ciri zawyla. Skomlik kopnął ją znowu i smagnął pletnią.

– Nie bij mnie! – wrzasnęła, kuląc się.

– Przemówiłaś, zarazo! Rozsznurowała się gębusia? Ja cię zaraz...

– Opamiętajże się, Skomlik! – krzyknął któryś z Łapaczy. – Życie chcesz z niej wytłuc czy co? Ona za wiele warta, by ją zmarnować!

- Jasny piorun – powiedział Remiz, zsiadając z konia. – Byłabyż to ta, której Nilfgaard szuka od tygodnia?

- Ona.

- Ha! Wszystkie garnizony jej szukają. To jakaś ważna dla Nilfgaardu persona! Pono jakiś możny mag wywróżył, że musi być gdzieś w tych okolicach. Tak mówili w Sardzie. Gdzieście ją naszli?

- Na Patelni.

- Nie może być!

- Może, może – powiedział gniewnie Skomlik, wykrzywiając się. – Mamy ją, a nagroda nasza! Co stoicie niby koły? Spętać mi tę ptaszkę i na kulbakę z nią! Wynosimy się stąd, chłopcy! Żywo!

- Wielmożny Sweers – powiedział jeden z Łapaczy – chyba dycha jeszcze...

- Długo nie podycha. Pies go trącał! Jedziemy wprost do Amarillo, chłopcy. Do prefekta. Odstawimy mu dziewczkę i zgarniemy nagrodę.

- Do Amarillo? – Remiz podrapał się w potylicę, spojrział na pole niedawnej walki. – Tam już nam kat zaświeci! Co prefektowi powiesz? Rycerze pobite, a wy cali? Gdy się cała rzecz ujawni, prefekt każe was powiesić, a nas ciupasem odeśle do Sardy... A wtenczas Varnhageny skórę z nas złupią. Wam może i do Amarillo droga, ale mnie lepiej w lasy zapaść...

- Tyś mój szurzy, Remiz – powiedział Skomlik. – A chociażęś psi syn, boś siostrę moją bijał, zawsze swak. Tedy ci skórę ocalę. Jedziemy do Amarillo, powiadam. Prefekt wie, że między Sweersami a Varnhagenami wróżda. Spotkali się, pobili jedni drugich, zwykła u nich rzecz. Co my moglim? A dziewczkę, baczcie na moje słowa, znaleźliśmy później. My, Łapacze. Tyś też od nynie Łapacz, Remiz. Prefekt łajno wie, ilu nas ze Sweersem pojechało. Nie doliczy się...

- Nie zabyłeś aby o czym, Skomlik? – spytał przeciągle Remiz, patrząc na drugiego pachółka z Sardy.

Skomlik odwrócił się wolno, po czym błyskawicznie wy dobył nóż i z rozmachem wbił go pachółkowi w gardło. Pachółek zarzęził i zwałił się na ziemię.

- Ja o niczym nie zapominam – powiedział zimno Łapacz. – No, to tera my już sami swoi. Świadców nie ma, a i głów do podziału nagrody nie za dużo. Na koń, chłopcy, do Amarillo! Szmata drogi jeszcze między nami a nagrodą, zwlekać nie ma co!

•

Gdy wyjechali z ciemnej i mokrej bukowiny, zobaczyli u podnóża góry wieś, kilkanaście strzech wewnątrz pierścienia niskiego częstokołu ogradzającego zakole niewielkiej rzeczki.

Wiatr przyniósł zapach dymu. Ciri poruszyła zdrętwiałymi palcami rąk, przywiązanych rzemieniem do łęku siodła. Cała była zdrętwiała, pośladki bolały nieznośnie, dokuczał pełny pęcherz. Była w siodle od wschodu słońca. W nocy nie wypoczęła, bo kazano jej spać z rękoma przywiązanymi do przegubów leżących z obu stron Łapaczy. Na każde jej poruszenie Łapacze reagowali klątwami i groźbami bicia.

– Osada – powiedział jeden.

– Widzę – odrzekł Skomlik.

Zjechali z góry, kopyta koni zachrząsały wśród wysokich, spalonych słońcem traw. Wkrótce znaleźli się na wyboistej drodze wiodącej wprost do wsi, ku drewnianemu mostkowi i bramie w palisadzie.

Skomlik wstrzymał konia, stanął w strzemionach.

– Co to za wieś? Nigdy tu nie popasał. Remiz, znasz te okolice?

– Dawniej – powiedział Remiz – zwali tę wieś Biała Rzeczka. Ale jak się zaczęła ruchawka, paru tutejszych przystało do rebeliantów, tedy Varnhageny z Sardy kura tu puścili, ludzi wysiekli albo pognali w niewolę. Teraz same nilfgaardzkie osadniki tu mieszkają, nowoposiedleńcy. A wioskę przechrzcili na Glyswen. Te osadniki to niedobre, zawzięte ludzie. Rzeknę wam: nie popasajmy tu. Jedźmy dalej.

– Koniom trza dać wypocząć – zaprotestował jeden z Łapaczy – i zaobroczyć je. A i mnie we flakach gra, jakoby kapela rżnęła. Co nam tam nowoposiedleńcy, mierzwa jedna, chmyzy. Machniem im przed nosem rozkazem prefekta, wždy prefekt Nilfgaardczyk jako i oni. Zobaczycie, w pas się nam pokłonią.

– Jużci – burknął Skomlik – widział kto Nilfgaardczyka, który w pas się kłania. Remiz, a karczma jaka jest w onym Glyswen?

– Jest. Karczmy Varnhageny nie spalili.

Skomlik obrócił się na kulbace, spojrzał na Ciri.

– Trza ją rozwiązać – powiedział. – Nie lza, by kto poznał... Dajcie jej opończę. I kaptur na łeb... Hola! Dokąd, kopciuchu?

– W krzaki muszę...

– Ja ci dam krzaki, wywłoko! Kucaj wedle drogi! I pomnij: we wsi ani pary z gęby. Nie myśl, żeś chytra! Piśniesz tylko, to gardło ci poderżnę.

Jeśli ja za ciebie florenów nie dostanę, nikt nie dostanie.

Podjechali stępa, kopyta koni załomotały na mostku. Zza ostrokołu natychmiast wyłoniły się postacie osadników uzbrojonych w oszczepy.

– Przy bramie stróżują – mruknął Remiz. – Ciekawym, czemu.

– Ja też – odmruknął Skomlik, unosząc się w strzemionach. – Bramy pilnują, a od strony młyna częstokół rozwalony, wozem można wjechać...

Podjechali bliżej, zatrzymali konie.

– Witajcie, gospodarze! – zawołał jowialnie, choć nieco nienaturalnie Skomlik. – W dobry czas!

– Ktoście? – spytał krótko najwyższy z osadników.

– Myśmy, kumie, są wojsko – zełgał Skomlik rozparty na kulbace. – W służbie jego wielgomożności pana prefekta z Amarillo.

Osadnik przesunął dłonią po drzewcu oszczepu, popatrzył na Skomlika spode łba. Niewątpliwie nie przypominał sobie, na jakich to chrzcinach Łapacz został jego kumem.

– Przysłał nas tu jaśnie pan prefekt – lgał dalej Skomlik – byśmy uznali, jak się wiedzie jego rodakom, dobrym ludziom z Glyswen. Przesyła jego wielgomożność pozdrowienia i pyta, nie trza li ludziom z Glyswen jakiej pomocy?

– Jakoś sobie radzimy – powiedział osadnik. Ciri stwierdziła, że mówił wspólnym podobnie jak Skrzydlaty, z takim samym akcentem, choć stylem mówienia starał się naśladować żargon Skomlika. – Przywykliśmy sami sobie radzić.

– Rad będzie pan prefekt, gdy mu to powtórzym. Karczma otwarta? W gardłach nam zaschło...

– Otwarta – rzekł ponuro osadnik. – Póki co, otwarta.

– Póki co?

– Póki co. Bo my tę karczmę wkrótce rozbierzemy, krokwie i deski na spichlerz przydadzą się. Z karczmy pożytek żaden. My pracujemy w pocie czoła i do karczmy nie chodzimy. Karczma tylko przejezdnych ciągnie, większością takich, którym nie jesteśmy radzi. Teraz też tam tacy popasają.

– Kto? – Remiz zbladł lekko. – Nie z fortu Sarda wypadkiem? Nie wielmożni panowie Varnhagenowie?

Osadnik skrzywił się, poruszył wargami, jakby miał ochotę splunąć.

– Nie, niestety. To milicja panów baronów. Nissirowie.

- Nissirowie? - zmarszczył się Skomlik. - A skąd oni? Pod czyją komendą?

- Starszy nad nimi wysoki, czarny, wąsaty jak sum.

- He! - Skomlik odwrócił się do towarzyszy. - Dobra nasza. Jednego tylko takiego znamy, nie? To ani chybi będzie nasz stary druh Vercta „Wierzaj mi”, pamiętacie go? A cóż tu u was, kumie, Nissirowie porabiają?

- Panowie Nissirowie - wyjaśnił ponuro osadnik - do Tyffi zmierzają. Zaszczycili nas swą wizytą. Wiozą jeńca. Jednego z bandy Szczurów wzięli w plen.

- A jużci - parsknął Remiz. - A cysarza Nilfgaardu nie wzięli?

Osadnik zmarszczył się, zacisnął dłonie na drzewcu oszczepu. Jego towarzysze zaszemrali głucho.

- Jedźcie do karczmy, panowie wojacy - mięśnie na żuchwach osadnika zagrały ostro. - I pogadajcie z panami Nissirami, waszymi druhami. Jesteście pono w służbie u prefekta. Zapytajcie tedy panów Nissirów, czemu bandytę do Tyffi wiozą, miast tu, na miejscu, wnet na pal go wołami nawlec, jak prefekt nakazał. I przypomnijcie panom Nissirom, waszym druhom, że tu władzą jest prefekt, nie baron z Tyffi. My mamy już i woły w jarzmie, i palik naostrzony. Jeśli panowie Nissirowie nie zechcą, to my uczynimy, co trzeba. Rzeknijcie im to.

- Rzeknę, musowo - Skomlik znacząco łypnął na kamratów. - Bywajcie, ludziska.

Ruszyli stępą między chałupy. Wieś wydawała się wymarła, nie widzieli ni żywej duszy. Pod jednym z płotów ryła wychudzona świnia, w błocie taplały się brudne kaczki. Drogę jeźdźców przeciął wielki czarny kocur.

- Tfu, tfu, kocia morda - Remiz pochylił się w siodle, splunął, złożył palce w znak chroniący od złego uroku. - Drogę przebieżał, kurwi syn!

- Żeby mu tak mysza w gardle stanęła!

- Czego? - odwrócił się Skomlik.

- Kot. Jako ta smoła czarny. Drogę przebieżał, tfu, tfu.

- Licho z nim - Skomlik rozejrzał się dookoła. - Patrzcie ino jaka pustota. Alem widział zza błon, że ludziska w chatach siedzą, uważają. A zza tamtych wrót, baczyłem, sulica błysnęła.

- Bab pilnują - zaśmiał się ten, który życzył kotu kłopotów z myszą. - Nissirowie we wsi! Słyszeliście, co ów kmiot gadał? Widno było, że

Nissirów nie miłuje.

– I nie dziwota. „Wierzaj mi” i jego kompania żadnej kiecce nie przepuszczą. Eh, doigrają się oni jeszcze, ci panowie Nissirowie. Baronowie „Stróżami porządku” ich zwa, za to im płacą, by ładu strzegli, dróg pilnowali. A krzyknij chłopu nad uchem: „Nissir!”, uwidzisz, pięty sobie posra ze strachu. Ale to do czasu, do czasu. Jeszcze jednego cielaka zarzną, jeszcze jedną dziewczkę wymamłają, a rozniosą ich chłopkowie na widłach, obaczycie. Baczyliście tych u wrót, jakie gęby mieli zawzięte? To nilfgaardzkie osadniki. Z nimi szutków nie ma... Ha, oto i karczma...

Popędzili konie.

Karczma miała lekko zapadniętą, tęgo omszałą strzechę. Stała w pewnym oddaleniu od chałup i zabudowań gospodarskich, wyznaczając jednak środek, punkt centralny całego ogrodzonego porozwalanym częstokołem terenu, miejsce przecięcia się dwóch przechodzących przez wieś dróg. W cieniu rzucanym przez jedyne w okolicy wielkie drzewo był okólnik, zagroda dla bydła i oddzielna dla koni. W tej ostatniej stało pięć lub sześć nie rozkulbaczonych wierzchowców. Przed drzwiami, na schodkach, siedziało dwóch typów w skórzanych kurtach i spiczastych futrzanych czapkach. Obaj hołubili przy piersi gliniane kufle, a między nimi stała miska pełna ogryzionych kości.

– Coście za jedni? – wrzasnął jeden z typów na widok Skomlika i jego zsiadającej z koni kompanii. – Czego tu szukacie? Poszli precz! Zajęta karczma w imieniu prawa!

– Nie krzykaj, Nissirze, nie krzykaj – powiedział Skomlik, ściągając Ciri z siodła. – A drzwi rozewrzyj szerzej, bo chcemy do środka. Twój komendant, Vercta, to nasz znajomek.

– Nie znam was!

– Boś gołowas! A ja i „Wierzaj mi” służyliśmy razem jeszcze za dawnych czasów, nim tu Nilfgaard nastał.

– No, jeśli tak... – zawahał się typ, puszcżając rękojeść miecza. – Wchodźcie. Mnie tam zajędo...

Skomlik szturchnął Ciri, drugi Łapacz chwycił ją za kołnierz. Weszli do środka.

Wewnątrz było mrocznie i duszno, pachniało dymem i pieczenią. Karczma była prawie pusta – zajęty był tylko jeden ze stołów, stojący w smudze światła wpadającego przez okienko z rybich błon. Siedziało przy

nim kilku mężczyzn. W głębi, przy palenisku, krzątał się karczmarz, pobrzękując garnkami.

- Czołem panom Nissirrom! - zagrmiał Skomlik.

- My nie czołem z byle wołem - warknął jeden z siedzącej przy okienku kompanii, plując na podłogę. Drugi powstrzymał go gestem.

- Wolnego - powiedział. - To swoje chłopcy, nie poznajesz? Skomlik i jego Łapacze. Powitać, powitać!

Skomlik rozpromienił się i ruszył w kierunku stołu, ale zatrzymał się, widząc kamratów zapatrzonych na słup podtrzymujący siostrzan stropu. Pod słupem siedział na zydelku szczupły, jasnowłosy kilkunastoletni chłopak, dziwnie wyprężony i wyciągnięty. Ciri zobaczyła, że nienaturalna pozycja wynika z faktu, że ręce chłopaka są wykręcone do tyłu i skrępowane, a szyję przytwierdza do słupa rzemienny pas.

- A niech mnie krostą obsypie - westchnął głośno jeden z Łapaczy, ten, który trzymał Ciri za kołnierz. - Spójrz jeno, Skomlik! Toż to Kayleigh!

- Kayleigh? - Skomlik przekrzywił głowę. - Szczur Kayleigh? Nie może być!

Jeden z siedzących za stołem Nissirów, grubas z włosami wystrzyżonymi w malowniczy czub, roześmiał się gardłowo.

- Może być - powiedział, oblizując łyżkę. - To Kayleigh, we własnej parszywej osobie. Opłaciło się o świtaniu wstawać. Dostaniem za niego pewnie z pół kopy florenów dobrą cesarską monetą.

- Capnęliście Kayleigha, no, no - zmarszczył się Skomlik. - Znaczy się, prawdę gadał nilfgaardzki kmiotek...

- Trzydzieści florenów, psiamać - westchnął Remiz. - Nielichy grosz... Płaci baron Lutz z Tyffi?

- Tak jest - potwierdził drugi Nissir, czarnowłosy i czarnowąsy. - Wielmożny baron Lutz z Tyffi, nasz pan i dobrodziej. Szczury ograbili mu rządce na gościńcu, to w złości się zapiekł i wyznaczył nagrodę. I to my, Skomlik, tę nagrodę weźmiemy, wierzaj mi. Ha, spójrzcie tylko, chłopcy, jakiego to puchacza nadał! Nie w smak mu, że to my, nie on Szczura capnął, choć i jemu prefekt bandę tropić nakazał!

- Łapacz Skomlik - grubas z czubem wskazał na Ciri łyżką - także coś złapał. Widzisz, Vercta? Dziewuszka jakaś.

- Widzę - czarnowąsy błysnął zębami. - Cóż to, Skomlik, tak cię bieda przydusiła, że dzieci porywasz dla okupu? Co to za kocmołuch?

- Do tego ci nie!

- Coś taki srogi - zaśmiał się ten z czubem. - Upewnić się chcemy ino, czy to nie córa twoja.

- Jego córa? - zaśmiał się Vercta, ten z czarnym wąsem. - A jużci. Żeby córy móc płodzić, trza jajca mieć.

Nissirowie ryknęli śmiechem.

- A rzyjcie, łby baranie! - wrzasnął Skomlik i nadał się. - A tobie, Vercta, tyle rzeknę: nim niedziela minie, zadziwisz się, o kim głośniej będzie, o was i o waszym Szczurze czy o mnie i o tym, czegom ja dokonał. I obaczmy, kto hojniejszy: wasz baron czy cesarski prefekt z Amarillo!

- Możesz mnie w rzyć pocałować - oświadczył pogardliwie Vercta i wrócił do siorbania polewki - razem z twoim prefektem, twoim cesarzem i całym Nilfgaardem, wierzaj mi. I nie nadymaj się. Wiem ci ja, że Nilfgaard od tygodnia za jakąś dziewczką goni, aż kurz się po drogach wznosi. Wiem, że nagroda za nią jest. Ale mnie to łajno obchodzi. Ja się już prefektowi i Nilfgaardczykom wysługiwać nie myślę i plugawię na nich. Ja teraz u barona Lutza służę, jeno jemu podlegam, nikomu bolej.

- Twój baron - charknął Skomlik - miał ciebie nilfgaardzką rękę boćka, nilfgaardzkie buty liże. Tedy ty nie musisz, to i gadać ci łatwo.

- Nie pusz się - powiedział pojednawczo Nissir. - Nie przeciw tobie mówiłem, wierzaj mi. Żeś dziewczkę, której Nilfgaard szuka, znalazł, dobrze to, rad widzę, że ty nagrodę weźmiesz, a nie te zasrane Nilfgaardczyki. A że prefektowi służysz? Nikt nie wybiera sobie panów, to oni wybierają, no nie? Nuże, siednijcie z nami, wypijemy, jak się trafiło spotkanie.

- Ano, czemu nie - zgodził się Skomlik. - Dajcie jeno wprzód kawałek powroza. Przywiążę dziewczkę do słupa wedle waszego Szczura, dobra?

Nissirowie ryknęli śmiechem.

- Widzita go, postrach pogranicza! - zarechotał grubas z czubem. - Zbrojne ramię Nilfgaardu! Zwiąż ją, Skomlik, zwiąż, a tego. Ale weźmij żelazny łańcuch, bo powrozy gotów ten twój ważny jeniec poszarpać i mordę ci obić, nim ucieknie. Wygląda groźnie, aże ciarki przechodzą!

Nawet towarzysze Skomlika parsknęli tłumionym śmiechem. Łapacz poczerwieniał, przekreślił pas, podszedł do stołu.

- Ja aby ku pewności, by nie zemknęła...

- Nie zawracaj rzyci - przerwał Vercta, łamiąc chleb. - Chcesz pogadać, to siadaj, postaw kolejkę, jak się należy. A tę dziewczkę, jeśli wola, powieś za nogi u powały. Tyle mnie to obchodzi, co świńskie łajno. Tylko że to okropnie śmieszne, Skomlik. Dla ciebie i dla twego prefekta to może i ważny jeniec, ale dla mnie to zabiedzony i zestrachany dzieciak. Wiązać ją chcesz? Ona, wierzaj mi, ledwie się na nogach trzyma, gdzie jej tam do uciekania. Czego się lękasz?

- Wraz wam powiem, czego się lękam - Skomlik zaciął wargi. - To nilfgaardzka osada. Nas tu chlebem i solą osadniki nie witali, a dla waszego Szczura, rzekli, pal już mają zastrugany. I w prawie są, bo ukaz prefekt dał, by złapanych zbójów na miejscu sprawiać. Jeśli im jeńca nie wydacie, gotowi i dla was paliki zastrugać.

- O wa - powiedział grubas z czubem. - Kawki im straszyć, chacharom. Nam niech lepiej nie stają, bo im krwi upuścim.

- Szczura im nie wydamy - dodał Vercta. - Nasz jest i do Tyffi pojedzie. A baron Lutz już całą sprawę z prefektem uładzi. A, co gadać po próżnicy. Siadajcie.

Łapacze, obracając pasy z mieczami, ochotnie przysiedli się do stołu Nissirów, wrzeszcząc na karczmarza i zgodnie wskazując Skomlika jako fundatora. Skomlik kopniakiem podsunął zydel do słupa, szarpnął Ciri za ramię, pchnął tak, że upadła, uderzając ramieniem o kolana związanego chłopaka.

- Siedź tu - warknął. - I ani mi się rusz, bo oćwiczę jak sukę.

- Ty gnido - zawarczał młodzik, patrząc na niego zmrużonymi oczyma. - Ty psi...

Ciri nie знаła większości słów, które wyleciały ze złych, skrzywionych ust chłopaka, ale ze zmian zachodzących na obliczu Skomlika wywnioskowała, że musiały być to słowa niebywale plugawe i obraźliwe. Łapacz pobladł z wściekłości, zamachnął się, trzasnął związanego w twarz, chwycił za długie jasne włosy, szarpnął, tłukąc potylicą chłopaka o słup.

- Ejże! - zawołał Vercta, unosząc się zza stołu. - Co się tam dzieje?

- Kły mu powybijam, parszywemu Szczurowi! - ryknął Skomlik. - Nogi z rzyci wyrwę, obiedwie!

- Chodź tu i przestań drzeć mordę - Nissir usiadł, wypił duszkiem kubek piwa, otarł wąsy. - Twoim jeńcem pomiataj, co się zmieści, ale od naszego wara. A ty, Kayleigh, nie graj zucha. Siedź cicho i zacznij

rozmyśliwać o szafocie, co go baron Lutz kazał już ustawić w miasteczku. Lista rzeczy, jakie ci na tym szafocie uczyni małodobry, jest już spisana i, wierząc mi, ma trzy łokcie długości. Pół miasteczka już robi zakłady, do którego punktu wytrzymasz. Oszczędzaj tedy siły, Szczurze. Sam postawię małą sumkę i liczę, że nie zrobisz mi zawodu i zdzierzysz przynajmniej do kastrowania.

Kayleigh splunął, odwracając głowę, na ile pozwalał zaciśnięty na szyi rzemień. Skomlik podciągnął pas, zmierzył złowrogim spojrzeniem przycupniętą na zydlu Ciri, po czym dołączył do kompanii za stołem, klnąc, albowiem w przyniesionym przez karczmarza dzbanie zostały już wyłącznie nikłe ślady piany.

– Jaceście wzięli Kayleigha? – spytał, sygnalizując oberżyscie chęć rozszerzenia zamówienia. – I to żywego? Bo temu, żeście pozostałych Szczurów wysiekli, wiary nie dam.

– Po prawdzie – odrzekł Vercta, krytycznie przyglądając się temu, co właśnie wydłubał był z nosa – to szczęście mieliśmy i tyle. Samojeden był. Od szajki się odłączył i do Nowej Kuźnicy do dziewczuchy przyskakał nanockę. Sołtysina wiedział, że niedaleko stoimy, dał znać. Zdążyliśmy przed świtaniem, zgarnęliśmy go na sianku, ani kwiknął.

– A z dziewczką jego zabawiłem się pospołu – zarechotał grubas z czubem. – Jeśli jej Kayleighnocką nie wygodził, nie było jej krzywdy. Myśmij jej rankiem tak wygodzili, że później ni ręką, ni nogą ruszyć nie mogła!

– To z was, powiadam, pierdoły są i durnie – oznajmił Skomlik gromko i drwiąco. – Przechędożyliście ładny pieniądz, głuptaki wy. Miał czas na dziewczkę tracić, było żelazo rozgrzać i Szczura wypytać, gdzie banda nocuje. Mogliście wszystkich mieć, Giselhera i Reefa... Za Giselhera Varnhageny z Sardy dwadzieścia florenów dawali już rok temu. A za ową gamratkę, jak jej tam... Mistel chyba... Za nią prefekt jeszcze więcej by dał po tym, co jego bratankowi uczyniła pod Druigh, wtedy, gdy Szczury konwój oskubali.

– Tyś, Skomlik – skrzywił się Vercta – albo z przyrodzenia głupi, albo ci życie ciężkie rozum ze łba wyjadło. Jest nas sześciu. Miałem samoszość na całą szajkę uderzyć, czy jak? A nagrodzie nas i tak nie minąć. Baron Lutz w loszku Kayleighowi pięć przygrzeje, czasu nie poskapi, wierząc mi. Kayleigh wszystko wyśpiewa, wyda ich schowki i

kwatery, tedy siłą i kupą pójdziemy, osaczymy bandę, wybierzemy jako raki ze saka.

– A jużci. Będą to czekać. Dowiedzą się, że Kayleigha wzięliście, i utają w inszych schowkach i komyszach. Nie, Vercta, trza ci zaglądnąć prawdzie w oczy: spaskudziliście. Zamieniliście nagrodę na babi kiep. Tacyście są, znają was... jeno kiep wam na myśli.

– Sameś kiep! – Vercta zerwał się zza stołu. – Tak ci pilno, to sam się za Szczurami puść razem z twoimi bohaterami! Ale bacz, bo na Szczurów iść, mości nilfgaardzki pacholku, to nie to, co niedorośle dziewczuszki łapać!

Nissirowie i Łapacze zaczęli wrzeszczeć i obrzucać się nawzajem wyzwiskami. Oberżysta prędko podał piwo, wyrywając pusty dzban z rąk grubasa z czubem, zamierzającego się już naczyniem na Skomlika. Piwo szybko złagodziło spór, schłodziło gardła i uspokoiło temperamenty.

– Jeść dawaj! – wrzasnął grubas do karczmarza. – Jajecznicy z kiełbasą, fasoli, chleba i sera!

– I piwa!

– Co tak gały wybałuszasz, Skomlik? My dziś przy groszu są! Obralim Kayleigha z konia, sakiewki, błyskotek, miecza, siodła i kożucha, wszystko sprzedalim krasnoludom!

– Dziewki jego buciki czerwone takóż sprzedalim. I korale!

– Ho, ho, tedy jest za co wypić, w rzeczy samej! Radem!

– A czemuś to tak rad? My mamy za co wypić, nie ty. Ty ze swego ważnego jeńca jeno smarki spod nosa możesz zdjąć albo ze wszów go wyiskać! Jaki jeniec, taki łup, ha, ha!

– Wy psie syny!

– Ha, ha, siadaj, żartowalim, zawrzyj gębę!

– Wypijmy na zgodę! My ugaszczamy!

– Gdzie ta jajecznicca, karczmarzu, żeby cię dzuma zżarła! Skorzej!

– I piwo dawaj!

Skulona na zydelku Ciri uniosła głowę, napotykać wpatrzone w nią wściekle zielone oczy Kayleigha, widoczne spod zmierzwionej grzywy jasnych włosów. Przeszył ją dreszcz. Twarz Kayleigha, choć niebrzydka, była zła, bardzo zła. Ciri natychmiast zrozumiała, że ten niewiele starszy od niej chłopak zdolny jest do wszystkiego.

- Chyba mi cię bogowie zesłali - szepnął Szczur, świdrując ją zielonym spojrzeniem. - Pomyśleć tylko, nie wierzę w nich, a zesłali. Nie oglądaj się, mała idiotko. Musisz mi pomóc... Nadstaw uszu, zaraza...

Ciri skuliła się jeszcze bardziej, opuściła głowę.

- Słuchaj - zasyczał Kayleigh, iście po szczurzymu błyskając zębami. - Za chwilę, gdy będzie tędy przechodził oberżysta, zawołasz... Słuchaj mnie, u czarta...

- Nie - szepnęła. - Zbiją mnie...

Usta Kayleigha skrzywiły się, a Ciri natychmiast zrozumiała, że pobicie przez Skomlika wcale nie jest najgorszym, co może ją spotkać. Chociaż Skomlik był wielki, a Kayleigh chudy i w dodatku związany, instynktownie czuła, kogo należy bardziej się bać.

- Jeśli mi pomożesz - szepnął Szczur - to ja pomogę tobie. Ja nie jestem sam. Ja mam druhów takich, którzy nie zostawiają w biedzie... Rozumiesz? Ale gdy moi druhowie nadciągną, gdy się zaczniesz, nie mogę tkwić przy tym słupie, bo mnie te łotry usieką... Nadstaw uszu, psiakrew. Powiem ci, co masz zrobić...

Ciri opuściła głowę jeszcze niżej. Usta jej drżały.

Łapacze i Nissirowie żarli jajecznice, ciamkając jak dziki. Karczmarz przemieszał w saganie i doniósł na stół następny dzbanek piwa i bochen pytłowego chleba.

- Głodna jestem! - zapiszczała posłusznie, blednąc lekko. Oberżysta zatrzymał się, spojrzał na nią przyjaźnie, potem obejrzał się ku uczującym.

- Można jej dać, panie?

- Won! - wrzasnął niewyraźnie Skomlik, czerwieniejąc i plując jajecznicą. - Wara od niej, kręcioróżnie zasrany, bo ci giry poprzetrącam! Nie wolno! A ty siedź cicho, powsinogo, bo cię...

- Ejże, Skomlik, cóżeś to, obindasił czy jak? - wtrącił się Vercta, z wysiłkiem przełykając obłożony cebulą chleb. - Patrzcie go, chłopaki, wolichwosta jednego, sam żre za cudze pieniądze, a dziewczuszcze żałuje. Daj jej miszkę, gospodarzu. Ja płacę i ja mówię, komu dać, a komu nie. A komu to się nie podoba, to może zaraz dostać w szczeciniaty ryj.

Skomlik poczerwieniał jeszcze bardziej, ale nic nie powiedział.

- Coś mi się jeszcze przypomniało - dodał Vercta. - Mus Szczura nakarmić, żeby nie skapiał w drodze, boby nas baron ze skóry obłupił,

wierzaj mi. Dziewka go nakarmi. Hej, gospodarzu! Narychtuj jadła jakiego dla nich! A ty, Skomlik, co tam burczysz? Co ci nie w smak?

- Baczenie trza na nią mieć - Łapacz wskazał Ciri ruchem głowy - bo to jakaś dziwna ptaszka. Gdyby to była zwykła dziewczka, toby się Nilfgaard za nią nie uganiał, prefekt nagrody by nie obiecywał...

- Czy ona zwykła, czy niezwykła - zarechotał grubas z czubem - to się zaraz pokazać może, wystarczy jej między nogi zajrzeć! Co wy na to, chłopcy? Weźmiem ją do stodółki na chwilkę?

- Ani mi się jej waż tknąć! - warknął Skomlik. - Nie pozwolę!

- O wa! Pytać ciebie będziem!

- Spor mój i głowa moja w tym, by ją cało dowieźć! Prefekt z Amarillo...

- Sramy na prefekta twego. Za nasze pieniądze piłeś, a nam pochódówki żałujesz? Ejże, Skomlik, nie bądźże sknera! A głowa ci nie spadnie, nie boją się, ani spor cię nie minie! Całą dowieziesz. Dziewka nie pęcherz rybi, od ściskania nie puknie!

Nissirowie wybuchnęli rżącym śmiechem. Towarzysze Skomlika zawtórowali. Ciri zatrzęsa się, zbladła, uniosła głowę. Kayleigh uśmiechnął się drwiąco.

- Już zrozumiałas? - zasyczał zza lekko uśmiechniętych warg. - Gdy się popiją, wezmą się za ciebie. Zmaltretują. Jedziemy na jednym wózku. Rób, co kazałem. Uda się mnie, uda się i tobie....

- Jadło gotowe! - zawołał oberżysta. Nie miał nilfgaardzkiego akcentu. - Podejdź, panienczko!

- Nóż - szepnęła Ciri, odbierając od niego miskę.

- Co?

- Nóż. Prędko.

- Jeśli mało, naści więcej! - zawołał nienaturalnie karczmarz, zezując w kierunku ucztujących i dokładając kaszy do miski. - Odejdź, proszę cię.

- Nóż.

- Odejdź, bo ich zawołam... Nie mogę... Spalą karczmę.

- Nóż.

- Nie. Żal mi cię, córko, ale nie mogę. Nie mogę, pojmij to. Odejdź...

- Z tej karczmy - wyrecytowała drżącym głosem słowa Kayleigha - nikt nie wyjdzie żywy. Nóż. Prędko. A jak się zacznie, uciekaj.

- Trzymaj miskę, niezgulo! - krzyknął oberżysta, obracając się tak, by zasłonić sobą Ciri. Był blady i lekko szcząkał zębami. - Bliżej patelni!

Poczuła zimne dotknięcie kuchennego noża, który wsunął jej za pasek, zasłaniając trzonek kubraczkiem.

- Bardzo dobrze - syczał Kayleigh. - Usiądź tak, by mnie zasłonić. Postaw mi miskę na kolanach. W lewą rękę bierz łyżkę, w prawą nóż. I pijuj powróż. Nie tu, głupia. Pod łokciem, na słupie. Uważaj, patrz.

Ciri poczuła suchość w gardle. Pochyliła głowę prawie do miski.

- Karm mnie i jedz sama - zielone oczy wpatrywały się w nią spod półprzymkniętych powiek, hipnotyzowały. - I pijuj, pijuj. Odważnie, mała. Jeśli uda się mnie, uda się i tobie...

Prawda, pomyślała Ciri, tnąc powróż. Nóż śmierdział żelazem i cebulą, ostrze miał wgłębione od wielokrotnego ostrzenia. On ma rację. Czy ja wiem, dokąd wiozą mnie te łotry? Czy ja wiem, czego chce ode mnie ten nilfgaardzki prefekt? Może i na mnie czeka w tym całym Amarillo mistrz małodobry, może czeka koło, świdry i kleszcze, czerwone żelazo... Nie dam się zawieźć jak owca do szlachtuza. Już lepiej zaryzykować...

Z hukiem wyleciało okno, razem z ramą i ciśniętym z zewnątrz pieńkiem do rąbania drewna, wszystko wylądowało na stole, czyniąc spustoszenie wśród misek i kuflów. W ślad za pieńkiem na stół wskoczyła jasnowłosa, krótko ostrzyżona dziewczyna w czerwonym kubraczku i wysokich lśniących butach sięgających powyżej kolan. Klęcząc na stole, zawinęła mieczem. Jeden z Nissirów, najwolniejszy, który nie zdążył zerwać się i odskoczyć, runął do tyłu wraz z ławą, buchając krwią z rozplatanego gardła. Dziewczyna zwinnie sturlała się ze stołu, robiąc miejsce dla wskakującego oknem chłopaka w krótkim haftowanym półkożuszku.

- Szczuuuuryyyyy!! - wrzasnął Vercta, szamocząc się z mieczem zaplątanym w pas.

Grubas z czubem dobył broni, skoczył w stronę klęczącej na podłodze dziewczyny, zamachnął się, ale dziewczyna, choć na kolanach, zwinnie sparowała cios, odtoczyła się, a ten w półkożuszku, który wskoczył za nią, zamasyście ciął Nissira w skroń. Grubas padł na podłogę, miękąc nagle jak przewracany siennik.

Drzwi karczmy otwarły się pod kopniakiem, do izby wpadły dwa następne Szczury. Pierwszy był wysoki i czarniawy, nosił nabijany guzami kaftan i szkarłatną przepaskę na czole. Ten dwoma szybkimi

ciosami miecza posłał dwóch Łapaczy w przeciwległe kąty, ściał się z Verctą. Drugi, barczysty i jasnowłosy, szerokim uderzeniem rozplatał Remiza, szwagra Skomlika. Pozostali rzucili się do ucieczki, zmierzając do drzwi kuchennych. Ale Szczury już wdzierały się i tamtędy – z zaplecza wyskoczyła nagle ciemnowłosa dziewczyna w bajecznie kolorowym stroju. Szybkim sztychem przebiła jednego z Łapaczy, młyńcem odpędziła drugiego, a zaraz potem zarąbała karczmarza, nim ten zdążył krzyknąć, kim jest.

Izbę nappełnił wrzask i szczełk mieczy. Ciri ukryła się za słupem.

– Mistle! – Kayleigh, zerwawszy nadcięte powrozy, mocował się rzemieniem, wciąż wiążącym mu szyję do słupa. – Giselher! Reef! Do mnie!

Szczury były jednak zajęte walką – krzyk Kayleigha usłyszał tylko Skomlik. Łapacz odwrócił się i zamierzył do pchnięcia, chcąc przygwoździć Szczura do słupa. Ciri zareagowała błyskawicznie i odruchowo – podobnie jak podczas walki z wiwerną w Gors Velen, podobnie jak na Thanedd, wszystkie wyuczone w Kaer Morhen ruchy wykonały się nagle same, prawie bez jej udziału. Wyskoczyła zza słupa, zawirowała w piruecie, wpadła na Skomlika i silnie uderzyła go biodrem. Była za mała i za drobna, by odrzucić wielkiego Łapacza, ale udało się jej zakłócić rytm jego ruchu. I zwrócić na siebie jego uwagę.

– Ty wywłoko!

Skomlik zamachnął się, miecz zawył w powietrzu. Ciało Ciri ponownie samo wykonało oszczędny unik, a Łapacz o mało się nie przewrócił, lecąc za rozpędzoną klingą. Klnąc plugawie, ciął jeszcze raz, wkładając w cios całą siłę. Ciri uskoczyła zwinnie, pewnie lądując na lewą stopę, zawirowała w odwrotnym piruecie. Skomlik ciął jeszcze raz, ale i tym razem nie był w stanie jej dosięgnąć.

Miedzy nich zwałił się nagle Vercta, obryzgując obydwójce krwią. Łapacz cofnął się, rozejrzał. Otaczały go wyłącznie trupy. I Szczury zbliżające się ze wszystkich stron z nastawionymi mieczami.

– Stójcie – powiedział zimno czarniawy w szkarłatnej przepasce, uwalniając wreszcie Kayleigha. – Wygląda na to, że on bardzo chce zarąbać tę dziewczynę. Nie wiem, dlaczego. Nie wiem też, jakim cudem nie udało mu się to do tej pory. Ale dajmy mu szansę, skoro tak bardzo chce.

– Dajmy i jej szansę, Giselher – powiedział ten barczysty. – Niech to będzie uczciwa walka. Daj jej jakieś żelazo, Iskra.

Ciri poczuła w dłoni rękojeść miecza. Nieco zbyt ciężkiego.

Skomlik sapnął wściekle, rzucił się na nią, wywijając brzeszczotem w rozmigotanym młyńcu. Był powolny – Ciri unikała cięć w szybkich zwodach i półobrotach, nawet nie próbując parować sypiących się na nią uderzeń. Miecz służył jej tylko jako przeciwwaga ułatwiająca uniki.

– Niesamowite – zaśmiała się krótko ostrzyżona. – To akrobatka!

– Szybka jest – powiedziała ta wielobarwna, która dała jej miecz. – Szybka jak elfka. Hej, ty, gruby! Może jednak wołałbyś kogoś z nas? Z nią ci nie wychodzi!

Skomlik cofnął się, rozejrzał, nagle niespodziewanie skoczył, godząc w Ciri sztychem, wyciągnięty niby czapla z wystawionym dziobem. Ciri uniknęła pchnięcia krótkim zwodem, zawirowała. Przez sekundę widziała nabrzmiałą, pulsującą żyłę na szyi Skomlika. Wiedziała, że w pozycji, w jakiej się znalazł, nie jest w stanie uniknąć ciosu ani sparować. Wiedziała, gdzie i jak należy uderzyć.

Nie uderzyła.

– Dość tego – poczuła na ramieniu rękę. Dziewczyna w wielobarwnym stroju odepchnęła ją, jednocześnie dwa inne Szczury, ten w półkożuszku i ta krótko ostrzyżona, zepchnęły Skomlika w kąt izby, szachując go mieczami.

– Dość tej zabawy – powtórzyła kolorowa, odwracając Ciri ku sobie. – To trochę za długo trwa. I to z twojej winy, pannico. Możesz zabić, a nie zabijasz. Coś mi się zdaje, że nie pożyczysz długo.

Ciri wzdrygnęła się, patrząc w wielkie ciemne oczy o kształcie migdałów, widząc odsłonięte w uśmiechu zęby, tak drobne, że uśmiech ten wyglądał upiornie. To nie były ludzkie oczy ani ludzkie zęby. Wielobarwna dziewczyna była elfką.

– Czas wiać – powiedział ostro Giselher, ten ze szkarłatną przepaską, najwyraźniej przywódca. – To rzeczywiście za długo trwa! Mistle, wykończ drania.

Krótko ostrzyżona zbliżyła się, unosząc miecz.

– Litości! – wrzasnął Skomlik, padając na kolana. – Darujcie życiem! Ja dzieci małe mam... Malutkie...

Dziewczyna cięła ostro, skręcając się w biodrach. Krew siknęła na bieloną ścianę szeroką, nieregularną smugą karminowych punkcików.

- Nie cierpię malutkich dzieci - powiedziała ostrzyżona, szybkim ruchem zrzucając palcami krew ze zbrocza.

- Nie stój, Mistle - ponaglił ją ten ze szkarłatną przepaską. - Do koni! Trzeba wiać! To nilfgaardzka osada, nie mamy tu przyjaciół!

Szczury błyskawicznie wybiegły z karczmy. Ciri nie wiedziała, co robić, ale nie miała czasu się zastanawiać. Mistle, ta krótko ostrzyżona, popchnęła ją w kierunku drzwi.

Przed karczmą, wśród skorup kufli i ogryzionych kości, leżały trupy Nissirów pilnujących wejścia. Od strony wsi nadbiegali uzbrojeni w oszczepy osadnicy, ale na widok wypadających na podwórze Szczurów natychmiast znikli między chałupami.

- Konno jeździsz? - krzyknęła Mistle do Ciri.

- Tak...

- To jazda, chwytaj któregoś i w skok! Jest nagroda za nasze głowy, a to jest nilfgaardzka wieś! Wszyscy już łapią za łuki i rohatyny! W skok, za Giselherem! Środkiem uliczki! Trzymaj się z daleka od chałup!

Ciri przefrunęła nad niską barierką, chwyciła wodze jednego z koni Łapaczy, wskoczyła na siodło, trzasnęła konia po zadzie płazem miecza, którego nie wypuściła z garści. Poszła w ostry galop, wyprzedzając Kayleigha i wielobarwną elfkę, którą nazywano Iskłą. Pognała za Szczurami w kierunku młyna. Zobaczyła, jak zza węgła jednej z chat wyskakuje człowiek z kuszą, mierząc w plecy Giselhera.

- Rąb go! - usłyszała z tyłu. - Rąb go, dziewczyno!

Ciri odchyliła się w siodle, szarpnięciem wodzy i naciskiem stopy zmuszając galopującego konia do zmiany kierunku, zawinęła mieczem. Człowiek z kuszą odwrócił się w ostatniej chwili, zobaczyła jego wykrzywioną z przerażenia twarz. Wzniesiona do cięcia ręka zawahała się na moment, co wystarczyło, by galop przeniósł ją obok. Usłyszała szcęk zwalnianej cięciwy, koń zakwiczał, miotnął zadem i stanął dęba. Ciri skoczyła, wyrывая nogi ze strzemion, zwinnie wylądowała, padając w przykłąk. Nadjeżdżająca Iskła zwiła z siodła w ostrym zamachu, cięła kusznika w potylicę. Kusznik runął na kolana, przechylił się do przodu i plusnął czołem w kałużę, rozbryzgując błoto. Zraniony koń rżał i ciskał się obok, wreszcie pognął między chałupy, wierzgając silnie.

- Ty idiotko! - wrzasnęła elfka, w pędzie mijając Ciri. - Ty cholerna idiotko!

– Wskakuj! – krzyknął Kayleigh, podjeżdżając do niej. Ciri podbiegła, chwyciła wyciągniętą rękę. Pęd poderwał ją, staw w barku aż zatrzeszczał, ale zdołała wskoczyć na konia, przywierając do pleców jasnowłosego Szczura. Poszli w cwał, mijając Iskrę. Elfka zawróciła, ścigając jeszcze jednego kusznika, który rzucił broń i zmykał w kierunku wrót stodoły. Iskra dognała go bez trudu. Ciri odwróciła głowę. Usłyszała, jak cięty kusznik zawył, krótko, dziko, jak zwierzę.

Dogoniła ich Mistle ciągnąca osiodłanego luzaka. Krzyknęła coś, Ciri nie zrozumiała słów, ale pojęła w lot. Puściła plecy Kayleigha, zeskoczyła na ziemię w pełnym pędzie, podbiegła do luzaka, niebezpiecznie zbliżając się do zabudowań. Mistle rzuciła jej wodze, obejrzała się i krzyknęła ostrzegawczo. Ciri odwróciła się w samą porę, by zwinnym półobrotem uniknąć zdradzieckiego pchnięcia włócznią zadanego przez krępego osadnika, który wyłonił się z chlewa.

To, co stało się później, przez długi czas prześladowało ją w snach. Pamiętała wszystko, każdy ruch. Półobrot, który ocalił ją przed grotem włóczni, ustawił ją w idealnej pozycji. Włócznik natomiast, mocno wychylony do przodu, nie był w stanie ani odskoczyć, ani zasłonić się utrzymanym oburącz drzewcem. Ciri cięła płasko, wykręcając się w odwrotny półpiruet. Przez moment widziała otwierające się do krzyku usta w twarzy porośniętej szczeciną kilkudniowego zarostu. Widziała przedłużone łysiną czoło, jasne powyżej linii, nad którą czapka lub kapelusz chroniły przed opalenizną. A potem wszystko, co widziała, przesłoniła fontanna krwi.

Wciąż trzymała konia za wodze, a koń spłoszył się makabrycznym wyciem, targnął, zwalając ją na kolana. Ciri nie wypuściła wodzy. Ranny wył i charczał, konwulsyjnie rzucał się wśród słomy i gnoju, a krew sikała z niego jak z wieprza. Poczowała, jak żołądek podjeżdża jej do gardła.

Tuż obok wryła konia Iskra. Chwytając wodze tupiącego luzaka, szarpnęła, stawiając na nogi wciąż uczipioną rzemienia Ciri.

– Na siodło! – wrzasnęła. – I rysią!

Ciri powstrzymała mdłości, wskoczyła na kulbakę. Na mieczu, który wciąż trzymała w dłoni, była krew. Z trudem opanowała chęć, by odrzucić żelazo jak najdalej od siebie.

Spomiędzy chałup wypadła Mistle, ścigając dwóch ludzi. Jeden zdołał zemknąć, przeskakując płot, drugi, cięty krótko, upadł na kolana, oburącz chwycił się za głowę.

Obie z elfką zerwały się do galopu, ale po chwili wryły konie, zapierając się w strzemionach, bo od strony młyna wracał Giselher z innymi Szczurami. Za nimi, dodając sobie odwagi wrzaskiem, pędziła gromada uzbrojonych osadników.

– Za nami! – wrzasnął w pędzie Giselher. – Za nami, Mistle! Do rzeczki!

Mistle, przechylona w bok, ściągnęła wodze, zawróciła konia i pocwałowała za nim, przesadzając niskie opłotki. Ciri przywarła twarzą do grzywy i puściła się za nią. Tuż obok przegalopowała Iskra. Pęd rozwiewał jej piękne ciemne włosy, odsłaniając małe, szpiczasto zakończone ucho ozdobione filigranowym kolczykiem.

Raniony przez Mistle wciąż klęczał pośrodku drogi, kołysząc się i oburącz trzymając za zakrwawioną głowę. Iskra zatoczyła koniem, podcwałowała do niego, z góry rąbnęła mieczem, mocno, z całej siły. Ranny zawył. Ciri zobaczyła, jak odcięte palce prysnęły na boki niby szczapki z rozłupywanego polana, padły na ziemię jak tłuste białe robaki.

Z najwyższym trudem powstrzymała wymioty.

Przy dziurze w palisadzie czekali na nich Mistle i Kayleigh, reszta Szczurów była już daleko. Całą czwórką poszli w ostry, wyciągnięty cwał, przegalopowali przez rzeczkę, rozbryzgując wodę, tryskającą powyżej końskich łbów. Pochyleni, przytuleni policzkami do grzyw wdarli się na piaszczystą skarpę, pognali przez fioletową od łubinu łąkę. Iskra, mająca najlepszego konia, wysforowała się do przodu.

Wpadli w las, w mokry cień, między pnie buków. Dogonili Giselhera i pozostałych, ale zwolnili tylko na moment. Gdy przemierzili las i wjechali na wrzosowiska, poszli znowu w cwał. Wkrótce Ciri i Kayleigh zaczęli zostawać w tyle, konie Łapaczy nie były w stanie dotrzymać kroku pięknym, rasowym wierzchowcom Szczurów. Ciri miała dodatkowy kłopot – na wielkim koniu ledwo sięgała stopami strzemion, a w cwale nie była w stanie dopasować puślisk. Umiała jeździć bez strzemion nie gorzej niż w strzemionach, ale wiedziała, że w tej pozycji długo nie wytrzyma galopu.

Szczęściem po kilku minutach Giselher zwolnił tempo i powstrzymał czołówkę, pozwalając, by ona i Kayleigh dołączyli. Ciri przeszła w klus. Skrócić puślisk nadal nie mogła, w rzemieniu brakowało dziurek. Nie zwalniając przełożyła prawą nogę nad łękiem i usiadła po damsku.

Mistle, widząc jeździecką pozycję dziewczynki, wybuchnęła śmiechem.

– Widzisz, Giselher? Nie tylko akrobatka, ale i woltyżerka! Ech, Kayleigh, skąd wytrzasnąłeś tę diabolicę?

Iskra, powstrzymując swą piękną kasztankę, wciąż suchą i rwącą się do dalszego galopu, podjechała bliżej, napierając na hreczkowatego siwka Ciri. Koń zachrapał i cofnął się, podrzucając łeb. Ciri napięła wodze, odchylając się w siodle.

– Czy wiesz, dlaczego jeszcze żyjesz, kretynko? – warknęła elfka, odgarniając włosy z czoła. – Chłopek, którego miłosiernie oszczędziłaś, przedwcześnie zwolnił cyngiel, trafił konia, miast ciebie. Inaczej miałabyś bełt w plecach po lotki! Po co ty ten miecz nosisz?

– Zostaw ją, Iskra – powiedziała Mistle, obmacując mokrą od potu szyję swego wierzchowca. – Giselher, musimy zwolnić, bo zarżniemy konie! Przecież nikt nas nie ściga.

– Chcę jak najszybciej przejść Veldę – powiedział Giselher. – Za rzeką odpoczniemy. Kayleigh, jak twój koń?

– Wytrzyma. To nie dzianet, w wyścigi nie pójdzie, ale mocna bestia.

– No, to jazda.

– Zaraz – powiedziała Iskra. – A ta smarkula?

Giselher obejrzał się, poprawił szkarłatną przepaskę na czole, zatrzymał wzrok na Ciri. Jego twarz, jej wyraz, przypominały trochę Kayleigha – taki sam zły grymas ust, takie same zmrużone oczy, chude, wystające żuchwy. Był jednak starszy od jasnowłosego Szczura – sinawy cień na policzkach świadczył o tym, że golił się już regularnie.

– No właśnie – powiedział szorstko. – Co z tobą, dziełatko?

Ciri spuściła głowę.

– Pomogła mi – odezwał się Kayleigh. – Gdyby nie ona, ten parszywy Łapacz przybiłby mnie do słupa...

– We wsi – dodała Mistle – widzieli, jak uciekała z nami. Jednego chlasnęła, wątpię, żeby to przeżył. To osadnicy z Nilfgaardu. Gdy dziewczyna wpadnie im w łapy, zatłuką ją. Nie możemy jej zostawić.

Iskra parsknęła gniewnie, ale Giselher machnął ręką.

– Do Veldy – zdecydował – niech jedzie z nami. Potem się zobaczy. Dosiądź no konia jak się należy, dziewczko. Jeśli odstaniesz, nie będziemy się oglądać. Pojmujesz?

Ciri skwapliwie pokiwała głową.

•

– Gadaj, dziewczyno. Coś ty za jedna? Skąd jesteś? Jak się nazywasz? Dlaczego jechałaś pod eskortą?

Ciri pochyliła głowę. W czasie jazdy miała dość czasu, by spróbować wymyślić jakąś historyjkę. Wymyśliła kilka. Ale herszt Szczurów nie wyglądał na takiego, który uwierzyłby w którąkolwiek.

– No – ponaglił Giselher. – Jechałaś z nami kilka godzin. Popasasz z nami, a ja jeszcze nie miałem okazji poznać brzmienia twego głosu. Jesteś niemową?

Ogień wystrzelił w górę płomieniem i snopem iskier, zalewając ruiny pasterskiej chaty falą złotego blasku. Jak gdyby posłuszny rozkazowi Giselhera, ogień oświecił twarz przesłuchiwanej, by tym łatwiej można było wykryć na niej kłamstwo i fałsz. Przecież nie mogę powiedzieć im prawdy, pomyślała Ciri z rozpaczą. To zbójcy. Bryganci. Jeśli dowiedzą się o Nilfgaardczykach, o tym, że Łapacze schwytali mnie dla nagrody, sami mogą zechcieć tę nagrodę zdobyć. Poza tym prawda jest zbyt nieprawdopodobna, by mi uwierzyli.

– Wywieźliśmy cię z osady – ciągnął wolno herszt bandy. – Zabraliśmy cię tu, do jednej z naszych kryjówek. Dostałaś jeść. Siedzisz przy naszym ogniu. Gadaj więc, kim jesteś!

– Daj jej spokój – odezwała się nagle Mistle. – Gdy patrzę na ciebie, Giselher, widzę nagle Nissira, Łapacza albo jednego z tych nilfgaardzkich skurwysynów. I czuję się jak na śledztwie, przywiązana w lochu do katowskiej ławy!

– Mistle ma rację – rzekł ten jasnowłosy, noszący półkożuszek. Ciri drgnęła, słysząc jego akcent. – Dziewczyna najwyraźniej nie chce mówić, kim jest, i ma do tego prawo. Ja, gdy do was dołączyłem, też byłem małomówny. Nie chciałem zdradzać, że byłem jednym z nilfgaardzkich skurwysynów...

– Nie pleć, Reef – machnął ręką Giselher. – Z tobą było co innego. A ty, Mistle, też przesadzasz. To nie jest żadne śledztwo. Chcę, by powiedziała, kim jest i skąd jest. Gdy się dowiem, wskażę jej drogę do domu i tyle. Jak mam to zrobić, gdy nie wiem...

– Nic nie wiesz – Mistle odwróciła oczy. – Nawet tego, czy ona w ogóle ma dom. A ja sądzę, że nie ma. Łapacze zgarnęli ją z gościńca, bo była sama. To podobne do tych tchórzów. Jeśli każesz jej iść, gdzie ją

oczy poniosą, samotna nie przeżyje w górach. Rozedrą ją wilki albo skona z głodu.

- Co więc mamy z nią uczynić? - powiedział młodzieńczym basem ten barczysty, dźgając kijem płonące głównie w ognisku. - Odstawić w pobliże jakiejś wsi?

- Świetny pomysł, Asse - zadrwiła Mistle. - Chłopców nie znasz? Im brakuje teraz rąk do pracy. Zagonią dziewczynę do pasania bydła, przetrąciwszy wprzód nogę, by nie mogła uciec. Nocami będzie traktowana jak niczyja, a więc wspólna własność. Będzie płacić za wikt i dach nad głową, wiesz, jaką monetą. A na wiosnę dostanie gorączki połogowej, rodząc czyjegoś bachora w brudnym chlewie.

- Jeśli zostawimy jej konia i miecz - wycedził wolno Giseller, wciąż patrząc na Ciri - to nie chciałbym znaleźć się w skórze chłopca, który chciałby przetrącić jej nogę. Albo zrobić bachora. Widzieliście płas, który odtńczyła w karczmie z tym Łapaczem, którego później zarabiała Mistle? On powietrze siekał, a ona tańczyła jakby nigdy nic... Ha, w samej rzeczy niewiele obchodzą mnie jej imię i ród, ale tego, gdzie nauczyła się tych sztuczek, rad bym się dowiedzieć...

- Sztuczki jej nie uratują - odezwała się nagle Iskra, do tej pory zajęta ostrzeniem miecza. - Ona umie tylko tańczyć. Żeby przetrwać, trzeba umieć zabijać, a tego ona nie potrafi.

- Chyba potrafi - wyszczerzył zęby Kayleigh. - Gdy we wsi cięła po szyi tego chłopinę, jucha poleciała na pół sążnia w górę...

- A ona na ten widok o mało nie zemdląła - parsknęła elfka.

- Bo to jeszcze dzieciak - wtrąciła Mistle. - Ja domyślam się, kim ona jest i gdzie nauczyła się sztuczek. Widywałam już takie jak ona. To tancerka lub akrobatka z jakiejś wędrowniej trupy.

- A od kiedy to - parsknęła znowu Iskra - obchodzą nas tancerki i akrobatki? Psiakrew, północ się zbliża, senność mnie ogarnia. Skończmy wreszcie z tą pustą gadaniną. Trzeba się wyspać i odpocząć, by jutro o zmierzchu móc być w Kuźnicy. Tamtejszy sołtys, nie zapomnieliście chyba o tym, wydał Kayleigha Nissirom. Cała wioska powinna więc zobaczyć, jak noc przybiera czerwone oblicze. A dziewczyna? Ma konia, ma miecz. Jedno i drugie uczciwie zdobyła. Dajmy jej trochę żarcia i grosza. Za to, że uratowała Kayleigha. I niech jedzie, dokąd zechce, niech się sama troszczy o siebie...

- Dobrze - powiedziała Ciri, zaciskając usta i wstając.

Zapadła cisza, przerywana tylko potrzaskiwaniem ognia. Szczury patrzyły na nią ciekawie, czekały.

– Dobrze – powtórzyła, dziwiąc się obcemu brzmieniu swego głosu. – Nie potrzebuję was, nie prosiłam się... I wcale nie chcę z wami być! Odjadę zaraz...

– A więc jednak nie jesteś niemową – stwierdził posępnie Giselher. – Potrafisz mówić, i to nawet zuchwale.

– Spójrzcie na jej oczy – parsknęła Iskra. – Spójrzcie, jak trzyma głowę. Drapieżny ptaszek! Młoda sokolica!

– Chcesz odjechać – powiedział Kayleigh. – A dokąd, jeśli można wiedzieć?

– Co was to obchodzi? – krzyknęła Ciri, a oczy zapłonęły jej zielonym blaskiem. – Czy ja was pytam, dokąd wy jedziecie? Nie obchodzi mnie to! I wy mnie też nie obchodzicie! Nie jesteście mi do niczego potrzebni! Potrafię... Dam sobie radę! Sama!

– Sama? – powtórzyła Mistle, uśmiechając się dziwnie.

Ciri zamilkła, opuściła głowę. Szczury milczały również.

– Jest noc – powiedział wreszcie Giselher. – Nocą się nie jeździ. Nie jeździ się samotnie, dziewczyno. Ten, kto jest sam, musi zginąć. Tam, koło koni, leżą derki i futra. Wybierz sobie coś. Noce w górach są chłodne. Co tak na mnie wytrzeszczasz te twoje zielone latarenki? Szykuj sobie legowisko i śpij. Musisz wypocząć.

Po chwili zastanowienia usłuchała. Gdy wróciła, dźwigając koc i futrzany błam, Szczury nie siedziały już dookoła ogniska. Stały półkolem, a czerwony odbłask płomienia odbijał się w ich oczach.

– Jesteśmy Szczurami Pogranicza – powiedział z dumą Giselher. – Na milę wywęszymy łup. Nie boimy się pułapek. I nie ma takiej rzeczy, której byśmy nie przegryźli. Jesteśmy Szczury. Podejdź tu, dziewczyno.

Usłuchała.

– Ty nie masz nic – dodał Giselher, wręczając jej nabijany srebrem pas. – Weź więc choć to.

– Nie masz niczego i nikogo – powiedziała Mistle, z uśmiechem narzucając jej na ramiona zielony, atłasowy kabacik i wciskając do rąk мереżkowaną bluzkę.

– Nie masz nic – powiedział Kayleigh, a prezentem od niego był sztylecik w pochwie skrzęcej się od drogich kamieni. – Jesteś sama.

- Nie masz nikogo - powtórzył za nim Asse. Ciri przyjęła ozdobny pendent.

- Nie masz bliskich - powiedział z nilfgaardzkim akcentem Reef, wręczając jej parę rękawiczek z mięciutkiej skórki. - Nie masz żadnych bliskich i...

- Wszędzie będziesz obca - dokończyła pozornie niedbale Iskra, szybkim i dość bezceremonialnym ruchem wkładając na głowę Ciri berecik z bażancimi piórami. - Wszędzie obca i zawsze inna. Jak mamy cię nazywać, mała sokoliczko?

Ciri spojrzała jej w oczy.

- Gvalch'ca.

Elfka zaśmiała się.

- Kiedy już zaczniesz mówić, mówisz w wielu językach, Mała Sokoliczko! Dobrze więc. Będziesz nosić imię Starszego Ludu, imię, które sama dla siebie wybrałaś. Będziesz Falką.

•

Falka.

Nie mogła zasnąć. Konie tupwały i chrapały w ciemnościach, wiatr szumiał w koronach jodeł. Niebo skrzyło się od gwiazd. Jasno świeciło Oko, przez tak wiele dni jej wierny przewodnik na skalistej pustyni. Oko wskazywało zachód. Ale Ciri nie była już pewna, czy to właściwy kierunek. Niczego nie była już pewna.

Nie mogła zasnąć, choć po raz pierwszy od wielu dni czuła się bezpieczna. Nie była już sama. Legowisko z gałęzi wymościła sobie na uboczu, daleko od Szczurów, którzy spali na ogrzanej ogniem glinianej polepie zrujnowanego szałas. Była daleko od nich, ale czuła ich bliskość i obecność. Nie była sama.

Usłyszała ciche kroki.

- Nie bój się.

Kayleigh.

- Nie powiem im - szepnął jasnowłosy Szczur, klękając i pochylając się nad nią - o tym, że szuka cię Nilfgaard. Nie powiem o nagrodzie, jaką przyrzekł za ciebie prefekt z Amarillo. Tam, w karczmie, uratowałaś mi życie. Odwdzięczę ci się. Czymś miłym. Zaraz.

Położył się obok niej, powoli i ostrożnie. Ciri usiłowała zerwać się, ale Kayleigh przycisnął ją do posłania, ruchem nie gwałtownym, ale silnym

i stanowczym. Delikatnie położył jej palce na ustach. Niepotrzebnie. Ciri była sparaliżowana strachem, a ze ściśniętego, boleśnie suchego gardła nie dobyłaby krzyku, nawet gdyby chciała go dobywać. Ale nie chciała. Cisza i mrok były lepsze. Bezpieczniejsze. Swojskie. Kryły jej przerażenie i wstyd.

Jęknęła.

– Bądź cicho, mała – szepnął Kayleigh, powoli rozsznurowując jej koszulę. Wolno, łagodnymi ruchami zsunął jej tkaninę z ramion, a dół koszuli podciągnął powyżej bioder. – I nie bój się. Zobaczysz, jakie to przyjemne.

Ciri zatrzęsała się pod dotykiem suchej, twardej i szorstkiej dłoni. Leżała nieruchomo, wyprężona i spięta, przepelniona obezwładniającym, pozbawiającym woli strachem i dojmującym wstrętem, atakującymi skronie i policzki falami gorąca. Kayleigh wsunął jej lewe ramię pod głowę, przyciągnął ją bliżej do siebie, starając się odsunąć rękę, którą kurczowo zaciskała na podołku koszuli, nadaremnie usiłując ściągnąć go w dół. Zaczęła dygotać.

W otaczającej ciemności wyczuła nagle poruszenie, odebrała wstrząs, usłyszała odgłos kopnięcia.

– Zwariowałaś, Mistle? – warknął Kayleigh, unosząc się lekko.

– Zostaw ją, ty świnió.

– Odwal się. Idź spać.

– Zostaw ją w spokoju, powiedziałam.

– A czy ja ją niepokoję, czy co? Czy ona krzyczy albo się wyrывa? Chcę ją tylko utulić do snu. Nie przeszkadzaj.

– Wynoś się stąd, bo cię dziabnę.

Ciri usłyszała zgrzyt sztyletu w metalowej pochwie.

– Ja nie żartuję – powtórzyła Mistle, niewyraźnie majacząc w mroku nad nimi. – Wynoś się do chłopaków. Ale już.

Kayleigh usiadł, zaklął pod nosem. Wstał bez słowa i odszedł szybko.

Ciri poczuła łzy toczące się po policzkach, szybko, coraz szybciej, wpelzające jak ruchliwe robaczki we włosy przy uszach. Mistle położyła się obok niej, troskliwie okryła futrem. Ale nie poprawiła zadartej koszuli. Zostawiła ją tak, jak była. Ciri znowu zaczęła dygotać.

– Cicho, Falka. Już dobrze.

Mistle była ciepła, pachniała żywicą i dymem. Jej dłoń była mniejsza od dłoni Kayleigha, delikatniejsza, miększa. Przyjemniejsza. Ale dotyk

wyprężył Ciri ponownie, ponownie skrępował całe ciało lękiem i wstrętem, zwał szczęki i zdusił gardło. Mistle przywarła do niej, przytulając opiekuńczo i szepcząc uspokajająco, ale w tym samym czasie jej drobna dłoń nieustająco pełzła jak ciepły ślimaczek, spokojny, pewny, zdecydowany, świadom drogi i celu. Ciri poczuła, jak żelazne cęgi wstrętu i strachu rozwierają się, zwalniają chwyt, poczuła, jak wymyka się z ich uścisku i opada w dół, w dół, głęboko, coraz głębiej, w cieplutkie i mokre bajoro rezygnacji i bezsilnej uległości. Obrzydliwie i upokarzająco przyjemnej uległości.

Jęknęła głucho, rozpaczliwie. Oddech Mistle parzył szyję, aksamitne i wilgotne wargi połaskotały ramię, obojczyk, wolniutko przesunęły się niżej. Ciri zajęczała znowu.

– Cicho, Sokoliczko – szepnęła Mistle, ostrożnie wsuwając jej ramię pod głowę. – Już nie będziesz sama. Już nie.

•

Rano Ciri wstała o świcie. Wyśliznęła się spod futer wolno i ostrożnie, nie budząc Mistle, śpiącej z rozchyłonymi ustami i przedramieniem na oczach. Przedramię pokrywała gęsia skórka. Ciri troskliwie okryła dziewczynę. Po chwili wahania pochyliła się, delikatnie pocałowała ją w ostrzyżone, sterczące jak szczotka włosy. Mistle zamruczała przez sen. Ciri otarła łzę z policzka.

Już nie była sama.

Reszta Szczurów też spała, któryś chrapał donośnie, któryś równie donośnie puścił bąka. Iskra leżała z ręką w poprzek piersi Giselhera, jej bujne włosy były rozsypane w nieładzie. Konie parskwały i potupywały, dzieciół prał w pień sosny krótkimi seriami uderzeń.

Ciri zbiegła nad strumień. Myła się długo, dygocąc od chłodu. Myła się gwałtownymi ruchami roztrzęsionych rąk, starając się zmyć z siebie to, czego nie można już było zmyć. Po jej policzkach toczyły się łzy.

Falka.

Woda pieniała się i szumiała na kamieniach, odpływała w dal, we mgłę.

Wszystko odpływało w dal. We mgłę.

Wszystko.

•

Byli wyrzutkami. Byli dziwną zbieraniną stworzoną przez wojnę, nieszczęście i pogardę. Wojna, nieszczęście i pogarda połączyły ich i

wyrzuciły na jeden brzeg, tak jak wezbrana rzeka wyrzuca i osadza na plażach dryfujące, czarne, wygładzone o kamienie kawałki drewna.

Kayleigh ocknął się wśród dymu, pożogi i krwi, w splądrowanym kasztelu, leżąc między trupami przybranych rodziców i rodzeństwa. Wlokąc się przez zasłany zwłokami dziedziniec, natknął się na Reefa. Reef był żołnierzem z karnej ekspedycji, którą cesarz Emhyr var Emreis wysłał do stłumienia rebelii w Ebbing. Był jednym z tych, którzy zdobyli i splądrowali kasztel po dwudniowym oblężeniu. Zdobywszy kasztel, towarzysze porzucili Reefa, chociaż Reef żył. Ale troszczenie się o rannych nie leżało w zwyczaju rezunów z nilfgaardzkich oddziałów specjalnych.

Początkowo Kayleigh chciał dobić Reefa. Ale Kayleigh nie chciał być sam. A Reef, tak jak i Kayleigh, miał szesnaście lat.

Razem lizali się z ran. Razem zabili i ograbili poborcę podatków, razem raczyli się piwem w oberży, a później, jadąc przez wieś na zdobycznych koniach, rozrzucali dookoła resztę zrabowanych pieniędzy, zaśmiewając się przy tym do rozpuku.

Razem uciekali przed pogonią Nissirów i nilfgaardzkich patroli.

Giselher zdezerterował z armii. Prawdopodobnie była to armia władcy z Geso, który sprzymierzył się z powstańcami z Ebbing. Prawdopodobnie. Giselher nie bardzo wiedział, dokąd zawlekli go werbownicy. Był wówczas pijany w sztok. Gdy wytrzeźwiał i na musztrze dostał pierwsze wciry od sierżanta, zwiął. Z początku tułał się samotnie, ale gdy Nilfgaardczycy rozgromili powstańczą konfederację, w lasach zaroilo się od innych dezterterów i zbiegów. Zbiegowie szybko połączyli się w bandy. Giselher przystał do jednej z nich.

Banda łupiła i paliła wsie, napadała na konwoje i transporty, topniała w dzikich ucieczkach przed szwadronami nilfgaardzkiej jazdy. W czasie jednej z ucieczek szajka nadziała się w kniei na Leśne Elfy i znalazła zagładę, znalazła niewidzialną śmierć syczącą szarymi piórami strzał lecących ze wszystkich stron. Jedna ze strzał przebiła na wylot bark Giselhera i przyspiliła go do drzewa. Tą, która nad ranem wyciągnęła strzałę i opatrzyła ranę, była Aenyeweddien.

Giselher nigdy nie dowiedział się, dlaczego elfy skazały Aenyeweddien na banicję, za jakie przewiny skazały ją na śmierć – bo dla wolnej elfki wyrokiem śmierci była samotność w wąskim pasie ziemi niczyjej,

dzielącym Wolny Starszy Lud od ludzi. Samotna elfka musi zginąć. Jeśli nie znajdzie towarzysza.

Aenyeweddien znalazła towarzysza. Jej imię, znaczące w wolnym przekładzie „Dziecię ognia”, było dla Giselhera za skomplikowane i za poetyczne. Nazywał ją Iskrą.

Mistle pochodziła z bogatej szlacheckiej rodziny z grodu Thurn w Północnym Maecht. Jej ojciec, wasal księcia Rudigera, wstąpił do powstańczej armii, dał się pobić i zaginał bez wieści. Kiedy ludność Thurn uciekała z miasta na wieść o nadciągającej ekspedycji karnej, o osławionych Pacyfikatorach z Gemmery, rodzina Mistle uciekła również, a Mistle zagubiła się w ogarniętym paniką tłumie. Wystrojona i delikatna panienczka, którą od najmłodszych lat noszono w lektyce, nie była w stanie dotrzymać kroku uciekinierom. Po trzech dniach samotnej tułaczki wpadła w łapy ciągnących za Nilfgaardczykami łowców ludzi. Dziewczęta poniżej siedemnastu lat były w cenie. Jeżeli były nietknięte. Łowcy nie tknęli Mistle, sprawdzwszy wcześniej, czy jest nietknięta. Po tym sprawdzaniu Mistle przeszłochała całą noc.

W dolinie rzeki Veldy karawana łowców została rozgromiona i wybita do nogi przez bandę nilfgaardzkich maruderów. Zabito wszystkich łowców i niewolników płci męskiej. Oszczędzono tylko dziewczęta. Dziewczęta nie wiedziały, dlaczego je oszczędzono. Nieświadomość ta nie trwała długo.

Mistle była jedyną, która przeżyła. Z rowu, do którego ją wrzucono, naga, pokrytą siniakami, plugastwem, błotem i zeskorpiałą krwią, wyciągnął ją Asse, syn wiejskiego kowala, tropiący Nilfgaardczyków od trzech dni, oszalały z chęci zemsty za to, co maruderzy zrobili z jego ojcem, matką i siostrami, a na co on musiał patrzeć ukryty w konopiach.

Spotkali się wszyscy jednego dnia na obchodach Lammas, Święta Żniw, w jednej z wiosek w Geso. Wojna i nędza podówczas jeszcze nie zawadziły zaudto o kraj nad górną Veldą – wieśniacy tradycyjnie, huczną zabawą i tańcem, świętowali początek Miesiąca Sierpu.

Nie szukali się długo w rozbawionym tłumie. Zbyt wiele ich wyróżniało. Zbyt wiele mieli ze sobą wspólnego. Łączyło ich zamięłowanie do krzykliwego, kolorowego, fantazyjnego stroju, do zrabowanych błyskotek, pięknych koni, mieczy, których nie odpinali nawet do tańca. Wyróżniała ich arogancja i buta, pewność siebie, drwiąca zadzierzystość i gwałtowność.

I pogarda.

Byli dziećmi czasu pogardy. I tylko pogardę mieli dla innych. Liczyła się dla nich tylko siła. Sprawność we władaniu bronią, której prędko nabyli na gościńcach. Zdecydowanie. Szybki koń i ostry miecz.

I towarzysze. Kumple. Druhowie. Bo ten, kto jest sam, musi zginąć – z głodu, od miecza, od strzały, od chłopskich kłonic, od stryczka, w pożarze. Kto jest sam, ten ginie – zadźgany, zatłuczony, skopany, splugawiony, jak zabawka przekazywany z rąk do rąk.

Spotkali się na Święcie Żniw. Ponury, czarny, tykowaty Giselher. Chudy, długowłosy Kayleigh ze złymi oczami i ustami ułożonymi w paskudny grymas. Reef wciąż mówiący z nilfgaardzkim akcentem. Wysoka, długonoga Mistle z ostrzyżonymi, sterczącymi jak szczotka włosami koloru słomy. Wielkooka i kolorowa Iskra, wiotka i zwiewna w tańcu, szybka i mordercza w walce, o wąskich wargach i drobnych elfich ząbkach. Barczysty Asse z jasnym, kręcącym się puchem na brodzie.

Hersztem został Giselher. A przezwali się Szczurami. Ktoś ich kiedyś tak nazwał, a im się to spodobało.

Rabowali i mordowali, a ich okrucieństwo stało się przysłowiowe.

Początkowo nilfgaardzcy prefekci lekceważyli ich. Pewni byli, że wzorem innych band rychło padną ofiarą skoncentrowanego działania rozwścieczonego chłopstwa, że wyniszczą i wyrzną się sami, gdy ilość zgromadzonego łupu zmusi chciwość do triumfu nad bandycką solidarnością. Prefekci mieli słuszność w stosunku do innych szajek, ale mylili się co do Szczurów. Bo Szczury, dzieci pogardy, gardziły łupem. Napadały, rabowały i zabijały dla rozrywki, a zagrabione z wojskowych transportów konie, bydło, ziarno, paszę, sól, dziegieć i sukno rozdawały po wsiach. Garściami złota i srebra płaciły krawcom i rzemieślnikom za to, co kochały ponad wszystko – broń, strój i ozdoby. Obdarowywani karmili ich, poili, gościli i ukrywali, i nawet smagani do krwi przez Nilfgaardczyków i Nissirów, nie zdradzali Szczurzych kryjówek i szlaków.

Prefekci wyznaczyli wysoką nagrodę – i początkowo znaleźli się tacy, którzy połazczyli się na nilfgaardzkie złoto. Ale nocami chałupy donosicieli stawały w płomieniach, a uciekający z pożaru marli od rozmigotanych kling krążących wśród dymu widmowych jeźdźców.

Szczury atakowały po szczurzemu. Cicho, zdradziecko, okrutnie. Szczury uwielbiały zabijać.

Prefekci sięgnęli po wypróbowane przeciw innym bandom sposoby – kilkakrotnie próbowali wkłęcić między Szczury zdrajcę. Nie powiodło się. Szczury nie akceptowały nikogo. Zwarta i zbratana szóstka stworzona przez czas pogardy nie chciała obcych. Pogardzała nimi.

Do dnia, w którym zjawiała się zwinna jak akrobatka, szarowłosa, małomówna dziewczyna, o której Szczury nie wiedziały nic.

Oprócz tego, że była taka, jak oni niegdyś, jak każde z nich. Samotna i pełna żalu, żalu za tym, co zabrał jej czas pogardy.

A w czasach pogardy ten, kto jest sam, musi zginać.

Giselher, Kayleigh, Reef, Iskra, Mistle, Asse i Falka.

Prefekt z Amarillo zdziwił się niepomierne, gdy doniesiono mu, że Szczury grasują w siódemkę.

•

– Siedmioro? – zdziwił się prefekt z Amarillo, patrząc na żołnierza z niedowierzaniem. – Siedmioro ich było, nie sześcioro? Pewien jesteś?

– Żebym tak zdrow był – powiedział niewyraźnie jedyny ocalały z masakry żołnierz.

Życzenie było jak najbardziej na miejscu – głowę i połowę twarzy wojaka spowijały brudne, przesiąknięte krwią bandaże. Prefekt, który był w niejednej bitwie, wiedział, że żołnierz dostał mieczem z góry – samym końcem brzeszczotu, ciosem od lewej, ciosem celnym, precyzyjnym, wymagającym wprawy i szybkości, wymierzonym w prawe ucho i policzek, w miejsca nie chronione ani szyszakiem, ani żelaznym kołnierzem.

– Opowiadaj.

– Szliśmy brzegiem Veldy w stronę Thurn – zaczął żołnierz. – Był rozkaz, by konwojować jeden z transportów pana Evertsena ciągnący na południe. Napadli na nas przy zwałonym moście, gdyśmy się przez rzekę przeprawiali. Jeden wóz ugrzązł, tedy wyprzęgliśmy konie z drugiego, by go wyciągnąć. Reszta konwoju pojechała, jam zostałem z pięcioma i z komornikiem. I wtedy nas obskoczyli. Komornik, nim go ubili, zdążył krzyknąć, że to Szczury, a potem już siedli naszym na kark... I wysiekli ich do nogi. Gdym to zobaczył...

- Gdyś to zobaczył – skrzywił się prefekt – dałeś koniowi ostrogę. Ale za późno, by uratować skórę.

- Dopadła mnie – spuścił głowę żołnierz – właśnie ta siódma, com jej z początku nie widział. Dziewuszką. Prawie dzieciak. Myślałem, zostawili ją Szczury z tyłu, bo młoda i niedoświadczona...

Gość prefekta wysunął się z cienia, w którym siedział.

- To była dziewczyna? – spytał. – Jak wyglądała?

- Jak oni wszyscy. Wymalowana i wyszminkowana niby elfka, barwna jak papuga, wystrojona w błyskotki, w aksamit i brokaty, w czapeczce z piórkami...

- Jasnowłosa?

- Chyba, panie. Gdym ją zobaczył, naleciałem koniem, myśląc, choć ją jedną usiekę za towarzyszków, krwią za krew odpłacę... Od prawej ją zaszedłem, by snadniej ciąć... Jak to uczyniła, nie wiem. Alem chybił jej. Jakbym widmo albo zjawę ciął... Nie wiem, jak ta diablica to uczyniła... Chociażem się zastawił, dostała mnie zza zastawy. Prosto w głowę... Panie, ja pod Sodden byłem, pod Aldersbergiem byłem. A nynie od dziewczki wypindrzonej pamiątka na głowie na całe życie...

- Ciesz się, że żyjesz – burknął prefekt, patrząc na swego gościa. – I ciesz się, że cię posieczonego na przeprawie znaleziono. Będiesz teraz za bohatera robił. Gdybyś bez walki zwiął, gdybyś bez pamiątki na głowie meldował mi o stracie ładunku i koni, wnet byś na stryczku piętą o piętę stukał! No, odmaszerować. Do lazaretu.

Żołnierz wyszedł. Prefekt odwrócił się w stronę gościa.

- Sami widzicie, wielmożny panie koroner, że nielekka tutaj służba, że nie ma spokoju, że pełne ręce roboty. Wy tam, w stolicy, myślicie, że w Prowincjach baki się zbija, piwo żłapie, dziewczki maca i łapówki bierze. O tym, żeby ludzi albo grosza więcej podesłać, nikt nie pomyśli, tylko rozkazy się śle: daj, zrób, znajdź, wszystkich na nogi postaw, od jutrzni do zmroku lataj... A tu łeb pęka od własnych kłopotów. Takich band jak Szczury grasuje tu z pięć albo sześć. Prawda, Szczury najgorsze, ale nie ma dnia...

- Dosyć, dosyć – wydał wargi Stefan Skellen. – Wiem, czemu ma służyć to wasze biadolenie, panie prefekcie. Ale darmo biadolicie. Z danych rozkazów nikt was nie zwolni, nie liczcie na to. Szczury nie Szczury, bandy nie bandy, macie nadal prowadzić poszukiwania. Wszystkimi dostępnymi środkami, aż do odwołania. To rozkaz cesarza.

- Szukamy od trzech tygodni - skrzywił się prefekt. - Nie bardzo zresztą wiedząc, kogo czy czego szukamy, zjawy, ducha czy igły w stogu siana. A skutek jaki? Tylko mi paru ludzi przepadło bez wieści, ani chybi przez buntowników lub brygantów ubitych. Powiadam wam raz jeszcze, panie koroner, jeśli do tej pory nie znaleźliśmy tej waszej dziewczyny, to już nie znajdziemy. Jeśli nawet taka tu była, w co wątpię. Chyba że...

Prefekt urwał, zastanowił się, patrząc na koronera spode łba.

- Ta dziewczka... Ta siódma, która ze Szczurami jeździ...

Puszczyk lekceważąco machnął ręką, starając się, by jego gest i mina wypadły przekonywająco.

- Nie, panie prefekcie. Nie wypatrujcie zbyt łatwych rozwiązań. Wysztafirowana półelfka czy inna bandytka w brokatch to z pewnością nie ta dziewczyna, o którą nam chodzi. To z pewnością nie ona. Kontynuujcie poszukiwania. To rozkaz.

Prefekt naburmuszył się, spojrzał w okno.

- A z tą bandą - dodał pozornie obojętnym głosem koroner cesarza Emhyra, Stefan Skellen zwany Puszczkiem - z tymi Szczurami, czy jak im tam... Zróbcie z nimi porządek, panie prefekcie. W Prowincji powinien zapanować ład. Weźcie się do roboty. Wyłapać i powiesić, bez korowodów i ceregieli. Wszystkich.

- Łatwo powiedzieć - mruknął prefekt. - Ale zrobię, co w mej mocy, zapewnię cesarza. Wszelako myślę, że tę siódmą dziewczynę od Szczurów warto by jednak dla pewności żywą...

- Nie - przerwał Puszczyk, uważając, by głos go nie zdradził. - Żadnych wyjątków, powiesić wszystkich. Całą siódmkę. Nie chcemy więcej o nich słyszeć. Nie chcemy już o nich słyszeć ani słowa.

KONIEC TOMU DRUGIEGO